Teksty lub fragmenty tekstów
Józefa Mackiewicza

1. [EJSZYSZKI] 3
2. BIERZMY PRZYKŁAD Z "CICHEGO DONU" 4
3. MY, WILNIANIE 5
4. BĘDZIEMY MÓWILI PRAWDĘ 7
5. PRZEŻYLIŚMY UPIORNĄ RZECZYCZYWISTOŚĆ... 7
6. TO DOPIERO BYŁABY KLĘSKA... 9
7. WIDZIAŁEM NA WŁASNE OCZY 10
7.1 I saw it with my own eyes... 14
8. OŚWIADCZENIE 17
9. Do Redakcji ,,Kultury" [Co jest ważniejsze: wolność czy granice?] 17
10. List JM do redakcji "Nowego Świata" (Nowy Jork) 20
11. DROGA PANI... 24
12. [O książkach o Katyniu] 27
13. Dlaczego jedynie prawda jest ciekawa? 28
14. MIEJMY NADZIEJĘ... 28
15. KLASYCZNY PREKURSOR 29
16. DZIWNE ZNIKNIĘCIE LENINA 30
17. "NIE DOPUŚCIĆ DO PRZELEWU KRWI !" 31
18. ZNOWU: PRAWDA NA WYWRÓT... 32
19. RACHUNEK PROSTY 32
20. Opinie o książkach i literaturze 33
21. IDEA DWÓCH FRONTÓW 43
22. LISTY DO GRYDZEWSKIEGO 47
23. GDYBYM BYŁ CHANEM... 54
24. LIST DO SZOŁOCHOWA 63
25. POŚWIĘCONE ALEKSANDROWI SOŁŻENICYNOWI 66
26. NIEROZWIĄZANA ZAGADKA ALEKSANDRA SOŁŻENICYNA 68
27. ALEKSANDER TWARDOWSKI 68
28. SŁAWA "POMOCNIKA PARTII" 69
29. ISTOTNE PRZYCZYNY POWODZENIA NA ZACHODZIE 69
30. NAŚWIETLANIA INFANTYLNE 69
31. NIEBYWAŁY WYJĄTEK 70
32. DZIWNA PLĄTANINA... 71
33. UKOCHANY SSSR! 71
34. CIOTKA SZCZERBAKOWA 72
35. WYWIADY AMERYKAŃSKIE 72
36. CZY ISTNIEJE SOŁŻENICYN? 73
37. WSZYSTKO DLA PIENIĘDZY? 74
38. "ARCHIPELAG" ZBRODNI I ZAGADEK 75
39. COŚ WIĘCEJ NIŻ ZAKAZ WOLNOŚCI SŁOWA 76
40. "INTELIGENCJA TO GÓWNO" – POWIEDZIAŁ LENIN 77
41. HEINRICH BÖLL 78
43. NA ZIEMI PŁONĄCEJ NIENAWIŚCIĄ 82
Zamglone pojęcie "wroga" 82
Inteligencja to główne oparcie ustroju sowieckiego 83
Początki krwawego chaosu 83
Centralny Sztab Dywersji 84

Wojna domowa 84
"Niezależne kraje" 84
Paradoks wojenny 85
Wnioski 86
44. LIST ŻOŁNIERZA-KAWALERZYSTY 87
45. ZBRODNIA W DOLINIE RZEKI DRAWY 88
Odwrót na Alpy 89
Czekolada dla dzieci i "słowo honoru" dla starszych 89
"Konferencja" 91
Paraliżująca rozpacz 92
Głodówka czterdziestu tysięcy 93
1 czerwca 1945 93
Święty Teodozjusz Czernihowski 94
Konie uratowały stu dwudziestu 95
Współistnienie z roku 1945 96
46. PO LATACH NA MIEJSCU ZBRODNI NAD DRAWĄ 96
47. JESZCZE JEDNO SŁOWO HONORU 101
Niektórzy z poległych 101
Słowo honoru gentlemanów 102
Identyczne metody 102
Rozpoczęła się pierwsza walka 102
Regularna bitwa w Bolonii 103
48. OD RZEZI NA FOLWARKU DO – STALINIZMU 103
Masakra w folwarku 104
"Antystalinizm" 105
Pod sztandarem Lenina. 105
Leninowskie czasy. 106
49. KSIĄŻKA O NIEPOKOJĄCYCH ANALOGIACH: "PAMIĘTNIKI" WĘDZIAGOLSKIEGO 107
50. WARSZAWA 1914 108
51. NUDA WOJNY, NUDA KLĘSKI 109
52. OTWARCIE DROGI BOLSZEWIKOM 109
53. "KIEREŃSZCZYZNY" DALSZY CIĄG? 111
54. W JEDNYM BYŁO ODWROTNIE 112
55. W CHAOSIE WOJNY DOMOWEJ 112
56. TWARDY JEST LOS EMIGRANTA ANTYBOLSZEWICKIEGO... 113

Józef Mackiewicz (fragment reportażu Kto zbadał puszcz litewskich..., "Słowo" nr 224, 1929; cyt. za: Józef Mackiewicz, Bulbin z jednosielca (Dzieła, t. 14), Kontra, Londyn 2001, s. 191-193)

1. [EJSZYSZKI]

[...]
Opuszczamy na razie odwieczne cienie lasów, by przekroczywszy rzekę Solczę, granicę południową Puszczy Rudnickiej, wjechać w kraj otwarty. Piaski lesiste zostały na zachodzie. Ejszyszki leżą wśród ziem względnie urodzajnych.

Ejszyska szlachta - mówi się u nas często, słusznie się tak mówi, bo to na wskroś szlachecka. starodawna kraina. Czy od Olkienik, czy od Woronowa się jedzie do Ej szyszek, czy też dalej stamtąd na Raduń, ma się czasem wrażenie jakby człowiek kartki z Pana Tadeusza obracał. Tylko patrzeć jak na wzgórzu błysną białe ściany soplicowskiego dworu. I wszystko wokół tak jak to w pierwszej księdze opisane. Jakieś specjalnie charakterystyczne piętno posiada ta ziemia, jakby sielanka jaka. Małe laski rozrzucone wśród pól, a na polach tych wszędzie pojedyncze drzewa. Czasem spojrzysz wzdłuż ścierniska, a ono niby park, niby sad usiane całe dzikimi gruszami, dębami, dalej brzozy i klony. Dziś w jesiennym słońcu mieni się to wszystko setkami kolorów i odcieni różnobarwnych. Oczu po prostu oderwać niepodobna. Grunty przeważnie dobre, miejscami bardzo kamieniste, zagony wysokie. na litewski sposób uprawiane. Są i dwory większe, ale charakter nadają tu zaścianki szlacheckie, zwane .jak wszędzie na Litwie - okolicami. Tych okolic i małych folwarków jest tu o wiele, wiele więcej niż wsi chłopskich. Nie zliczyć je wszystkie, te Marciniszki, Lubkiszki, Jaworzyszki. Montwiliszki, Zubiszki, Songiniszki, Januszyszki i te Wiszkuńce, Wilkańce, Hancewicze, Korklinie, Matejkiany, Nosowicze, Kodzie, Korkuciany, Kibały, Mackowszczyzna, Wałochowicze, Mieżany, Bujwidy, a wszystkie schludne, w zieleni drzew tonące.

To wielkie skupienie szlacheckich zaścianków powoduje, że w gminie ejszyskiej stanowczo dominuje język polski, który w tym miejscu rozdziela dwa tereny językowe: na zachód litewski, na wschód białoruski. "Białoruski" jako nazwa nie jest tam prawie wcale używana. W potocznej mowie określa się ten język jako polski, w ściślejszej definicji jako "prosty". Czyni on wszelako większe postępy i wypiera ze wsi chłopskich rdzenną tu mowę litewską, która kiedyś sięgać musiała daleko na wschód za Woronowo, gdzieś do Dziewieniszek, Subotnik, Gieranon, tam do dziś dnia spotykają się pojedyncze wsie mówiące po litewsku. Nie musiało to być tak dawno, bo jeszcze w okolicy Bastun znajdujemy wypadki, gdy w chłopskich wsiach starzy ojcowie mówią po litewsku, a już dzieci tylko "po [prostemu". ...] ogólnej sytuacji językowej jak zawsze są Żydkowie w miasteczkach, zmuszeni dostosowywać się do warunków miejscowych. Po polsku mówią oni dobrze i płynnie, słabiej znają język białoruski, litewskiego prawie zupełnie, zwłaszcza młodzi. Dziś naprawdę wszechwładnie panuje język litewski dopiero za miasteczkiem Naczą i rzeczką tejże nazwy, skąd rozpoczynają się puszcze i piaski.

Same Ejszyszki należą do jednych z najstarszych osad na Litwie.
O założeniu Ejszyszek takie mamy podanie w kronikach litewskich: Erdziwiłł kunigas litewski z trzema mniejszymi wodzami wpadł w r. 1065 na podbite przez Ruś ziemie litewskie i uwolniwszy je spod zawisłości sąsiada i dani, opłacanej Jarosławowi, rozdzielił pomiędzy towarzyszami wyprawy, z których Ejsa albo Eiksis, czy też Ejszuis, rodem Żmudzianin, był założycielem Ejszyszek na gruncie otrzymanym. Miejscem pobytu pierwszych Izraelitów przybyłych z Rusi do Litwy w r. 1171 były Ejszyszki. Świadczył o tym kamień grobowy, widziany w tym miasteczku jeszcze w r. 1798. W drugiej połowie XIV w. posiadał Ejszyszki bojar Sudymund, potwierdził on w Królewcu, razem z innymi panami litewskimi, zapis W. Ks. Witolda z dn. 30 stycznia 1384 r. ustępującego Krzyżakom całe swoje dziedzictwo za posiłki w ludziach i broni przeciw Jagielle, co było przyczyną. że ten ostatni pozbawił Sudymunda Ejszyszek, które, nim się stały starostwem po utworzeniu w roku 1413 województwa wileńskiego, były głównym grodem powiatu.
Paraf. kościół w Ejszyszkach fundowany był przez W. Ks. Witolda pod wezwaniem Bożego Ciała. Uposażył go w r. 1506 król Aleksander, a w 1522 Zygmunt I powiększył jego fundusze. Ostatecznie wymurowany z tytułem Wniebowstąpienia Pańskiego w r. 1852 staraniem ks. Kalinowskiego.

Ejszyszki od wieków leżały na głównym trakcie z Wilna do Krakowa, w ostatnich latach zwanym Raduńskim, uczęszczanym bardzo i ruchliwym. Słynęły ze swych targów koni, bydła i świń, głośne były w całym powiecie jako handlowy bogaty ośrodek. Dziś wyglądają one niemniej pokaźnie i ruchliwie, a przyszłość mają zapewnioną. Jest to bowiem jedno z nielicznych miasteczek naszego kraju, którego całe istnienie nastawione było na ruch Wilna z dalekim południem. Niewątpliwie ucierpiały na tym, gdy wybudowano koleje żelazne na Grodno i Lidę i z wolna począł głuchnąć stary trakt Raduński. Okolice bardziej na wschód położone skierowały się też na trakt Lidzki, więcej uczęszczany. Ale los zrządził i fortunę znów w kierunku Ejszyszek pokręcił. Zbudowano szosę.

Dziś, przy rosnącym niemal z dnia na dzień ruchu samochodowym, zarówno osobowym jak towarowym, znaczenie Ejszyszek wzrasta i powrócić może do jeszcze "przedkolejowych" czasów. Dziś już też ryczą na szosie

syreny kilku Brockwayów, autobusów kursujących stale z Wilna, jeżdżą samochody prywatne, ciężarowe, a dawny ośrodek handlowy z radością patrzy na odradzające się tradycje gospodarcze.
[...]
Józef Mackiewicz ("Słowo" nr 124, 1936; cyt. za: Józef Mackiewicz, Bulbin z jednosielca (Dzieła, t. 14), Kontra, Londyn 2001, s. 410-414)

2. BIERZMY PRZYKŁAD Z "CICHEGO DONU"

Prowadzimy w naszym piśmie walkę z komunizmem i ze wszystkimi przejawami, bez względu na to, czy są zamaskowane, czy otwarte, które do komunizmu prowadzą, lub prowadzić mogą. Chciałbym, żeby ta walka była nieubłaganą, a przeto konsekwentną. W walce tej nie powinniśmy wyróżniać ani tych, którzy chowają głowy pod czapki młodzieży akademickiej "burżuazyjnych" uniwersytetów, ani tych, którzy ukrywają oblicze w czerwonych sztandarach organizacji, znajdujących nawet poparcie tzw. czynników miarodajnych. Przeciwnie, uważamy za obowiązek piętnować i te "czynniki", za ich pobłażanie, otwarte, lubo skryte, sprzyjanie ruchowi. Bo ruch ten skierowany jest przeciwko ideałom duchowym i materialnym, przeciwko tradycji tych ideałów i fundamentom światopoglądu, który uważamy za nasz, za dobry, celowy, za dorobek kultury pokoleń, nie tylko naszego państwa, ale całej ludzkości.

Powiedziałem, iż chciałbym, żeby ta walka była nieubłaganą, ponieważ uważam osobiście, że prowadzimy ją zbyt humanitarnie, po prostu zbyt łagodnie. Tymczasem zdarza się, iż z przeciwnej strony atakowani jesteśmy i to w sposób dziwny, nie za nasze stanowisko zasadnicze, a za poszczególne jego fragmenty, które rzekomo , nie licują z godnością metod walki. - Że pozwolę sobie przytoczyć zarzuty pod naszym adresem w sprawie stanowisk, jakieśmy zajęli wobec procesu tzw. "Lewicy Akademickiej". - Gdyby powiedziano nam wówczas: "nie macie prawa zwalczać ich w ten sposób, bo to nie są komuniści", moglibyśmy toczyć dyskusję, czy są nimi, czy też popełniliśmy błąd, nazywając ich komunistami. Skoro nam jednak powiadają: "nie macie prawa zwalczać ich w ten sposób, bez względu na to, czy są lub nie są komunistami", to taki argument wydaje się mi naiwny. Albo raczej, mówiąc bez nerwów i demagogii, po prostu polega na nieporozumieniu. Można mieć za złe jednemu państwu, że stosuje podczas wojny gazy trujące. Ale gdy się dowiemy, że państwo to, przez inne gazami trującymi zostało zaatakowane, cofamy swe pretensje. Może by było piękniej i bardziej po rycersku prowadzić wojnę w zwartych kolumnach kawaleryjskich, ale skoro przeciwnik wytacza tanki i puszcza samoloty, musimy się zaopatrzyć w takież tanki i takież samoloty. Powinniśmy prowadzić walkę z komunizmem na śmierć i życie. To nie jest walka o piłkę w tenisie, ani o bilę w bilardzie lub wieżę w szachach. To jest walka o najszczytniejsze ideały ludzkości. A w walce na śmierć i życie nie udziela się "forów".

A takim właśnie udzielaniem "forów" byłaby z naszej strony wojna z komunizmem, bez stosowania równie groźnej broni, jaką jest metoda wojującego "internacjonału" - bezwzględność i bezkompromisowość. Jeden z publicystów kowieńskich, pisząc ostatnio o retorsjach i wzajemnie odwetowej polityce Polski i Litwy , rzucił myśl, czyby nie lepiej było postąpić inaczej i powiada, że słyszał, jak kiedyś Bułgarzy zbezcześcili cmentarz turecki, a nazajutrz Turcy ruszyli wielkim tłumem na cmentarz bułgarski i złożyli na grobach kwiaty. - Czy podobny gest w stosunkach polityczno-narodowościowych może być skuteczny i celowy, można się o to spierać, dopóki w grę wchodzi Polska i Litwa, Bułgaria czy Turcja, Włochy czy Abisynia, narody sobie bliskie lub dalekie, chrześcijańskie czy mahometańskie. Ale nie ulega żadnej dyskusji fakt, że tego rodzaju metoda w stosunku do komunizmu byłaby szczytem śmiesznej naiwności, czy raczej, jak powiedziałem, nieporozumienia. A śmieliby się z nas przede wszystkim sami komuniści.

Albowiem komunizm, jako program i jako system, usuwa poza nawias wszelkie proste lub złożone funkcje psychiki ludzkiej, które nie prowadzą do międzynarodowej rewolucji, a tym samym do zniszczenia naszego świata, zarówno moralnego, jak ideowego.

Wszystkie pobudki, zrodzone z mentalności światopoglądu niekomunistycznego, które łącznie doprowadzają u nas do różnego rodzaju względów, nie istnieją w systemie walki, jaką prowadzi z nami komunizm. Komunizm nic uznaje praw ani godności, ani honoru jednostki. W Sowietach skazuje się ludzi za przestępstwa, które w chrześcijańskim pojęciu są dobrym uczynkiem. Deportuje się bez sądu ludzi, ustanawia się kastę "liszeńców", która pozbawiona jest nawet takiej opieki, jaką u nas T-wo Ochrony Zwierząt udziela bitym na ulicy koniom. Humanitaryzm jest zwalczany, religia prześladowana. - Komuniści odnoszą się do nas jak do ludzi, którym nie przysługuje prawo do jednakowego z nimi traktowania ani dyskusji. Jeżeli nas nazywają z reguły "biełabandity", to nic są w tym wypadku konsekwentni, ponieważ bandytów i przestępców kryminalnych stawiają wyżej od przestępców politycznych, wbrew tradycjom i praktyce całego świata kulturalnego, od zamierzchłych jego czasów.

Nie jest to ani tymczasowa metoda, ani zjawisko okresu przejściowego. Jest to żelazny, konsekwentny system dla zniszczenia naszego świata, wytrzebienia jak chwastów, bez pardonu i honorów okazywanych przeciwnikom w walce regularnej. Artystycznie ilustruje ten system i tłumaczy go w swej słynnej książce Tichij Don pisarz sowiecki Szołochow. Opisuje on wojnę i wojnę domową. Opisuje też znęcanie się nad komunistami przez armie białe, tak często jako argument wysuwane przez obrońców terroru bolszewickiego. Ale ze strony "białej" była

to taktyka ujemna, chwilowa metoda polityczna, być może indywidualne zjawisko zezwierzęcenia indywidualnych generałów - ze strony zaś "czerwonej" był to właśnie ten żelazno-konsekwentny system: wyniszczyć. - Ażeby uzmysłowić go czytelnikom bolszewickim i rozwiać w nich "burżuazyjne priedrazsudki" skrupułów. pisarz sowiecki wzniósł się do poziomu niezwykle obiektywnego i nie zawahał się nawet przedstawić oficerów armii carskiej w aureoli bohaterstwa: ranny Kozak ciągnie na plecach pułkownika dragonów, któremu pocisk wyrwał wnętrzności. - Żołnierze widzą pole zasiane trupami; to czterdziestu kilku oficerów leży zatrutych gazami niemieckimi. A później - oficer bez skazy, ideowiec, staje pod murem i woła do bolszewika: "patrz, jak potrafi umierać oficer rosyjski!" a ideowy bolszewik pakuje mu kulę z nagan u w łeb. Podbiega blady żołnierz: "Ty co, ty za co jego tak?..." I oto teraz następuje wyjaśnienie, które następnie jako nić przewodnia przewija się w ciągu całej akcji.

Nie wolno się rozczulać nad jednym zamordowanym oficerem. Czym szlachetniejsza to była jednostka, tym bardziej niebezpieczna, bo to wróg klasy robotniczej. Nie wolno okazać słabego serca, nie wolno okazać żadnego względu, nie wolno dotrzymać nawet danego słowa, bo to jest słabość. A komuniści nie mogą być słabi. Muszą nie tylko zwyciężyć, ale zniszczyć, wdeptać w ziemię, wyplenić, wytrzebić, wymordować, wystrzelać swoich wrogów! - Żadnych kompromisów!

Od tego czasu nic się nie zmieniło. Komunizm walczy z nami dalej, z całym światem kapitalistycznym. Trzecia Międzynarodówka ani teoretycznie, ani praktycznie wojny nie przerwała. Komuniści podkopują nasze życie, rozwalają nasze fabryki, podminowują nasze wsie, niszczą nasz organizm państwowy .Tej ofensywie przeciwstawia się u nas metodę walki godnej innego przeciwnika, ale nieskuteczną wobec komunizmu. Metodę obwarowaną właśnie całym szeregiem względów, "burżuazyjnych priedrazsudkow". - I to jest właśnie metoda zła.

My musimy komunizm wyniszczyć, wyplenić, wystrzelać! Żadnych względów, żadnego kompromisu! Nie możemy im dawać forów, nie możemy stwarzać takich warunków walki, które z góry przesądzają na naszą niekorzyść. Musimy zastosować ten sam żelazno-konsekwentny system. A tym bardziej posiadamy ku temu prawo, ponieważ jesteśmy nie stroną zaczepną, a obronną!

I my winniśmy komunistów stawiać poniżej przestępców kryminalnych, i nam nie wolno się rozczulać ani nad młodzieńcem w czapce akademickiej, ani nad przedwojennym działaczem komunistycznym. I nam nie wolno okazać słabego serca, ani żadnego względu, ani żadnego kompromisu!

W stosunku do komunizmu nie może być między nami polityków, dziennikarzy, kapitalistów, robotników, policjantów - wszyscy łącznie jesteśmy tylko jego wrogami.
Nie jest to nauka "oko za oko", Bóg nas rozgrzeszy. Prowadzimy wojnę z komunizmem, a religie dozwalają nam na wojnie zabijać. Zaś dopiero walka tego rodzaju systemem, gdyby nawet nie okazała się w rezultacie skuteczną, będzie dopiero - walką równą.
Józef Mackiewicz („Lietuvos Žinios", Kowno, z 14.10.1939; cyt. za tekstem opublikowanym przez Cezarego Chlebowskiego w „Tygodniku Powszechnym" nr 41 z 8.10.1989 i przedrukowanym w: Jerzy Malewski, Wyrok na Józefa Mackiewicza, Puls, Londyn 1991, s. 31-33)

3. MY, WILNIANIE

[Redakcja „Lietuvos Žinios" artykuł poprzedziła wstępem:]
Wśród społeczności Litwy panują różne zdania na temat Polaków i ich niedoli. Te zdania są dosyć różne. Sami Polacy, jak się słyszy, swój i swego Państwa los, rozpatrują w różnoraki sposób i różnie oceniają te warunki i te przyczyny, które Polskę doprowadziły do katastrofy. Niżej przedstawiony artykuł, niejasny i nie przedstawiający jeszcze jakiegoś wyraźniejszego wytłumaczenia, napisany przez dziennikarza z Wilna, pisarza i redaktora, Juoazasa Mackieviciusa, rzuca smugę światła na ogół tych zadań. Artykuł ten, jak myślimy, posłuży do wyjaśnienia również i naszych stosunków z Wilnem. Dla lepszego zrozumienia jego intencji warto zauważyć, że artykuł, jak wypływa z jego tonu, napisany jest naprawdę krwią płynącą z serca, które przeżyło wielką tragedię.

Czasy romantyzmu w stosunkach politycznych należą do przeszłości, nawet pośród tych zwolenników, którzy szukali jego śladów na drogach Polski i Litwy. Bądźmy otwarci i powiedzmy sobie, że Wilno nie stanowi tego ideału miasta, którego obraz pragnęlibyśmy nosić w swoim sercu, my wszyscy, którzy je kochamy. W roku 1915, będąc małym dzieckiem, widziałem wchodzące do Wilna obce wojsko niemieckie. Już wtedy dziwiłem się, że mimo woli tych z tyłu znaleźli się i tacy, którzy to wojsko witali owacyjnie. Wówczas byli to, co prawda, Żydzi, z natury wychodzący na ulice, by schlebiać zwycięzcom. W tym czasie w Wilnie mieszkają jednakże Polacy, Litwini, Żydzi, Rosjanie i Białorusini, nic mówiąc już o Tatarach i Karaimach. Od jesieni 1915 r. wchodzili do Wilna na zmianę bolszewicy, Polacy, znów bolszewicy, Litwini, znów Polacy... I zawsze było tak, że ktoś wychodził na ulicę i rzucał kwiaty pod końskie kopyta.

Zawsze ktoś z mieszkających tu narodowości. Można doprawdy, krzywdząc Wilno, zrobić mu zarzut, że nie potrafi zachować własnej twarzy wobec roli, jaką wyznacza mu historia. Ale nie ono jest temu winne...

Warunki ułożyły się tak nieoczekiwanie, że jak się wydaje, w historii Wilna nastąpił moment niebywałej wagi, jakiego dotychczas nie było. Moment wart podkreślenia jako owoc historycznego losu. Moment na tyle charakterystyczny, że szkoda by go było przemilczeć uznawszy za przejaw politycznej banalności. Bo tu nie chodzi o manifestację, patriotyczną wypowiedź, nie o fanfaronadę, a o fakt: tak radośnie i jednolicie przez wszystkich mieszkańców, niezależnie od tego, czy byliby to Polacy czy Litwini — nie było witane żadne inne wojsko, jak dzisiaj... będzie witane w Wilnie wojsko Litwy.

Nie sądzę, by te słowa były zbyt mocne, są one tylko obiektywne. Być może, że w tym właśnie jest ich siła? Gdy padają one z ust Polaków z Wilna, jak w tym wypadku, logicznie rzecz biorąc, można by się było w nich domyślać kolejnego „postrzelenca". I taki domysł nie musiałby być daleki od prawdy, gdyby nie koło historii, znaczone takimi datami, jak 17 i 18 września 1939 r. Ten, kto widział, co się w tym czasie działo się w Wilnie, ten wie, jeśli nawet otwarcie nie zechciałby się do tego przyznać, że mam podstawy, by tak sądzić. W obliczu koniunkturalnych pogłosek, każdy trzymał się tych, które uważał za najkorzystniejsze dla siebie. Otóż pogłoską powszechną najpopularniejszą była ta, która głosiła: „przychodzą Litwini!"

Wierzono w to, ponieważ chciano w to wierzyć, nie zaś w zaprzeczenia, które aż do znudzenia powtarzali ci najwięksi patrioci i najbardziej „zatwardziali" Polacy, nie chcący rozstać się z oczekiwaniem, rozproszonym wraz z poranną mgłą 19-go września wzdłuż granic Litwy. Nie sądzę, abyśmy my, Polacy z Wilna, tego oczekiwania musieli się wstydzić. Mówię „wstydzić", chociaż to się wydarzyło 11 października w Kownie, gdy wśród powiewających sztandarów zimne słońce jesieni spotykało radosne twarze Polaków z Wilna. I też dlatego, że z niektórych uśmiechniętych ust padały takie słowa: „ ależ my się cieszymy, być może najbardziej! Lecz... może nie wypada tego okazywać?" Ta myśl ze znakiem zapytania, te słowa: „nie wypada", wydają mi się, jak gdyby echem tej wewnętrznej i zagranicznej polityki, która za podstawę przyjęła nie realną, a fikcyjną drogę, która Rzeczpospolitą Polską doprowadziła do zguby. Tylko realne wartości mają znaczenie. Taką realną wartością jest dla nas przejście Wilna z ZSRR w ręce republiki Litwy.

Dyplomacja polska trzyma się innych ustaw. Ustaw, w moim mniemaniu, całkiem zrozumiałych. Obecnie Polska ze swoją władzą jest państwem bez terytorium. Utrzymanie granic — jeżeli nie realnych, to formalnych — w ustalonych przez państwo ramach jest koniecznością.

Nie sposób ich rozewrzeć, nie można ich uelastycznić w jednym miejscu, nie obawiając się wywołania precedensu, szczególnie wówczas, gdy tych granic nie ma. Lecz, o ile się nie mylę w ocenie tych wiadomości, które docierają z decydujących źródeł polskich, to opór ten jest tylko formalny, w przyszłości, w ewentualnych przyszłościowych stosunkach polsko-litewskiego sąsiedztwa, nie będzie on utrzymywany. Te stosunki muszą rozwinąć się na zupełnie innej płaszczyźnie.

W każdym bądź razie nie może powtórzyć się fatalny błąd marszałka Piłsudskiego tworzenia fikcyjnego wielkiego państwa (mocarstwowość), gdzie geopolityczne warunki nawołują do realnej państwowości.

Gdy dzisiaj myślę, że naturalny wewnętrzny sojusznik Polski w jej państwowych aspiracjach na wschodzie — Ukraińcy, burżuazyjno-nacjonalistyczny grecko-katolicki naród był najbardziej antykomunistyczny z racji swojej struktury socjalnej, bardziej niż prawdziwi Polacy w samym sercu Polski, i że ten antykomunistyczny element zamiast pomóc Polsce, sam strzelał do polskich żołnierzy... zastanawiające jest, że władza Polski mogła popełnić tak ogromne błędy. Aż do krwi chciało się gryźć palce, do krwi, w której zanurzona jest dzisiaj cała Polska.

Trzeba ogryzać palce do krwi również z powodu tzw. politycznego paradoksu rządzenia ziemiami wschodu. Prowadząc tam państwowa politykę, przeciwstawna ZSRR, nie budowano, lecz setkami palono prawosławne kościoły. Robiono wszystko, by naród Białorusinów nastawić przeciwko Polsce. A co można by powiedzieć o polityce wobec Wilna i Litwy w ogóle...

Wiem, wiem, Litwini nie lubią wszystkiego, co pachnie „unią"! Nie mówmy o tym. Opowiedzmy się lepiej o „wspólnocie interesów", ponieważ moim zdaniem, ta wspólnota interesów wypływa i będzie wiecznie wypływać z geopolitycznych warunków potężnych bloków wschodu i zachodu. Miast tego, by tę wspólnotę uzupełnić i podnieść do poziomu siły, która występowała w czasach Witolda i mogła stawić czoła wrogowi, użyto przeciw niej panów Bociańskich i Berezy panów Kosków [winno być „Kostków" — przyp. C.Ch.] „mocarstwowość". [w zakończeniu tego zdania czegoś brak — przyp. J.M.]. Gdyby ktoś mi teraz powiedział, że piszę paszkwil przeciw Polsce, odpowiedziałbym mu, że piszę nie tylko skrwawionym sercem, lecz i w głębokim przekonaniu. Obowiązkiem polskiego dziennikarza, głęboko przekonanego dzisiaj, jest wskazanie palcem tych metod, które doprowadziły do niesłychanego w historii upadku. A to dlatego, żeby napiętnowanie za ten upadek nie zostało skierowane przeciw całej narodowości polskiej, a tylko przeciw tym, którzy go przygotowali.

Józef Mackiewicz ("Gazeta Codzienna" nr 1 z 25.11.1939)

[Końcowy fragment artykułu wstępnego]

4. BĘDZIEMY MÓWILI PRAWDĘ

[...] Ale chyba dzieci tylko zrozumieć tego nie mogą, że w chwili obecnej dawna "sprawa Wilna" przeistoczyła się z problematu w dylemat. Prosty i surowy: albo SSSR, albo Litwa. Do tych wszystkich, którzy odetchnęli z ulgą w dniu 28 października, zaliczamy się również. [...] W tej chwili zatem nie chcemy wypowiadać się ani w imieniu Polaków, ani Litwinów, ani Białorusinów, czy Rosjan, ani z prawa, lewa czy centrum - po prostu: czujemy z całem Wilnem.

J.M. („Goniec Codzienny", nr 2 z 27.07.1941, cyt. za: Włodzinierz Bolecki (Jerzy Malewski), Wyrok na Józefa Mackiewicza, Puls, Londyn 1991, s. 49-52)

5. PRZEŻYLIŚMY UPIORNĄ RZECZYCZYWISTOŚĆ...

Korzystam z pierwszych łam drukowanych po polsku, aby je prosić o gościnę. Nie wiem, czy bardziej z tęsknoty do pisaniu, czy z nienawiści do bolszewików. W każdym razie nie wstydzę się ani jednego, ani drugiego uczucia.

Onegdaj siedziałem na odkosie trawy i kręciliśmy po dawnemu „bankrutki" z jednym z takich, co to za czasów bolszewickich... po prostu z b. urzędnikiem polskim z Nowogródczyzny. Los jego w Litewskiej Republice Rad był przypieczętowany. Pasał krowy i spał na jednym uchu, jak zaszczuty, bezpański pies. Temu się dziwić niepodobna, że dziś odetchnął głęboko, że nienawiść pali się mu w oczach i razem z ogryzkiem tytoniu wypluwa brzydkie słowa między trawy, między kwiaty.

Nagle podchodzi do nas człowiek o krótko ostrzyżonych włosach, jakie zwykli nosić żołnierze, albo więźniowie. Podaje rękę i prosi o ogień.

- Niech on opowie - mówi ponuro b. urzędnik, wskazując spracowanym kciukiem na przybysza i nieznajomy zaczyna opowiadać. Przerywam mu już po pierwszym zdaniu okrzykiem: „Jak to! Pan był w Prowiniszkach?!"

Słyszałem o nich swojego czasu, widziałem ostatnio fotografię w litewskim piśmie, ale nie znam szczegółów, bo nie umiem po litewsku. Kilkakrotnie obiła mi się o uszy nazwa miejscowości: Prowiniszki, jak dalekie echo burzy, która minęła. Ale ten siedzący wśród jaskrów i dzwonków, prosty człowiek, swym niewyszukanym, pozbawionym fantazji opowiadaniem czyni na mnie wrażenie niesamowite.

Być może siedzę w tej chwili z otwartymi ustami, a obłoki płynąc jedne za drugimi po niebie rzucają kolejno cień na nasze twarze, być może ptaki po dawnemu śpiewają, wietrzyk lipcowy unosi dym tytoniu, krowa czochra rogiem swój bok i z tymi owadami odbywa się ten sam proceder co każdego lipca wszystkich ubiegłych wieków; znaczyłoby to, że wszystko idzie swoją koleją i tak zapewne być powinnio. Rozmówca mój pomaga sobie w opowiadaniu gestykulacją rąk, bo słowa wydobywa z trudem. Prowiniszki to miejscowość leżąca niedaleko Kowna. Bolszewicy urządzili tam tzw. „Obóz przymusowej pracy", do którego zsyłali ludzi za różne przewinienia. Na przykład za publiczną krytykę władzy sowieckiej... Mniejsza z tym. Siedziało w nim 500 ludzi, którzy przymusowo kopali torf. Wojna wybuchła nagle. Front się zbliżał. Tego dnia nie wypuszczono ich na pracę. Niespodziewanie obóz został otoczony przez oddział bolszewicki, otwarły się drzwi i oficer powiada: „Wychoditie!"

Wyszli jak zawsze posłuszni, jak ludzie zbydlęceni pod jarzmem. Każdy chciał tylko zabrać ze sobą własny tobołek. - „Nie trzeba! Rzucać rzeczy!" - Rzucili. Stanęli zbitą gromadą. „Ręce do góry!" - Podnieśli.

- Staliśmy tak, powiada - chyba ze dwadzieścia minut. Bolszewicy opuścili dziedziniec i wyszli za druty. W bramę wjechał czołg, ustawił się wygodnie i wygarnął z karabinów maszynowych, prosto w zbitą ciżbę ludzkich ciał. Żywych ludzi! Zdaje się, że nie było krzyków.

Jakiś potworny, spazmatyczny skurcz owładnął tym zbiorowym organizmem pięciuset ludzi. Stłoczyli się jeszcze bardziej i padali jeden na drugiego, przednie warstwy na następne. Ci, co rzucali się na ziemię, ginęli przeważnie zdeptani, albo uduszenie pod ciężarem zamordowanych. On był jednym z ostatnich w tej kupie śmierci. Upadł i udawał zabitego. Bolszewiccy zbrodniarze podeszli następnie do tej drgającej masy ludzkich strzępów wołając: „No, kto żyw jeszcze!" - A kto się poruszył, kto jęczał, został dobity.

- Koło mojej głowy leżał trup. Sięgnąłem nieznacznie ręką, zgarnąłem zeń krzepnącą krew i kawały rozpryskanego mózgu, oblepiając nimi własną skroń. Zaparłem dech w piersi...

- Dosyć, wystraczy, rozumiem. To pana uratowało.

Oto obraz jeden z wielu. Dziś wiemy już, co uczyniono z Polakami we Lwowie, w Mińsku i Witebsku z więźniami NKWD. Na podwórzu klasztornym w Głębokiem leżały porozrzucane trupy mężczyzn i kobiet. Straszny los wywiezionych... Łzy dzieci z Oszmiany... Ten straszliwy różaniec będzie jeszcze przebierał pomiędzy skrwawionymi palcami „wódz narodów, ojciec pracujących, opiekun proletariatu. słońce ludów, ukochany, ubóstwiany, genialny – Stalin"

***

Opowiadanie o Prowiniszkach jest jednym z wstrząsających faktów, efektownych i straszliwych zarazem, słusznie przeznaczanych na eksport dla tych, którzy wiodąc życie od rannej kawy poprzez spokojny dzień, wymagają, aby im o Sowietach mówić rzeczy przenikające do otępiałej w dobrobycie wyobraźni. Ale krwawe masakry, więzienia, deportacje, katorgi dotyczyły tylko pewnego, acz wysokiego procentu ludności. 200 milionów ludności niepodobna było utrzymać w bezpośrednim więzieniu. Pomiędzy Murmańskiem i centralnymi turmami, pomiędzy wyspami Sołówek i Kazachstanem, wlókł się przecie szary dzień sowiecki. To „ich" życie powszednie, które było naszym przez rok, które miało być „naszym" może do śmierci i - które nie będzie już nigdy! Tak nam dopomóż Bóg!

Bo niewielu ludzi na kuli ziemskiej zdaje sobie sprawę, co to jest i jak wygląda „normalne" życie w ustroju stalinowskiego państwa. Pozornie szara drożyzna, posady, biurokratyczna [dalej w druku fragment zniekształcony błędami drukarskimi: (za?)leżność i czerwonej flażki]. Ale skąd się bierze ten potworny, psychiczny ucisk, ten specyficzny „gniot"...

Gdyby mnie ktoś prosił o najbardziej esencjonalną definicję ustroju bolszewickiego, powiedziałbym: Państwo idealnie pozbawione opinii publicznej. Państwo, które pojęcie obywatelstwa sprowadziło do pojęcia - niewolnictwa.

Te dwie definicje oddają może zewnętrzną strukturę Sowietów, ale nie wyczerpują jeszcze ich wewnętrznej charakterystyki. Rzec by można, iż od czasów faraonów świat nie oglądał tak olbrzymie skomasowanego niewolnictwa. Można by też powiedzieć, że stare „kriepostnoje prawo" obowiązujące tych chłopów w dawnej Rosji, obowiązywało w Sowietach całą ludność. Ale nie ono stanowi jakościową odrębność sowieckiego wynalazku. Tym wynalazkiem jest kłamstwo podniesione do przymusowej potęgi, zawarowane drakońskimi ustawami, doprowadzone do stopnia tak jawnego bezwstydu, że oszałamiające. -W Sowietach nie istnieje wola ogółu absolutnie. Ale na każdym rogu i progu, gazecie, książce, kalendarzu. W radio, codziennie, co godzina mówi się o tym, że wszystko, co się dzieje w państwie, dzieje się za wolą ogółu. - W Sowietach panuje absolutne niewolnictwo przez pozbawienie elementarnych swobód obywatelskich każdego z osobno i wszystkich razem; panuje przygnębienie, rozpacz, głuchy szept i strach. Ale z góry jest powiedziane, że „wszyscy są szczęśliwi, wolni, uśmiechnięci". Ba, nie tylko z góry powiedziane: każdy obywatel powinien to powtarzać jak przymusowy pacierz. Na pracy i poza pracą, w domu i na ulicy. Bo kto nic jest zadowolony i uśmiechnięty, tego zaproszą do NKWD.

Na kłamstwie opierają się zbiorowe uchwały, kłamstwo zawierają podręczniki szkolne, na kłamstwie oparta jest literatura, historia, poezja, prasa, wszystko, do rozmów prywatnych włącznie.

Nikt nie jest zadowolony z ustroju sowieckiego, a wszyscy musieli go chwalić i wynosić pod niebiosa. Dzień po dniu, przez dwadzieścia przeszło lat 200 milionów ludzi musiało brać udział w psychicznym samobiczowaniu. Oto jest specyficzny wynalazek, na który nie zdobył się dotychczas żaden z najkrwawszych satrapów ludzkości.

Oblicze trupa może być ponure, budzące grozę albo obrzydzenie. Ale trup zastygły w spazmatycznym uśmiechu - staje się zjawiskiem upiornym. I taką upiorną rzeczywistością był szary dzień sowiecki.

***

Na tę ostatnia wojnę czekaliśmy rok tylko. Ale czekaliśmy z takim upragnieniem, jakby upłynęły lata całe. Nie tylko tacy ludzie jak ten urzędnik z Nowogródczyzny, czy ten więzień z Prowiniszek. Czekali nasi robotnicy, chłopi, inteligencja – wszyscy. Raz na robotach leśnych odezwał się do mnie kolega: Nie od „wojny", ale ,,od pokoju, powietrza i głodu wybaw nas Panie". I wówczas pół roku temu, ta żartobliwa zmiana pięknej modlitwy, nie wydała mi się bluźnierstwem wobec Boga.

Natomiast wobec Narodu Polskiego byłby zarzut, że nie pragnie on z całym światem cywilizowanym zniszczenia raz na zawsze, wypalenia ogniem i żelazem przeklętego systemu, by wreszcie przestał zagrażać ludzkości. W tej ostatniej wojnie, wolałbym raczej nie być Polakiem, niż skalać się sojuszem z największym wrogiem świata - bolszewickim państwem.

J.M. („Goniec Codzienny", nr 16 z 10.08.1941, cyt. za: Włodzinierz Bolecki (Jerzy Malewski), Wyrok na Józefa Mackiewicza, Puls, Londyn 1991, s. 52-55)

6. TO DOPIERO BYŁABY KLĘSKA...

Od dawna znaliśmy formułkę następującą: bolszewizm jest wrogiem podwójnym. Zewnętrznym i wewnętrznym. Zewnętrznym w osobie państwa napadającego z całym aparatem i armią, wewnętrznym w osobie trzeciej międzynarodówki podkopującej obronność przeciwnika.

Polityczna bakteriologia

Musimy jednak sobie powiedzieć zupełnie wyraźnie: bolszewizm jest wrogiem przede wszystkim i nade wszystko, bo jest wrogiem nr 1 każdego narodu. O ile wróg, że się tak wyrazimy „normalny" niszczy przede wszystkim państwo swego przeciwnika, o tyle bolszewizm pokonując państwo, niszczy jednocześnie naród, ewentualnie narody to państwo zamieszkujące, ich dobra duchowe, ich ideały narodowe. I to niszczy w sposób gruntowny, specyficzną metodą podporządkowania polityki narodowościowej systemowi komunistycznemu. Jeżeli się mówi o „bolszewickiej zarazie", to nie z zamiarem użycia obraźliwego słowa, a raczej dosłownie, ściśle. Bolszewizm działa bowiem w sposób rozkładająco-zaraźliwy na cały naród, jak epidemiczna choroba na masy organizmów ludzkich. W oddziaływaniu bolszewizmu na wartości narodowe odnajdujemy wszelkie cechy i stadia, jakie spostrzegamy w różnych chorobach: przygnębienie, apatia, potem gnicie od wewnątrz, rozpadanie się poszczególnych członków, wreszcie zanik jednolitego organizmu społecznego, czyli śmierć. - Nie będę w tym miejscu wdawał się w szczegółową analizę środków, jakimi bolszewizm dopina swego celu. Poświęcić by im można ogromne dzieło z dziedziny dotychczas nie znanej, którą bym zatytułował: „Polityczna Bakteriologia". Natomiast skutki tego działania są proste i stoją nam wszystkim w oczach i w pamięci.

Kiedyś, gdyśmy się jeszcze z bolszewizmem nie zetknęli bezpośrednio, w zdumienie wprawiały wszystkich efekty procesów moskiewskich, na których ludzie zatwardziali w ideologii i konspiracji, jak Radek, Bucharin, Tuchaczewski, Zinowjew et comp. idąc na pewną śmierć, kajali się wszelako na sposób zgoła niesamowity, wijąc się w błocie najbardziej bzdurnych i niewiarygodnych samooskarżeń. Rozmawiałem na ten temat z psychiatrą, badaczem mózgu Lenina. Nie umiał mi również powiedzieć nic sensownego. Wskazał tylko na fakt, że ludzkość zna dotychczas jedyną analogię, a mianowicie fantastyczne samooskarżenia czarownic palonych na stosie w wiekach średnich. Jeden rok rządów bolszewickich u nas, potrafił wytwarzać z poszczególnych ludzi takie psychologiczne łamańce, jakich by po nich nikt ani przedtem, ani potem spodziewać się nie mógł, absolutnie nie mógł. Załamanie społecznego kośćca, upadek ducha, ratowanie się zakłamaniem, oto objawy notoryczne. Na usprawiedliwienie ich należałoby stwierdzić, że objawy takie powstają zazwyczaj w atmosferze beznadziejności, kompletnej, świadomej beznadziejności. Gdyż po miesiącach już ludzie ci uświadamiali sobie, że ten promotor każdej akcji ludzkiej - przyszłość, przestaje dla nich istnieć. Przyszłość w państwie sowieckim, to jakaś szara, leniwie cieknąca struga, w którą zanurzone jest każde ludzkie indywiduum, a to, że tak być musi, odbierało wszelką energię i chęć oporu.

Działanie rozkładowe rzeczywistości bolszewickiej rozbija wszelką spójnię narodową, każdą możliwość wspólnego działania, tłumnej kontragresji. Ludzie o pewnych kryteriach, zapatrywaniach, na różnych stanowiskach społecznych, ludzie różnych środowisk, a przecież objęci wspólnymi cechami narodowymi - przestali nagle rozumieć wzajemne postępowanie, natomiast poczęli się obawiać jeden drugiego, z tej prostej przyczyny, że przestało być wiadomym, kto tu jest wróg, a kto swój. Kto „jeszcze" Polak, Litwin, Białorusin, Rosjanin, Tatar?, a kto „już" tylko - bolszewik.

Największe nieszczęście XX wieku

Dlatego to, jak twierdzę, dla każdego narodu z osobna i dla wszystkich narodów razem, bolszewizm jest największym wrogiem ze wszystkich dotychczas notowanych w historii. Odwracając to twierdzenie, należałoby uznać, że w historii od roku 1918 było wielkim nieszczęściem, że bolszewizm mógł istnieć w ciągu tych 23 lat i przeprowadzić zniszczenie pod względem narodowym narodu rosyjskiego, ujarzmienie i zdeptanie narodów Ukrainy, Białorusi, Azerbejdżanu, Gruzji, Turkiestanu, Uzbeku, Tadżiku, Buchary, Kirgizji, Sybiru, Mongolii..., co umożliwiło mu uzbrojenie się i żywienie zamiarów opanowania całej Europy.

Sowiety u szczytu potęgi

W takim stanie doczekujemy się okresu pomiędzy rokiem 1939 i 1941. Okres ten wytworzył sytuację wyjątkowo dla Sowietów pomyślną, koniunkturę, którą z dawna już oczekiwały. Narody Europy są pochłonięte, według mniemania bolszewików, wojną i wzajemnym osłabianiem militarnym, podczas gdy „neutralne" Sowiety gromadzą i uzupełniają własną siłę militarną. Wyzyskując sytuację europejską, przystosowują się jednocześnie do roli przysłowiowego języczka u wagi, jaki w krytycznej chwili ma przechylić szalę zwycięstwa. Sowiety spodziewają się, iż one, a nie kto inny będą decydować o przyszłej konstelacji Europy, po to, by ją następnie opanować bez reszty. Że tak się rzecz miała, że to leżało właśnie w zamiarach sowieckich, nie może ulegać

najmniejszej wątpliwości dla nikogo i wypływało z samej natury politycznego założenia SSSR. - W ten sposób dla Europy, ba, może dla całego świata kulturalnego, wytworzyła się maksymalnie niebezpieczna sytuacja, najgroźniejsza z możliwie groźnych.

Któż miał ratować Europę?!

Jakiż ratunek? Jakież wyjście z sytuacji? Jedno tylko: Sowiety należy rozbić, zanim zakończy się wojna. Zanim z tą wojną nie ruszą same na Europę. Już gromadzą siły, już jest za minutę dwunasta!

Któż miał tego dzieła dokonać? W sytuacji z roku 1941, czyli ostatecznego terminu dla ratowania Europy przed zarazą bolszewicką - mogły tego dokonać tylko i wyłącznie - Niemcy. O to się chyba absolutnie nikt spierać nie będzie. A fakt, że tego dokonały, ośmieliłbym się policzyć im nie jako zasługę wobec świata kulturalnego, lecz jako spełnienie świętej misji. A jakże wobec tego faktu obowiązującego kulturalną Europę zachowała się Anglia? Anglia dla własnych celów stanęła po przeciwnej stronie, zawarła z bolszewikami sojusz. Przez to pogłębiła tylko poprzednie nieszczęście, które pozwoliłem sobie nazwać powyżej nieszczęściem XX wieku.

Stalin w roli Aleksandra I

W zwycięstwo Niemiec nad Sowietami nie należy wątpić. Ono jest zupełnie pewne. Ale zechciejmy na chwilę wyobrazić sobie niemożliwość: zwycięstwo koalicji anglo-sowieckiej. Bo nie mówmy o zawiłych kombinacjach, snutych przez różnego autoramentu polityków. Mówmy o faktach. A faktem jest, że z jednej strony walczą Niemcy, z drugiej koalicja anglo-sowiecka. Jakiż byłby też rezlutat takiego niemożliwego zwycięstwa? Dziś przegrała prestige'owo i przegrała militarnie w górach Norwegii, w cieśninach Skagerraku, we Flandrii, w Jugosławii, Grecji, na Krecie. Przegrała wszędzie, nie wygrawszy ani jednej bitwy, ani jednej operacji wojennej przeciwko Niemcom. A więc triumfatorem w zwycięskiej koalicji anglo-sowieckiej nie byłby Król Jerzy VI, tylko Józef Wissarionowicz Stalin. Jemu przypadłaby chwała, w aureoli której wjeżdżał ongiś do Paryża cesarz Aleksander I. Co by nastąpiło dalej, nietrudno przewidzieć. Być może nastąpiłoby nawet przemianowanie Pont Alexandre III w Paryżu, na Pont Staline*, ale już nie po to, aby po nim chodzili Francuzi, tylko obywatele Francuskiej Republiki Rad...

O losie Polskiego Narodu moglibyśmy nawet nie wspominać. Jego los byłby przypieczętowany może na wieki, a może na zawsze łącznie z losem innych narodów Europy Wschodniej, jeżeli zważymy niezwykłą moc rozkładową bolszewizmu, o której pisałem powyżej. Anglia, gdyby się nawet w przyszłości wzmocniła po wojnie, to nigdy by nie miała interesu dla Europy Wschodniej. Jej globalne sprawy odległe są bardzo od dorzeczy Wisły czy Niemna. Nie chcę tu nawet powoływać się na ostatni artykuł „Times'a", który oddaje Wschodnią Europę pod protektorat sowiecki. Artykułu tego nie czytałem, ale bez względu na łaskawą opinię „Times'a", protektorat sowiecki doszedłby i tak do skutku. I nie byłoby w Europie żadnego czynnika, żadnej potęgi, która by była w stanie albo chciała wyrwać polski naród z czerwonych kleszczy destrukcyjnego imperializmu. Dlatego jestem bardzo, ale to bardzo głęboko przekonany, że w sytuacji z roku 1941 zwycięstwo koalicji anglo-sowieckiej, byłoby dla Polaków największą klęską, jaka nie tylko ich w tej wojnie spotkać mogła, ale klęską przewyższającą wszystkie dotychczasowe na przestrzeni dziejów.

---

* W pierwodruku: Point (a także: d'Aleksandre) - dop. KK.

Na miejsce zbrodni w Katyniu, nad otwarte mogiły polskich oficerów, Józef Mackiewicz przyjechał 21 (lub 22) maja 1943 roku wraz z wysłaną tam przez Niemców grupą polskich robotników i trzema dziennikarzami z krajów neutralnych i okupowanych. Swoją relację przedstawił 3 czerwca 1943 roku w wydawanym w Wilnie przez niemieckich okupantów "Gońcu Codziennym". Tekst tego wywiadu (z drobnymi skrótami) przytaczam za: Józef Mackiewicz, "Katyń - zbrodnia bez sądu i kary", w opracowaniu Jacka Trznadla, Wydawnictwo ANTYK Marcin Dybowski, Warszawa 1997

7. WIDZIAŁEM NA WŁASNE OCZY

Pierwsze pytanie jest najtrudniejsze i dlatego wypada trochę bezprzedmiotowo:
Więc był pan tam? Oczywiście wiedzieliśmy, że był.

Tak jest. Widziałem na własne oczy. (...)

Jest pan ciągle pod wrażeniem?

Nie wiem, czy podobna to nazwać "wrażeniem". Wrażenie zyskuje się raczej na skutek jakiegoś, najczęściej pojedynczego zdarzenia czy faktu, w sobie ograniczonego. Smoleńsk, który widziałem, Katyń, zbrodnie, trupy, ruiny, bolszewizm, który sam przeszedłem, i listy, listy dzieci do swych ojców, zaczynające się od słów:

"Kochany Tatusiu" czy "Kochany Ojczulku", wydobywane dziś ze stosów sprasowanych, cuchnących ciał, z tej mazi śmierci lub na wpół zasuszonych mundurów polskich... Tak, wszystko to razem wytwarza jakby długi łańcuch asocjacji, myśli, refleksji, zapadających głęboko w duszę. Nie nazwałbym tego wrażeniem. To raczej przeżycie.

Czy mógłby pan zatem przedstawić nam w kolejności obrazy, jakie rzuciły się panu w oczy tam, w Katyniu?

(...) Był chłodny dzień i nad Smoleńsk, od strony frontu, ciągnęły szkwałowe chmury, zlewając deszczem okoliczne ruiny domów. Jechaliśmy do Katynia pośród tych ruin, zwalisk żelaza, wypalonych wozów i wagonów, sterczących sztab żelaznych i łóżek żelaznych, tkwiących jeszcze w rumowiskach. Ludzie obyci twierdzili, że jest to pogoda najodpowiedniejsza. Zimno i deszcz, wiatr rozpędza swąd trupi, no i nie ma much. Można zatem wytrzymać. W pewnym miejscu szosa przekracza szyny kolejowe i biegnie wśród wyrębów. "Tu - powiedział ktoś - zaczyna się ta Golgota"(...)
Lasek katyński nie jest duży. Obejmuje kilka hektarów. Dziś wjazd do niego strzeżony jest przez wartę, szlaban i tablicę z odpowiednim napisem. Droga gruntowa w głąb wyślizgana gumami samochodów. Stąd już tylko kilkanaście kroków. Przy wyjściu z auta uderza nas wnętrze lasu, odpowiadającego strefie naszego klimatu, a więc takiego samego jak nasz, wileński, gdy się składa z młodych sosenek, brzózek, mchu i świeżej, wiosennej trawy. Ale nie pachnie tam ani wilgotnym mchem, ani igliwiem. Przytłacza ohydnie cuchnący, słodkawy, lepki swąd trupi. Był on pomimo zimna i wiatru tak dotkliwy, że cofnąłem się odruchowo o krok w tył i właśnie wtedy nastąpiłem na przedmiot, który się ugiął pod nogą. Była to czapka oficera polskiego o ciemnozielonym otoku naszej artylerii. Podniosłem ją i odłożyłem na dywanik rosnących w tym miejscu nieśmiertelników. Może zakrawa to trochę na patos, że zwróciłem uwagę na rosnące kwiatki...

Proszę, proszę, niech pan opowiada dalej.

A więc podłoże lasu w tym miejscu wygląda brzydko. Wygląda po prostu tak, jak powiedzmy, podmiejski lasek opuszczony przez majówki i wycieczkowiczów niechlujnych, którzy w niedzielę rozkładają się pod drzewami, a później pozostawiają po sobie odpadki, niedopałki, papiery, śmiecie. W Katyniu pomiędzy tymi śmieciami rosną nieśmiertelniki. Przy bliższym przyjrzeniu stajemy przykuci niezwykłym widokiem. Nie są to bowiem żadne śmiecie. Osiemdziesiąt ich procent stanowią pieniądze. Polskie papierowe banknoty złotowe, przeważnie wyższych emisji. Leżą niektóre w paczkach po sto, po pięćdziesiąt złotych, po dwadzieścia. Leżą pojedynczo i drobniejsze, wojennej emisji dwuzłotówki, w jednym wypadku widziałem czerwońce. Wyblakłe, oblazłe, przesiąkłe trupim odorem i cieczą trupów. Tuż obok cygarniczki drewniane, papierosy, strzępy sowieckich gazet, guziki z orłami, rękawiczki, kawałki mundurów, chustki do nosa, skórzane portmonetki... Wszystko to są rzeczy wydobyte z grobów. Dzieje się tak nie na skutek lekceważenia lub braku sumienności ze strony pracującej tu komisji Polskiego Czerwonego Krzyża, która przeciwnie, jak to opowiem dalej, z pełnym samozaparciem i poświęceniem pracuje nad zidentyfikowaniem pomordowanych i zachowaniem pozostałych po nich pamiątek. Dzieje się tak dlatego, że pomordowane tysiączne ofiary rzucane były do straszliwych dołów łącznie z całym ich osobistym życiowym balastem codzienności. Jest tego strasznie dużo, co każdy człowiek nosi przy sobie i czym wypycha kieszenie za życia, gdy się to mu wydaje ważne. Ale po śmierci ważne są tylko rzeczy niektóre. Dla komisji przede wszystkim wszystko, co służy do zidentyfikowania zwłok, jak legitymacje, listy, pamiętniki itd. Poza tym wszystkie przedmioty metalowe, nie ulegające psuciu, podlegające oczyszczeniu, mogące pozostać drogą relikwią dla rodziny. Wszystko inne, bezwartościowe, na wpół przegniłe, przesiąkłe na wieki już jadem rozkładu, usuwa się na razie na bok. I to leży. Leży teraz w postaci świadectwa, straszliwego, ponurego świadectwa, bezładnymi strzępami wśród drzewek lasu katyńskiego.

A właściwie groby, czy doły z trupami, znajdują się obok?

Tak, jest ich, a raczej było, siedem. W dwóch największych warstwa trupów sięgała dwunastu rzędów w głąb.

I pan to widział?

Czy widziałem! Straszliwy odór przyprawił mnie w pierwszej chwili o mdłości, zanim całym wysiłkiem woli zdołałem się opanować. Poszliśmy ścieżką usianą wydobytymi już rzędami trupów i tam, za grubą sosną, za wałem świeżo wykopanego piasku, spojrzałem w dół.

Straszne...

Straszne. Jeden, dwa, trzy trupy ludzkie robią już ciężkie i przygniatające wrażenie. Proszę sobie wyobrazić ich tysiące, tysiące, i wszystkie w mundurach oficerów polskich... Kwiat inteligencji, rycerstwo Narodu! Tworzą warstwy w głąb, warstwy ciał ludzkich jedne na drugich. W tej okropnej chwili przychodzi mi straszliwe porównanie ich do wielkiej skrzyni sardynek. Ułożone są jak sardynki, przekładane nawzajem to nogami, to głową, sprasowane, spłaszczone w trupim soku, który na dnie niektórych dołów ustaje się nieraz w postaci zielonej, martwej cieczy, nie odbijającej ani wierzchołków drzew, ani obłoków na niebie. Obnażyliśmy głowy i stali nieruchomo, jakieś ptaszki ćwierkały na sośnie. Deszcz akurat przestał padać, błogosławiony wiatr odegnał na przeciwną stronę grobu odurzający swąd. I nawet na chwilę wyjrzało słońce. Był to moment, którego nie zapomnę nigdy, bo promienie tego słońca padły i zabłysły nagle na złotym zębie czyichś tam, w głębi, na wpół

otwartych ust. Odchyliłem głowę, by zmienić kąt odbicia i nie patrzeć na te słoneczne igraszki. W takich chwilach samo życie wydaje się cynizmem. Wiosna nad dołem splątanych nawzajem rąk, nóg, wykrzywionych twarzy, zlepionych włosów, oficerskich butów, strupieszałych mundurów, pasów. Pomyśleć sobie, że każda z tych pozycji leżących, skrzywienie kolana, odrzut głowy był ostatnim odruchem najwyższej męki, rozpaczy, strachu, bólu... czy ja wiem zresztą, jakich najgorszych odczuwań ludzkich.

Nie stawiali oporu?

Owszem, stawiali. Znaczna część skrępowana była sznurami, niektórzy pokłuci bagnetami. Tego dnia, gdy opuszczałem Katyń, wydobyto zwłoki, które tym się różniły od innych, że nie były strzelane tym stereotypowym strzałem w potylicę czaszki, jak to już powszechnie wiadomo, a wykazywały postrzał z tyłu między łopatki, przebite poza tym prawie na wylot bagnetem i kilkakrotnie jeszcze pokłute w różnych miejscach. Właśnie stawiających opór, jak to wykazały badania, krępowano. Widziałem ten charakterystyczny węzeł. Nie potrafię go powtórzyć, ale chodzi w nim głównie o to, że którąkolwiek bądź rękę poruszy delikwent, zaciska wszystkie więzy. Niektórym sznury założone były na szyi, w takim wypadku szarpnięcie skrępowaną ręką zaciskało jednocześnie pętlę na szyi i dusiło. Ostatni raport dr. Mariana Wodzińskiego, przesłany do centrali Polskiego Czerwonego Krzyża mówi, że 0,4 procent zwłok wykazało podwójny postrzał w potylicę, zaś 1,5 procent podwójny postrzał szyi. Kaliber jak wiadomo był zawsze ten sam 7,63, nie dający zresztą dużej detonacji. Również na kilka dni przed moim przybyciem dokonano wstrząsającego odkrycia, o którym doprawdy mówić można tylko przez zaciśnięte zęby: oto w jednym z dołów znaleziono warstwy oficerów, których kładziono żywcem twarzami na dół na poprzednio już zabite warstwy albo jeszcze drgające w konwulsjach przedśmiertnych, i strzelano ich w pozycji leżącej. (...)

Jak dokonywano tych zbrodni? To znaczy chodzi mi o techniczny po prostu przebieg. Przecież tyle tysięcy oficerów...

Skąpych wiadomości udzielić mogą miejscowi mieszkańcy. Właśnie na skraju drogi, dalej od złego powietrza miejscowi robotnicy, Rosjanie, rozpalili ognisko. (...) Dym, zapach smolnego drzewa łagodził odór. Przy ognisku przyjemnie było posiedzieć. Zapaliliśmy papierosy. Naturalnie z ludzi tych nie jest łatwo cośkolwiek wydobyć. Ludzie sowieccy tym się różnią od innych, że najlepiej umieją milczeć i wartość milczenia ocenić. Taki to zawsze woli, żeby sąsiad mówił, a on sobie tymczasem trochę pomilczy. Nie są też przyzwyczajeni do formułowania jawnych sądów. Trzeba z nich wydobywać słowo po słowie. Z tych słów jednak mogłem wysnuć następujący bieg zdarzeń.
W marcu, kwietniu roku 1940 na stację Gniezdowo koło Smoleńska, o 4 kilometry od Katynia, codziennie przybywał pociąg, złożony z trzech wagonów i parowozu. Z wagonów tych wyładowywano oficerów polskich. Wyładowywano do samochodów więziennych, znanych zarówno w Smoleńsku jak całej Rosji pod nazwą "czernyj woron" (czarny kruk). Samochody pochodziły ze Smoleńska, których tamtejsze NKWD posiadało cztery sztuki. Do Katynia chodziło ich trzy. Przodem jechała ciężarówka z rzeczami, za nią "czernyje worony", zaś karawanę zamykał samochód osobowy z urzędnikami NKWD. Ponieważ oficerowie przywożeni byli z rzeczami, wynika z tego, że do ostatniej chwili nie wiedzieli, co ich czeka. Po pewnym czasie auta zawracały na stację i w ten sposób kursowały cały dzień tam i z powrotem. Nazajutrz przychodziły nowe wagony, nowy transport. Ilu w ten sposób tracono dziennie, ustalić trudno. Obszar lasku katyńskiego od lat już znany był okolicznym mieszkańcom jako miejsce kaźni. Otoczony drutem kolczastym, obstawiony wartami, które krążyły z psami. Nikt się doń nie mógł zbliżyć i oczywiście każdy, kto zna stosunki sowieckie, rozumie, że nikt zbliżyć się nie miał ochoty, ani mówić, co tam się dzieje, ani szeptać, ani patrzeć, ani domyślać się, ani w ogóle myśleć nawet. To jest zupełnie zrozumiałe. Czego się spodziewali nasi oficerowie, jadąc w ten sposób te cztery krótkie kilometry, co czuli i przeczuwali, o czym między sobą mówili, możemy snuć tylko domysły, my wszyscy, zarówno ja i ci, którzy byli w Katyniu, jak panowie którzyście tam nie byli. Być może to najstraszniejsze, które rozegrało się później, które następowało natychmiast po przybyciu do lasku, zostanie ujawnione w przyszłości. Być może zezna ktoś z agentów NKWD, ktoś z wartowników, żołnierzy sowieckich wówczas obecnych, jak ginęli nasi oficerowie, ofiary bezbronne, jeńcy wojenni bez wojny. Z jakimi słowami na ustach, z jakim gestem, protestem, przerażeniem czy bohaterstwem. Zapewne byli tam różni ludzie i różnie się zachowywali. Życie i śmierć to sprawa arcyludzka. Tylko sposób, w jaki śmierć ta została zadana, pretekst i towarzyszące okoliczności są tak nieludzkie, że jakkolwiek zdarzać się mogą w historii wojen, historia... "pokoju" dotychczas ich nie znała.

Czy istnieje jeszcze jakakolwiek wątpliwość, że zabici w lesie katyńskim nie są oficerami polskimi?

Nie, wątpliwość taka nie istnieje.

A czy istnieje jakakolwiek wątpliwość, że zamordowani zostali nie przez bolszewików?

Nie. Ja osobiście nie mam najmniejszej wątpliwości, żadnej absolutnie wątpliwości, że zamordowani zostali właśnie przez bolszewików. Przekonałem się naocznie na miejscu zbrodni w Katyniu.

W jaki sposób się pan przekonał?

Poza już wymienionymi zeznaniami świadków, byłem obecny przy pracy wydobywania zwłok i następnej identyfikacji. (...) Tak jak wszystko w Katyniu widziałem również na własne oczy, jak się to robi.

Mianowicie...

Mianowicie robotnicy miejscowi wkraczają do dołów, w których spoczywają zabici, oddzielają pojedyncze zwłoki, często przy tym zmuszeni są je odrywać, tak bardzo spłaszczone i sprasowane są warstwy trupów. Układają je na nosze i niosą na wolną przestrzeń, gdzie zostają złożone na ziemi. Inna grupa robotników, pod ścisłym kierownictwem członków i funkcjonariuszów Polskiego Czerwonego Krzyża, wydobywa wszystko, co się przy zwłokach znajduje. Widziałem stan zwłok i stan mundurów. Gleba piaszczysto-gliniana sprzyja częściowo mumifikacji znanej w nauce pod nazwą "tłuszczowosk". Mundury są oczywiście sprasowane, zlepione, kleiste, bezbarwne. O odpinaniu guzików mowy być nie może. Operuje się nożami. Rozcina się więc kieszenie i kieszonki, nawet cholewy butów, aby wydobyć wszystko, co człowiek ten nosił przy sobie za życia. I oto nastaje chwila, w której niemy, ponury grób zaczyna przemawiać. Przed oczyma naszymi przesuwają się obrazy prywatnego życia i politycznego, i duchowego, i rodzinnego, i więziennego, i... no i tak dalej. Przy niektórych zwłokach znajdują się tylko drobne ułamki ich osobistych spraw. Przy niektórych liczne i nawet bardzo liczne wskazówki, które pomagają stwierdzić datę, historię ostatnich tygodni, nastroje, nazwiska, stan rodzinny, stopień wojskowy, zawód cywilny. Nie wstydźmy się powiedzieć, że z grobu tego, z cuchnącej zbrodni, o której pokoleniom zapomnieć nie będzie wolno, idzie ku nam człowiek już nieżywy, który kiedyś żył jak inni, cieszył się, cierpiał, marzył, pił, modlił, romansował, płakał, czytał, pisał, myślał, grał, miał wady i zalety. Na światło dnia tej wiosny wydobywane jest z grobu wszystko, co było jego: zgniecione zapałki, ostatnie nie wypalone papierosy, pieniądze, medaliki i legitymacje, ordery i portmonetki, książeczka do nabożeństwa obok gazety sowieckiej, świadectwa szczepienia w Kozielsku, pamiętnik i fotografie, a nade wszystko listy. Atrament i chemiczny ołówek najczęściej nie wytrzymują próby wilgotnego grobu. Natomiast świetnie zachowuje się pisane ołówkiem zwykłym i słowo drukowane. Oto proszę pana...

Pan Mackiewicz ma w tej chwili wyraz człowieka nad wyraz zmęczonego, gdy sięga po plik fotografii.

...oto proszę zobaczyć, jak się to robi, jak rozcina mundury, bada i sprawdza, segreguje rzeczy potrzebne od niepotrzebnych. A oto jeszcze dowód, bardzo przykry, bardzo cuchnący, ale cóż począć...

Sięga teraz po paczkę, zawiniętą w ogromną ilość gazet. Rozwija. Z wolna w powietrzu zawisa swąd trupi. Jeszcze jeden papier, jeszcze jeden papier. Potem widzimy mały drewniany portcygar, w nim trzy dobrze zachowane papierosy. Obok guziki z orłami. Gazetę sowiecką z grudnia 1939 roku. Papierowe 2 złote. Kulę wyjętą z czaszki. Naramienniki majora z liczbą trzy i naramienniki kapitana.

I tak mniej więcej wyglądają wszystkie te rzeczy tam, w Katyniu. Taki jest ich stan. Oto na przykład kładą na stole zwłoki o nieco podkurczonych nogach, z głową odrzuconą na bok, z czoła której zieje dziura wylotowa kuli. Władysław Bielecki. Kartka pocztowa doskonale zachowana. Stempel pocztowy wskazuje datę. Białystok 14 I 1940 r. W bocznej kieszeni "Głos Radziecki" z 29 marca 1940 r. Druk przebija wyraźnie poprzez lepką wilgoć: "Towarzysze. Idziemy ku lepszemu jutru. Przychodzą nowi ludzie, którzy naszą ojczyznę... Towarzysz Stalin..." no itd. Następny. List do Kozielska. Nazwisko nieczytelne. Książeczka do nabożeństwa. Portfel. Doktor Wodziński otwiera go i nagle na nas wszystkich, którzyśmy zbliżyli głowy, patrzy mokra, tak dziwnie wyraźna, kobieta, jasna, o dużych oczach, blondynka, z dzieckiem na ręku. Może ma na tej fotografii trochę niemodną i przydługą suknię, może się komuś wydać banalna... To jego żona z córeczką. Poszedł z nimi do grobu. (...)
Jest jeszcze inny punkt kulminacyjny, gdy oderwawszy wzrok od trupów pomordowanych ojców, skierujemy go na listy ich dzieci. Te, które miałem w ręku, wszystkie pisane były do Kozielska.
"Kochany Tatusiu. jesteśmy niespokojni, bo nie mamy wiadomości ani listu. Wysłaliśmy 100 rubli i paczkę, i rzeczy, o które Tatuś prosił. My jesteśmy zdrowi i na tym samym miejscu. Proszę się o nas nie bać. Gdy się zobaczymy... Podpisane: Twoja Stacha, 15 lutego 1940 r."
"Drogi Ojczulku. Dziękuję Ci bardzo i życzę również zdrowia i wszystkiego, wszystkiego najlepszego. Do szkoły nie chodzę. Z powodu mrozów jest zamknięta. Na Hnidówce nie byliśmy bo daleko i mróz. Znaczki pocztowe zbieram..."
Jakże ważna wydawała się ta wiadomość synka, która turkotała po szynach sowieckich kolei, zanim dosięgła ojca na niewiele dni przed jego straszliwą śmiercią: Tadzio zbiera znaczki. Tadzio wierzy: "...kiedy wrócisz" - pisze. Ten refren powtarza się ciągle: "gdy wrócisz", "jak będziemy razem" albo: "zobaczysz". "Tatuś zobaczy"... Nie!! nie zobaczył już nigdy! Dzieci są pełne zaufania. Wierzą w dobry koniec, w samo przez się zrozumiały powrót do domu. Przebija w nich taka doza wiary i tęsknoty, że czytając te listy, tam w Katyniu, nad przedziurawionymi czaszkami, jakaś gorzka ślina dusi w gardle. Tu mam jeszcze jeden, tak pełny miłości dziecinnej, tak tchnący z troską o los "najukochańszego Tatusia", a jednocześnie wiarą i otuchą, że nie ważę się go przytoczyć ani wymienić imienia. Mimo wszystko byłoby to świętokradztwem. List ten doszedł na krótko przed końcem. Widziałem na własne oczy, jak w stosie trupów wyglądał ten, do którego był adresowany. Złożył on to pismo dziecinne, pisane ołówkiem, wielkimi literami, skrupulatnie we czworo i schował w portfelu. Teraz dopiero go wydobyto z cuchnącego padołu. Ale nie zdaje mi się, żeby pisany był daremnie. Dziś już przeadresowany jest na imię Boga i wołać będzie o pomstę. (...)

Jozef Mackiewicz arrived at the scene of the Katyn massacre, at the open graves of the Polish officers on 21st (or 22nd) May 1943, together with a group of Polish workers sent there by the Germans, and three journalists from neutral and occupied countries. On 3rd June 1943 he presented his account in the "Daily Messenger" published in Vilnius by the Germans. We are quoting this interview (with some abbreviations) from: Jozef Mackiewicz, "Katyń - zbrodnia bez sądu i kary" ("Katyn - a crime without court and punishment"), edited by Jacek Trznadel, ANTYK Marcin Dybowski Publishing, Warsaw 1997; translated by Tatiana Fuller.

7.1 I saw it with my own eyes...

First question is the most difficult and therefore seems a little pointless:
So you have been there? (Obviously we knew he had)

That's right. I saw it with my own eyes. (...)

Are you still impressed by it?

I don't know if one can call it being "impressed". Impression is a result of some, usually, singular event or fact, limited in itself. Smolensk which I saw, Katyn, crimes, corpses, ruins, bolshevism that I went through myself, and the letters, letters of children to their fathers, beginning with the words: "Dear Dad" or "Dear Daddy", being dug out now from the piles of squashed, putrid bodies, from this swamp of death or the semi dried Polish uniforms... Yes, all of this creates a sort of long chain of associations, thoughts, reflections sinking deep in the heart. I would not call it an impression. An ordeal rather.

Could you then describe to us the sequence of pictures that struck you there in Katyn?

(...) It was a cold day and big clouds, covering the surrounding ruins of the houses with rain, were arriving from Smolensk, from the front line. We were driving to Katyn amid these ruins, rubbles of iron, burnt out carts and wagons, protruding iron rails and iron beds still remaining in the rubbles. People in the know said that the weather was most appropriate. Cold and rain, the wind disperses the stench of death, and there are no flies. At some point the road crosses the railway track and continues through the clearing. "Here - someone said - begins the Golgota..."

The Katyn forest is not big. Several hectares. Today the entrance to it is guarded by the watch, a barrier and a plaque with an appropriate inscription. The gravel country road deep inside is slippery and shaped by car tyres. From here only a dozen steps. Getting out of the car we are struck by the interior of the forest, typical for our climatic zone, the same as ours, Vilnius forest, consisting of young pine and birch trees, moss and fresh spring grass. But it doesn't smell of damp moss or conifer needles. We are overwhelmed by a hideously smelling, sweet, sticky cadaverous stench. Despite the cold and the wind, it was so intense that I backed off instinctively and stepped onto an object which gave in under my foot. It was a Polish officer's cap, with the dark green rim of our artillery. I lifted it and put it on the carpet of flowers growing right there. Perhaps it sounds pathetic that I noticed the flowers...

Please, please, continue.

And so the floor of the forest looks bad at this place. It looks simply like, let's say, a suburban woods left by the picnic goers, messy excursionists, who on Sundays spread themselves under the trees and then leave their cigarette butts, wrappers, rubbish behind. In Katyn, there are flowers growing among this rubbish. At a closer look, we are stunned by an incredible scene. This is no rubbish. Eighty percent of it is money. Polish zloty banknotes, mainly of higher denomination. Some are lying in packs of hundred, fifty, twenty zlotys. There are individual, smaller, war-time two zlotys, and in one instance I saw "czerwonce" [red Soviet banknotes]. Faded, smeared, saturated with stench and the fluids of the corpses. Close by, wooden cigarette holders, cigarettes, bits of Soviet newspapers, buttons with eagles on them, gloves, parts of the uniforms, handkerchiefs, leather purses... All of these are the things dug out of the graves. It is not because of the neglect or the lack of conscientiousness on the part of the committee of the Polish Red Cross working here, which, on the contrary, as I will describe later, works with determination and sacrifice to identify the murdered and to preserve their mementos. It is because the thousands of murdered victims had been thrown into the monstrous pits together with all of their personal ballast of everyday life. There is a lot of it, what every person carries on themselves and what he stuffs his pockets with when alive, when it seems important to him. But after death only some things are important. For the committee, mainly, things that serve the identification of the remains, such as identity cards, letters, diaries etc. Apart from that, all metal objects that do not deteriorate, that can be cleaned and remain a cherished relict for the family. Everything else, worthless, partly rotten, permeated for eternity now with the poison of decomposition is put aside for the time being. And it is lying there. Lying there as a testimony, horrible, gloomy testimony, chaotic tatters amid the trees of the Katyn forest.

And the graves, or the pits with the corpses are nearby?

Yes, there are, or rather there were, seven. In the two biggest ones, the layer of corpses reached twelve rows deep.

And you saw this?

Did I see it! The horrific smell made me feel sick at first, before I managed to compose myself with all my willpower. We went along a path covered with freshly dug out corpses and there, behind a thick pine, behind a trench of freshly dug sand I looked down.

Ghastly...

Ghastly. One, two, three human corpses make a heavy and overwhelming impression. Please try to imagine thousands, thousands of them, and all in the Polish uniforms... The cream of the intelligentsia, the knights of the Nation! They make deep layers inside, layers of human bodies on top of one another. At that terrible moment I think of a horrid comparison to a big box of sardines. They are layered like sardines, heads and feet alternately, pressed, flattened in a cadaverous juice, which, at the bottom of some of the graves, stands still like a green, dead liquid that does not reflect either the tops of the trees or the clouds in the sky. We took our hats of and were standing motionless, some birds were singing on the pine. It stopped raining, a blessed wind blew the intoxicating smell on the other side of the grave. And the sun even came out for a moment. It was a moment that I will never forget, because the rays of the sun reached and shone on the gold tooth of someone's half opened mouth. I moved my head to change the angle so as not to look at these sunny games. At a moment like this, life itself seems cynical. Spring above the pit of tangled together arms, legs, twisted faces, glued together hair, officers boots, corpselike uniforms, belts. When one thinks that each of these lying positions, the twisting of the knee, the movement of the head to the back, was the last reflex of the greatest suffering, despair, fear, pain... how do I know what other worse human feelings.

They did not resist?

Oh yes, they did. A great many of them were tied with a rope, some pierced with a bayonet. That day, when I was leaving Katyn, bodies were exhumed which differed from the others in that they were not shot with this stereotypical shot to the back of the head, as it was commonly known, but showed a shot from the back between the shoulders, also bayoneted almost right through and also stabbed several times in different places. Those who resisted, as the investigation has shown, were tied. I saw this characteristic knot. I cannot repeat it but the point was that whichever arm the poor fellow moved, it tightened all the ties. Some had ropes around their necks, in this case a jerk of the arm simultaneously tightened the loop on the neck and strangled. The latest report of doc Marian Wodzinski sent to the headquarters of the Polish Red Cross says that 0,4 percent of the bodies showed a double shot to the bottom back of the head, and 1,5 percent a double shot to the neck. Calibre, as we all know, was always the same 7.63, and it did not cause a big explosion. Also a few days before my arrival a shocking discovery was made, about which it is only possible to speak through the clenched teeth: in one of the pits the layers of officers were found, who were put alive face down on the previously killed layers or those still twitching in pre death convulsions, and then they were shot in a lying position. (...)

How were these crimes committed? I mean the technical process. After all, so many thousands of officers...

Some information can be gained from the local population. On the side of the road, farther from the bad air, some local labourers, the Russians, had just started a camp fire.(...) The smoke, the smell of the burning wood was easing the stench. It was nice sitting at the bonfire. We lit cigarettes. Naturally, it is not easy to get anything out of these people. Soviet people differ from other people in that they are the best at keeping silent and best at judging the value of silence. Such a person always prefers his neighbour to speak, while he keeps silent for a bit. Neither are they used to formulating open judgements. One has to extract word by word from them. I was able though to unravel from these words the following course of events.

In March, April 1940 a train consisting of three carriages and an engine car arrived every day at the Gniezdowo station near Smolensk. Polish officers were being disembarked from the carriages. They were unloaded into the prison cars, known both in Smolensk and the whole of Russia as "czernyje worona" (black crows). The cars came from Smolensk, where the local NKVD had four of them. Three of them were going to Katyn. First there was a lorry with the belongings, followed by the "black crows" and the convoy ended with a passenger car carrying the NKVD officials. Because the officers were brought with their belongings, it follows that up until the end they did now know what awaited them. After some time the cars turned around back towards the station and were carrying like that back and forth all day. The following day new carriages were arriving, new shipment. It is difficult to establish how many people were executed in this way. The Katyn forest had been known to the local inhabitants as the site of slaughter for years. Ringed by a barbed wire, surrounded by guards, circling with dogs. Nobody could come near it and, obviously, everybody who knows the Soviet reality, understands that nobody fancied getting near it, or talk about what went on there, or whisper, or look, or guess, or even think at all. It is totally understandable. What did our officers expect being driven there for these short four kilometres, what did they feel and anticipate, what did they talk about, we can only speculate about, all of us,

both those like me and the others who have been to Katyn, or like you, gentlemen, who haven't. It may be that what's most terrifying, what happened later, what happened immediately after the arrival at the forest, will be revealed in the future. Maybe one of the NKVD agents, maybe one of the guards, or soviet soldiers then present, will testify how our officers were dying , defenceless victims, prisoners of war without a war. With what words, what gesture, protest, terror or heroism. There were surely different people there who behaved differently. Life and death is a most human matter. Only the way in which this death was caused, the pretence and the accompanying circumstances are so inhuman, that although they can happen in the history of wars, the history of ... "peace" has not known them so far.

Are there still any doubts that the people killed in the Katyn forest are not Polish officers?

No, there is no doubt.

And is there any doubt that they were not murdered by the Bolsheviks?

No. I personally haven't the slightest doubt, absolutely no doubt that they were murdered by the Bolsheviks. I have been clearly convinced at the site of the crime in Katyn.

How have you been convinced?

Apart from the mentioned accounts of the witnesses, I was present at the exhumation of the bodies and the subsequent identification (...) Like everything in Katyn, I also saw with my own eyes how it was done.

Namely...

Namely, the local workers go down into the pits where the bodies are, separate individual bodies, often having to tear them apart, so flattened and pressed the layers of corpses are. They put them on the stretchers and carry them to an empty area where they are put on the ground. Another group of workers, under a strict supervision of the members and officials of the Polish Red Cross, digs out everything that lies next to the corpses. I saw the state of the corpses and the uniforms. Sand and clay soil partly helps in the mummification (...). The uniforms are obviously flattened, stuck together, gluey, colourless. Unbuttoning is out of the question. Knives are used. The pockets are cut open, even the boots, to get out everything that that person carried on themselves when alive. And then a moment comes when the speechless, gloomy grave begins to talk. The pictures of private, political, spiritual, family and so forth life, are moving in front of our eyes. Some of the bodies only have small fragments of their personal matters. Others have numerous indications which help to state the date, the history of the last weeks, the moods, names, family status, military rank, civilian occupation. Let us not be embarrassed to say that from this grave, from this foul crime, which the generations will not be allowed to forget, a dead person walks towards us, who once lived like the others, who was happy, who suffered, dreamed, drank, prayed, flirted, cried, read, wrote, thought, played, had faults and virtues. Everything that was his comes out from the grave into the light of this spring day: crushed matches, last remaining cigarettes, money, medallions and identity cards, orders and purses, a prayer-book next to a Soviet newspaper, inoculation certificates in Kozielsk, a diary and photographs, and above all letters. Ink and copying pencil most often do no withstand the trial of a damp grave. However, words written with an ordinary pencil and the printed ones are preserved excellently. Here you are...

Mr Mackiewicz is looking like an extremely tired person now, when he is reaching for a pile of photographs.

...here you are, please have a look how it is done, how the uniforms are cut open, how things are studied and checked, important and unimportant things segregated. And here is another proof, very unpleasant, very smelly, but what can we do...

He is reaching towards a packet wrapped in many newspapers. Unwraps it. Slowly, a deadly stench begins to hang in the air. Another paper, another paper. Then we see a small wooden cigar holder, and in it three well preserved cigarettes. Some buttons with eagles. A Soviet newspaper from December 1939. A 2 zloty banknote. A bullet taken out of the skull. A major's epaulettes, a captain's epaulettes.

That's how, more or less, all those things look like over there, in Katyn. That's the state they are in. For example, they put on the table a body with slightly bent legs, head thrown back, from the forehead of which, gasps the exit hole of the bullet. Wladyslaw Bielecki. A well preserved postcard. The post mark shows the date. Bialystok 14.1.1940. In the side pocket a copy of the "Soviet Voice" from 29th March 1940. The print is showing clearly through the sticky dampness: "Comrades. We are going towards a better future. New people are coming, who... our motherland... Comrade Stalin..." and so on. Next letter. A letter to Kozielsk. Unreadable name. A prayer book. A wallet. Doctor Wodzinski opens it and suddenly, at all of us who were watching, a woman looks back, fair, with big eyes, a blonde, with a child on her arm. Maybe she has a slightly unfashionable, longish dress on this photo, she may seem banal… That's his wife and daughter. He went into the grave with them. (...)

There is yet another culminating point, when having diverted our eyes from the corpses of the murdered fathers, we look at the letters of the children. The ones that I had in my hands, were all addressed to Kozielsk.
"Dearest Daddy. We are anxious, because we have no news or letter. We have sent a 100 rubles and a parcel, and things that you were asking for. We are well and at the same place. Please don't worry about us. When we see each other... Signed: Your Stacha. 15th February 1940."
"Dear Pop. Thank you very much and I also wish you good health and, all, all the best. I'm not going to school. It's closed because of the frost. We haven't gone to Hnidowka, because it's far and it's frosty. I'm collecting post stamps..."

How important this news from the son seemed, this news that had travelled on the tracks of the Soviet railways before it reached the father a few days before this horrid death: Tadzio collects stamps. Tadzio believes: "...when you return" - he writes. This refrain repeats itself all the time: "when you come back", "when we are together" or "Daddy, you will see"... No!! He never saw again! Children are full of trust. They believe in a happy ending, in a self understandable home coming. Such a dose of faith and longing shows through them, that reading these letters, there in Katyn, one has a bitter lump tightening in the throat. Here we have yet another letter, so full of child's love, so redolent of concern for the fate of the "beloved Daddy", and at the same time full of faith and stout heart, that I do not dare to quote it or mention the name. Despite everything else, it would be a sacrilege. This letter arrived shortly before the end. I saw with my own eyes, what, amongst the pile of corpses, the one that it was addressed to looked like. He had meticulously folded this childlike lettering, written in pencil and with big letters, into four and put it in his wallet. Only now, has it been dug out from the stinking pit. But it does not seem to be written in vain. Today, it is re-addressed to God and it will cry for vengeance. (...)
Józef Mackiewicz („Lwów i Wilno", 11.01.1948, cyt. za: Jerzy Malewski, Wyrok na Józefa Mackiewicza, Puls, Londyn 1991, s. 212)

8. OŚWIADCZENIE

W związku z listem p. Garlińskiego, jaki się ukazał w «Dzienniku Polskim» z dnia 30 grudnia, przesłałem do redakcji tego pisma rzeczową odpowiedź. Odpowiedź moja nie została umieszczona. Natomiast w numerze z dnia 8 stycznia br. w tymże «Dzienniku» ukazał się nowy list z atakiem na moją osobę, w którym podpisani za Zarząd „koła żołnierzy AK" stwierdzają, że uchylają się od dalszej polemiki ze mną, zarzucając mi kolaboracjonizm. Wobec tego oświadczam co następuje.

Ocena redagowanej przeze mnie «Gazety Codziennej» w okresie litewskim była podjęta przez polityków bardziej głębokich niż podpisani panowie z AK i wpłynęła m.in. na to, że ówczesny Komitet Polski w Wilnie odrzucił moją propozycję zamknięcia tego pisma w marcu 1940. W rezultacie mej działalności publicystycznej władze litewskie pozbawiły mnie prawa redagowania czasopism, a następnie, Decyzją Rady Ministrów w Kownie, z maja 1940, prawa wydawania czegokolwiek na terenie Republiki Litewskiej.

Zarzut kolaboracjonizmu na rzecz Niemiec jest nikczemnym oszczerstwem.

Z uwagi na to, że podjęte przez grupę osób z AK „zarzuty" były już raz przedmiotem rozważań Sądu Koleżeńskiego przy Syndykacie Dziennikarzy Polskich w Rzymie i że Sąd ten uznał, że pozbawione są podstaw – nie pozostaje mi inna droga, jak skierowanie sprawy do sądów angielskich,

Józef Mackiewicz.

Józef Mackiewicz („Kultura" nr 10/144, 1959, s. 149-152)

9. Do Redakcji ,,Kultury" [Co jest ważniejsze: wolność czy granice?]

Do Redakcji ,,Kultury",

...Nie ma żadnej państwowej polityki zagranicznej Związku Radzieckiego, jest tylko globalna polityka międzynarodowego komunizmu; nie ma żadnej Polski Ludowej, jest tylko, pod tą nazwą, część składowa wszechświatowego systemu komunistycznego; nie ma żadnej „własnej drogi do socjalizmu", jest tylko leninowski kamuflaż dla skuteczniejszego scementowania tego systemu. (Ostatnio świetnie sprecyzował stan faktyczny Ryszard Wraga, w swoim odczycie na konferencji naukowej monachijskiego Instytutu do Badań ZSSR). – Namacalnym sprawdzianem prawdziwego stanu rzeczy jest dziś centralnie kierowane parcie komunizmu od Laosu do Berlina, od Korei do Iraku czy Albanii, od Pakistanu do Finlandii. Juliusz Mieroszewski namawia mnie, bym na tę prawdę zamykał oczy, ponieważ wszyscy na nią zamykają oczy. Jego zdaniem nie istnieje realna możliwość uprawiania innej polityki poza tą, jakiej chcą wszyscy. Osobiście nie uprawiam żadnej polityki; ponieważ nie zamierzam jednak w biały dzień zamykać oczu, przeto pozwalam sobie twierdzić, że tzw. „realna" polityka typu XIX i początków XX wieków w stosunku do Rosji, z chwilą gdy na jej miejscu powstał Związek Radziecki, a zwłaszcza po drugiej wojnie, gdy zamiast Związku Radzieckiego mamy już do czynienia ze

światowym systemem komunistycznym – jest właśnie najbardziej nierealną, bez względu na to czy uprawiają ją wszyscy, czy nie wszyscy. Pozostaje bowiem w płaszczyźnie państwowej, narodowej – podrzędnej, podczas gdy polityka światowego systemu komunistycznego leży w płaszczyźnie ponad-państwowej, ponad-narodowej, czyli – nadrzędnej. W danym więc wypadku stare normy i pojęcia polityczne utracają rację bytu, są przestarzałe, zwietrzałe, są anachronizmem.

Powodem niniejszej polemiki stał się mój odczyt na Zjeździe Bałtyckim w Luneburgu, z udziałem Litwinów, Łotyszów, Estończyków i Niemców przedrukowany następnie w formie artykułu w czasopiśmie „Ostbrief", organie luneburskiej akademii wschodniej. Mieroszewski w „Kulturze" z września 1959, wystąpił przeciwko tezom zawartym w moim artykule, jednakże w ujęciu mogącym wprowadzić w błąd czytelnika ,,Kultury"; przytaczając bowiem wiele argumentów z własnych artykułów, z mego nie zacytował prawie nic, a i to w kontekście odbiegającym od właściwego sensu moich wypowiedzi. Dlatego zmuszony jestem prosić redakcję „Kultury" o zamieszczenie niniejszej polemiki.

*

Z tego co napisał Mieroszewski może wynikać, jakobym zabrał głos konkretnie w sprawach stosunków polsko-niemieckich w ogóle, a Odry i Nysy w szczególe. W rzeczywistości wręcz przeciwnie: mnie sprawa stosunków polsko-niemieckich jako taka, zupełnie nie interesuje; dopóki wschodnia Europa znajduje się pod jarzmem komunistycznym, stanowią one tylko podrzędną cząstkę całości zagadnienia. Osobiście czuję się w tej chwili przede wszystkim przynależny do wschodniej Europy, a dopiero na drugim miejscu do określonego narodu. Z punktu humanistycznego stanowisko to wydaje mi się słuszne. W ten sposób nie może mnie też interesować sprawa granicy polsko-niemieckiej, gdyż w moim przekonaniu rzeczy tej nie ma. Po pierwsze dlatego, że wolne państwo niemieckie nie graniczy z Polską; po drugie dlatego, że wolna Polska nie istnieje; po trzecie dlatego, że Odra i Nysa stanowią w tej chwili jedynie rozgraniczenie dwóch członów tego samego światowego systemu komunistycznego, dwóch prowincji administracyjnych, z których jedna nosi dowolną nazwę „Niemieckiej Republiki Demokratycznej", a druga „Polski Ludowej". Nie interesuję mnie również sprawiedliwość lub niesprawiedliwość tej linii granicznej w przyszłości, gdyż spór o to leży w sferze hierarchicznie podrzędnej, wobec nadrzędności problemu: jak uzyskać wolność, która jedynie stworzyć może realne warunki do rozporządzenia realnymi granicami.

Natomiast interesuje mnie absurdalna atmosfera wytworzona wokół tego sporu. Absurdalna dlatego, że przedstawiciele dwóch narodów, z których jeden znajduje się całkowicie, a drugi w połowie w niewoli wspólnego wroga, zamiast się porozumieć – walczą ze sobą o rzecz de facto przez nich nierozporządzalną, na której istnienie lub nieistnienie nie mają żadnego wpływu. Jednocześnie jednak ta atmosfera, ten nierealny spór, stanowią jedną z głównych przeszkód na drodze do zespolenia wspólnych interesów wszystkich narodów podbitych przez komunizm, w ich dążeniu do wyzwolenia. Podobnie jak przeszkodę stanowią takie spory jak: polsko-litewskł o Wilno, białorusko-ukraiński o Polesie, polsko-ukraiński o Lwów, ukraińsko-tatarski o Krym, czy kozacki o Doniec; spory: besarabski, karpato-ruski, kaukaski, sudecki itd. itd. łącznie z wielkorosyjskim. Już z tego wynika, że moje poglądy zgodne są z poglądami Mieroszewskiego, że antykomunistyczne emigracje są dziś przede wszystkim nacjonalistyczne. Różnica polega jedynie w tym, że Mieroszewski zdaje się na ten stan rzeczy godzić, podczas gdy ja chciałbym go zmienić, wykazując błędność podsycania sporów nacjonalistycznych, które w danej chwili, rozpraszając wspólny interes wolnych ludzi, działają jedynie na korzyść wspólnego nieprzyjaciela.

*

Zupełnie zaskakujące natomiast jest twierdzenie Mieroszewskiego, że: „...Warunki niemieckie kierowane pod naszym adresem są identyczne jak warunki rosyjskie. Oddać jedną trzecią terytorium, a w Warszawie ukonstytuować „friendly government". Obaj sąsiedzi widzą nas zawsze w perspektywie satelickiej..."

W ciągu pięciu lat pobytu w Niemczech nie spotkałem się ani razu z takim poglądem ze strony jakiegokolwiek ugrupowania lub osób pojedynczych, czy nawet sugestii podobnego rodzaju. Widocznie Mieroszewski czerpał swe informacje ze źródła niedostępnego nawet Cyrankiewiczowi. Gdyż ten, wyliczając w mowie z dnia l września 1959 wszystkie przewidzenia Adenauera, wymienił w tej sprawie tylko: „...chciałby pan Adenauer, aby naród polski wrócił do swej sytuacji w roku 1939..."

*

Mieroszewski cytując mój artykuł przedstawia sprawę tak, jakobym nie dostrzegał, że i niemiecka polityka kieruje się również tak zwaną „realną polityką" starej szkoły. Tymczasem ja właśnie na fakt ten zwróciłem specjalną uwagę. Krytykując ,,realną" politykę Mieroszewskiego w jego znanej wypowiedzi, że: „naszym celem nie może być rozbicie Związku Sowieckiego ani likwidacja komunizmu na wszystkich kontynentach globu... – (z czego wywód, że za cenę polskich interesów gotów jest pogodzić się, aby pod jarzmem komunistycznym pozostali nadal Litwini, Białorusini, Ukraińcy itd. itd.) – zadałem pytanie:

„...Dlaczego jednak Niemcy mają myśleć mniej „realnie”? Którzy przecie posiadają ku temu więcej danych niż Polacy?... Gdzie mamy gwarancje, że z chwilą gdy granica na Odrze i Nysie przesunięta będzie na wschód nie przeistoczy się ona w trwałą i mocną granicę „koegzystencji” z blokiem komunistycznym? Czy nie będzie to dla wschodniej Europy jeszcze o wiele gorzej?...” Otrzymuję pewne publikacje niemieckich wysiedleńców, z których zdaje się wynikać wyraźne nastawienie: skierowane nie tyle przeciwko komunizmowi, nie tyle przeciwko Sowietom, co jednostronnie przeciwko Polsce. Gdy np. Chruszczow wypowie się w sprawie Odry i Nysy, a następnie ukaże się o tym komentarz warszawski, czytamy w tych publikacjach mniej więcej w tym sensie: ,,No już tam, panowie z Moskwy na pewno tak źle tego nie rozumieli. To tylko źli Polacy w Warszawie i na emigracji, którzy fałszują istotny sens wypowiedzi poczciwego Chruszczowa”... Mnie nie interesuje w tej chwili stosunek do Polski, lecz ogólne polityczne ujęcie, które wydaje się charakterystyczne, a które powiada: „Jeżeli Polacy nie chcą, to my będziemy robili z Sowietami”... Być może z punktu widzenia tzw. „realnej” polityki można ją nazwać „rozsądną”. Wątpię jednak by ze stanowiska myśli europejskiej można ją nazwać właśnie: „europejską”... Mówi się dzisiaj dużo o zjednoczonej Europie. Załóżmy jednak, że jutro otrzymują Niemcy z ręki komunistów – a to jest jedyna ręka, która decyduje – nie tylko połączenie, ale w dodatku ziemie za Odrą i Nysą, albo zgoła granice z roku 1914. Czy wtedy „rozsądni politycy realni” nie osiągną absolutnej przewagi, kwitując „utopiczne” plany zjednoczonej Europy li-tylko pobłażliwym uśmiechem? Czy nie powiedzą wtedy: „No tak, to jest naturalnie pożałowania godne, że Polacy i inne narody wschodnie pozostać muszą pod jarzmem komunistycznym, ale przecież z tego powodu nie będziemy sobie psuli dobrosąsiedzkich stosunków z Sowietami! To byłoby z punktu realnej polityki jawnym nonsensem!”...

Na pytanie to nie otrzymałem ze strony niemieckiej dotychczas żadnej odpowiedzi. Mieroszewski pomija je również milczeniem. Natomiast dostatecznie wyraźnie powiada, że dla realnej polityki – „granice są ważniejsze od wolności”. Za postawienie tej kropki nad „i” należy się Mieroszewskiemu uznanie. Miał odwagę bowiem wypowiedzieć jasno to, czego dotychczas nie odważył się wypowiedzieć żaden z emigracyjnych polityków tej samej szkoły. Że mianowicie woli, aby Polska była komunistyczna z Odrą i Nysą, niźli wolna bez nich. W tym punkcie zgłaszam właśnie swoje zasadnicze votum separatum. Gdyż cenię więcej wolność niż granice.

Tyle na temat mego artykułu.

*

Pragnąłbym jednak przy okazji dotknąć innego aspektu, jaki poruszył Mieroszewski. Rozpracowując swój ulubiony temat „realnej polityki” i proporcji sił, pisze m.in.: „Gdy się dysponuje tylko wiatrówkami...” – Otóż przypuszczam, że gdyby nasi ojcowie, tzn. stary Mieroszewski i stary Mackiewicz, znaleźli się byli obok siebie w tłumie widzów obserwujących carską rewię wojsk, mogłoby dojść między nimi do wymiany następujących myśli: „I oto, łaskawy Panie, są wariaci, którzy głoszą że ich celem jest rozbicie takkkiej potęgi! dysponując bębenkowymi rewolwerami!...”. – Zakładam, oczywiście teoretycznie możliwość takiej wymiany poglądów, gdyż nie wiem jakie były starego Mieroszewskiego. Natomiast faktem jest, że średnie społeczeństwo XIX i początków XX wieku, traktowało rewolucjonistów i „socjalistów” za rodzaj niemytych wariatów o rozczochranych włosach. W istocie jednak, mimo iż wiek XIX w zestawieniu z czasami dzisiejszymi, był złotym wiekiem indywidualizmu, należeli oni niewątpliwie do „postępu” , do „awangardy” różnego pokroju, bez względu na głoszone przez nich doktryny polityczne. Bo nie doktryny stanowią o postępie – mogąc sprowadzić na ludzkość nawet nieszczęście! – a sam fakt wzruszenia zaskorupiałej powierzchni myślowego status quo. I zawsze większość („wszyscy”) w taką możliwość nie będzie wierzyć. Gdyby jeszcze wiosną 1914 ktoś powiedział, że za pięć lat banknotami sturublowymi będą się bawić dzieci w piasku, zawezwano by doń lekarza psychiatrę.

Dziś powierzchnię zastałej sadzawki zakłamania ludzkiego pokrywa o wiele grubsza warstwa pleśni niż kiedyś. Dlatego, że zakłamanie to przybrało nie notowane przedtem rozmiary „demokratycznych”, „socjalistycznych” masówek. Dziś rewolucjoniści na państwowych pensjach, czy socjaliści na rządowych subwencjach, dotacjach i subsydiach z tej i tamtej strony, nie należą do „awangardy” czy „postępu”, a przejęli rolę dawnych błagonadiożnych poddanych. Dziś postępu nie tworzą ani najobrzydliwszy z nacjonalizmów „nacjonał-komunizm”, ani ćwierć-, pół-, czy trzy-ćwierci ugodowców, kompromisowiczów, koegzystencjonalistów, fellow-travellerów i poputczków; ani tym bardziej szczytowe upodlenie godności ideowej w postaci „postępowych-katolików”, ani oczywiście „realni politycy”, bo ci tradycyjnie zresztą, każdy postęp raczej hamowali. Dziś jedyną autentyczną „rewolucją” jest – kontrrewolucja. A postęp i „awangardę” myśli reprezentują pozbawieni wsparcia, wyśmiewani, biedni i... szkalowani – kontrrewolucjoniści. To znaczy tacy ludzie, którzy wbrew „realnej” polityce, usiłują zmącić ową pleśń na zastygłej, odindywidualizowanej powierzchni życia; którzy chcą obalić zwietrzałą rewolucję masowego łgarstwa, monotonną jak deszcz i szarą jak nuda.

Naturalnie, iż jest to zadanie dziś niewspółmiernie trudniejsze niż było w czasach, gdy Gorkij pisał: „Człowiek, to brzmi dumnie!” – A jednak, myślę, że zadanie warte życia. Bo cóż po nim, jeżeli ma się odbywać wyłącznie za pociśnięciem guzika i według instrukcji socjalistycznego, lub nawet narodowego kolektywu.

List JM do redakcji "Nowego Świata" (Nowy Jork), opublikowany w gazecie 11 maja 1970 i przedrukowany w broszurze Pod pręgierzem

10. List JM do redakcji "Nowego Świata" (Nowy Jork)

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W odpowiedzi na uprzejme zaproszenie Pana z dn. 14 kwietnia, zabieram głos w sprawie, która na łamach NOWEGO ŚWIATA z 11 kwietnia 1970 ukazała się pod tytułem: „Sprawa Józefa Mackiewicza. Specjalny wywiad z mec. Stefanem Korbońskim". Czynię to w drodze szczególnego wyjątku, gdyż oszczerczą kampanię przeciwko mojej osobie postanowiłem ostatecznie zamknąć oświadczeniem opublikowanym w paryskiej „Kulturze" (nr 117/18, lipiec - sierpień 1957. Str. 223-5). Do poczynienia obecnie tego wyjątku skłania mnie zarówno znakomite oświadczenie Pana (z października 22, 69) o nowym programie pisma, jak zachęcenie do obiektywizmu historycznego, którego brak odczuwał się doprawdy tak bardzo w dotychczasowych, ciasnych ramach piśmiennictwa emigracyjnego. Oby projektowane przez Pana rozszerzenie horyzontów naprawdę wolnej myśli polskie udało się Panu utrzymać w całej rozciągłości.

Nawracając do „sprawy", o której wspomina Pan w Jego liście do mnie, że bywa „nawet przedmiotem niewybrednych paszkwili" — muszę niestety stwierdzić, że wypowiedzi p. Korbońskiego należą do tej właśnie kategorii. Niech mi wolno też będzie wyrazić moje zaskoczenie, że redakcja NOWEGO ŚWIATA w tej właśnie sprawie zechciała się zwrócić do osoby p. Korbońskiego, jakoby stanowiła ona jakowyś autorytet moralny lub mogła udzielić bezstronnej oceny, nie obciążonej osobistą urazą.

Zapewne nie wszyscy czytelnicy NOWEGO ŚWIATA wiedzą o tym, co osiem lat temu w książce mojej pt. „Zwycięstwo Prowokacji", wydanej w roku 1962. pisałem o p. Korbońskim. Napisałem - w rozdziałach pt. „Kolaboracja z wrogiem komunistycznym" i „«Legioniści» na wywrót" – m.in. co następuje:

„... znaczna część przywódców podziemia i AK włączyła się w nurt kapitulacji i dalszej współpracy z komunizmem. Nie przeszkodziło to jednak niektórym z nich zająć później na emigracji ponownie kierownicze pod względem politycznym, a sztandarowe nieomal pod względem narodowym, stanowiska. Dla przykładu przytoczyć wystarczy osobę, wspomnianego wyżej, «ostatniego Delegata Rządu na kraj», Stefana Korbońskiego. Oto co pisała w tej sprawie wychodząca w Londynie "Myśl Państwowa" (nr l, październik 1954, str. 8) w artykule pt. «Trzy rodzaje uchodźców», podpisanym pseudonimem HAK, znanego dziennikarza polskiego, Henryka Kleinerta (zmarłego 18. 6. 1956):

«Ostatni delegat rządu na kraj przestał uznawać rząd i prezydenta R. P. a uznał Bieruta. Gdy ... zwrócono się do delegata rządu, aby pieniądze rządowe i środki łączności z Londynem oddał do dyspozycji tych, którzy mają zamiar prowadzić dalej akcje oporu, p. Korboński odmówił... W każdym razie ostatni delegat rządu na kraj wszystko przekazał Bezpiece.

P. Korboński współpracował z reżymem lojalnie. Został posłem, uchwalał co trzeba uchwalać było. Zerwanie nastąpiło nie z jego woli i winy, a po prostu dlatego, że reżymowi już na dalszej współpracy z p. Korbońskim i jego przyjaciółmi politycznymi nie zależało. Odegrali swoją rolę i stali się zbędni...

B. ostatni delegat rządu na kraj znalazłszy się zagranicą nie ogłosił, że jego decyzja z r. 1945 była błędna. Uznawał nadal Jałtę i Bieruta. Jedyną tylko miał do Bieruta pretensje, a mianowicie, że nie wykonuje postanowień jałtańskich w polityce wewnętrznej w Polsce, i odtrąca p. Korbońskiego i współtowarzyszy od współpracy z sobą.

... Ostatnio p. Korboński uzyskał duży rozgłos swą książką "W imieniu Rzeczypospolitej" Tytuł wzięty z pierwszych słów wyroków wydawanych przez sądy w imieniu tej Rzeczypospolitej, którą p. Korboński zdradził, przechodząc do Bieruta. Obecnie w aureoli sławy autorskiej p. Korboński poczuł się powołany do ferowania wyroków o ludziach na uchodźtwie. Opublikował w prasie niegodną i niską napaść na osobę prezydenta R. P. ... O wartości człowieka świadczą słowa głoszone i czyny, popełniane w poczuciu całkowitej bezkarności. A przecież p. Korboński poucza z namaszczeniem wszystkich co powinni robić i jak się zachowywać... Może za parę miesięcy czy lat doczekamy się, że b. towarzysz Światło zacznie nas pouczać i wynosić wyroki o ludziach uchodźctwa walczącego». — Koniec cytaty z "Myśli Państwowej"".

Przy całej skromności osobistej, ale w świetle tej relacji historycznej, doprawdy — że użyję słów samego p. Korbońskiego: „język mi się cofa przed wypowiedzeniem razem" z moim, nazwiska p. Korbońskiego. — Tyle ad personam.

* * *

Przechodzę do — ad rem:

To co powiedział o mnie p. Korboński w swym wywiadzie jest oszczerstwem i fałszem w każdym prawie jego twierdzeniu. Byłoby jednak zbyt dużym uproszczeniem, gdybym chciał utrzymywać, iż jedyną pobudką p. Korbońskiego jest nieco spóźniona, po ośmiu latach, okazja osobistego odwetu. Raczej dostrzegam tu dalszy ciąg tej samej kampanii, która rozpoczęła się podczas wojny z inspiracji komunistycznej, a po wojnie podejmowana jest co pewien czas i na emigracji, w dziwnej synchronizacji z każdorazowym nasileniem nagonki na mnie w komunistycznej Warszawie.

Właśnie wznowienie tej kampanii nastąpiło w roku 1969, po ukazaniu się cyklu moich artykułów, a zwłaszcza ostatniej mojej książki pt. ,,Nie trzeba głośno mówić". Zgodnie: tam i tu.

Jestem świadkiem koronnym zbrodni katyńskiej; byłem zaproszony przez Komisję Kongresu Amerykańskiego w charakterze rzeczoznawcy do oceny komunikatu sowieckiego; jestem autorem książki o zbrodni katyńskiej, która ukazała się w sześciu językach i rozeszła dosłownie po całym globie. Jestem autorem uznanym w Warszawie za najbardziej nieprzejednanego wroga komunistycznej „Polski Ludowej" (Radio warszawskie z 20 lutego. 1958)

Nie zorientowany czytelnik, słusznie zapytać może: No, dobrze, nagonka ze strony komunistycznej Warszawy, rzecz zrozumiała. Ale dlaczego podtrzymywana jest na emigracji, i to nieraz przez osoby deklarujące publicznie swoje antysowieckie stanowisko? — Ażeby wyjaśnić, dlaczego teraz, po 25 latach okupacji komunistycznej Polski, ja, największy wróg tej okupacji, zwalczany jestem z taką namiętnością również przez pewną inspirację na emigracji, musimy odsłonić kulisy gry politycznej. Nie wszyscy może zdają sobie sprawę z przepaści, jaka zachodzi pomiędzy propagowanym przeze mnie dążeniem do obalenia ustroju komunistycznego w Polsce — a propagowanym przez innych dążeniem tylko do jego „ulepszenia", „poprawienia", nadania komunizmowi „ludzkiej twarzy". Czyli pomiędzy zewnętrzną negacją tego, co jest, a wyłącznie lojalną „wewnętrzna opozycja" do tego, co jest w Polsce; tzn. nie zwalczania ustroju komunistycznego, lecz „złych" ludzi tym ustrojem rządzących. Taka właśni przepaść dzieli stanowisko materialnie silniejszej na emigracji kliki, która zrywając z antykomunizmem, szuka możliwości wspólnej drogi z ustrojem komunistycznym („socjalistycznym") w imię „wspólnej sprawy" — od mego stanowiska, który tę politykę z obcej inspiracji, i za obce pieniądze uprawianej, demaskuje. W miarę mych słabych sił i możliwości.

Nie wszyscy też zdają sobie może sprawę z analogii, jaka zachodzi pomiędzy politycznym stanem obecnym i stanem z okresu okupacji podczas wojny. Wtedy też z obcej inspiracji (nacisku) staliśmy się „sojusznikiem" we „wspólnej sprawie" — de facto — najeźdźcy sowieckiego. Odrzucając („ślepy") antykomunizm, szukaliśmy „wspólnej" z komunistami drogi.

Minister Beck odrzucił przed wojną wszelką „pomoc" ze strony Związku Sowieckiego, gdy mieliśmy jeszcze państwo, nienaruszone granice, armię regularna. Rozumując słusznie, że wkroczenie wojsk sowieckich na nasze terytorium przeistoczy Polskę w komunistycznego wasala. Było to zresztą dla wszystkich wtedy jasne. Podczas wojny nie mieliśmy ani granic, ani regularnych władz i wojska, ani policji. Polska bezbronna stanęła otworem dla szerokiej penetracji komunistycznej, tym bardziej, że podsycanej przez obłędne metody terroru hitlerowskiego. I wtedy raptem uznalisrny Sowiety za naszego sojusznika względnie (po zerwaniu przez nich — nie przez nas — stosunków dyplomatycznych) za „sojusznika naszych sojuszników".

Otóż ja w tej postawie udziału brać nie chciałem. i nie brałem. Przeciwnie, w miarę mych skromnych sił i możliwości, na skromnym odcinku wileńskim, usiłowałem ludziom politycznego podziemia, z którymi się stykałem, przedstawić fatalne konsekwencje tej postawy. Składałem memoriały, puściłem w obieg tajny maszynopis książki; zjednałem dużo zwolenników. Nie miało to oczywiście nic wspólnego z jakimkolwiek proniemieckim stanowiskiem. Wręcz odwrotnie: ciągle, aż do końca okupacji. przestrzegałem, że — wobec barbarzyńskich metod hitlerowskiego terroru — cień chociażby współpracy z Niemcami będzie jednocześnie ciosem śmiertelnym dla każdej akcji antykomunistycznej, gdyż skompromituje ją w zarodku.

* * *

Drogi Panie Redaktorze — nie wnikając w słuszność lub niesłuszność moich poglądów — chciałbym zwrócić uwagę, że to co poniżej — publikuję drukiem poraz pierwszy. Dlatego muszę się zastrzec kategorycznie przeciwko interpretacji, jakoby jest to z mojej strony jakowaś „obrona". Ja wiem, że dotychczasowi oszczercy czyhają tylko na to, aby zmusić mnie do postawy „obrony", a samym występować w postawie „oskarżycieli". Nie, jeżeli już o „oskarżenie-obronę" chodzi, to raczej ja poczuwam się (jakkolwiek obca mi jest ta maniera) do oskarżania tych, którzy w latach wojny przyczynili się najbardziej do moralnego rozbrojenia i psychicznego załamania narodu wobec dzisiejszego okupanta komunistycznego. Już wtedy „Podziemie", A. K. przeszpikowane było wtyczkami komunistycznymi, abstrahując naturalnie od jawnych stronników prosowieckiej orientacji politycznej wśród miarodajnych dyspozytorów. Wszystkim to było dobrze znane i nawet gen. Bór potwierdził ten stan rzeczy w jednym z oficjalnych raportów. Otóż w takim to czasie i warunkach w podziemnym czasopiśmie wileńskim „Niepodległość" ukazuje się raptem oszczercza napaść na mnie, o ile pamiętam pt. „Trzej panowie z Gońca". Nie pomawia mnie wszakże ona — jak twierdzi p. Korboński — o współpracę z niemieckim „Gońcem Codziennym", lecz zgoła o udział, wraz z dwoma innymi osobami, w spółce

wydawniczej tego pisma; oraz o zarobki z tego tytułu sięgające, nie pamiętam dokładnie, bodaj 300 tysięcy marek miesięcznie, w każdym razie cyfry zawrotnej.

Oskarżenia są jawnym nonsensem. „Goniec Codzienny" był urzędowym (innych zresztą nie mogło być) pismem niemieckim w języku polskim. Wydawany mógł być tylko przez rząd, odnośne instancje propagandy, ale nigdy przez spółki prywatne! O tym wiedział każdy normalny człowiek. Co zaś dotyczy krociowych zarobków, to wszyscy, którzy mnie znali wtedy, wiedzieli, że mieszkam poza Wilnem, w odległym o 12 kilometrów Czarnym Borze, zaledwie kilka razy na miesiąc przychodząc do miasta piechotą, i akurat w tym czasie w skrajnej biedzie, nędzy prawie. Absurdalność tych „zarzutów" była zatem wyjątkowo oczywista. Ale, jak to nas uczy szkoła sowiecka, ani prawdziwość, ani prawdopodobieństwo nawet oskarżeń nie jest ważne. Ważne jest oskarżenie samo. Powstaje wtedy fama, której niepodobna nic przeciwstawić. W danym jak ten wypadku „wykańcza się" kogoś, kogo się chce zlikwidować politycznie, skuteczniej, niż kulą w łeb. Wymieniony bowiem z imienia i nazwiska nie może żądać odwołania, sprostowania, czy przeproszenia w prasie - podziemnej!.. Bo za taki kontakt automatycznie trafiałby do Gestapo.

Doniesiono na zaraz, że autorem artykułu jest niejaki Wroński, za poprzedniej okupacji sowieckiej gorliwy współpracownik „Prawdy Wileńskiej". Za niemieckiej, wtyczka komunistyczna i gorliwy współpracownik podziemnej „Niepodległości" polskiej.

Ale znowuż byłoby uproszczeniem, gdybym chciał twierdzić, że rzecz wyczerpywała się wyłącznie w sferze intrygi komunistycznej. Oszczerstwo spreparowane, choć tak niechlujnie, przez Wrońskiego i powstała wskutek tego wroga dla mnie „fama", była wysoce na rękę wielu moim zażartym przeciwnikom. A tych nie brakowało i nie brakuje mi nigdy. A już szczególnie wtedy.

To był początek, i — zarazem: wszystko. Bo od tego początku poszły dosłownie wszystkie inne wersje późniejsze w postaci „współpracy z Niemcami", etc., etc., etc. — Jest naiwne pytanie, które NOWY ŚWIAT stawia p. Korbońskiemu: „Może Mackiewicz nie zdawał sobie sprawy z karalności jego współpracy?"... I jest f a ł s z e m odpowiedź na to p. Korbońskiego, jakobym został „ostrzeżony przez władze podziemne". — Natomiast w całym wywiadzie brakuje najważniejszego pytania. Na .jakich dowodach opiera p. Korboński swe oszczercze twierdzenia? — Takich dowodów oczywiście nie było i nie ma, gdyż być ich nie mogło. Za dowody posłużyła ta fama rozdmuchana wtedy i teraz, przez tych którym na jej rozdmuchaniu zależało i dziś zależy. A nie zaprzeczona przez tych, którym na takim zaprze czeniu nie zależało i nie zależy.

Jest dalej wierutnym fałszem twierdzenie p. Korbońskiego, jakobym składał prośbę o „możność zrehabilitowania" (!) ... etc., „dowiedziawszy się prywatnymi drogami..." etc. — Byłem w stałym kontakcie z ludźmi podziemia, którzy podzielali moje poglądy. Zwłaszcza osobiście zaprzyjaźniony z pisarzem Sergiuszem Piaseckim, który należał wówczas do tzw. „egzekutywy" i który własnoręcznie zastrzelił redaktora ,,Gońca", Ancerewicza. Dopiero na nalegania tych przyjaciół, szczególnie zaś zajmującego wybitne stanowisko w podziemiu A... . (pełne Jego nazwisko wymieniam w mojej ostatniej powieści), zgodziłem się napisać, ale nie żadna „prośbę o rehabilitację", lecz odwrotnie — skargę do tzw. „prokuratury" podziemnej, na oszczerstwa Wrońskiego. Z dzisiejszej perspektywy wstydzę się swej małoduszności odwoływania do ludzi, z których wielu wypełnia dziś komunistyczne ,,Zbowidy" itp., i którymi szczerze nieraz gardzę. Ale wówczas nie miało się jeszcze tej perspektywy, a miało trochę złudzeń. — Przyjaciel mój, A...., z dużym poświęceniem ujął sprawę „w swoje ręce", i — w krótkim czasie został aresztowany, i zamęczony w piwnicach Gestapo ... On, który był zakonspirowany lepiej od innych! W okolicznościach, jak to potwierdził po wojnie Piasecki, nader podejrzanych. Osobiście twierdzę, że został wydany. Wtedy to Piasecki dokonał owego słynnego włamania w biały dzień z pistoletem w ręku do biura, w którym pracował aresztowany i wyratował z jego szuflady tajne dokumenty, a m. inn. i moje podpisy, które o włos wpadłyby w ręce Gestapo.

Takie to bywały perypetie owych czasów, o których dziś czytamy tylko monotonną, licencjonowaną bohaterszczyznę. W takich to czasach, przyznaje się, do popełnienia jeszcze jednej małoduszności. Wiosną roku 1943, dowiedziawszy się że Niemcy poszukują mego adresu, aby zaprosić mnie na wyjazd do Katynia, ja, nie krepowany przecie niczym, uzależniłem tak niezmiernie ważną sprawę obejrzenia osobiście miejsca zbrodni od — decyzji władz podziemnych. Ukryłem się do czasu, aż przedstawiłem tę okazję na placet tych władz. Dziś wstydzę się tego i wykreślam z pamięci. W biografiach mówię krótko: „pojechałem na zaproszenie niemieckie", i basta. Wszelako wspominałem o tym w poprzednich relacjach z Katynia i w zeznaniu przed Komisja Kongresu. Teraz zahaczam tu o ten epizod, gdyż wiażę się bezpośrednio ze szczytowym punktem rozpętanej na mnie nagonki. Na tajnym zebraniu odbytym w lokalu przy ul. Kalwaryjskiej w Wilnie, zdecydowano że nie tylko mam jechać, ale na żądanie Niemców — czego należało się oczywiście spodziewać — powinienem opublikować artykuł w ich „Gońcu Codziennym", jako że pismo mimo wszystko jest czytane. Nie mając zaufania do tej ostatniej decyzji, oświadczyłem, że co najwyżej udzielę wywiadu o tym co widziałem. — Wracając z Katynia przez Warszawę, złożyłem stenograficzne sprawozdanie na ręce dwóch znanych mi osobiście przedstawicieli „Podziemia", w lokalu przy placu Dąbrowskiego. Ale już tam dowiedziałem się, że zapanowała oficjalna tendencja przedstawiać rzeczy tak, jakoby: „Niemcy ze swej strony, też dosypali do grobów katyńskich trupy, przez siebie gdzieindziei pomordowanych"... Z tym kompromitującym fałszerstwem nie mogłem się zgodzić. (Później było ono starannie zacierane. Ale zetknąłem się z nim jeszcze, gdy zaraz po wojnie, na zlecenie 2 korpusu w Rzymie, opracowywałem dokumenty do pierwszej książki o Katyniu).

Po powrocie do Wilna, w maju 1943 złożyłem jeszcze jedno sprawozdanie na ręce zastępcy komendanta AK., wręczyłem mu pełny koszyk dowodów rzeczowych zebranych na miejscu zbrodni (o strasznym trupim smrodzie!) i udzieliłem przewidzianego wywiadu dla „Gońca Codziennego", mówiąc o tym, co widziałem na własne oczy.

Od tej chwili datuje się rozpętanie zwielokrotnionej nagonki na moją osobę. Wymyślano najróżniejsze rzeczy, aż do takiego oszczerstwa, które sugeruje p. Korboński. Bolszewicy mogli mnie, gdyby chcieli, z łatwością zastrzelić. Mieszkałem w dalszym ciągu w małym, samotnym domku w lesie. Ale to mogłoby — po Katyniu — sprawić złe wrażenie. Woleli zainspirować kampanię „polskimi" nie tyle rękami, co językami. Do tego włączyło się, jak mnie poinformowali zaufani ludzie, niezadowolenie BIP-u Komendy Głównej AK w Warszawie z władz wileńskich, że udzieliły mi placet na wyjazd do Katynia. Tegoż samego BIP-u (Biuro Informacji i Propagandy), na czele którego stał znany pułk. Rzepecki, który za czasów Gomułki ogłosił v Warszawie swe, merdające ogonem przed komunistami, „Wspomnienia".

Jeszcze raz popełniłem błąd zgadzając się na poddanie „mojej sprawy", po wojnie, sądowi koleżeńskiemu Związku Dziennikarzy przv 2 Korpusie w Rzymie. — Jest fałszem co mówi p. Korboński, że sad: „rozpatrywał jedynie okoliczności podane mu przez Mackiewicza". Było wręcz odwrotnie: przesłuchał wyłącznie świadków „oskarżenia" i ani jednego świadka „obrony". Ale nikt nie mógł dostarczyć najmniejszego chociażby dowodu, a tylko strzępy plotek zasłyszanych od trzeciej i dziesiątej osoby, jakoby... Sąd umorzył sprawę z braku jakichkolwiek dowodów. — Sądziłem naiwnie, iż rzecz się na tym wyczerpie. Odwrotnie, rozpętała tym większą zaciętość tych, których pośrednio przygważdżała jako fałszerzy prawdy i oszczerców. Wtedy zrozumiałem swój błąd, że nie można odwoływać się do instancji społecznych, jak długo przewagę w tej społeczności sprawuje klika b. sojuszników obecnego okupanta, przybranych w nietykalne togi „bohaterów narodowych". — (Nigdy nie należałem do NSZ, i nie podzielam ich poglądów. Wszelako przyznać muszę rację temu, co piszą w swym ostatnim „zeszycie" wydanym w Ameryce, o polityce podziemnej Delegatury Rządu i BIP-u AK, iż cechowała ją „obawa by nie powstał i nie scementował się przyszły front antykomunistyczny w kraju". — O d t ą d postanowiłem powstrzymać się od wszelkiej polemiki na własny temat, podobne jak nie uważam za możliwe polemizować z propagandą komunistyczną w kraju.

P. Korboński mówi dużo w swym wywiadzie o rzekomym wyroku śmierci wydanym na mnie. To nie jest wykluczone. Ma też racje, iż teoretycznie były to sądy państwowe. Teoretycznie. Zapomina tylko dodać, że praktycznie, w bardzo wielu wypadkach przeistaczały się w „dintojrę", w środek kapturowych porachunków politycznych, osobistych, a nawet kryminalnych. O tym „Nie trzeba głośno mówić". To się rozumie. Niemniej nie zmienia to faktycznego stanu. Zresztą sądzę, że w podobnych warunkach podziemnej naiwności, gdzieindziej było to samo. Słowem, wszystko możliwe. Nie jestem jednak zupełnie pewien, czy na mnie taki wyrok zapadł i kiedy. P. Korboński wspomina o powstaniu w Londynie, po wojnie, Obywatelskiej Komisji Orzekającej, do której w r. 1948 zwrócił się zarząd główny AK przedkładając jej moją „sprawę". Istotnie tak było. Otrzymałem przedłożone „zarzuty". Proszę mi wybaczyć, ale nie mogę ich inaczej nazwać jak — bełkotem. Stało tam, że „kolaborowałem z Niemcami w Wilnie od roku 1939 do 1945". Ponieważ Niemcy wkroczyli do Wilna w półtora roku później, tzn. dopiero w połowie 1941; zaś w 1945 mnie nie było już od roku w Wilnie, a Niemców nie było od pół roku — wiec cały ten elaborat zdradza typową niechlujność fałszywych oskarżeń, jakimi posługują się komuniści. Zredagowany na: było-nie-było! Nie chodzi o prawdę, czy nawet prawdopodobieństwo, lecz o oskarżenie samo. Poza tym żaden wyrok nie może zapaść przed terminem popełnionego przestępstwa. Ponieważ w tym elaboracie powiedziane jest: „do roku 1945", wynika więc, że musiał zapaść w r. 1945, lub później. Wobec faktu, że w tym czasie nie było już w kraju normalnych władz podziemnych, wiec zachodzi podejrzenie, że spreparowany został dopiero na emigracji. Jak mi opowiadano, za poduszczeniem jedynego, pośledniejszego członka b. BIP-u AK. Mało mnie to zresztą interesuje. — Pokazałem ten papier senatorowi Zygmuntowi Jundziłłowi w Londynie, jednemu z najwybitniejszych prawników wileńskich, który poza tym też przeżył razem tam te czasy pod okupacja. Wzruszył ramionami. Rzuciłem papier do klozetu i spuściłem wodę. Mówię to nie gwoli obrazy, a ścisłości faktów.

P. Korboński zdobył się w jednym miejscu swego wywiadu na niezły dowcip: „Żyć z takim wyrokiem jest może trudniej niż umrzeć"... powiedział. Niewątpliwie zdając sobie sprawę, że „takie wyroki" mogą mi sprawiać tylko dużą osobista przyjemność w życiu. Czym większy jest bowiem przejaw nienawiści do mnie ze strony panów typu Korbońskiego (o czym na początku tego listu), tym bardziej utwierdza mnie w przekonaniu słuszność mojej postawy.

* * *

O tych strasznych dziejach za frontem wschodnim największego — w efekcie — wspomożyciela bolszewizmu, którym był Adolf Hitler, napisałem ostatnio spora książkę. Sprawy polskiej tragedii i postawy polskiego podziemia poruszyłem w niej zaledwie ubocznie. Nie doczekały się one dotychczas wyczerpującej, nie koncesjonowanej przez obowiązujący pryzmat, monografii. Istnieje ogromna, w czarno-białych kreskach malowana literatura o tym jak szczerze i ofiarnie pomagaliśmy Sowietom do zwycięstwa; gdzie, jak i kiedy przelewaliśmy krew na tyłach niemieckich, aby tylko przynieść ulgę armiom bolszewickim. I jak wielką niewdzięcznością oni nam za to zapłacili, jak nas „zdradzili".

Dumny jestem, ze nie brałem w tej pomocy udziału, i dumy jestem że mnie bolszewicy nie „zdradzili".

Było bardzo dużo rozumnych, patriotycznych, rozsądnych, bohaterskich (nie deprecjonujemy tego określenia!) Polaków, zarówno w kraju w podziemiu, w AK, jak i na emigracji. I jest ich jeszcze dużo. Niestety, nie do nich należało, i dziś jaszcze nie należy, rozstrzygające słowo.

Zechce Pan, Panie Redaktorze, przyjąć wyrazy głębokiego szacunku i poważania

Józef Mackiewicz

"Wiadomości" (Londyn), 1967, nr 10 (1092); cyt. za: Józef Mackiewicz, Barbara Toporska, Droga Pani..., Kontra, Londyn 1998 (Dzieła, t. 11). W tym samym numerze tygodnika znajduje się polemika Michała Chmielowca z tekstem J.M.

Józef Mackiewicz

11. DROGA PANI...

Otrzymałem list z Warszawy. Na kopercie: „Instytut Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk, Warszawa, Pałac Staszica..." Wewnątrz ankieta i uprzejma prośba o jej wypełnienie: „...częściowo do wykorzystania w dalszych tomach Słownika współczesnych pisarzy polskich..." — podpisano: „kierownik pracowni Słownika współczesnych pisarzy polskich, dr Jadwiga Czachowska".

Pod tym więc adresem odpisuję uprzejmie:

Droga Pani, w odpowiedzi na Jej uprzejme pismo z 7 grudnia 1966 poczuwam się do obowiązku wyjaśnić Pani, dlaczego nie uważam za możliwe wziąć udziału w nadesłanej mi ankiecie: nie ze względu na postawę tzw. niezłomności politycznej, która, logicznie, powinna by powstrzymać każdego Polaka od udziału w jakichkolwiek imprezach podjętych przez okupacyjny rząd komunistyczny w Polsce i powołane przez niego w kraju agendy, administracje, stowarzyszenia, związki, instytuty itd. Logiczna zasada tego stanowiska została już dawno naruszona przez cały naród, zarówno w kraju, jak na emigracji. Zastąpiono ją „ewolucyjną" interpretacją, która przerzuca niejako pomost do zawiłej formuły: „wola partii — wola ludu — wola ludu — wola Boga..." Walka więc o zachowanie czy przywrócenie pierwotnej zasady jest czynnością praktycznie bezpłodną. Dla jednostki pozbawiona sensu, jak to słusznie stwierdza rosyjskie przysłowie: „Odin w polie nie woin" — sam jeden w polu to żaden bojownik. W ankiecie nie chcę brać udziału z innych względów. Przede wszystkim pozwolę sobie poddać rozpatrzeniu niektóre jej punkty.

Pomijam pierwszych pięć, dotyczących ustalenia danych personalnych. Ale już punkt 6: „Przebieg życia w porządku chronologicznym z wyszczególnieniem działalności polityczno-społecznej" — nasuwa wątpliwość, czy będzie wyzyskany w Słowniku zgodnie z zarówno treścią, jak duchem danej przeze mnie odpowiedzi. Osobiście nie jestem politykiem. Jeżeli jednak kiedykolwiek (nie licząc naturalnie wojny antybolszewickiej r. 1920, na którą poszedłem z ławy szóstej klasy gimnazjalnej) brałem udział w działalności politycznej, to zawsze po stronie kontrrewolucji. Uważając i dziś rewolucję bolszewicką za największe zło, za największe zahamowanie (tak wspaniale rozwijającego się w XIX w.!) postępu ludzkości, za największą w dziejach niewolę ducha. Hitleryzm, jak wiadomo wzorowany na komunizmie, i nacjonał-komunizm, wzorowany dziś na hitleryzmie, wszystko to wzięło swój początek od „Wielkiego Października", i pogrążyło świat w nieszczęściu kolektywnego kłamstwa. Tylko kontrrewolucja przeciw tym ciemnym siłom socjalistycznych totalizmów może przywrócić ludzkiej myśli wolność, którą miała przed rewolucją bolszewicką. Przykro mi, iż są to tylko zbożne z mojej strony marzenia. Gdyby jednak dane mi było rozwinąć kiedykolwiek akcję polityczną, to pod sztandarem „Bij komunistów, ratuj wolną myśl!" Widzi więc Droga Pani, iż byłby to slogan głęboko humanistyczny, a w jego uniwersalizmie ponadnarodowy. Stąd kwalifikacja mojej odpowiedzi na punkt 6 ankiety powinna być uznana za wysoce pozytywną, a moja „działalność", czy też jej intencja, za postępową, w najszczerszym słowa znaczeniu. — A jak wypadłaby w Słowniku? Zgoda jeżeli określony zostanę jako „wróg Polski Ludowej" tylko. Nim jestem istotnie. Ale co, jeżeli na podstawie mej odpowiedzi, gdybym wziął udział w ankiecie, zaliczony zostanę ponadto do „działalności antypostępowej, antywolnościowej..." itp.? Będzie to nieprawda. Po cóż więc miałbym do tego kłamstwa jeszcze przykładać rękę? Poza tym nasuwa się dodatkowa wątpliwość: Józef Cyrankiewicz w jednym ze swych przemówień zaliczył mnie do kategorii „nihilistów" i „reprezentantów najbardziej zaciekłych kół międzynarodowej reakcji". Czy nie przesądza to sprawy z góry, bo czy Polska Akademia Nauk w Warszawie ma prawo zamieszczać w swoich wydawnictwach sądy inne, niż reprezentant PZPR i premier PRL lub zgoła sprzeczne?

Punkt 7 ankiety: „Nagrody i odznaczenia". — Domyśla się Droga Pani, że za takie poglądy jak moje, nie dostaje się dziś nie tylko orderów „Polski Odrodzonej" w Warszawie, ale ani nagród, ani odznaczeń w świecie zachodnim. W świecie, który za cenę „odprężenia" pragnąłby czym prędzej utrwalić panowanie komunistyczne w krajach podbitych, czy też z francuska w: „Europie ojczyzn", w tej liczbie i w ojczyźnie naszej z Panią.

Teraz znowu punkt 8: „Wykaz twórczości w porządku chronologicznym z dokładnym podaniem debiutu (w czasopiśmie, w wydaniu osobnym, względnie na scenie lub przez radio)". — Od czasu mego debiutu napisałem dziesięć książek i jedną sztukę. Teraz piszę jedenastą powieść, co do której mam obawę, że nie będzie się Pani podobała. Znaczna część tych książek ukazała się też w obcych językach. Droga donikąd w wydaniu angielskim, amerykańskim, niemieckim i francuskim. A np. książka o zbrodni katyńskiej: The Katyn Wood Murders w Londynie, Ungesühntes Verbrechen w Zurychu, Il Massacro della Foresta w Rzymie, Las Fosas de Katyń w Madrycie: po francusku w odcinkach gazetowych La Libre Belgique w Brukseli. Patrząc na rzecz z punktu „współczesnego pisarza polskiego", jest-li to pewien tzw. „dorobek"? Niewątpliwie tak. Z punktu naukowego polskiego, jest-li to tzw. „wkład" w polską historię narodową? Skromny, ale niewątpliwie tak. Czy Polska Akademia Nauk wraz ze swoim „Instytutem Badań Literackich" nie powinna by takiej rzeczy szczególnie patronować? Zdawałoby się, tak. Tymczasem obawiam się, że nastąpi coś odwrotnego. Tzn. że gdybym wymienił w punkcie 8 ankiety ten właśnie mój „dorobek", ten mój „wkład", zostałby albo przemilczany w Słowniku współczesnych pisarzy polskich w ogóle, albo wyzyskany w sposób zniekształcający prawdę badawczą, prawdę naukową. A zważmy na marginesie, że akurat w sprawie tak dla polskich badań doniosłej, i po prostu ciekawej, obchodzącej cały naród, jak los wymordowanych w Katyniu i gdzie indziej 15 tysięcy internowanych, przeważnie oficerów. 15 tysięcy Polaków zastrzelonych, każdy strzałem w tył głowy...

Zanim przejdę do dalszego uzasadnienia, dlaczego nie biorę udziału w nadesłanej mi uprzejmie przez Panią ankiecie, proszę mi pozwolić na odbiegającą nieco od tematu dygresję.

Czy Pani wie, ile wyroków śmierci zapadło w Rosji carskiej w okresie 80 lat, od r. 1826 do r. 1906? Włączając w to dwa powstania polskie i rewolucję r. 1905? Proszę, niech Pani zgadnie...

W r. 1907 wyszło w Moskwie pięciusetstronicowe zbiorowe dzieło pt. Przeciwko karze śmierci (Protiw smiertnoj kazni). Wzięli w nim udział: Lew Tołstoj, Sołowiew, Niemirowicz-Danczenko, Bułhakow, Bierdiajew, Rozanow, Nabokow i wielu innych; spośród cudzoziemców: Anatole France, Brandes, Björson, Boutroux, Paul i Victor Margueritte, Octave Mirbeau, Masaryk i wielu innych. Piętnując carskie okrucieństwa (w książce wydanej legalnie w Rosji. Czasy! Wyobraża sobie Pani, co?) — opierają się na przytoczonym w tym dziele dokładnie opracowanym, imiennym (imiennym!) spisie ludzi, skazanych na śmierć („skazanych" tylko; 28.5% wyroków z różnych względów nie wykonano) w ciągu 80 lat. Nie wiem, czy odgadła Pani w przybliżeniu... Od r. 1826 do r. 1906 skazano w Rosji na śmierć 3419 ludzi.

To jest o tysiąc mniej niż leży w jednym Katyniu (gdzie rozstrzelano tylko internowanych z Kozielska); pięciokrotnie mniej niż w Katyniu i zastrzelonych gdzie indziej, z obozów Starobielska i Ostaszkowa, łącznie. A wprost nieobliczalnie znikomy procent w porównaniu do ogólnej liczby wyroków śmierci wydanych i wykonanych przez bolszewików w ciągu 50 lat. Gdyż liczba tych wyroków sięga milionów i milionów! A taki Cyrankiewicz wygraża pięścią każdemu, kto by „zegar dziejów ludzkości pragnął cofnąć wstecz"... Naturalnie, że bym pragnął!!! A Pani nie? Koniec dygresji.

Zatrzymałem się specjalnie na przykładzie mojej katyńskiej książki, gdyż uważam ten przykład za... — zdaje się, że u was używa się terminu — wzorcowy.

Jeżeli się bowiem zestawi ogrom prac, badań naukowych, nowych odkryć, studiów i niezliczoną ilość publikacji literackich poświęconych opisom martyrologii polskiej pod okupacją niemiecką, a zwłaszcza podniesiony często do stanu ekstazy ultrapatriotyczny posmak przydany tym opisom — z jednoczesnym idealnym przemilczaniem dziejów pod okupacją sowiecką (takoż i w pracach naukowych Polskiej Akademii Nauk) — trudno oprzeć się niemiłemu wrażeniu: że ten posmak potrąca zafałszowaniem, a literacka ekstaza zamówieniem; sam zaś duch patriotyzmu jest przepołowiony. Może być pół jabłka, pół domu, może być pół krowy, gdy się ją zarżnie i przepołowi. Czy może być jednak pół-ducha, pół-obiektywizmu, pół-prawdy naukowej, pół-szczerości wreszcie? Nie może. Jak nie może być pół-wiary w Boga, bo świadczy to, że nie ma jej w ogóle. W praktyce rzecz wygląda jeszcze bardziej krępująco. Boć przecie oficjalnie zbrodni katyńskiej dopuścić się mieli Niemcy. Naturalnie nikt w Polsce w oficjalną wersję nie wierzy, a wszystkie gomułki partyjne wiedzą najlepiej jak było naprawdę. I dlatego, choć to niby „Niemcy", ale akurat o tej „ich" zbrodni poproszono grzecznie nie pisać i jej nie badać. Jesteśmy świadkami zawstydzającej procedury, gdy komunistyczna partia kierując ogólną „polskością" w kraju, wyznacza jej ponadto ścisły plan topograficzny, według którego ma się orientować, i miejscowości na mapie, które bądź podlegają, bądź nie podlegają tematom ojczyźnianej literatury i rodzimej nauki. I jakoś rzecz biegnie dosyć składnie...

Czesław Miłosz nazwał to wszystko razem „zniewolonym umysłem"; Witold Jedlicki „zrelatywizowaniem prawdy". Ja bym powiedział, że w tym rodzaju „modus vivendi" jest po prostu tyle tej pół-polskości, ile akurat potrzeba komunistom na ich użytek. Inni natomiast upierają się, że: tyle, na ile komuniści zezwalają, i że ten modus vivendi należy dla korzyści narodowych, i to w miarę możności, wyzyskać. Nie wiem, nie będę się wdawał w polemikę. Kto chce, niech się na takie przepołowienie ze względów patriotycznych godzi. Ja się nie godzę ze względów na godność ludzką. I dlatego nie mając gwarancji, że wykaz nie zostanie w Słowniku współczesnych pisarzy polskich przepołowiony, lub w inny sposób zniekształcony, powstrzymuję się od wypełnienia punktu 8 ankiety.

Podobnie, jeśli chodzi o punkt 10, a zwłaszcza 11 ankiety: „Wykaz opracowań (artykułów, recenzji) o twórczości Pana". — Wykazu artykułów i recenzji o wszystkich moich książkach nie mógłbym zresztą, nawet gdybym chciał, przytoczyć, gdyż przewaliło już ich poza tysiąc. (Zbieram je wszystkie, to moje „hobby".) W szesnastu językach. Dokładnie: w polskim, angielskim, francuskim, niemieckim, włoskim, hiszpańskim, holenderskim, flamandzkim, portugalskim, rosyjskim, fińskim, węgierskim, litewskim, białoruskim, ukraińskim, czeskim. Geograficznie: we wszystkich częściach globu. Rozumiem, że tego rodzaju moja odpowiedź, jakkolwiek ścisła, stanowić by mogła jednocześnie coś w rodzaju „reklamy" dla „współczesnego pisarza polskiego". A mam wrażenie, że na „reklamie" pisarza, który nieszczęsny „zegar historii chciałby..." itd.. Słownikowi zależeć nie będzie. Że zatem punkt 11 ankiety, gdybym go wypełnił, zostałby w jakiś sposób bądź skurtyzowany, bądź przeinaczony, lub w inny tak dobrze nam znany sposobik „pomniejszony"... Już przecie występuję w jakimś literackim opracowaniu „naukowym", gdzie wymienione są tylko dwie moje książeczki przedwojenne i, zdaje się, jedyna recenzja Waleriana Charkiewicza w wileńskim Słowie... Rzecz jest naturalnie nieskończenie błaha, ale z punktu widzenia obiektywnej wiedzy bio-bibliograficznej wprowadzająca jednak w błąd. Jak wprowadzeniem w błąd wiedzy o poezji polskiej będzie, powiedzmy przykładowo, opuszczenie w wykazie głośnych poetów nazwiska Mariana Hemara, czy kogoś innego ze znanych. Metody, od niemieckiego słowa „totschweigen", zamilczeć na śmierć. Sądzę, że Hemarowi śmierć od tego nie grozi, i z powodu tej tendencyjnej złośliwości nawet nie ucierpi, jak nie ucierpię ja. Cierpi na tym obiektywizm i ścisłość naukowa instytucji czy instytutów powołanych do życia przez ustrój komunistyczny w Polsce. Dlatego póki ustrój ten istnieje, wydaje mi się słuszne odciąć się od tej „nieobiektywności", mówiąc wprost: od tej nieprawdy. A nie: zgłaszać do niej pośredni akces, chociażby w postaci wypełniania rozsyłanych przez te instytucje ankiet.

* * *

Poza jednak tym drobnym wykłócaniem o punkty istnieje, Droga Pani, zasadniczy dla mnie aspekt sprawy. Oto jestem osobiście jedynym bodaj wyjątkiem, który nie uważa literatury PRLu w jej całości, za literaturę, i w tradycyjnym, i w ścisłym znaczeniu: polską. Podobnie jak nikomu nie przyszłoby nawet do głowy przed wojną, literaturę sowiecką — nawet tę z okresu leninowskiego NEPu, która cieszyła się o wiele większą swobodą, niż dzisiejsza „peerelowska" w komunistycznej Polsce — nazwać „rosyjską". Termin byłby wówczas zgoła niezrozumiały. Literatura rosyjska, to była ta sprzed rewolucji bolszewickiej, plus jej kontynuatorka na emigracji. Pod Sowietami zaś powstała: sowiecka, jako całość; chociażby poszczególne książki traktowały o dziecinnych zabawach, czy zawiedzionej miłości. I tak to cały świat rozumiał. Po ostatniej wojnie, od czasu „ewolucyjnego" konkursu rozpisanego w świecie zachodnim: kto niżej w pas pokłoni się komunistom (konkurs dotychczas jeszcze nie rozstrzygnięty: Ameryka, de Gaulle, burmistrz Berlina Zachodniego, lewica intelektualna, papież, studenci, czy teraz kanclerz Kiesinger?..), to już dawno się zmieniło. Osobiście jednak zachowałem przedrewolucyjny pogląd, i tak też patrzę na całość literatury peerelowskiej.

Sprawdzianem każdej literatury jest, moim zdaniem, jej szczerość. Komunista piszący w wolnym świecie, jeżeli nie jest wyjątkowo funkcjonariuszem lecz, załóżmy, szczerze wypowiada swe komunistyczne poglądy, należy niewątpliwie do całości literatury narodowej swego kraju. Natomiast nie tylko komunista, ale i nie-komunista piszący w państwach komunistycznych, tzn. podlegający i fizycznej, i psychicznej reglamentacji, ustanowionej przez ustrój komunistyczny, nie należy już do literatury swego kraju, lecz do literackiego typu temu krajowi narzuconego. (Mówię tu ciągle o całości literatury jako takiej, a nie o poszczególnych dziełach.) Sprawdzianem tego typu przestaje być indywidualna szczerość twórcy, lecz nadrzędny postulat obowiązujący (stale, i w jakimś stopniu) każdą indywidualność literacką. Słowem to, co, jak wspomniałem wyżej, Miłosz nazywa „zniewolony umysł", Jedlicki „relatywizm prawdy", a przedwojenny Stanisław Mackiewicz „myśl w obcęgach".

Ten mój pogląd spotkał się ze sprzeciwem, a nawet zgorszeniem, już nie absolutnej większości, ale po prostu absolutnie wszystkich. Samo jednak kolektywne przytłoczenie liczbą „wszystkich" nie przekonało mnie, że literatura w Polsce komunistycznej i na emigracji stanowi rzekomo całość tej samej literatury. Przy tym, o ile zbożne głosy emigracji są w ich zbożnej intencji zrozumiałe, o tyle wysoce niekonsekwentne wydają mi się liczne napaści jakie spotkały mnie za to ze strony radia i pism komunistycznych w Polsce. Bo oto w sukurs moim poglądom przyszedł sam Gomułka i jego podopieczni w polityce kulturalnej. W licznych mowach i wskazaniach, nawet z dużym patosem podkreślali, że literatura peerelowska (tzn. „współczesna polska") przestała być dawną literaturą, że dokonało się w niej organiczne przeobrażenie, że „jako całość literatury" nie jest już literaturą „burżuazyjną", że stała się literaturą „socjalistyczną" itd. itd. A więc tym samym podkreślili jej organiczną inność od literatury emigracyjnej. Przytaczałem te liczne oświadczenia w swej pracy Zwycięstwo prowokacji i nie będę tu ich powtarzał.

Ponadto cały aparat współczesnego polkomunizmu bardziej jeszcze potwierdził moją tezę o rozbieżności tych dwóch literatur, przez codzienną praktykę administracyjną. O ile bowiem literatura peerelowska — która nie jest, jak to się często mówi: „popierana", lecz po prostu wydawana przez partię-państwo, stanowi jego własność wydawniczą — zalewa kraj, o tyle polska literatura emigracyjna jest na terenie Polski policyjnie zakazana. O jakiejż więc tu wspólnocie można mówić?

Jeżeli więc Instytut Badań Literackich PAN jest innego zdania, i zwracając się do pisarzy emigracyjnych per: „współcześni pisarze polscy", traktuje ich za takich zgodnie z prawdą, to powstaje pytanie, czy zdaje sobie w pełni sprawę z niesłychanego paradoksu, że ci „współcześni pisarze polscy" nie mogą, nie mają prawa być czytani we współczesnej Polsce? Nie tylko nie posiadają debitu, ale nawet ich pojedyncze książki są przez „polską" służbę celną, „polską" cenzurę, „polską" policję, na „polskiej" granicy konfiskowane. I przedostają się jedynie drogą nielegalnego przemytu. Właśnie całość literatury emigracyjnej traktowana jest w PRL jako coś obcego, bo bez względu na polityczną czy apolityczną treść. Osobiście, nawet swej powieści historycznej z pierwszej wojny Sprawa pułkownika Miasojedowa jednego egzemplarza z dedykacją, i tego nie mogłem dostarczyć bliskiej mi osobie w kraju. Korespondencja „współczesnych pisarzy polskich" jest kontrolowana lub nie dochodzi do adresata w Polsce; wycinki gazetowe, wzmianki, recenzje, wszystko jest konfiskowane, każdy druk. Czy Droga Pani takiego stosunku do „współczesnego pisarza polskiego" nie uważa za bezprzykładny w dziejach Polski?! Jeżeli dzieje PRLu chce Pani uważać za dzieje Polski, a nie, jak ja, za dzieje partii komunistycznej...

Z drugiej strony pozwolę sobie zauważyć, że nie słyszałem dotychczas o tym, aby Instytut Badań Literackich, Polska Akademia Nauk, Związek Literatów, Związek Dziennikarzy, Związek Artystów czy ja wiem zresztą jaki, jakikolwiek inny związek, zrzeszenie, instytucja kulturalna w PRL czy wreszcie jacyś pojedynczy pisarze — kiedykolwiek, gdziekolwiek bądź, zgłosili postulat czy żądanie wolnego debitu dla książek polskich w Polsce... Że tam wyrzucono kogoś z komunistów z partii, innego aresztowano, a trzeciego komunistę pozbawiono katedry, owszem, o protestach z tego powodu się słyszy. Ale żeby ktoś zaprotestował przeciwko zakazowi dopuszczania książek współczesnych pisarzy polskich do Polski, o takim proteście było i będzie na pewno głucho. Cenzura nie zezwoli? Zapewne. Ale nie słyszałem też, by którykolwiek z licznie wojażujących po wolnym Zachodzie uczonych, artystów i pisarzy z Warszawy, wypowiedział się kiedy publicznie w tym sensie.

Natomiast, to prawda, są liczne próby podkładania kładek pod kompromisowe „pomosty"; i zdarza się, istotnie, że niektórzy na takie kładki wskakują. Im z Warszawy podsuwane.

Raptem otrzymuję ankietę dla zgłoszenia się do rzędu „współczesnych pisarzy polskich", z... Warszawy.

Dziękuję. Nie poczuwam się do tej wspólnoty.

Zechce Droga Pani... itd.

Józef Mackiewicz (fragment listu do Edwarda Duszy, napisanego w roku 1980 lub nieco później, cyt. za: Józef Mackiewicz, Katyń - zbrodnia bez sądu i kary, zebrał i opracował Jacek Trznadel, Polska Fundacja Katyńska, Wydawnictwo ANTYK Marcin Dybowski, Warszawa 1997, s. 446-447):

12. [O książkach o Katyniu]

[...] A teraz muszę odpowiedzieć na Pański list z dn. 16 września 1980 roku, w którym zapytuje Pan mnie o "manuskrypt polski mojej książki o Katyniu". Musiałem na to pytanie już wielokrotnie odpowiadać ostatnio. Poza prof. Zawodnym, nie ma innej książki o Katyniu na świecie, tylko moja. Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów, z przedmową gen. Andersa, w Londynie etc., po polsku i angielsku, to jest też moja książka. A było tak.

W roku 1945, gdy przedostałem się z kraju do Włoch, "Biuro Studiów" II Korpusu Polskiego (Zdzisław Stahl) zwróciło się do mnie z propozycją napisania książki o zbrodni katyńskiej. Ale nie pod moim nazwiskiem, lecz w postaci "białej księgi", urzędowego zbioru dokumentów i relacji. Zgodziłem się na to. Książkę napisałem. Była w niej również moja osobista relacja z pobytu w Katyniu w 1943 r. Wszystko było dobrze, dopóki generał Anders nie wpadł na pomysł wydania mojej książki po francusku pod własnym nazwiskiem swoim. Wynikła z tego długotrwała kłótnia, której szczegółów nie będę tu opisywał. W rezultacie - zerwanie. Stahl zaczął się podawać za autora mojej książki, ponieważ był wtedy szefem tego Biura Studiów. Ja nie chciałem występować osobiście przeciwko gen. Andersowi ze względów politycznych. Były mediacje, sądy rozjemcze etc. Zresztą o tym, że to ja napisałem tę książkę, było w prasie emigracyjnej kilkakrotnie.

Stahl (Anders) wyrzucili w późniejszych wydaniach moją osobistą relację, którą ostatnio zamieścił "Dziennik Polski" w Londynie. Stąd list Jędrzejewicza tamże zamieszczony, który przyczynił się jeszcze do zamieszania.

Bo było znowuż tak: zaraz po zerwaniu ja napisałem bardziej potoczystą wersje własnej książki i przetłumaczyłem ją na angielski (tłumacz Sapieha), ukazała się w wielu językach; angielskim, niemieckim, hiszpańskim, włoskim, portugalskim i francuskim. Po polsku nie mogłem jej wydać, gdyż byłyby to dwa grzyby w barszczu. To prawda, w późniejszych wydaniach podjętych przez biuro Andersa, Stahl dołączył materiały, jakich ja nie miałem (na przykład zeznanie dr Wodzińskiego). Całość jednak i w piśmie, i w kompozycji, to jest ta sama moja książka.

W międzyczasie, jeszcze z Rzymu, przesłałem kopię Jędrzejewiczowi do Instytutu Piłsudskiego w Ameryce, stąd jego list do "Dziennika Polskiego".

Amerykańskie wydanie tej książki British Books Center, New York, 1952.

Czy ja dostatecznie jasno napisałem, bo w ostatnich czasach jestem w złej formie, każde pisanie sprawia mi trudność. [...]

13. Dlaczego jedynie prawda jest ciekawa?

W artykule Literatura contra faktologia ("Kultura" nr 7-8, 1973) Józef Mackiewicz napisał:

[...] Jestem za ścisłością, gdyż wydaje mi się, że jedynie prawda jest ciekawa. Ale jednocześnie prawda jest z reguły bardziej bogata i wielostronna, i barwna, niż wykoncypowane jej przeróbki. To tak jak człowiek. który wychodzi z sali wystawowej obrazów współczesnego abstrakcjonizmu, w letni, kolorowy dzień życia, i raptem uprzytamnia sobie, o ile tamta sztuczność jest jednostajna i nudna w zestawieniu z różnolitością prawdziwego otoczenia. Prawda bywa też z reguły bardziej wstrząsająca, bardziej ponura, czy bardziej podniecająca, bardziej "sensacyjna" i bardziej "kryminalna" od wymyślnych sensacyjnych i kryminalnych powieści. Zupełnie nie widzę powodu odbiegania w twórczości literackiej od prawdy historycznej, ażeby wywołać zamierzony efekt "prawdy artystycznej".[...]
Józef Mackiewicz („Gwiazda Polarna", 1982, nr 15, cyt. za: Barbara Truchan, Józef Mackiewicz w mej pamięci, Wydawnictwo Placówka, Warszawa, Nowy Jork 1998, s.103-113)

14. MIEJMY NADZIEJĘ...

Próba definicji tego, co się dzieje w PRL, jest znacznie utrudniona ze względu na zalew dezinformacji, ignorancji, częściowo nieświadomego albo świadomego zakłamania. Do nich zaliczyć trzeba nie tylko dezinformacje lansowane przez centrale komunistyczne w Warszawie i Moskwie w ich taktyce politycznej, ale też rozmaite nacjonalistyczne wishful thinking narodów podkomunistycznych, które ze swej strony dezorientują rządy narodów wolnych w ich stosunkach z blokiem sowieckim.

Do kardynalnego z tych błędów należy:

I. Identyfikowanie Związku Sowieckiego ze starą Rosją, jej tradycjami, dążeniami, "duchem" etc., słowem z "Imperializmem Rosyjskim"... W istocie rzecz ma się akurat odwrotnie. Związkowi Sowieckiemu obce są nie tylko natura i cele dawnej Rosji, ale ponadto właściwe cechy klasycznego "imperializmu". Zasada bowiem każdego imperializmu polega na wykorzystaniu krajów podbitych dla korzyści własnego kraju (metropolii) i własnego narodu. Tymczasem ani Rosja, ani Rosjanie w Związku Sowieckim nie osiągają żadnych korzyści z celów i działalności międzynarodowego komunizmu, a są jego pierwszymi ofiarami i częstokroć żyją w gorszych warunkach niż ludzie w krajach rzekomo "kolonialnych", czyli podbitych przez centralę komunistyczną w Moskwie.

To odwrócenie rzeczywistości niejako do góry nogami, leży jednak w nacjonalistycznym programie "narodów ujarzmionych", którym najwidoczniej chodzi nie o obalenie ustroju komunistycznego, lecz o uzyskanie więcej swobód i praw ściśle nacjonalistycznej natury- w tymże ustroju komunistycznym. Przykładowym hasłem tego rodzaju jest tu spotykane często: polski (ukraiński, białoruski etc.) socjalizm (komunizm) nie jest tak zły, byle tylko nie był "rosyjskim".

II. Międzynarodowy komunizm z centralą w Moskwie nie jest "imperializmem" w potocznym tego słowa znaczeniu, lecz dążeniem do opanowania całej kuli ziemskiej, całego świata, wszystkich narodów, celem narzucenia temu światu totalitarnego ustroju komunistycznego. Żadne "rusyfikacje" nie są i nie były celem komunizmu, lecz wyłącznie skomunizowanie świata. Znane są środki, którymi w tym celu się posługuje. Infiltracja, indoktrynacja, masowa i szczegółowa propaganda, które do tego celu prowadzą. Jest to największe zagrożenie świata od czasu jego istnienia.

Przydawanie temu zagrożeniu cech "imperializmu", a zwłaszcza imperializmu jednego tylko narodu, nie tylko wprowadza w błąd opinię światową, ale przede wszystkim pomniejsza to zagrożenie. Stąd — pośrednio — leży w interesie Moskwy i jest przez nią w różnoraki sposób wyzyskiwane dla celów taktycznych.

III. Międzynarodowy komunizm w jego dzisiejszej postaci, jest rodzajem psychologicznej ZARAZY, niezależnie od narodowych czy ekonomicznych pobudek. Wolność, wolność prawdziwą, może dać tylko obalenie komunizmu, zniszczenie tego ustroju, niezależnie od języka jakim się posługuje. Zniszczenie to nie jest przepisem do załatwienia jakichkolwiek spraw i problemów granicznych, narodowościowych; ekonomicznych czy innych w krajach opanowanych przez komunizm. Jest to wyłącznie przepis na przywrócenie wolności. Ludzie pozostaną, jakimi byli zawsze: "źli" czy "dobrzy", ale wyzwoleni od zagrożenia komunistycznego.

IV. Czy świat chce, dąży do przywrócenia tej przed komunistycznej wolności? Oto jest pytanie, przed którym wszyscy stoimy. Czasem wydaje się, że chce, ale nie dąży. I to nie tylko świat jeszcze wolny, tzw. "świat zachodni", ale — paradoksalnie — ten zniewolony, ten podkomunistyczny. Różne są tego przyczyny. W pierwszym rzędzie działa psychoza strachu przed wojną (tzw. "konfrontacją"). Świat zachodni stawia na "ewolucję komunizmu". A podkomunistyczny, tzn. jego polityczna elita, na poprawę bytu bez przelewu krwi.

V. To, do czego dąży "opozycja" w PRL i w innych krajach podkomunistycznych — niewątpliwie nie jest dążeniem do obalenia, lecz, do "ulepszenia" komunizmu.

Ale jedno wyklucza drugie. Mój adwersarz polityczny, Stefan Kisielewski, traktowany za "wielkiego opozycjonistę", propagujący dziś "finlandyzację" Polski jako receptę polityczną, słusznie kiedyś zauważył: "Nie można czegoś <obalać> i <ulepszać> jednocześnie..."

Niewątpliwie Ruch "Solidarności" w PRL nie był nigdy dążącym do obalenia komunizmu, lecz do ulepszenia go. Poprawienia, zarówno warunków ekonomicznych, jak i społecznych. "Więcej chleba i wolności!" Był w tym konsekwentny. Zgodził się na dominującą rolę partii komunistycznej, byle w jej polsko-katolickim wydaniu. Nie można zresztą dążyć do czegoś ("obalenie ustroju"), gdy się samo takie dążenie (kontrrewolucja, użycie siły , etc., etc.) przezywa "oszczerstwem", "prowokacją" etc. W tym swoim dążeniu do "Porozumienia Narodowego" znalazł też pełne poparcie ze strony Kościoła. Od prymasa Wyszyńskiego począwszy, na papieżu Janie Pawle II skończywszy. I tu rozwarła się dziedzina niekonsekwencji, a częściowe zakłamanie w słowach i hasłach, gestach i komentarzach, przymykanie oczu na rzeczywistość. Bo: "porozumienie narodowe" z kim?

VI. Przytoczę tu drobny na pozór przykład. Lenin, w swoim liście do Gorkiego, napisał: "Bóg to jest zdechłe ścierwo, które smrodem swego rozkładu zatruwa cały świat....” Nigdy tego zdania nie wycofał i każdy wie, że aż do śmierci nie zmienił. Z drugiej strony cały świat wie, że leninizm, czy marksizm-leninizm, stanowi najwyższy cel i ideał międzynarodowego komunizmu. A Lenin jest jego największym prorokiem po dziś dzień. Powstaje pytanie czy papież obecny, który unika wypowiedzenia słowa "komunizm", wie o tym liście Lenina, o rzeczywistej dążności każdego komunizmu, który pragnie zniszczenia wiary w każdego Boga? ...I oto dochodzi do paradoksalnego zdarzenia: podczas jakiejś manifestacji robotniczej "Solidarności" w Gdańsku, w hucie im. Lenina, powieszono na ścianie obok portretu Lenina portret papieża. Akt ten poczytany być musiałby za ciężka obrazę dla namiestnika Chrystusowego. Tymczasem uznano go powszechnie jako akt hołdu dla papieża, dowód katolickiego nastawienia robotników i przejaw "opozycyjnych" dążeń wolnościowych. Jest to jeden drobny przykład w paśmie niekonsekwencji, pomieszania pojęć itd., których tu wyliczać nie będziemy.

Czy na niekonsekwencji i pomieszaniu pojęć można budować coś trwałego? Moim zdaniem, nie. A do takich właśnie należy wiara, że możemy stworzyć komunizm gwarantujący ludziom wolność osobistą, polityczną, ekonomiczną czy jakąkolwiek inną. I to mimo oczywistości jaka zaistniała i trwa od 1917 roku, że bez obalenia komunizmu o żadnych "wolnościach" w nim marzyć nie można.

15. KLASYCZNY PREKURSOR

Tego, co się dzieje w Polsce, mieliśmy przed 60-ciu laty klasyczny wzór. Tzw. wypadki w Kronsztadzie ("Bunt Kronsztadzki") koło Piotrogrodu, w marcu 1921 roku.

Nie lubi się tych wypadków analizować. Już w sierpniu 1920 roku wybuchły rozruchy w guberni tambowskiej (Powstanie Antonowa). Następnie na Powołżu, na Ukrainie, Kaukazie, Zachodniej Syberii etc. Inflacja i kryzys gospodarczy wzmagał się. W styczniu 1921 roku rząd bolszewicki zmniejszył racje żywnościowe. W lutym doszło w Moskwie do demonstracji robotniczych i strajków. 23-go lutego w fabrykach Piotrogrodu (jeszcze nie przemianowanego na Leningrad) doszło do strajków i demonstracji ulicznych. Rząd zmobilizował początkowo ruchome oddziały "czerwonych kursantów", a następnie ogłosił stan wojenny, wzywając jednocześnie robotników do powrotu do pracy. Dnia 27 lutego pojawiły się na ulicach Piotrogrodu ulotki Komitetu Robotniczego wzywające robotników:

„Towarzysze! Zachowajcie rewolucyjny porządek. Żądajcie wypuszczenia aresztowanych socjalistów i bezpartyjnych robotników! Żądajcie zniesienia stanu wojennego!...”

Następnego dnia 6 tysięcy robotników Zakładów Putiłowskich wyszło na ulice. Rządowi bolszewickiemu udało się złamać demonstracje. Ściągnięto wojska i znaczne oddziały milicji. Jednocześnie podwyższono robotnikom racje żywnościowe. Wieści o wypadkach w Piotrogrodzie doszły do Kronsztadu. Załogi statków pancernych "Pietropławsk" i "Sewastopol" zwołały wiece. Wysunięto wtedy różne żądania, ale — nie zrywając z ustrojem. M.in. "Władza Sowietom, niezależnie od Partii!"... I jednocześnie: "Precz z kontrrewolucją, zarówno z prawa jak z lewa!...". Ton został zachowany klasycznie "socjalistyczny".

Wyrzekano się jakiejkolwiek wspólnoty z antykomunistyczną kontrrewolucją i samo podejrzenie o taką wspólnotę piętnowano jako "oszczerstwo" i "prowokację". Wzywano do "nieprzelewania krwi". Do spokoju i solidarności. Rząd bolszewicki zmasował wojska. Komitet rewolucyjny marynarzy i robotników odpowiedział odezwą:

„Niech cały świat wie, że jesteśmy obrońcami władzy Sowietów (rad) i stoimy na straży zdobyczy Socjalnej Rewolucji. Zginiemy albo zwyciężymy!”

Te hasła nie pociągnęły całego kraju do powstania. Wielu odstręczyły od udziału. Bolszewicy rozbili "opozycję" robotniczo–marynarską. Jej przywódcy uciekli do Finlandii. A mocarstwa zachodnie?.. Dnia 16 marca 1921 roku Wielka Brytania podpisała układ handlowy z rządem bolszewickim. Tegoż dnia Turcja układ "przyjaźni". A 18 marca Polska zawarta układ pokojowy z Moskwą. Jeszcze wcześniej, na X Zjeździe Partii, 8 marca, Lenin ogłosił swój słynny manifest o wprowadzeniu w kraju polityki "NEP-u". Już wtedy, jak i później, uznano ten zwrot taktyczny za "nieodwracalny". Chłopi wrócili do pracy "na swoim" radośnie.

Ten "komunizm z ludzka twarzą" przetrwał kilka lat. Potem nastąpiła kolektywizacja, wydziedziczanie, masowe zsyłanie "kułaków" do łagrów i straszna nędza całego kraju. Jak wszędzie pod rządami komunistycznymi.

16. DZIWNE ZNIKNIĘCIE LENINA

W dzisiejszych wystąpieniach przeciwko komunizmowi, a zwłaszcza w klasycznej propagandzie zachodu, rzucić się musi w oczy, że o Leninie i jego bolszewizmie prawie, albo wcale się nie mówi w tonie pejoratywnym. Podczas gdy masa jest tego o Stalinie, stalinizmie, neostalinizmie etc., jakby wszystko zło od Stalina się zaczęło, a nie od jego poprzednika, Lenina. ..Dlaczego tak? Przecież rzeczywistość była odwrotna.

To Lenin pierwszy wprowadził obozy koncentracyjne, z których najsłynniejszy znajdował się na wyspach Sołowieckich. To Lenin kazał topić oficerów carskich w przedziurawionych barkach na Morzu Białym. Rozkazał wymordować całą rodzinę cesarską, łącznie z dziećmi i wiernymi sługami.

Leninowskie czasy NEP-u uchodzące za prototyp "komunizmu z ludzką twarzą", były jednocześnie czasami krwawych rządów "Czeka" i GPU, sprawowanych rękami Polaka, Dzierżyńskiego. Połączone z okresem największych prześladowań religijnych. Tysiące księży prawosławnych, katolickich i innych wyznań, arcybiskupów, biskupów- zostało wymordowanych; świątynie zamieniono na składy, a nawet stajnie. Pokazowy był m.in. proces, biskupa katolickiego Cieplaka i generalnego wikariusza Butkiewicza, których skazano na karę śmierci. Cieplaka wypuszczono później do Polski; a prałata Butkiewicza zastrzelono w podziemiach "Czeka". W tym czasie moskiewska "Prawda" z 31 marca 1923 roku

wystąpiła z artykułem, że wyrok śmierci wydany powinien być na papieża w Rzymie, jako źródło wszelkiej kontrrewolucji na świecie. Terror antyreligijny objął wszystkie kraje ówczesnej Bolszewii.

Dziś raptem o tym wszystkim głucho... Rzecz odwrócona została na Zachodzie do góry nogami według takiej mniej więcej formuły: "dobry" Lenin zrzucił złego cara, ale "zły" Stalin popsuł dzieło Lenina... Amerykańska stacja radiowa Free Europe, z pewnego rodzaju triumfem w tonacji, przekazywała w lutym 1982 roku wystąpienie przywódcy komunistów hiszpańskich Cari1lio, który potępił wprowadzenie stanu wojennego w Polsce i powiedział, że dzisiejszy komunizm w Moskwie "odszedł od ideałów bolszewickiej rewolucji październikowej"... Brzmi to jak szyderstwo. Ale oto polskie czasopismo "Polska w Europie", wydawane w Rzymie, niewątpliwie z poparciem sfer watykańskich, w nr 1 z 1982 roku w artykule pt. "Wolność dla Narodu Polskiego", cytuje obok wypowiedzi episkopatów, wystąpienia w obronie Polski: Enrico Berlinguera, sekretarza Komunistycznej Partii Włoch; Tetsuzo Fuwa, przewodniczącego sekretariatu Japońskiej Partii Komunistycznej; Kenji Miyamoto, przewodniczącego Japońskiej Partii Komunistycznej ... i podkreśla: "W sprawie polskiej solidaryzują się partie komunistyczne Japonii, Włoch i Hiszpanii"... w tonie dla tych partii pozytywnym. Jest li więc to pismo antykomunistyczne, czy raczej prokomunistyczne, cieszące się "solidarnością" z tymi partiami? Te rzeczy przekazuje się na tamtą, podkomunistyczną stronę dla otuchy rodaków... Zgodnie zresztą ze stanowiskiem całego tzw. Zachodu.

Tłumaczy się to dwojako. Po pierwsze słowo "rewolucja", każda rewolucja, przyjęto na zachodzie traktować jako pojęcie pozytywne. Słowo: "kontrrewolucja", każda kontrrewolucja, jako pojęcie negatywne, a nawet obelżywe wyzwisko. Zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, które swoje oderwanie od Wielkiej Brytanii w XVIII wieku, i ustanowienie niezależnego państwa w Ameryce nazwały "rewolucją". Takoż w Europie, gdzie "Wielką Rewolucję Francuską" przyjęto traktować za początek nowej, postępowej ery. Stąd w przeniesieniu na politykę bieżącą tzw. Wolnego Świata Zachodniego w odniesieniu do Moskwy: nie ma to być polityka obalenia komunizmu (byłaby kontrrewolucją!), lecz stawka na Ewolucję, na "prawdziwy socjalizm", i szukanie w tej

stawce sojuszników wśród lewicy, a już zwłaszcza. "opozycji" wśród komunistów samych. A więc w Eurokomunizmie, w czerwonych Chinach i tak dalej. Nie można przecież pod antykomunistycznym sztandarem jednać i jednoczyć dla siebie — komunistycznych sojuszników... Ani obrzydzać i piętnować ich proroka, którym pozostał dla wszystkich komunistów- Lenin! Można natomiast bić w Stalina i "neostalinowców", którzy "wypaczyli naukę Lenina"...

Stąd jako słowa obelżywe pod adresem Moskwy nadaje się przez radio: "kontrrewolucjoniści", "czerwoni faszyści" etc. Albo w obliczu polskiego stanu wojennego wprowadzonego przez Jaruzelskiego: "junta generalska", „junta neostalinowców”, "konserwatyści partyjni", "banda czerwonych reakcjonistów" i podobne temu epitety .Ale nie do pomyślenia było by piętnować ich np. per "banda bolszewicka!"...

Tymczasem byłoby to określenie najbardziej ścisłe. Gen. Jaruzelski nie jest ani zdrajcą, jak go przezywają w pewnych kołach emigracyjnych, ani żadnym targowiczaninem osiemnastowiecznym, co jest w przeniesieniu na dzisiejsze czasy określeniem śmiesznym. Jest po prostu komunistą. Zdrajcą byłby, gdyby zdradził komunizm, któremu służy. Tego właśnie wielu dysydentów i opozycjonistów pojąć nie może. Mimo wszystkich taktycznych skrętów i kłamstw komunizmu, ta szczerość z otwarta przyłbicą stanowi też o pewnej moralnej sile komunistów. Podobnie jak Jerzy Putrament wśród pisarzy PRL jest szczerym w swym stanowisku. Znałem go przed wojną jeszcze. Zawsze był komunistą i takim pozostał. To co pisze, jest mi wrogie, ale wiem, że szczere. Podczas gdy plejada współczesnych pisarzy w ich wykrętasach, niedomówieniach, autocenzurze, przystosowaniu do zgody narodowej etc. bywa pełna zakłamania wewnętrznego i pisze nie ze szczerości wewnętrznej, a z troską o "nie przekroczenie granicy", domówienia prawdy, "nie wychylania" się zbytnio, dopasowania do zewnętrznej formy. To jest ich słabością. Należą do nich ludzie zarówno o antykomunistycznej przeszłości, jak też byli komuniści przerzuceni do "dysydentów'.

Ani Zachód ani ruchy opozycyjne w bloku sowieckim — w znacznym stopniu manipulowane przez partię — nie walczą i nie chcą walczyć z samym komunizmem.

17. "NIE DOPUŚCIĆ DO PRZELEWU KRWI !"

Jest to hasło najbardziej rozpowszechnione w tamtym świecie, szczególnie podkreślane przez najwyższy autorytet moralny, jaki reprezentuje w tym świecie Głowa Kościoła Katolickiego. Nie dopuścić do przelewu krwi w walce z komunistami.

Mieszkam w Niemczech i trafia mi do rąk drobna notatka gazetowa pewnej statystyki niemieckiej: W ciągu ubiegłego roku1981 w wypadkach samochodowych zginęło na drogach NRF: 11.800 zabitych i 470.000 rannych (z których znaczny odsetek zmarł następnie w szpitalach, lub został okaleczony na resztę życia). Nie miejsce tu na przytaczanie i analizę statystyk porównawczych. Tak jest w jednym, niezbyt dużym, kraju Europy. Wszelako wiemy, że statystyka analogiczna wykazuje — mniej lub więcej — ten sam procent, we wszystkich krajach Europy. A w całym świecie? Cyfry te, zaokrąglone prowizorycznie, idą w miliony. W pomnożeniu na lat np. dziesięć, wyniosłyby... -Nierozsądnie, naturalnie, byłoby wymagać od papieża, czy innych instancji światowej moralności, by potępiały rozbudowę światowego ruchu samochodowego, lub zgoła domagały się zniesienia go. Można jednak sobie wyobrazić ten wielki krzyk, jaki by się podjął, gdyby tyle samo ludzi ginęło w walce z komunizmem. A przecież opanowanie kuli ziemskiej przez komunizm światowy wydaje się sprawą wielokrotnie ważniejsza niż rozwój ruchu samochodowego. Z tego zestawienia ludzie mogą się słusznie śmiać. Niemniej widzimy, że nie o sam przelew krwi chodzi, lecz o cele, w jakich się ją rozlewa.

Podobnie jest z potępieniem wojny. Każdej wojny, tak się mówi. Ale mówi się niesłusznie. Znany publicysta brytyjski, Philip Vander Est, opracował w roku 1979 obszerne dzieło obejmujące statystykę mordów komunistycznych. Według tego opracowania, począwszy od roku 1917, czyli od "Wielkiej październikowej", komuniści wymordowali 143 milionów ludzi... Tzn. wielokrotnie więcej niż wciągu swego życia i wojen, zdołał wymordować Hitler. (Zauważmy na marginesie: w Rosji carskiej od roku 1821 do roku 1906 stracono zaledwie 997 ludzi). Trudno sobie wszakże wyobrazić, aby papież i moralność opinii publicznej mogły ocenić dzisiaj wojnę przeciwko Hitlerowi jako "zbrodnię"... Oczywiście, że niepodobna wyobrazić. Każdy zgodzi się z tym, że była to wojna słuszna, i bez tej wojny hitleryzm mógłby w dalszym ciągu szaleć na ziemi. Dlaczego jednak w takim razie wojna przeciwko komunizmowi ma być "zbrodnią"?... Mnie się zdaje, że każda wojna przeciwko zbrodniarzowi winna być uznana za słuszną i sprawiedliwą.

Wojen tak czy owak, nie wykreśli się z życia ludzkości. W ciągu ostatnich 300 lat mieliśmy tylko 60 lat bez wojen. Od roku 1945, czyli od końca ostatniej światówki, było ich na ziemi czterdzieści...

Wymyślono super-straszak: wojna atomowa, która może zniszczyć naszą planetę. Po każdym nowym wynalazku, od nowego systemu łuków począwszy, poprzez artylerię, karabiny maszynowe, gazy trujące, przepowiadano koniec ery wojen, jako zbyt niszczącej. Nic się nie sprawdziło. Hiroszima do teraz uchodzi za symbol

odstraszający. Ale nie mówi się o tym, że bombardowanie Drezna przez bombowce alianckie w ostatniej wojnie, zwykłymi bombami lotniczymi, pociągnęło za s o ba czterokrotnie więcej ofiar. Nie mówi się, bo — nie wypada....

To, co wypada, a "nie wypada" mówić, jest wielkim hamulcem w naszym rozwoju intelektualnym, w ogóle. A już politycznym, w szczególe.

18. ZNOWU: PRAWDA NA WYWRÓT...

Przedstawia się Związek Sowiecki jako (uzbrojone po zęby) mocarstwo wyjątkowo potężne militarnie. W rzeczywistości jest odwrotnie. Związek Sowiecki jest chyba najsłabszym mocarstwem w dziejach. Bywały różne. Ale takiego, którego 90 procent własnej ludności pragnęłoby upadku, jeszcze nie było. Ten, kto przeżył ostatnią wojnę sowiecko-niemiecką i widział to, co się działo w początkach na własne oczy... Właśnie nie wypada o tym opowiadać głośno. Po wkroczeniu Hitlera w czerwcu 1941 przyjęte zostało powszechnie przez całą ludność, w tym rosyjską w szczególności — jako "wyzwolenie". Ale kto opowiadał się za Hitlerem, ten jest w oczach opinii "zły". Więc i przykład, choć naoczny, jest "zły"... Nie będę przytaczał przykładów powszechnie znanych, i zresztą zafiksowanych w licznych dziełach: całe armie sowieckie poddawały się masowo, przechodziły na stronę najeźdźcy .A ludność witała go chlebem i solą. Liczba jeńców w ciągu pierwszych miesięcy doszła do niebywałej cyfry wielu milionów. — Jednakże Hitler przegrał wojnę...

Znamy Hitlera i jego system niezliczonych zbrodni. Mniej znana natomiast jest jego bezgraniczna głupota; głupota jego systemu i jego koncepcji politycznych. Miał on wojnę już wygraną w kieszeni zanim przekroczył sowiecka granicę. I zrobił wszystko, aby -ją przegrać... Hitler nie walczył z komunizmem. Jest tej "nie walki" pokazowym przykładem. Walczył z narodami i "rasami". Za wroga uważał nie komunizm, lecz "rasę żydowską", narody słowiańskie. Bolszewizm był dla niego tworem rasy żydowskiej; ludzi wschodnioeuropejskich traktował za "pod-ludzi". Sam będąc rewolucjonistą i przede wszystkim nacional-socjalistą — nienawidził wszelkiej kontrrewolucji i zresztą wszelkiej "prawicy" z duszy całej. Wielokrotnie mówił, że żołnierz niemiecki walczy na wschodzie z Sowietami, nie po to, by wprowadzać stan kontrrewolucyjny w Rosji. Porównywał Rosjan do ludzi "z błota"... W ten sposób "wyzwolenie" którego się spodziewano, zamienił w krwawe deptanie godności ludzkiej. Zamienił "wyzwolenie" we własną klęskę.... A mimo to, jeszcze miliony ludzi — (Rosjan 1 800 000, Ukraińców, Białorusinów, mieszkańców Krajów Bałtyckich, Kaukazu, Donu, Azjatów etc.) wytrwało po hitlerowskiej stronie antysowieckiej z bronią w ręku do końca. Tak wielką nienawiść żywili do ustroju komunistycznego.

W dzisiejszym nastawieniu tzw. "Zachodu" (Polski nie wyłączając) jest właściwie wiele z tego "hitleryzmu" w ocenie Bloku Sowieckiego. Nie chce się widzieć komunizmu, lecz "Rosję" i "Rosjan". Tymczasem rozbicie tego bloku polega nie na sile militarnej, lecz polityczno-propagandowej. Recepta jest gotowa: wziąć wzór polityki Hitlera i — zrobić wszystko odwrotnie, niż on to uczynił... Czyli z "najeźdźcy" przeistoczyć się w autentycznego "wyzwoliciela".

Ale nawet z punktu czysto militarnego Związek Sowiecki jest wielokrotnie słabszy od "Zachodu". Niedawno Szwedzki Instytut Badań Wojennych w Sztokholmie ogłosił wyniki tych badań w czasopiśmie "EST". Jest to szczegółowa analiza, której przytaczać tu nie będziemy z braku miejsca. Opracowanie wszystkich odcinków terenowych, rodzajów broni i sytuacji porównawczych z Zachodem. Wynika z tego, ze militarnie na lądzie, na morzu i w powietrzu Pakt Warszawski jest co najmniej pięciokrotnie słabszy od Paktu Atlantyckiego. A nie odwrotnie, jak to się lubi przedstawiać. W sumie licznie z broniami atomowymi.

Stąd Związek Sowiecki i cały jego Blok jest mocarstwem, które najbardziej obawia się otwartej wojny ("Konfrontacji"). Gdyż przy trafnej ocenie ze strony Wolnego Świata i zastosowania trafnej polityki, Blok Sowiecki rozpadnie się w drzazgi przy pierwszym zderzeniu wojennym. Rozpadnie się też cała ofensywna, psychologiczna sieć komunizmu, która dziś oplątuje i zagraża kuli ziemskiej

19. RACHUNEK PROSTY

Międzynarodowy Komunizm wychodzi z założenia bardzo prostego rachunku: Po co narażać się na ryzyko wojny (zguba), gdy można bez wojny, niejako gołymi rękami opanować świat. Stąd cały komunistyczny plan ofensywny związany jest ściśle z planem obronnym w jedną całość. Infiltracja, indoktrynacja, dezinformacja, opanowanie wpływowych sfer wolnego świata przez wszelkiego rodzaju lewicowców, „progresistów", pacyfistów etc. etc., przez wpływy komunistyczne są nam wszystkim bardzo dobrze znane. Już w dwudziestych

latach zaprojektowany był z powodzeniem prowokatorski plan, znany pod mianem "TRUST", który z jednej strony miał wszczepiać na Zachodzie przekonanie, że w Sowietach zachodzą wielkie, wewnętrzne przemiany "ewolucyjne", z drugiej strony przestrzegać przed wojną, która by te przemiany unicestwiła i wzmocniła bezkompromisowość komunizmu. Od tego czasu nadzieje na "ewolucje" Moskwy nie ustały w wolnym świecie, znakomicie wzmacniane manipulacją różnymi "dysydentami". Po drugiej wojnie głośne stały się komunistyczne "Kongresy Pokoju". Jednało się do nich, kogo się dało, zwłaszcza wśród intelektualnych, "postępowych" chrześcijan. Dziś okazały się niepotrzebne, od kiedy papieże po II Soborze Watykańskim, uczynili z POKOJU najwyższą cnotę i podnieśli do godności nieomal świętego kanonu: Byle nie wojna! Byle nie przelewać krwi! Nie tylko w wojnie zewnętrznej ale i — uchowaj Boże w wewnętrznej kontrrewolucji! Tym bardziej wylansowano, już na wielką skalę i w nowym wydaniu, "nieantagonistyczną opozycję" w państwach komunistycznych.... Tzn. taka, która dąży do "poprawy'" ewolucyjnej komunizmu, ale wyklucza obalenie go siłą. Zaczęło się to w samych Sowietach jeszcze za Chruszczowa. Słynne pierwsze "samizdaty", nawet z adresami redakcji i autorów, czyli na wpół jawnie, zasłynęły w całym świecie. Znaczenie tym większe, że jednocześnie utwierdzały Zachód w zachodząca w Bloku komunistycznym "EWOLUCJĘ", o której wszyscy marzą, gdyż stanowi alternatywę wszelkiej wojny, a nawet ją wyklucza. W ten sposób zabłysnęli "opozycjoniści" tej miary jak Sacharow i Sołżenicyn. Po nich przyszła plejada innych. Wszystkie głośne. organizowane na Zachodzie "przesłuchania im. Sacharowa" odznaczały się tym, że przy ich rzekomym antykomunizmie dopuszczano tylko "niewinne ofiary".

Józef Mackiewicz (cyt. za: Od Herberta do Herberta. Nagroda "Wiadomości" 1958-1990, opracowanie i przedmowa Stefania Kossowska, postscriptum Tadeusz Nowakowski, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1993)

20. Opinie o książkach i literaturze

[Opinie członka "akademii Grydzewskiego" o literaturze, książkach i autorach]

Redaktor londyńskich "Wiadomości", Mieczysław Grydzewski (1894-1970), w numerze z 17 maja 1959 r. zapytał czytelników: "Kogo wybralibyśmy do złożonej z 15 pisarzy emigracyjnych akademii literatury polskiej, gdyby taka akademia powstała?" W tym plebiscycie czytelniczym, którego wynik ogłoszony został w numerze z 11 października 1959 r., następujący pisarze znaleźli się w pierwszej piętnastce, w kolejności zgodnej z liczbą otrzymanych punktów: Kazimierz Wierzyński (4656), Mieczysław Grydzewski (3362), Ferdynad Goetel (2853), Józef Wittlin (2454), Zygmunt Nowakowski (2187), Marian Kukiel (2148), Józef Mackiewicz (2037), Oskar Halecki (2036), Wacław Grubiński (1968), Czesław Miłosz (1866), Tadeusz Nowakowski (1747), Stanisław Baliński (1484), Tymon Terlecki (1429), Jan Rostworowski (1072), Józef Łobodowski (1060). Grono to w latach 1959-1990 nagradzało co roku "najwybitniejszą książkę Polaka wydaną na emigracji" nagrodą "Wiadomości" w wysokości 100 gwinei ufundowaną przez Anglika Auberona Herberta.

Członkowie "akademii Grydzewskiego" wysuwali kandydatury do nagrody, dyskutowali nad nimi podczas corocznych spotkań połączonych z kolacją lub przekazywali swoje opinie listownie (zdjęcie).

Jak pisze Stefania Kossowska, "przez ponad 30 lat trwania jury jego skład zmieniał się wielokrotnie i w chwili jego rozwiązania w 1991 r. z grona oryginalnych członków pozostali tylko Tadeusz Nowakowski i Tymon Terlecki" (op. cit., s. 11). Pisze też, że "jedną z najbardziej kontrowersyjnych zasad regulaminu była wyrażona w nim dyktatorska zasada, że członkostwo jury jest dożywotnie i kto został raz wybrany nie ma prawa zrzec się wyboru. Zrobił to Miłosz, czego nieustępliwy Grydzewski nie przyjął do wiadomości i Miłosz był stale wymieniany w sprawozdaniach z jury. [...] Tylko dwa razy wycofanie się z jury miało poważniejszy powód. Gdy w 1963 r. nagroda została przyznana Gombrowiczowi, Zygmunt Nowakowski założył veto i oświadczył, że więcej nie będzie brał udziału w jury. Nie wiadomo czy byłby trwał przy tej decyzji, gdyż nie dożył następnego zebrania. Umarł w 1963 roku.

Drugim dysydentem był Józef Mackiewicz, który po przeczytaniu w 'Wiadomościach' spisu kandydatów zgłoszonych do nagrody 1978 r. zaprotestował w liście do redakcji przeciwko wymienieniu książek Barańczaka, Konwickiego i Woroszylskiego oświadczając, że jest to sprzeczne z regulaminem, przewidującym nagrodę dla pisarza emigracyjnego, i że wobec tego nie weźmie udziału w najbliższym zebraniu jury (w marcu 1979). W następnym roku, dodając do kontrowersyjnych dla siebie pisarzy Jacka Kuronia, wysuniętego do nagrody, poprosił o skreślenie go z listy członków jury. Nie wziął udziału już w żadnym zebraniu, chociaż do śmierci w 1985 r. był zawsze wymieniany jako członek jury" (op. cit., s. 9, 12).

Na opinie J. M. o książkach przedstawianych do nagrody "Wiadomości" zwrócił mi uwagę i pomógł w ich tutaj umieszczeniu Pan Grzegorz Hajduk "Grzech" z Krakowa, za co bardzo Mu dziękuję.

Artykuł wspomnieniowy Stefanii Kossowskiej o udziale J. M. w pracach "akademii Grydzewskiego" można znaleźć na stronie Archiwum Emigracji Biblioteki Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu: http://www.bu.uni.torun.pl/Archiwum_Emigracji/Mac2.htm .

Kamil Koszyrski

*

1959: J. M. nadesłał uzasadnienie swoich kandydatur w liście, który przyszedł już po zebraniu jury [5 grudnia] i nie mógł być odczytany.

Wysunąłem kandydaturę książki Sambora "Łabędź Sabaudii" dlatego, gdyż uważam, że przede wszystkim powinny być nagradzane książki stanowiące pewien bezwzględny tzw. wkład do kultury, pewną niezaprzeczalną wartość, w odróżnieniu od wartości względnych, polemicznych, przemijających lub koniunkturalnych, pozostających na granicy tego, co często nazywamy nie książką ale "publikacją". Słowem, książkę, która wstawiona na półkę w 1958 r., nie przestaje być aktualna ciągle w latach następnych. W dziesięcioleciach.

Taka jest właśnie książka Sambora. Świetne tłumaczenie pism św. Franciszka Salezego, połączone ze świetnie napisanym komentarzem autora, jest typowym "wkładem", udostępniającym czytelnikowi polskiemu cząstkę tej wielkiej, wszechludzkiej kultury , którą zazwyczaj zmuszony jest szukać w językach obcych, a której mamy tak mało w języku własnym, publikując przeważnie rzeczy mniej lub więcej płynne, bieżące, aktualne. Wysuwając książkę Sambora, czynię to zupełnie - "bezinteresownie". Osobiście nie jestem bowiem "zainteresowany" ani w filozofii Salezego, ani w komentarzach filozoficznych autora.. Wbrew też intencjom wydawców, nie dostrzegam w tym dziele, używając wyświechtanego - i zresztą obrzydliwego - zwrotu przyjętego w mowie polskiej: "rzutowania" jej na sprawy współczesnego życia, w znaczeniu jakiejś propagandy chrześcijańskiej. Ale właśnie dlatego widzę w niej wartość samą w sobie. Zachętę dla pisarzy do oderwania się od nieubłaganego "zaangażowania", które stało się dziś normą nawet dla uzyskania nagrody Nobla. A literatura polska zawsze była i jest stale bardziej "zaangażowana" od innych. Coraz bardziej ulega temu prądowi, który nazwałem kiedyś "polrealizmem".

Można by powiedzieć: jak to! Przecież książka Sambora jest właśnie "zaangażowaniem" katolickim! Ja katolikiem nie jestem. Przeszedłem bowiem na prawosławie w 1938 r., w czasie gdy w Polsce spalono 138 cerkwi. Widzę w książce tej cząstkę głębokiej i ciekawej filozofii, którą warto poznać. To wszystko.

Dlaczego jednak warto ją nagrodzić, wyróżniając spośród innych zgłoszonych, dochodzę drogą eliminacji. Po prostu nie widzę bardziej wartej .

Natomiast zakładam zdecydowany sprzeciw przeciwko wysuniętej kandydaturze "Cmentarzy" Hłaski. Pomijam już, że talent Hłaski został wyraźnie i sztucznie wyolbrzymiony ze względów na spekulatywny kierunek polityki zagranicznej departamentu stanu U.S.A. Tzn. gdyby ten kierunek był inny i nie stawiał na titoizm w państwach komunistycznych, nie tylko nikt z obcych , ale i mało Polaków słyszałoby coś o Hłasce. Przede wszystkim jednak Hłasko nie podpada pod regulamin nagrody "Wiadomości". Regulamin mówi bowiem wyraźnie o "książce wydanej na emigracji". Nie mówi o książce wydanej na "obczyźnie", czy "poza Polską", czy "poza granicami kraju" itd. Mówi: "na emigracji", Żeby zaś być "na emigracji", trzeba samemu być emigrantem, Hłasko nie jest, nie był i nie poczuwa się za emigranta. Hłasko jest pokłóconym z "reżymem" komunistycznym młodym komunistą. Jego stosunek do komunizmu jest wewnętrzny, a nie zewnętrzny. Jego ojczyzną jest "Polska Ludowa", a nie Polska. Nie możemy rozszerzać tak dalece ram pojęcia emigracji i literatury emigracyjnej czy Polaków na emigracji, aby interesować się każdorazową kłótnią każdego komunisty ze swoim reżymem. Niech się kłócą na zdrowie, co to nas obchodzi. Że ktoś się obraził i wyjechał na kilka miesięcy, czy nawet kilka lat, ale jako emigrant się nie zadeklarował, emigrantem nie jest, i jego książki nie należą do wydanych "na emigracji", chociażby przypadkowo ukazały się w Paryżu. To tylko biurokracja amerykańska uważa, że Europejczyk, który przypadkowo urodził się w Chinach, należy do "kwoty chińskiej". Normalni ludzie rzeczy tej tak nie traktują. Zresztą Hłasko jeszcze dlatego nie jest emigrantem, ponieważ, o ile wiem, zachował obywatelstwo Polski Ludowej. Pozostaje w stałych kontaktach z konsulatami komunistycznej Polski i zamierza tam powrócić. Jego "emigranctwo" wyraża się w tej chwili tylko tym, że enuncjacje w rodzaju: "Wrócę do Londynu ale na czołgach sowieckich!..." wygłasza nie w Warszawie, ale chwilowo w Tel-Awiwie. Zechcą mi Panowie wybaczyć, ale skoro mam być szczery , muszę wypowiedzieć to co myślę, że mianowicie: nagrodzenie Hłaski uważałbym za typowe, niestety, "zaangażowanie" - w duchu współczesnego konformizmu.

*

1960: Książkę [Michała K.] Pawlikowskiego ["Dzieciństwo i młodość Irteńskiego"] pozwoliłem sobie w recenzji do "Kultury" nazwać najlepszą książką wydaną na emigracji, więc to mój stosunek do niej dostatecznie charakteryzuje. Natomiast w związku z wysuniętą tutaj kandydaturą prof. [Tadeusza] Sulimirskiego uważam, że książka jego ["Polska przedhistoryczna"] jest książką ściśle naukową. Wspomniano o jej rzekomych walorach literackich. Nawet żeby takie posiadała, trudno sobie wyobrazić, żeby zespół literacki miał wydawać opinię, czy zasługuje ona na nagrodę, czy nie. Do tego może być powołane tylko gremium naukowe, a nie literackie. Słyszałem, że powołano się tu na przychylne o niej recenzje. Równie dobrze mogą się jeszcze ukazać recenzje, że jest naukowo błędną. My jako niefachowcy nie mamy tu nic do powiedzenia.

*

1961: Popieram kandydaturę, którą wysunąłem już uprzednio, mianowicie: Herlinga-Grudzińskiego "Skrzydła ołtarza". Nie mam właściwie nic więcej do powiedzenia w sprawie tej książki poza tym, że uważam ją za najlepszą z tych, które zdążyłem przeczytać. Chciałbym wnieść tylko poprawkę do pierwotnego zgłoszenia: na drugim miejscu postawiłbym książkę Morawskiego, której nie zgłosiłem poprzednio, gdyż przeczytałem ją dopiero w ostatniej chwili.

*

1962: Głosuję za książką Bielatowicza, którą on dosyć niefortunnie ochrzcił "Książeczka". Gen. Kukiel wspomniał tu o "bezstronności". Więc chciałbym, choć w formie tylko żartobliwej, postawić samego siebie za wzór bezstronności do naśladowania... Albowiem, przyznam, że ze szczerą przykrości, głosuję na Bielatowicza jako autora emigracyjnego. Wystąpił on niedawno na łamach prasy emigracyjnej z tezą że "powinno się; dążyć, czy też tam walczyć, o swoje cele ... bez oglądania się na to, czy to na rękę komunistom, czy nie na rękę". Ponieważ ja osobiście uważam że obowiązkiem każdego człowieka jest czynić wszystko, by nic nie szło na rękę komunistom, którzy są wrogami nie narodu, ale ludzkości, więc zrozumiałe że należę do zaciętych przeciwników Bielatowicza i wolałbym głosować przeciw Bielatowiczowi. Muszę jednak na jego właśnie książkę głosować, bo uważam ją za obiektywnie nie tylko najlepsza, ale nawet za wyjątkowo doskonałą.

Zanim ją sam przeczytałem, zapytałem kogoś: "Co właściwie zawiera ta 'Książeczka'?". I ten ktoś mi odpowiedział: "Li-te-ra-tu-rę". Bardzo rozsądnie odpowiedział. Bo właściwie rzadko się zdarza, aby jakiś utwór pokrywał się zupełnie z pojęciem "literatura piękna". A taki jest niewątpliwie utwór Bielatowicza.

Sam temat nie tylko nie oryginalny ale raczej mocno oklepany. Tym większa trudność było zeń zrobić arcydzieło. Ale oto Bielatowicz robi zeń coś zupełnie innego. Mimo że opisuje szczegółowo miasto czy w ogóle teren, wartość jego utworu nie polega na przedstawieniu ani miejsca ani epoki, co zazwyczaj jest cenione w tego rodzaju wspomnieniach z lat. dziecinnych. Bielatowlcz, moim zdaniem, uchwytuje rzecz najbardziej nieuchwytną. Pozornie łatwą, w rzeczywistości najtrudniejszą. A mianowicie - ten "Bogo-ludzki" proces kształtowania się człowieka, w czasie gdy jeszcze otaczające przedmioty są żywe, są żywymi istotami i dlatego wywierają tak przemożny wpływ. Zauważmy że rower, opisywany przez Bielatowicza, czy jego śmieszny zegarek kieszonkowy wcale nie są mniej uduchowione niż jakaś Irena, Jadzia czy nauczyciel łaciny, czy własna babcia. Działają równocześnie i w tej samej płaszczyźnie życia. Mnie się zdaje że Bielatowicz jakby chciał nam przypomnieć że wszystko jest stworzone przez Boga, nawet rzeczy zmajstrowane przez ludzi. I w ten sposób przenosi nas do tego stadium początkowego, któreśmy wszyscy przeszli, przeżyli, znamy dziś z migawkowych fotografii pamięci, i nagle, czytając Bielatowicza, nie tylko przeżywamy na nowo, ale jakby rozeznajemy istotne wiązadła tych najważniejszych przyczyn i skutków, które każdy człowiek nosi w sobie. Bez względu na terytorium i bez względu na epokę. Otóż wykrzesać taką wizję wydaje mi się świadczyć o ogromnym kunszcie artystycznym. I dlatego szczerze apeluję o nagrodzenie pięknego utworu Jana Bielatowicza.

*

1964: J. M. zaproponował, by symbolicznie nagrodzić pięciu autorów nowej serii Polskiej Fundacji Kulturalnej, uzasadniając to:

Cokolwiek byśmy próbowali wyspekulować na temat tzw. zadań emigracji poza granicami komunistycznej Polski Ludowej, w rezultacie będziemy musieli przyznać, że najważniejszą rzeczą są nie uchwały i memoriały polityczne, lecz utrzymanie wolnej kultury i wolnej myśli. W praktyce zaś istnienie wolnej literatury polskiej.

Mogą się nam poszczególne książki nie podobać, możemy je atakować, polemizować z ich autorami; ale właśnie ich różnobarwność, niejednolitość, kontrowersyjność nawet, ratuje to co nam chcą odebrać komuniści. Kolorowość życia. Dopóki to coś istnieje, istnieje wolna myśl. Z chwilą gdy na emigracji przestaną wychodzić książki, wolna Polska przestanie istnieć.

Przepraszam, że wpadam tu w trochę oklepany banał. Ale te warunki w jakich znajduje się literatura emigracyjna są też banalne. Komuniści chcą naturalnie naszą literaturę zdusić do reszty, jej istnienie przemilczają w kraju, nie dopuszczają do kraju, a nas zalewają ich tanią książką. W tej sytuacji stworzenie Funduszu, którego zadaniem jest seryjne wydawanie książek emigracyjnych, wydaje mi się dziełem największym z możliwych do podjęcia na emigracji.

Gdyby mój ekstraordynaryjny wniosek nie znalazł poparcia ze strony panów, powracam do zgłoszonej przez siebie kandydatury: Jedlickiego "Klub Krzywego Koła". Nie wiem czy można powiedzieć że jest akurat najlepszą książką 1963 r. , ale wydaje mi się najciekawszą książką 1963 r. Nie ze względu na jej wartości ściśle literackie, lecz ze względu na zawarty w niej materiał historyczny.

*

1965: Zgłaszając książkę Karola Zbyszewskiego "Wczoraj na wyrywki", nie miałem na myśli tylko konwencjonalnego wyboru pomiędzy lepszymi książkami ub. r. Ale również wzgląd na autora, który zarówno w

swej formie jak treści jest absolutnie jedyny w literaturze polskiej. Karol Zbyszewski pisze ciągle do gazet. I to, że pisze właściwie o wszystkim, o literaturze, o sztuce, o sporcie, redaguje swój plotkarski "Tylon", pisze tzw. "kawałki", spełnia funkcje dziennikarskie i niejako "opatrzył się", że się tak wyrażę, czytelnikom.

Stąd wielu zalicza go do kategorii dziennikarskiej. Ale jednocześnie to co on pisze i jak on pisze, nie jest zwyczajnym dziennikarstwem. Dlaczego nie? Dlatego po prostu że to jest właśnie - literatura. I jako literatura jest czytana. Wystarczy jeden przykład: ludzie, którzy zupełnie nie interesują się sportem, czytają Karola Zbyszewskiego sprawozdania sportowe. Tak, jak się normalnie czyta utwór literacki, nie ze względu na jego temat.

Karol Zbyszewski niewątpliwie zdeprecjonował się po trochu swoimi rozsypanymi w codziennym druku "kawałkami". I dopiero po przeniesieniu do druku książkowego, widzimy co to za wielki i oryginalny talent.

Tak jak pisze Karol Zbyszewski, nie pisze absolutnie nikt inny. Może się to wielu nie podobać, i nawet słusznie nie podobać. Nie można jednak zaprzeczyć że w tym. obranym przez siebie sposobie jest zupełnie oryginalny. Mówi się naturalnie dużo o tym że się ceni oryginalność. Mnie się zdaje jednak że się ceni oryginalność, ale tylko w zakreślonych ramach panującej mody. Bo naturalnie w literaturze, jak w każdej innej dziedzinie, panuje moda. Otóż mój kandydat jest pisarzem jak najbardziej niemodnym, jeżeli chodzi o przyjęty dziś sposób pisania. Modna jest niejasność, u Zbyszewskiego wszystko jest jasne. Modny jest stylistyczny zawijas, u Zbyszewskiego jest lapidarność. Modna jest niezrozumiałość, która ma ukrywać treść, a bardzo często brak treści. U Zbyszewskiego treść jest zawsze obecna, od początku do końca nie ukryta ani jednym sztucznym przecinkiem. Być może więc, że Zbyszewski nie jest w pełni pisarzem "współczesnym". Ale sądzę, że gdyby należał nie do polskiej literatury emigracyjnej, ale do którejś z wielkich literatur światowych, mógłby się stać jednym ze zwiastunów sztuki przyszłości, która niewątpliwie: nastąpi jako reakcja na mętny abstrakcjonizm.

Jeżeli chodzi o aspekt ściśle polski, Karol Zbysze:wski jeszcze z jednego względu zasługiwałby na specjalne: wyróżnienie. Mianowicie ze względu na jego tendencję, którą kiedyś nazywano "odbrązowianiem", a dziś pozwoliłbym sobie nazwać już oddziecinnianiem kultury polskiej. Bo mnie się zdaje że jednostronność zamówienia patriotycznego przelicytowała dziś daleko poprzednie epoki. Takie mam wrażenie że odkąd Odra z Nysą stały się rzekami bardziej świętymi niż Ganges z Bramaputrą, ilość świętości narodowych narasta w tempie przyśpieszonym rozbudowując w tej dziedzinie uproszczony infantylizm. Przy tym zwróćmy uwagę że oponentom, którzy ze szczególną pasją atakują tzw. "niezłomnych", nie wystarcza kanonizowanie "Kraju", który jak imię Boga pisze się teraz przez dużą literę, ale chcieliby ponadto uświęcić tzw. "Polski Październik", "nieodwracalność przemian", nieomal cały PRL i jeszcze wiele "polskości" tego gatunku.

Przypuszczalnie zbliżające się Millennium powiększy jeszcze nakłady czytanek na poziomie 2 gimnazjalnej. Otóż na tym tle pisarstwo Karola Zbyszewskiego, które przywraca postaciom i zdarzeniom historycznym obraz i podobieństwo żywych ludzi i prawdziwych zdarzeń, wydaje mi się specjalnie ważnym dziełem kulturalnym.

*

1996: Zgłosiłem tylko jedną książkę, mianowicie Michała K. Pawlikowskiego "Wojna i sezon", chociaż wcale nie jestem tego zdania, które słyszałem przelotnie, że nie ma z czego wybierać, bo w 1965 r. nie ukazały się żadne dobre książki. Mnie się wydaje że ukazał się szereg bardzo dobrych książek. I to pomijając już nie wchodzących tu w rachubę Balińskiego, Kukiela, Łobodowskiego i Rostworowskiego, ale na przykład Vincenza "Po stronie pamięci", Trościanki "Nike i skarabeusz" , a przede wszystkim Sapiehy "Wojna z wysokości siodła". Otóż po namyśle zgłaszam jednak poprawkę - która zdaje się nie stoi w sprzeczności z naszym rygorystycznym statutem - i dodatkowo wysuwam na drugie miejsce po "Wojnie i sezonie" Pawlikowskiego jeszcze "Wojnę z wysokości siodła" Sapiehy.

Jeżeli chodzi o Pawlikowskiego, wydaje mi się on bezkonkurencyjny, już chociażby z tego względu, że przedstawia wdanym wypadku wagę niejako podwójną, bo właściwie dwu książek. I to nie tylko dlatego, że "Wojna i sezon" stanowi w istocie dalszy ciąg "Dzieciństwa i młodości Irteńskiego", ale z pewnego osobliwego zbiegu okoliczności. Nie wiem, czy wszyscy panowie sobie przypominają, że swojego czasu "Młodość Irteńskiego" prawie, prawie już miała być nagrodzona.

Miała za sobą tak znakomitą większość opinii - że jak to ktoś mi opowiadał - wydawca tej książki, z góry nie czekając na wynik głosowania, na dwa dni przedtem, już wydrukował plakaty: "Książka nagrodzona przez emigracyjną Akademię Literatury" (bo tak się jeszcze wtedy mówiło). Tymczasem przez wspomniany wyżej dziwny zbieg okoliczności, przez :przypadek - bo inaczej tego do dziś dnia nie potrafię nazwać - nagroda przypadła nie Pawlikowskiemu, ale jakiemuś podręcznikowi szkolnemu, nic z literaturą nie mającemu wspólnego [Chodzi o pracę Tadeusza Sulimirskiego "Polska przedhistoryczna", nagrodzoną w roku 1960.]. W ten sposób, nagradzając dziś "Wojnę i sezon", która jest moim zdaniem najwybitniejszą książką ubiegłego roku, nagradzamy pośrednio jakby całość twórczości Pawlikowskiego i dodatkowo prostujemy poprzednie nieporozumienie.

Pawlikowskiemu należy się ta nagroda! Za wartość literacką, za opis tamtejszej przyrody, za opis tamtejszych czasów, wreszcie za śmiały dotyk pewnych drażliwych fragmentów dziejowych. Za talent pisarski.

Gdyby jednak kandydat ten nie uzyskał większości głosów, zgłaszam wspomnianą tu kandydaturę, Sapiehy, "Wojnę z wysokości siodła". Przeciw tej drugiej kandydaturze, tej drugiej "wojnie" w tytule, najbardziej mogłoby przemawiać to właściwie, że nie możemy ciągle nagradzać seryjnych wydań Fundacji Kulturalnej, bo w końcu gotowi są nas, bo ja wiem, posądzić o branie łapówek...

Powodzenie jakie jego książka osiągnęła wśród czytelników -co jak wiadomo nie zawsze jest sprawdzianem - ale tym razem chyba słusznie świadczy o wartości tej książki. Osobiście uważam ją w ogóle za najlepszą - jeśli chodzi o literackie ujęcie - z tego wszystkiego, co napisano dotychczas o kampanii wrześniowej. To nic, że ona jest bardzo krótka, że ma formę autentycznego diariusza. Ma ona jeden z największych walorów literackich, mianowicie pozbawiona jest histerii. Tej histerii, która w większym albo choć małym stopniu ale występuje w utworach z okresu minionej wojny, a którą uważa się za obowiązujący przejaw patriotyzmu, czystości linii politycznej, za wyraz licytacji z literaturą komunistyczną w kraju, bo ja wiem zresztą za co... Książki tego rodzaju są zazwyczaj nudne, nudą małej prawdy. Uważa się je za reprezentacyjne, chwali publicznie, ale czyta najczęściej ziewając, nie doczytuje, bo z góry wiadomo, jak tam będzie opisane. Natomiast lakoniczną w istocie książkę Sapiehy czytałem jednym tchem. I rzecz zastanawiająca: o przebiegu akcji w książce Sapiehy jako akcji historycznej wiadomo również każdemu z góry; a jednak słyszałem od wielu osób, że czytali ją także właśnie: "jednym tchem", nie mogąc się oderwać. Książka Sapiehy nie jest książką reprezentacyjną, ale jest książką doskonałą, i na pewno godną nagrody.

*

1967: Ja zgłosiłem tylko jedną kandydaturę, książkę Adama Pragiera "Czas przeszły dokonany".

To wielkie dzieło Pragiera nie jest w ścisłym znaczeniu dziełem literackim. Jest raczej dziełem historycznym, napisanym doskonałym językiem literackim. Pamiętnik, który czyta się jak najciekawszą powieść. Autentyczna pełnowartościowa, wplątana w dzieje opowieść ludzka. Na powieściową wartość tej książki zwróciła bodaj pierwsza uwagę Maria Danilewiczowa, bardzo trafnie. Upieram się przy zdaniu, że powieść nie zmyślona lecz prawdziwa, posiada tym większą wartość. Można się zgadzać z poglądami Pragiera lub nie; ja w wielu wypadkach się nie zgadzam. Co jednak mnie osobiście w jego książce najbardziej porywa, to przywrócenie normalnych kryteriów w ocenie opisywanej przez niego prawdy historycznej.

Książka Pragiera wydaje mi się nie tylko najlepszą książką ubiegłego roku, ale może najważniejszą książką ubiegłego dziesięciolecia.

Stąd powstało we mnie naprawdę głębokie przekonanie, do którego się z całą otwartością przyznaje, że kandydatura Pragiera jest w bieżącym jury kandydaturą w istocie bezkonkurencyjną. Byłem więc zaskoczony po przeczytaniu listy zgłoszeń, i po teraz tu wypowiedzianych opiniach, ogromną przewagą innego kandydata, mianowicie książki Guzego "Krótki żywot bohatera pozytywnego". Ponieważ jest właśnie "dyskusja" nad zgłoszonymi kandydaturami, a nie wyobrażam jej sobie inaczej jak w niekrępowanej wypowiedzi własnego zdania, pozwalam sobie z tego skorzystać. I proszę mi wybaczyć, że to moje zdanie znacznie odbiega od wypowiedzianych już tu opinii co do książki Guzego.

"Krótki żywot bohatera pozytywnego" jest tytułem ironicznym. Chodzi tu w rzeczywistości o przedstawienie bohatera "negatywnego". Otóż to przedstawienie w książce Guzego wydaje mi się typowym produktem tego cofania literackich wartości, które nam narzucił komunistyczny socrealizm, a zapożyczył później narodowy pol-realizm. Wzór ten, jak wiadomo, wymaga aby bohater pozytywny w każdym wypadku okazał się "typem" dodatnim, natomiast przeciwnik, wróg, a więc postać z góry negatywna, nie tylko "typem" ujemnym, ale czarnym jak noc. To znaczy nie tylko pod względem ideowo-politycznym, ale pod każdym innym. Zły, odrażający, plugawy W istocie tego rodzaju "realizmy" nie stanowią nic tak bardzo nowego. Znaliśmy je zawsze z pewnego rodzaju konwencji pielęgnowanych zwłaszcza w charakterystycznych sprawozdaniach gazetowych, gdzie przemówienie generała musiało być "krzepiące serca", kazanie biskupa "podniosłe", natomiast uśmiech zbrodniarzy na ławie oskarżonych obowiązkowo "obleśny". Komunizm wprowadził je tylko do godności literatury, i kazał z podobnych infantylnych konwencji tworzyć "realizm" , kazał pisać książki trzymając się gotowej sztancy. Już taki Bertolt Brecht w swoim "Drei Groschen Roman" przedstawia nam np. wyższego urzędnika admiralicji brytyjskiej, który nie dość że kradnie, bierze łapówki, wysyła żołnierzy do Afryki w dziurawych okrętach, ale przy okazji i sprzedaje własną żonę, i ma ciało gąbczaste, i śmierdzi sam itd. itd. U Fadiejewa, w jego "Młodej gwardii", Niemiec nosi pod koszulą zrabowane w Sowietach zegarki i biżuterię, boi się zdjąć żeby nie ukradli, więc przez rok się nie myje i śmierdzi już z daleka jak zaraza; jedyną jego rozrywką jest pokazywać dziecku cukierek, a gdy ono wyciąga rączkę, to samemu zjadać, delektując się płaczem dziecka.

Tego rodzaju wzór, niestety, przejęty został z grubsza przez rodzimy pol-realizm. Przedstawienie w literaturze tzw. "typowych" rzeczy wypranych z cech prawdy i żywego człowieka jeżeli nie jest zwyczajnym kiczem, to co

najmniej nazywa się przedstawieniem papierowym. Każda jednostronność musi być zawsze płaska. Na to nie ma rady. Mnie się taka płasko-jednostronna literatura nie wydaje godna nagradzania.

Bohaterem książki Guzego nie jest tym razem burżuj zachodnioeuropejski, tylko z kolei funkcjonariusz Bezpieki. Ale przedstawiony według wspomnianego, typowego wzoru. Nie człowiek, ale katarynka obrzydliwości. Nie odbiega też od tego wzoru jej pseudogroteskowość. Natomiast dwie rzeczy mają od tego wzoru rzekomo odcinać. Pierwsza, to naszpikowanie książki słownictwem wyjątkowo wulgarnym, które Teodozja Lisiewicz słusznie porównuje do obornika. Bez żadnego uzasadnienia takiego właśnie słownictwa. Absolutnie bez konieczności dla oddania autentycznego rzekomo obrazu. Tak sobie tylko. Żeby było ponurzej. Druga rzecz, to forma mająca prawdopodobnie nadać książce charakter niemal eksperymentu awangardowego: jest bowiem od początku do końca napisana bez jednego akapitu. To ma być nowe i modne. Są już teraz książki pisane nawet bez znaków przestankowych. N a szczęście nie wyróżniane jeszcze za to nagrodami literackimi.

*

1968: (list) My nie nagradzamy tzw. całości dorobku literackiego, tylko konkretną, pojedynczą książkę ubiegłego roku. Więc zwroty - których osobiście zresztą nie lubię - w rodzaju: "trzeba mu dać nagrodę" itp. są tu nie na miejscu. Niemniej chciałbym zwrócić uwagę na dziwny paradoks, że Marian Hemar, który nie należy do zmarłych, ale przeciwnie, do najbardziej żywych i piszących pisarzy, nigdy nie został odznaczony przez nasze gremium. Ani jako poeta, ani jako prozaik. Zresztą trudno go skwalifikować. Moim zdaniem Hemar jest twórcą literackim pierwszej wielkości. Pod pewnym względem nawet genialnym. Łączy w sobie absolutną indywidualność talentu z brakiem wszelkiego napuszenia, celebracji; żadnego wypuczania się. Łączy najdoskonalszą formę z największą popularnością jaką pisarz może osiągnąć wśród czytelników swego języka, jego precyzyjność myśli i jasność wyrazu jest zdumiewająca, zwłaszcza jeżeli się weźmie pod uwagę dzisiejszą predominację wyszukanego mętniactwa, które służy za parawan producentom słów bez znaczenia i wartości.

W roku ubiegłym Marian Hemar wystąpił z książką pt. "Awantury w rodzinie". Nazwałem ją kiedyś w recenzji: "najinteligentniejszą książką z wydanych na emigracji". W pełni podtrzymuję to zdanie i wnoszę o nagrodzenie książki Hemara.

Drugim moim kandydatem byłby Leopold Tyrmand, za swą książkę "Życie towarzyskie i uczuciowe". Jest to dzieło, które poza literacką, powieściową formą posiada wagę znacznie szerszą. Nie tylko polityczną w ścisłym znaczeniu tego słowa. Podobnie jak kiedyś Witold Jedlicki, który swą książką rozproszył krępujący mit o tzw. "polskim Październiku" i pozwolił trochę odetchnąć od ekstazy zachwytów nad komunistycznym wodzem narodu - tak teraz Tyrmand rozprasza mit o tzw. "ewolucji" społeczeństwa w systemie komunistycznym, wykazując tego społeczeństwa raczej degenerację pod naciskiem komunistycznym. Tym samym książka Tyrmanda pobudza do otrzeźwienia ze zgubnej dla Polski spekulacji, którą obcy usiłują nam wpoić różnymi kanałami, jakoby czas pracował na naszą korzyść, gdy w rzeczywistości pracuje on na naszą niekorzyść.

Dlatego uważam książkę Tyrmanda za cenną i bardzo ważną.

*

1969: (list) Jerzy Andrzejewski jest klasycznym pisarzem komunistycznej Polski, jak to inni nazywają: "reżymowym". Pisarzem, to znaczy nie agitatorem, czy płatnym propagandzistą, lecz płatnym przez rządowo-partyjne wydawnictwa - bo innych tam nie ma - literatem PRLu, który, jak stwierdzają urzędowe polsko-komunistyczne źródła: "W latach 1945/1950 ewoluował ku marksizmowi"... Był też konsekwentnie przez partię i rząd komunistyczny za tę swoją działalność literacką nagradzany i odznaczany. Jego okresowa, ściśle wewnętrzna "opozycyjność" wobec tych lub innych posunięć partyjnych, czy wobec pewnych zjawisk rzeczywistości w kraju, ani na jotę nie zmienia jego postawy zasadniczej, a raczej tę postawę potwierdza.

Wiemy wszyscy, że łzy nad wielką krzywdą wyrzadzaną dobrym, kochanym komunistom, zaczął pierwszy wylewać Nikita Chruszczow na XX Zjeździe. Potem zrobił na tym karierę Sołżenicyn. Andrzejewski, który w swym utworze "Popiół i diament" jeszcze plagiatował trochę postać rozumnego sekretarza partii od Szołochowa z "Zoranego ugoru", w swej "Apelacji" przypomina już bardziej Sołżenicyna. Sołżenicyn, jak np. w noweli "Prawaja kist'" - ogłoszonej na Zachodzie - w dalszym ciągu popłakuje nad losem pięknego komunisty, który tyle zarąbał był kiedyś antybolszewików, a teraz nie przyjmują go, schorowanego, do szpitala.

Kandydatura Andrzejewskiego do nagrody miałaby charakter polityczny, a nie literacki. Osobiście mam duże wątpliwości co do walorów literackich tej broszury .Zarówno w jej bezakapitowej, a la Guzy, formie - tam, zdaje się, awangardowej - jak co do treści.

Ale chciałbym podkreślić, że nie to wszystko jest głównym powodem mego zastrzeżenia. Nie chodzi o ocenę literacką ani moralno-polityczną. Chodzi wyłącznie o stwierdzenie stanu faktycznego. Może sobie być Andrzejewski "stalinistą", "rewizjonistą", "maotsungistą", "trockistą", "titoistą" czy "dubczekistą", słowem: komunistą polskim do wyboru. Żeby jednak uzyskać nagrodę "Wiadomości" musi być jednocześnie - emigrantem

polskim. Tylko pod tym warunkiem kandydatura jego może być przez jury "Wiadomości" rozpatrywana. Albowiem statut niniejszej nagrody w pierwszym punkcie brzmi: "... książkę Polaka wydaną na emigracji...".

Książka Andrzejewskiego nie jest wydana na emigracji. Można jego książkę określić jako "wydaną na Zachodzie", lub "wydaną za granicą", "poza Polską" itd. itd. Nie można jednak powiedzieć, że jest wydana na emigracji, z tej prostej przyczyny że Andrzejewski nie jest emigrantem.

Gdybyśmy byle utwór obywatela PRLu ogłoszony drukiem w języku polskim poza krajem traktować mieli formalnie jako "wydany na emigracji", moglibyśmy teoretycznie brać również pod uwagę "Myśli" Gomułki, czy Cyrankiewicza, wydane pewnego dnia np. w Londynie po polsku. Co byłoby nie tylko oczywistym nonsensem, ale przede wszystkim sprzeczne ze statutem jury "Wiadomości". Na to właśnie chciałem wskazać.

Osobiście wysunąłem do nagrody trzy książki. Na pierwszym miejscu Aleksandra Pragłowskiego "Z Wiednia do Londynu". Jest to wyśmienita książka. Coraz bardziej dochodzę do przekonania że rozpowszechniony w tradycji polskiej proceder oprawiania w gotowe ramy nie tylko obrazów przeszłości historycznej, ale i historii najnowszej, współczesnej - stanowi chyba największy hamulec w rozwoju wolnej myśli narodowej. Rykoszetem odbija się fatalnie w innych dziedzinach, jak np. w polityce itd. Zwłaszcza jednak krępuje wolną twórczość literacką. Dlatego doskonała książka Pragłowskiego, która w niejednym miejscu łamie te ramy i wyzwala obraz historyczny z krępujących go gipsowych złoceń, wydaje mi się najlepszą w roku ubiegłym.

Następnie zgłosiłem antologię Stefanii Kossowskiej pt. "'Wiadomości' na emigracji". Stefania Kossowska jest sama znakomitą pisarką. W wypadku antologii napisała tylko znakomity do niej wstęp. Ale do całości skomponowanej przez nią książki przykładam inną miarę. Rachunek wydaje mi się dosyć prosty. Oto ukazało się na emigracji sporo książek, na które składają się stare artykuły opublikowane przez autora już dawniej w różnych czasopismach. Niektóre, jak u Hemara np. w "Awanturach w rodzinie", istotnie zasługują, aby wyuczyć się ich na pamięć i opowiadać wnukom. Inne mniej się do tego nadają. Skoro jednak przywiązuje się wartość do książki zawierającej rzeczy już publikowane jakiegoś autora, to tym bardziej cenna wydać się powinna taka książka, która gromadzi rzeczy nie jednego, ale więcej autorów. W antologii Kossowska zebrała aż 38 autorów. Według więc mego rachunku książka ta powinna być 38 razy więcej warta od zbioru artykułów pojedynczego pisarza. Nie wiem, czy ten mechaniczny rachunek jest dostatecznie przekonywający.

Wreszcie zgłosiłem książkę Franciszka Wysłoucha pt. "Opowiadania poleskie". Jest to książka śliczna. Zapewne wszyscy tu ją czytali. I cieszę się, że nie tylko przeze mnie zgłoszona została do nagrody.

*

1970: Zgłosiłem książkę Andrzeja Chciuka: "Atlantyda". Osobiście znam tamte strony, które opisuje Chciuk, zaledwie pobieżnie. Zawdzięczając jego książce poznałem dokładniej. Dla mnie była to lektura ciekawa głównie ze względu na możliwość konfrontacji z moim rodzinnym krajem: litewsko-białorusko-polskim; rosyjsko-żydowsko-tatarsko-karaimskim itd., itd. Podobieństwa i różnice, od strony zwykłego życia przed r. 1939. Chciuk ujął to doskonale w drobiazgach, ilustrując pomieszanie tamtych języków, wytwarzających swoją gwarę. Podobnie było u nas.

Niech mi wolno tu będzie dorzucić kilka słów na marginesie. Wysunięto tu książkę Miłosza po angielsku. Dotychczas nie było w naszej tradycji nagradzania książek opublikowanych w innych niż polski językach, choć, zdaje się, statut tego nie zakazuje. Z tym statutem zresztą i z jego interpretacją mieliśmy trochę ambarasów. M.in. właśnie w odniesieniu do Miłosza. Sam wystąpiłem swojego czasu z filipiką proponując wycofanie punktu "przymusowego" niejako należenia do jury , nawet wbrew woli tego, kto raz został już wybrany. Przez to np. książki Miłosza nigdy nie mogły być nagradzane. To zmieniono, nareszcie. Teraz, oprócz książki w języku angielskim, zgłoszono jego "Widzenia nad zatoką San Francisco". Nie wiem, czy to jest akurat zręczne, co powiem, że oczywiście w moim przekonaniu książka Miłosza góruje literacko nad innymi tu zgłoszonymi. Ale daleko nie góruje nad tymi jego, dotychczas nie nagrodzonymi. Więc zgłaszanie, na poczekaniu, jego ostatniej książki, wydało mi się niejako rekompensatą może trochę nie według stawu... Zresztą nie jestem pewien, czy mam rację.

*

1971: Mówiono tu bardzo pochlebnie o książce Wiktora Trościanki "Wiek męski". Zgadzam się z panami. Osobiście nie zgłosiłem jej dlatego, że zamierzałem odczekać ukazania się drugiej części, zapowiedzianej, "Wiek klęski", z którą ma stanowić dopiero całość. Może nie miałem racji.

Ukazało się ponadto szereg historycznie ciekawych książek, jak np. generała Machalskiego "Ostatnia epopeja". Jest kilka doskonałych literacko książek, przez nikogo nie zgłoszonych. Ale nie będę czynił przeglądu.

Osobiście na pierwsze miejsce zgłosiłem Jadwigi Maurer "Ligę ocalałych". Powiem szczerze: zgłaszam raczej autorkę niż jej książkę. Zaprawdę nie dlatego że jest młoda i urocza, jak o tym zresztą pisze szeroko Michał Pawlikowski. Ale dlatego, że to wielki talent. Bezinteresowną szczerość w poparciu tej kandydatury posunę

nawet tak daleko, że przyznam iż książka, którą stawiam na pierwszym miejscu, budzi we mnie pewne zastrzeżenia. W myśl przysłowia, że nie "suknia zdobi człowieka", powiedziałbym że jeszcze mniej zdobi lub odwrotnie: nie zdobi człowieka jego przynależność narodowa. Jeżeli o stosunki międzyludzkie chodzi. A u Maurer za często ludzie przybrani są w ich rzekomo właściwe im cechy narodowe. Naturalnie takie są sądy, i takie na pewno były wypowiadane przez ludzi, których opisuje autorka. Może .jednak trochę za mały odstęp bierze ona sama od przedstawianych postaci. Ale to drobne zgrzyty. Natomiast talent pisarski, narracyjny Jadwigi Maurer wydaje się doprawdy być godny pierwszej nagrody.

Na drugim miejscu zgłosiłem Niny Karsov i Szymona Szechtera "Nie kocha się pomników". Ze względu na wagę tej książki Bodaj pierwszy pisałem o niej recenzję, gdy jeszcze nie była książką, tylko zbiorem odcinków publikowanych w "Wiadomościach". Uważam ją po Miłosza "Zniewolonym umyśle" nie tylko za dalszy ciąg, .ale świetne uzupełnienie do poznania tej "Metody" bolszewickiej - bolszewickiej, bo dziś po odwołaniu tzw. "stalinizmu", mamy do czynienia z czystym leninizmem zagrażającym nam i wszystkim.

Wreszcie Paweł Łysek: "Twarde żywobycie Jury Odesty". Jest to, moim zdaniem, bardzo szczególna książka. Bardzo oryginalna wbrew pierwszym pozorom: opisu kraju, zwyczajów, pieśni folkloru; pisana właściwie w tamtejszej gwarze.

*

1972: Po śmierci Michała Pawlikowskiego, którego książkę wysunąłem na pierwsze miejsce, pozostały - jako że nie nagradzamy pośmiertnie - dwie następne przeze mnie wysunięte: Trościanki "Wiek klęski" oraz X. Miązka "Słowa na pustyni", antologia poezji kapłańskiej. W pierwszym wypadku powołuję się na nieomal już zapadłą decyzję, gdy to w poprzednich latach, mieliśmy nagrodzić Trościankę za jego pierwszą część, "Wiek męski". Ale postanowiono odczekać do ukazania się jego drugiej części. Jest ona, moim zdaniem, równie dobra jak pierwsza.

Jeżeli chodzi o antologię X. Miazka, to nie analizuję tej kandydatury .Obawiam się że znawcy poezji mogliby uznać moją analizę za "niefachową". Istotnie, przyznaję szczerze, że brakuje mi tej krytycznej "fachowości", z jaką się dziś zwłaszcza poddaje krytyce utwory poetyckie. Po prostu jedne mi się podobają, inne nie, inne zachwycają. Byłem zachwycony niektórymi utworami w tej antologii. Z wewnętrznego więc impulsu i osobistego przekonania zgłaszam tę książkę.

*

1973: Zgłosiłem na pierwsze miejsce książkę Karola Wędziagolskiego pt. "Pamiętniki". Chciałbym podkreślić mój pogląd na ważność tej książki, nie od strony pamiętnikarskiej, ile jej literacko-politycznego połączenia.

U nas od czasu do czasu przyjęto poświęcać się dyskusji "Literatura i polityka". Przy czym niedwołalnie zapada uroczysta uchwała że: "literatura nie ma nic wspólnego z polityką; powinna być z polityki wyeliminowana" etc. w tym duchu. Mnie się zdaje, że to jest nieprawda, i to nieprawda podwójna. Po pierwsze, od czasów rozbiorów mamy chyba najbardziej narodowo-polityczną literaturę w Europie. Po drugie od końca XIX w., czyli od pierwszej wojny światowej począwszy, polityka wżarła się do tego stopnia w życie każdego "najszarszego" człowieka na świecie że literatura, jeżeli ma być cząstką przedstawienia życia, nie może pomijać tej prawdy. Są to może truizmy. Jednakże, jeżeli chodzi o naszą literaturę, jest ona w swoim narodowym pionie, wszędzie tam, gdzie chodzi o przedstawienie rzeczy na tle dziejów, historycznych zdarzeń i przeobrażeń, słowem wypadków politycznych, ujednolicona. Powiedziałbym - zracjonalizowana, w oparciu o trwały fundament publicystycznej wykładni narodowej. Dyskusje, nawet zacięte, odbywają się, owszem, ale w tych fundamentalnych ramach. Stąd często mamy do czynienia z niejakim paradoksem: jeżeli ktokolwiek ośmieli się w naszej literaturze wyjść z ramek tej - podłożonej pod prawdę historyczną - narodowej publicystyki, spotyka się z zarzutem, że to on "wprowadza do czystej literatury momenty publicystyczne, polemikę polityczną" etc. etc. Mnie się zdaje ,że to znacznie ogranicza widnokrąg naszej twórczości literackiej, .który z natury swej powinien być raczej nieograniczony. A może grozić pozbawieniem literatury jednego z najważniejszych jej elementów, mianowicie prawa do wątpliwości. Bo czymże jest autentyczne życie, jak nie ciągłym pasmem nadziei i zwątpienia? Życie podkomunistyczne jest dlatego tak beznadziejnie nudne, ponieważ odebrano tam ludziom prawo do wątpliwości. Literatura sowiecka jest dlatego tak beznadziejnie nudna, ponieważ odebrano jej prawo do wyrażania wątpliwości w podstawową słuszność sprawy. I nawet rzekomi tzw. "dysydenci" - nie pozwalają sobie na wątpliwość w nadrzędne dobro, jakim jest komunizm. A chcą go tylko poprawić na peryferiach.

Adam Pragier nazwał kiedyś moją książkę "Zwycięstwo prowokacji" - "głosem dysydenta". Przyjąłem to określenie jako zaszczytne wyróżnienie. Otóż nie wiem, czy akurat to zaszczytne miano pasowałoby do Wędziagolskiego czy raczej jest on kimś więcej w swojej książce. Przedstawia on w doskonałej formie literackiej jeden z najważniejszych zwrotów dziejowych XX w. I oto na tle własnych doznań, on, socjalista, lewicowiec, rewolucjonista, komisarz polityczny rządu Kiereńskiego - wprzęgnięty jak każdy we własne pasmo nadziei i "wątpliwości - bodaj pierwszy z taką precyzją odkrywa, i ujawnia nam (na przekór swoim poprzednim przekonaniom) prawo rządzące zwycięstwem międzynarodowego bolszewizmu. Jest nim: "wróg jest tylko na

prawicy". Dogmat ten, otwierający drogę komunizmowi, wprowadził w Rosji Kiereński. Na jego obronę można by powiedzieć, iż nie miał za sobą doświadczenia, jakie będą tego skutki. Natomiast w całym świecie dogmat ten przyjęty został stopniowo, aż do stanu na dzień dzisiejszy, w którym słowo "Rewolucja" obowiązuje jako pojęcie pozytywne, a słowo "Kontrrewolucja" obowiązuje jako - połajanka.

Wędziagolski jest, moim zdaniem, taki skromniejszy Kopernik, który wyłamał się z ram ustalonego światopoglądu, i ustalił prawo rządzące planetarnym systemem politycznym od r. 1911 do dziś. Praktyka tego prawa grozić może całemu światu niewolą.

Jako drugą książkę wysunąłem "Czas zatrzymany do wyjaśnienia" Szymona Szechtera. Nie uważam jej akurat za najlepszą z tego, co napisał Szechter. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na, słuszność wyróżnienia świetnego pisarstwa, zwłaszcza pary Nina Karsov - Szymon Szechter, które nie znalazło dotychczas należnej oceny. Choć nazwać by je można nie tylko znakomitym, ale czasem wręcz rewelacyjnym.

*

1974: Zgłosiłem do nagrody książkę Gustawa Herlinga-Grudzińskiego pt. "Dziennik pisany nocą" jako "najlepszą w roku ubiegłym" - w tym wypadku ściśle trzymając się litery statutu naszego jury: to znaczy dosłownie "jako lepszą od innych" w r. 1973.

Za taką ją uważam, a nie żebym był jej entuzjastą. Osobiście podzielam tylko nieznaczną część poglądów wyrażanych przez autora w tej książce. Ale wydaje mi się wykazywać ten wysoki poziom literacki, którego innym książkom ubiegłego roku może brak. W tym widzę główną jej zaletę i wartość.

"Dziennik pisany nocą" Herlinga jest właściwie zbiorem esejów, myśli, refleksji, raczej filozoficzno-politycznych, niż dziełem literackim. Trzeba jednak przyznać, w ujęciu doskonałej formy literackiej. Poza tym wyróżnia ją rzecz, do której ja osobiście przywiązuję wagę, a której się dziś nie krzewi, a przeciwnie uważa chyba za niemodną. Tą wyróżniającą Grudzińskiego zaletą - w porównaniu do innych pisarzy, nazwijmy: jego typu - jest wyjątkowa czystość i jasność stylu. Każde zdanie jest sformułowane wyraźnie, i nie trzeba go czytać po kilka razy, aby wreszcie zrozumieć sens, jak u innych autorów.

Zupełnie szczerze mówiąc, nie widzę lepszej książki wydanej na emigracji w r. 1973.

*

1975: Wymieniłem na pierwszym miejscu do nagrody książkę Janusza Kowalewskiego "Droga powrotna". Kowalewski jest doskonałym pisarzem, jego książka jest znakomicie napisana. Ale wyróżniam ja głównie dlatego, że jest z napisanych w roku ubiegłym - właśnie najciekawsza. Zawiera moc szczegółów, nazwisk, opisów sytuacyjnych, i tzw. postaw ludzkich. Mimo nieobcości tematu, była dla mnie dużą jednocześnie rewelacją. W poznaniu minionej rzeczywistości tzw. "dwudziestolecia".

Między innymi o zasięgu wpływów komunistycznych w sferach intelektualnych, literackich, organizacji młodzieżowych i tych na granicy, popieranych odgórnie i konspiracyjnych oddolnie. W których sam się obracał, zanim wkroczył - jak to nazywa - na "Drogę powrotną".

Nie jest to rzecz wesoła, co napisał Kowalewski. Ale spojrzenie prawdzie w oczy rzadko odbywa się na wesoło.

Na drugim miejscu zgłosiłem ksiażkę Piotra Borkowskiego "O językach i słownikach". Jest to zupełne novum w naszej literaturze. Bo rzecz traktuje o słownikach i językach. I pozornie należałoby odnieść do literatury ściśle naukowej. Tymczasem autor utkał z tego tematu przeciekawe opowiadanie dotyczące masy przedmiotów i spraw, anegdot i historii, naszych i obcych.

Na trzecim miejscu wymieniłem - niejako na przekór sobie i innym - książkę Krystyny Sztrem pt. "Nieznośni cudzoziemcy". Można by poczytać za paradoks, że zgłaszam utwór, który jest mi w gruncie niesympatyczny. Ale w danym wypadku traktuję go jako swego rodzaju historyczne uzupełnienie do zgłoszonej już książki Kowalewskiego. Kowalewski pisał o tym, co było. Sztrem pisze o tym, co jest. Pisze bardzo dobrze, jasno, bez dwuznaczników, bez silenia się na "literackość", a jednocześnie potoczyście. Ale główna zaleta to szczerość. I za tę szczerość bym ją nagrodził.

*

1977: (list) W tym roku zgłoszono do nagrody kilka bardzo dobrych książek. Jak na przykład Wiktora Trościanki "Nareszcie lata pokoju", Franciszka Wysłoucha: "Na ścieżkach Polesia". Bezsprzecznie najlepszą wydaje mi się wszelako Stanisława Swianiewicza: "W cieniu Katynia", i ją zgłaszam do nagrody.

A więc: "W cieniu Katynia". Przy określeniu statutowym "najlepsza" książka, odczuwałem pewne zahamowania. Dobrze, iż zmieniono na: "najwybitniejsza". Gdyż zdarza się, że bywa tylko "najciekawszą", albo "najcenniejszą"

z obiektywnej wartości. Do takich właśnie zaliczyłbym "W cieniu Katynia". Z tej obiektywnej oceny wychodzę. Nie z subiektywnego "podobania się" książki. Poglądy Swianiewicza, które rozwija w swej książce, nazbyt często nie są moimi. W wielu wypadkach wręcz przeciwnie. Przyznam nawet, że niekiedy zżymałem się czytając wywody autora. Ale w tej chwili nie piszę recenzji, tylko uzasadnienie kandydatury do nagrody.

Otóż całość dzieła Swianiewicza jest to niewątpliwie najwybitniejsze, najbardziej frapujące z tego, co się na tle mordu katyńskiego napisało dotychczas. Już samą chronologię wypadków czyta się z zapartym tchem. Książka nie ma ambicji literackich i może dlatego jest z większym talentem napisana niż wiele innych.

Treścią książki Swianiewicza jest głównie opis faktów i - powiedziałbym - twarzy ludzkich. Chociaż nieraz nazywamy je dlatego: "nieludzkimi". Przez tę prostotę narracji i jej naturalność, jasność opisu, przeistacza się czasami w wielki epos naszych czasów, który przykuwa z większą ciekawością niż najciekawsza powieść.

"W cieniu Katynia" Swianiewicza to wielka rzecz. To wielkie dzieło, które powinno być przez nas koniecznie wyróżnione i nagrodzone.

*

1978: (list) Właśnie gdy się zastanawiałem kogo z autorów emigracyjnych zgłosić do tegorocznej nagrody "za najwybitniejszą książkę wydaną na emigracji", otrzymałem numer "Wiadomości" (1688/1689), datowany 6-13 sierpnia ub.r., w którym ze zdumieniem przeczytałem, że: "Członkowie jury nagrody..." już zgłosili .kandydatury, a między innymi następujących autorów: Stanisław Barańczak, Tadeusz Konwicki, Wiktor Woroszylski, i że kandydatury te nie zostały z miejsca odrzucone, jako niezgodne z "Regulaminem nagrody 'Wiadomości'".

Regulamin ten, ogłoszony w nr. 41 (706) "Wiadomości", z dn. 11 października 1959 mówi wyraźnie: "...za najwybitniejszą książkę Polaka wydaną na emigracji". Pojęcie "emigracji" nie jest pojęciem geograficznym. Nie określa żadnego terytorium, lecz oznacza pewien status faktyczny - w danym wypadku autora książki - poza granicami komunistycznej Polski, czyli tzw. PRL-u. Ażeby wydać książkę "na emigracji", trzeba samemu być emigrantem.

Ani Barańczak, ani Konwicki, ani Woroszylski nie są emigrantami z Polski komunistycznej, lecz obywatelami PRL-u. Mogą zatem wydać książki poza granicami kraju swego obywatelstwa, np. we Francji, Anglii, Szwecji i ... w Nowym Jorku, czy Moskwie etc., na równi z innymi obywatelami PRL-u - jak powiedzmy przykładowo: Gierek, Jaroszewicz, Putrament, czy Iwaszkiewicz ... etc. - ale w żadnym wypadku, tzn. abstrahując od treści i formy, nie będą to książki "wydane na emigracji", lub za takie poczytywane. Dlatego też kandydatury tych autorów - w myśl regulaminu - nie mogą być zgłaszane do nagrody ich książek, ani rozpatrywane przez jury "Wiadomości".

Wobec tego, że zostały zgłoszone, nie zakwestionowane, a przeciwnie, opublikowane przez "Wiadomości" i przyjęte na równi z kandydatami dziewięciu autorów emigracyjnych do nagrody - uważam obrady Jury wyznaczone na październik 1978 za nieważne jako niezgodne z regulaminem. (I oczywiście sprzeczne z intencją i celem przewidzianym przez twórcę tego jury, nieodżałowanej pamięci Mieczysława Grydzewskiego).

W tych warunkach żadnej kandydatury do nagrody nie zgłaszam i w przewidzianym posiedzeniu jury udziału nie biorę.

*

1979: (list) Uprzejmie proszę o skreślenie mnie z listy członków jury Nagrody "Wiadomości" za najwybitniejszą książkę Polaka wydaną na emigracji.

Jak wiadomo, skład jury powstał z ogłoszonego przez Mieczysława Grydzewskiego plebiscytu: "Kogo wybralibyśmy do Emigracyjnej Akademii Literatury Polskiej, gdyby taka powstała".

Zarówno z litery jak ducha ogłoszonego w "Wiadomościach" z 11 października 1959 Regulaminu jury jasno wynika, że chodziło o nagrodzenie książki wydanej na emigracji, a nie poza krajem. Co nie jest, oczywiście, to samo. Gdyż "emigracja" nie jest pojęciem geograficznego zamieszkania, lecz statusem personalnym autora książki. Tzn. "na emigracji" wydać może książkę tylko emigrant z Polski komunistycznej, nie zaś obywatel PRL, który ogłasza się poza krajem.

Wbrew temu wyraźnemu Regulaminowi, zeszłoroczne jury "Wiadomości" nagrodziło książkę obywatela PRL stale zamieszkałego i piszącego w Warszawie.

Również do tegorocznej Nagrody została zgłoszona i przyjęta. do rozpatrzenia przez jury książką komunisty polskiego, Jacka Kuronia, zamieszkałego i piszącego w Warszawie.

Nie chciałbym więc należeć do zespołu, który może nagrodzić lub chociażby rozpatrywać możliwość nagrodzenia książki warszawskiego komunisty ani peerelowskiej odmiany komunistycznego dysydenta.
Józef Mackiewicz (rozdział 1. książki Prawda w oczy nie kole, Dzieła, t.17, KONTRA, Londyn 2002, s.7-17; w nawiasach kwadratowych znajdują się -- poczynione przez wydawcę -- uwagi wskazujące na poprawki znajdujące się na odnalezionym maszynopisie)

21. IDEA DWÓCH FRONTÓW

Wileńska tzw. "idea krajowa" nie jest sprecyzowana dość ściśle. Być może, ja ją ujmuję inaczej, niż inni zwolennicy. O genezie jej można by napisać tyle, iż by starczyło na cały pierwszy tom niniejszych wspomnień. Na razie chciałbym powiedzieć o niej tyle tylko, ile się zmieści w jednym rozdziale, we wstępie niejako, traktując przedmiot z grubsza, niby wyjaśnienie. Może niektórym się on wydać obroną przed stekiem zarzutów, kłamstw, kalumnii, jakimi obrzucano mnie, usiłując jednocześnie poniżyć i obniżyć marzenia polityczne, których jestem wyrazicielem.

"Krajowcem" stałem się dawno przed wojną, z głębokiego przekonania. Mniej z publicystyki, do której Słowo wileńskie, w którym pracowałem, mnie nie dopuszczało.

Mój pogląd na politykę jest idealnym. Uważam, że o ile taktyka polityczna kroczyć może każdą drogą do celu, to w polityce winno się być uczciwym. Za uczciwego polityka uważam tylko takiego, który w swej publicznej działalności przyznaje się do popełnionych błędów, koryguje swoje tezy w miarę narastania wiadomości i doświadczenia zaczerpniętego z rzeczywistości. Który, innymi słowy, nie obawia się zmieniać przekonań, doszedłszy do wniosku, że wczorajsze były błędne albo szkodliwe dla zasadniczej idei. Każdy inny, który dopasowuje i naciąga okoliczności do raz wypowiedzianych tez, do sztucznej niezłomności swoich przekonań, albo oszukuje jednocześnie i siebie, i innych, albo tylko innych. Taki polityk, który za nic na świecie nie zmieni swych przekonań, chociażby zdawał sobie sprawę z własnego błędu, wydaje mi się nie zasługiwać na miano uczciwego. Przeważnie jednak tzw. opinia publiczna osądza wręcz odwrotnie i, oczywista, popełnia błąd zasadniczy.*

Jeżeli chodzi o "ideę krajową" przeze mnie, a może dotychczas raczej tylko we mnie, reprezentowaną (nie miałem możności jej rozwinąć ze względów cenzuralno-politycznych), pozostaję jej wiemy, gdyż przekonany jestem nadal o jej słuszności. [Dopisano: i możliwości jej powodzenia] Nie przeszkadza mi to spostrzegać dziesiątki błędów politycznych, popełnionych przeze mnie na drodze, w zasadzie, jak się wyraziłem -- słusznej.

Co to jest "krajowość"? Przede wszystkim nazwa idiotyczna, służąca zazwyczaj do określania mieszkańców krain egzotycznych: "krajowcy"! Ci, którzy tę ideę reprezentowali oficjalnie w Wilnie, jak znany adwokat Wróblewski, lub świetny publicysta Ludwik Abramowicz, chcieli odrodzenia Wielkiego Księstwa Litewskiego jako niezależnego państwa, uzasadniając swe dążenia wspólnotą geopolityczną i historyczną ziem położonych plus-minus pomiędzy Dnieprem i Bałtykiem. Nie przeczę, że zarówno w ich dążeniach, jak moich, znaczną rolę odegrywa sentyment, polityczny romantyzm, płynący po prostu z przywiązania do specyficznych cech terenu. Ale moje osobiste, głębokie przekonanie do tzw. (tylko tak zwanej) "idei krajowej" wypływa z najzimniejszego rozsądku politycznego.

Gdyby mnie ktoś prosił, abym sformułował mój pogląd w "trzech słowach", ująłbym go tak:

Jest to pomysł utworzenia pomiędzy dwoma wrogimi dla nas blokami, niemieckim i rosyjskim, takich organizacji państwowych, albo takiego organizmu państwowego, który by mógł prowadzić wojnę na dwa fronty. To znaczy: obronić narody zamieszkałe pomiędzy Rosją i Niemcami, nie tylko przed każdym z tych wrogów pojedynczo, ale nawet w wypadku zaatakowania nas ("nas" tzn. narody zamieszkałe jak wyżej) jednocześnie z zachodu i wschodu. -- Oto cała mądrość.

Uważam ją istotnie za mądrość. Historia uczy nas, że koalicja rosyjsko-niemiecka jest dla nas notorycznie zgubna. Nie będę przytaczał tu danych historycznych. które są znane zupełnie powszechnie. Sytuacja Polski i Wielkiego Księstwa Litewskiego nie zmieniła się w wieku XX i pozostała taką samą jak w wieku XIV, w głównych zarysach oczywiście.** Dopóki narodami nie dysponowały ich nacjonalizmy, a ich książęta, mógł Witold z Jagiełłą zapoczątkować mocarstwo tak silne, że odpierające zakusy agresywne jednocześnie ze wschodu i zachodu. Z chwilą, gdy organizm Rzeczypospolitej rozdrobnił się z pojęcia "obojga narodów" na pojęcia Polaków, Białorusinów, Ukraińców i Litwinów, zamieszkałych wszystkich pomiędzy Niemcami i Rosją, wspólny, nie zmieniony los tych narodów zmusza nas do utworzenia takiego porozumienia, takiego układu, do takiej decyzji, która by zastąpiła łatwą kiedyś decyzję książąt -- trudną dziś decyzją narodów, obarczonych skomplikowaną machiną narodowościowo-wyznaniowo-gospodarczych aspiracji.

W tym ujęciu idea "krajowa" (nie lubię tego słowa), mimo pozorów romantyzmu, jest wyrozumowaną i praktyczną. Można by poszukać dla niej analogii wśród historycznych sojuszów politycznych, starych czy

nowych, albo wprost analogii w strategiach państwowych. Przychodzi mi pomysł porównać ją do planu Schlieffena.

Skąd się bierze sława tego oficera niemieckiego sztabu generalnego sprzed pierwszej wojny światowej, która nadała mu tytuł "genialnego stratega"? Stąd, że słabe, poszatkowane Niemcy dochodzą za Bismarcka do potęgi przez zjednoczenie swych sił. Niemcy, podobnie jak ongiś Rzeczpospolita, znalazły się pomiędzy dwoma blokami kontynentalnymi: Francją i Rosją. Z chwilą, gdy się wzmocniły na tyle, aby wyemancypować od sił wypadkowych, co było głównym ich zadaniem? ["zadaniem" skreślono i wpisano: troską] Oto możliwość obrony na dwa fronty jednocześnie. I dlatego wszystkie sztaby generalne niemieckie od okresu Bismarcka po okres Wielkiej Wojny, miały poruczony sobie tylko jeden jedyny ["jedyny" przekreślono, wpisano: główny] problem: opracowanie planu jednoczesnej wojny przeciwko Francji i Rosji. Alfred hr. Schlieffen, mianowany 7 lutego 1891 roku szefem niemieckiego sztabu generalnego, niezmordowanie, aż do swej śmierci w r. 1913, poświęca całą wiedzę, zdolności i energię opracowaniu planu wojny na dwa fronty. A ponieważ zagadnienie takiej wojny stanowiło o życiu i śmierci Niemiec, przeto najlepszy plan, za jaki uznano właśnie klasyczną receptę Schlieffena, zapewnił mu nieśmiertelność w poczcie wielkich Niemców.

A o cóż nam chodzi? O to, żeby przestać być igraszką niemiecko-rosyjską, żeby wyjść z impasu wiecznego lawirowania pomiędzy tymi dwoma potęgami, żeby nie dochodzić do niepodległości tylko z łaski wojny pomiędzy nimi i nie ginąć na poczekaniu z chwilą ich zgody i wspólnego działania. O nic więcej.

Jakże to zrobić? -- Musimy stworzyć wielkie, ogromne państwo polskie -- powiadali tzw. "mocarstwowcy". [skreślono: z moim bratem Stanisławem Mackiewiczem na czele] Bardzo słusznie. Ale, jak się rzekło, pomiędzy dwoma zaciskającymi nas kleszczami, los wspólny jest zarówno dla Polaków, jak Białorusinów, Ukraińców i Litwinów. Otóż ci nasi wspólnicy nie godzą się na koncepcję, ażeby to było tylko wielkie państwo -- "polskie". Skoro się nie godzą, a będąc naszymi dziejowymi wspólnikami, narodowościowo tak się wzmocnili, że nie liczyć się z ich głosem niepodobna -- musimy iść z nimi na kompromis i układać wspólnie ten organizm państwowy, aby był mocny, trwały i od wewnątrz nie rozsadzany przez [dopisano: nacjonalistycznych] malkontentów. Przy tym czynić to należy w sposób, aby wzgląd na nieuniknionych malkontentów mieć tylko w wypadku ich żądań słusznych, czyli czynić uczciwie nie inaczej, jak dla absolutnego, dowiedzionego, wspólnego dobra i interesu.

Powiedziałbym, że w całej tej koncepcji, różnice pomiędzy moją krajowością i ideą mocarstwową z okresu Piłsudskiego nie są zbyt duże. Różnica główna polega na tym, że mocarstwowcy za źródło emocjonalne traktowali patriotyzm narodowy polski, ja zaś czerpię z patriotyzmu terenu, wyzbywając się egoizmu narodowościowego dla dobra wszystkich narodowości ten teren zamieszkujących. Nie wyklucza to przewodniczenia np. narodu polskiego, ale też i łamania wszystkich bez wyjątku, kto by egoistyczne aspiracje narodowościowe usiłował forsować ponad terenowe interesy państwa. Natomiast "mocarstwowcy" uważali za możliwe nie liczyć się ze "wspólnikami" w takim stopniu, w jakim ja uważam za konieczne ze względu na ich rzeczywistą potencję. Podejście "mocarstwowców" do zagadnienia białoruskiego czy ukraińskiego, mimo całej powagi udzielanej temu ostatniemu zwłaszcza, było co nieco jakby z werandy dworskiej do podwładnego chłopa, było więc bardziej nie odpowiadające prawdziwemu stanowi rzeczy i bardziej, powiedziałbym, romantyczne od mego, a przez to o wiele mniej realne. Najpoważniejsze studium wyszłe z tego obozu w Polsce przed samą wojną, a mianowicie Problem Polsko-Ukraiński w Ziemi Czerwieńskiej Aleksandra Bocheńskiego z r. 1938, traktuje wciąż Ukraińców jako mniejszość w granicach Polski i mimo najsumienniejszego przestudiowania, nie daje nam żadnej recepty końcowej. -- Inna różnica, dzieląca mnie z obozem "mocarstwowców", miała już charakter swoisty: oni uważali Piłsudskiego za swego wodza, wyrocznię i człowieka genialnego, ja zaś za politycznego kretyna.["kretyna" skreślono, wpisano: szkodnika]

Genezy koncepcji mojej skłonny jestem dopatrywać się w założeniach politycznych W. Ks. Witolda: obydwa państwa utworzyły wówczas związek, który upodobnić można do dwóch ludzi opartych wzajem plecami, a zwróconych twarzami w przeciwległe strony. Wielkie Księstwo Litewskie na wschód. Korona na zachód. W ten sposób każde z tych państw miało zabezpieczone tyły .(Nie mówię tu. oczywiście. o licznych odchyleniach. w zależności od konstelacji politycznej.) Nic oczywiście nie stało na przeszkodzie, aby działać miały, zależnie od okoliczności, w jednym kierunku wspólnie. Wzmacniało to tylko ich pozycję mocarstwową.

Wówczas Litwa była państwem na wskroś ruskim i rywalizowała z Moskwą o Dominium Russiae. Dziś [dopisano: Litwa rozszczepiona została na zamieszkujące ją narodowości: białoruską, polską i litewską, a prócz tego] powstał wyodrębniony terenowo, trzeci [skreślono: "trzeci", wpisano: nowy] czynnik, mianowicie prący do samodzielności naród ukraiński.

Mój plan uregulowania Europy wschodniej przez utworzenie organizmu państwowego równego siłą Niemcom i Rosji, wyglądałby w schemacie następująco:

Wielkie Księstwo Litewskie (nazwijmy je jak chcemy) obejmuje wszystkie ziemie białoruskie i litewskie w ogólnym kierunku od Dniepru i Prypeci na północny zachód, ze stolicą w Wilnie. Polska -- od etnograficznej granicy białorusko-ukraińskiej, na zachód i południe, łącznie z Pomorzem, Śląskiem itd. Na południowym wschodzie Ukraina. Mniej więcej w centrum tego trójpaństwa, gdzieś u początku Prypeci, schodziłyby się trzy granice. Trzy stolice stanowiłyby: Warszawa, Wilno, Kijów. Pomiędzy tymi państwami, czy też członami

jednego państwa o wspólnej polityce zagranicznej i wojskowej, uregulowana by została definitywnie sfera i kierunek ekspansji politycznych, interesów i aspiracji terenowych.

Do sfery interesów członu państwa, które nazwałem tradycyjnie "Wielkim Księstwem Litewskim", włączona byłaby Łotwa i kierunek północno-wschodni na Psków -- Nowogród -- Smoleńsk -- Briańsk. Prusy Wschodnie objęte wspólną sferą wpływów Wilna i Warszawy.

Do stery interesów Polski należałyby odrodzone Czechy, Słowacja i Węgry aż po Bałkany. Rumunia wchodziłaby we wspólną sferę wpływów polsko-ukraińskich.

Do sfery interesów Ukrainy należałby Krym, Kozacy Dońscy, Kubań po Kaukaz.

Tego rodzaju organizm państwowy musiałby dążyć do wytworzenia wokół korzystnej dla siebie konstelacji, zabezpieczającej go od oskrzydlenia z północy i południa. Na północy więc utworzenie wielkiego bloku skandynawskiego z hegemonią, powiedzmy, Szwecji nad Finlandią i Estonią w antywschodnim sojuszu z Wilnem, oraz nad Norwegią i Danią w antyzachodnim sojuszu z Warszawą. Na południu blok państw bałkańskich w sojuszu z Warszawą. Na południowym wschodzie hegemonia Ukrainy nad Donem i, możliwe, Kaukazem w sojuszu z Turcją.

To byłby schemat.

***

Wracając do ścisłego tematu tzw. idei krajowej, czyli, w mojej koncepcji, odrodzenia państwa na terenach b. W. Ks. Litewskiego, w oparciu o Polskę i Ukrainę, wydaje mi się ona nie tylko korzystną dla wszystkich trzech zainteresowanych narodowości: Białorusinów, Polaków i Litwinów, ale po prostu jedyną, która im gwarantować może byt niezależny na tych terenach. W sytuacji do r. 1939 Polska miała tylko skrawek tych ziem, napęczniały zgryźliwym niezadowoleniem mieszkańców, atakowany ze strony Litwy, wciąż wystawiony na agresję sowiecką. Ten Korytarz wileński nie był do utrzymania przez czas dłuższy przy takiej Polsce. Co zaś dotyczy Litwy i Białorusi, to bez oparcia o Polskę. byłyby notorycznie wystawione na niebezpieczeństwo pomiędzy Niemcami i każdą Rosją. Gdyby nawet Białoruś uzyskać kiedyś miała niezależność z rąk Niemiec czy Rosji, bez oparcia o Polskę, to ta niezależność pozostałaby zawsze nominalna, bez dostępu do morza, albo pod postacią protektoratu niemieckiego, albo folwarku rosyjskiego, że już pominę strukturę sowiecką. Nad sytuacją niezależnej Litwy nie warto się nawet rozwodzić po doświadczeniach jej izolacyjnej wobec Polski polityki i niesławnego finału lawirowania pomiędzy Moskwą i Berlinem.

To idealizowane przeze mnie współczesne Wielkie Księstwo Litewskie miałoby charakter państwa trójjęzycznego, trójnarodowego: Białorusini, Litwini, Polacy. Abstrahując od korzyści zasadniczej, zewnętrznej, wypływającej z mocarstwowego zabezpieczenia się przed utratą niepodległości i wyemancypowania spod władzy Moskwy i Berlina -- wszystkie te trzy narodowości zyskują, przez połączenie, nie tylko siłę, ale i wewnętrzne zadośćuczynienie własnym ideałom. Następnie poważne korzyści ekonomiczne. Litwini, otrzymując dostęp do Wilna-stolicy i całej historycznej Litwy, nie tracą nic ze swego narodowościowo-kulturalnego dorobku, pozostając równorzędnym elementem w państwie, siedzą na jego dostępach do morza. Białorusini stanowią element przeważający, nie potrzebują się zatem obawiać wynarodowienia, zwłaszcza groźnego im na rzecz Rosji, uzyskują dostęp do morza i warunki normalnego rozwoju. Polacy wileńscy, zachowując swój język ojczysty i kulturę, tudzież swą tradycyjną odrębność od Korony, dochodzą wreszcie do głosu we własnej, ścisłej ojczyźnie (Heimatland), nie tracą, a nabierają powagi, jako element stanowiący zbitą masę w samym centrum i stolicy. Poza tym stanowią nie kość niezgody, ale pomost łączący Wilno z Warszawą.

Jest to tylko krótki szkic. Jeżeliby jednak miał się komuś wydać naiwnym ze względu na różnice aspiracji i animozje dzielące Litwinów, Polaków i Białorusinów -- to odpowiem, że, moim zdaniem, nie tylko naiwnym, ale przestępczym wydaje mi się przekładanie drobnych ambicji językowych, hegemonistycznych aspiracji poszczególnych nacjonalizmów, ponad dobro niezależności państwowej, zrzucenie jarzma niewoli, wyemancypowanie spod wiekowej zależności politycznej Berlina bądź Moskwy. -- Taką właśnie przestępczą politykę uprawiał nacjonalizm litewski, rzucający się raz w objęcia moskiewskiego komunizmu, drugi -- niemieckiego hitleryzmu, a gnębiący bezlitośnie wspólników własnej niedoli.

Gdyby natomiast ktoś chciał się dopatrywać idealizowanej przeze mnie koncepcji przestarzałych, albo "przebrzmiałych" form, kantonalnych wzorów szwajcarskich, projektów Hymansa itp., to bym im wskazał na wzór nowszy, a przez nas gruntownie poznany dopiero teraz -- wzór, moim zdaniem, idealnie rozstrzygnięty przez Związek Sowiecki -- jego politykę narodowościową. Mam wielką ochotę nazwać ten wzór nawet genialnym, jedynym godnym naśladowania spośród wszystkich ponurych eksperymentów komunizmu. Okazuje się bowiem, że wzajemna nienawiść narodowa nie siedzi tak głęboko w człowieku, ani odrębność językowa nie stanowi tak ważnej cząstki jego aspiracji, gdy się ją sprawiedliwie zaspokoi przez równouprawnienie, autorytet z góry, propagandę. Wszyscy mogą być zadowoleni i mam wrażenie, iż łącznie z bogatym, silnym i niezależnym państwem, byliby zadowoleni w istocie, gdyby językowe równouprawnienie przewidywało pierwszeństwo litewskiej mowy w Kownie, polskiej w Wilnie, białoruskiej w Mińsku.

Strukturę gospodarczą państwa oparłbym na litewskich wzorach reformy rolnej, która dała świetne wyniki, podobnie zresztą jak w Estonii i Łotwie; jednym słowem: "hutornoje haziajstwo", projektowane ongiś w BSSR w okresie śp. "nacdemszczyny".

Traktując swą koncepcję szczerze i uczciwie jako maksymalnie korzystną z możliwych, zarówno dla narodu polskiego, jak litewskiego czy białoruskiego, nie mogę uznać zarzutu zdrady interesów polskich popełnianych jako Polak, tak samo jak bym nie uznał za zdradę interesów litewskich czy białoruskich, gdybym był w tej koncepcji Litwinem czy Białorusinem.

***

Powtarzam raz jeszcze, że temat powyższy nie traktuję nawet w przybliżeniu jako całokształt, nie traktuję tego tematu ani monograficznie, ani dyskusyjnie, nie odpierając z góry przewidzianych, a dobrze mi znanych zarzutów, kontrargumentów poważnych i potocznych, z których najbardziej popularnym wydawał mi się zawsze ten, mówiący o utopii, o przeżytkach, o niepopularności przede wszystkim idei, o której słyszeć nie chcą ani Polacy, ani Litwini, ani Białorusini.

Ten ostatni argument datuje się z dobrych liberalistycznych czasów, gdy w walce, powiedzmy, pomiędzy republiką a monarchią, konserwatyzmem i demokracją, wzywano vox populi na świadka. Liberalizm jest niewątpliwie formą najprzyjemniejszą, nie powinien nam jednak utrudniać nauki, którą czerpiemy dziś z form totalnych. Hitler pokazał nam, jak można chcieć uporządkowania nie tylko jednego państwa, ale całej Europy (Das Neue Europa), nie pytając o zgodę ani popularność nie trzech, a dwudziestu trzech narodów! Ale bardziej jeszcze Związek Sowiecki nauczył nas, w jak małym stopniu popularność jakiejś idei, albo głos opinii publicznej, może wpływać na bieg wypadków historycznych. Jeżeli 68 milionów obywateli sowieckich mogło wytrwać i musiało wytrwać w ciągu dwudziestu kilku lat w warunkach urągających pojęciom zdrowego sensu, ba! potrafiło tak walczyć z Niemcami, jak walczyło w obronie sprawy złej -- nie uważam za stosowne liczyć się z opinią kilku milionów, dla których chciałbym stworzyć sprawę -- dobrą.

Jest to też powód, dla którego nie omawiam kwestii ustrojowej idealizowanego przeze mnie organizmu państwowego, względnie państwowych. Totalizm konsekwentny przeraża mnie swą jednostajną nudą. Komunizm usuwam poza dyskusję. Poza tym byłoby dla sprawy obojętne, czy byśmy mieli do czynienia ze związkiem najbardziej radykalnych republik, czy z ... jednym tylko monarchą.

Taka jest moja koncepcja, mój pomysł polityczny. Przytaczam go na początku książki, która wcale nie ma za zadanie rozwinięcia tego tematu. Stanowi tylko credo moich ideałów, o urzeczywistnienie których, zdawało mi się, że mam prawo się borykać na tym skrawku Europy Wschodniej, któremu od wieków królowało Wilno. [dopisano: Dopisek o pozyskaniu zwolenników.(Patrz uwagi Świdy [?])]

Tło powszechnie jest znane: toczy się mianowicie druga Wojna Światowa. Niektóre osoby działające wymienię poniżej, przy tym pozwalam sobie ilustrować ich działanie i raz wypowiedziane słowa, nie autoryzując je do druku. Ryzykuję w ten sposób narazić się na wiele protestów, zaprzeczeń, oburzeń, a może w przyszłości procesów. Namyślałem się... Niech już tak zostanie. Albo się pisze prawdę, albo nie!

PRZYPISY

* Dobra albo zła polityka zależy jednak nie tylko od stopnia jej słuszności, ale też często od możliwości jej powodzenia. W momencie decydującym każdy polityk znaleźć się może na krawędzi tryumfu i potępienia, Tak się rzecz miała ze wszystkimi rewolucjami i zamachami stanu. -- Gdy 3 lipca 1866 roku pod Koniggrätz zwycięstwo ostatecznie przechyliło się na stronę wojsk pruskich, do stojącego na wzgórzu Bismarcka podjechał jego adiutant von Steinäcker i powiedział z uśmiechem: "Ekscelencjo, teraz jest pan wielkim człowiekiem, Gdyby jednak Kronprinz przyszedł za późno, byłby pan największym zbrodniarzem".

Z drugiej zaś strony, czy możemy twierdzić, że dzisiejszą wielkość Mahatmy Gandhiego obniża fakt, że nieomal pół życia swego strawił na wysiłkach ugodowej względem Anglii polityki, politycznych i taktycznych kompromisach?

Poza tym jest zwolennikiem maksymalnego idealizmu w polityce, czyli zredukowania do możliwego minimum nieuczciwości międzynarodowej, Nie podzielam zdania dr Goebbelsa z r. 1943, w którym wykrzykiwał: "Fanatyzm to nie wada. Fanatyzm to cnota". -- Nie, raczej przypada mi do gustu zdanie Gladstone'a z r. 1879, który, odbywając kampanię wyborczą przeciwko Disraeliemu, wołał: "Są w świecie inne rzeczy, niż konieczności polityczne: są konieczności moralne. Pamiętajcie o tym, że świętość życia w siołach Afganistanu, w śniegach zimy, jest równie nietykalna w oczach Stwórcy, jak życie w naszych miastach".

** Już w wieku XVI Iwan III, usiłując wykorzystać zaniepokojenie cesarza Maksymiliana penetracją Jagiellońską na Węgrzech, proponował "Rzymskiemu Imperium Narodu Niemieckiego" sojusz, a następnie rozbiór Rzeczypospolitej.

Niżej cytowane listy Józefa Mackiewicza do redaktora londyńskich "Wiadomości" zaczerpnięte zostały z: Z listów do Mieczysława Grydzewskiego. 1946-1966, Wybór, wstęp i opracowanie Rafał Habielski, Polonia, Londyn 1990, s. 109-126. Za zwrócenie mi uwagi na tę korespondencję i podarowanie egzemplarza książki Habielskiego jestem bardzo wdzięczny Panu Grzegorzowi Hajdukowi z Krakowa. - Kamil Koszyrski

22. LISTY DO GRYDZEWSKIEGO

16.XI.1947 r.

Szanowny Panie Redaktorze,
Zawsze z dużym uznaniem odnosiłem się do proponowanych przez Pana zmian i poprawek w moich artykułach, co, jak Pan sam musi przyznać, nigdy nie było cnotą zbyt rozpowszechnioną wśród autorów. Co do szeregu zmian zapowiedzianych przez Pana w moim artykule, nie mógłbym powiedzieć ostatniego słowa przed ich zobaczeniem. Przypuszczam jednak, że się z nimi w zupełności zgodzę.

Jeżeli ośmielę się dorzucić swe subiektywne wrażenie, uważałem, że artykuł [Gdzie jest prezydent Ulmanis?, "Wiadomości" nr 100, 1948] jest dobry i oryginalny. Chciałem w nim przede wszystkim wyrazić, że jakkolwiek Mikołajczyk jest szubrawcem, nie należy mu przeszkadzać w obświnianiu bolszewików, jeżeli to będzie czynił skutecznie w opinii światowej, gdyż nasze sprawy wewnętrzne są podrzędne w stosunku do nadrzędnej, jaką jest zwalczanie Sowietów Zdawało mi się też, że przypomnienie postaci Wielkiego Muftiego czy Krawczenki z tej okazji, jest ujęciem oryginalnym. Jeżeli ma postąpić ostateczne zerwanie pomiędzy Ameryką a Sowietami, to jakie znaczenie ma Jałta? Jeszcze mniejsze to, czy Mikołajczyk zajmował takie czy inne stanowisko. Absolutnie też się nie zgadzam ani z moim bratem, ani ze Zbyszewskim, że "bezpieka" ułatwiła mu ucieczkę Bolszewicy raz tylko zrobili ten błąd, to było z Trockim, i nigdy od tego czasu nikogo nie wypuszczali -- Sądzę, że ustęp o wyborach można zupełnie wyrzucić Nie wiem, czy nazwisko Nowakowskiego, w przytoczonym przeze mnie przykładzie, uważa Pan Redaktor za dostatecznie fortunne?

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

J. Mackiewicz

3.11.1949 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,
Korektę otrzymałem dopiero dziś rano i odsyłam ją z nową wersją tego zdania, o które mi chodziło.

Chciałbym jednocześnie skorzystać ze sposobności, czego nie zdążyłem zrobić podczas naszej rozmowy telefonicznej, i zapewnić, że zachowuję zawsze największy podziw i respekt nie tylko dla sposobu prowadzenia przez Pana Jego pisma, ale równie osobiście dla Pana Redaktora, który moim zdaniem, jedyny spośród Polaków potrafi ratować resztki niezależnej myśli i szanować zdanie przeciwne, często, jak to zresztą casus Manstein dowodzi, nawet wbrew własnym przekonaniom. [Przebywający na emigracji publicysta i działacz polityczny Władysław Studnicki (1876-1953) zgłosił się w charakterze świadka obrony w trwającym ówcześnie procesie niemieckiego feldmarszałka Ericha von Mansteina (1887-1973). O sprawie tej Mackiewicz pisał w nr. 193 "Wiadomości" z 1949 r.] Poza tem rozumiem doskonale, z jakimi trudnościami musi Pan walczyć i nie potrzebuję chyba dodawać, że nie zmienię wypowiedzianego tu zdania, nawet gdyby pewnego dnia miał Pan oświadczyć, że nie będzie np. nic mego drukował. W żadnym tedy wypadku nie chciałbym utrudniać Panu i bez tego ciężkiej pracy. Gdyby więc list mój w ogóle obciążał w czemkolwiek "Wiadomości" nie będę miał żadnej pretensji za jego niedrukowanie Prosiłbym tylko w takim razie, gdyby to było możliwe, o wydrukowanie jednego zdania w dopisku do innych listów, że mój nie został umieszczony z takich, a takich względów. Ewentualnie pozostawienie jakiegoś śladu jego w "odpowiedziach redakcji". -- Zależy mi na tem, ponieważ nie chcę się upodobnić do reszty towarzystwa, które zawsze gotowe jest do potępienia, a prawie nigdy do obrony. --.Znam z własnego doświadczenia. kilku moich przyjaciół, spośród osób nawet bardzo poważnych, które wiedzą, że ataki na moją osobę tej zgrai akowców pozbawione są podstaw, ale nie tylko nie wystąpią publicznie, ale bronią mnie "o tyle o ile" albo półgębkiem, żeby się samym nie narazić.

Wszystko to razem jest dla mnie szczerze obrzydliwe, dlatego nigdy się nie pogodzę z tym stanem rzeczy, gdy to cały naród, bo co tu ukrywać prawdę, dosłownie cały naród leży na brzuchu i liże but, który go przyciska do ziemi, a ci co są na wolności wyżywają się w kopaniu innych powalonych i odmawiają czci jednostce, która ośmiela się ich bronić, jak to ma rzecz ze Studnickim

Niechby nawet Manstein był "opryszkiem", jak go Pan nazywa, choć dla mnie pozostanie zawsze tylko wrogim generałem, dotychczas jednak składanie zeznań odciążających przestępców kryminalnych nie pociągało za sobą odsądzania świadka od czci i wiary. To zaś, co się u nas robi, jest zwykłym naśladownictwem wzorów bolszewickich, gdzie kryminalna "szpana" cieszy się większymi honorami niż przestępcy polityczni

Zechce Pan Redaktor wybaczyć mi te przydługie wywody
i przyjąć wyrazy głębokiego szacunku i poważania

J. Mackiewicz

P.S. Liczbę przyjaciół polsko-radzieckich zmieniłem z półtora na dwa miliony, ponieważ onegdaj radio-Warszawa zakomunikowało z okazji nowego adresu dla Stalina, że liczba ta dosięgła właśnie dwóch milionów.

25.10.1950 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,
Odmowa wydrukowania mego listu była dla mnie dużym ciosem. Półtora roku temu opuściłem "Lwów i Wilno", które moim zdaniem uprawia "poputniczestwo" czystej wody (z Bierutem, przeciwko któremu nie wolno tam napisać złego słowa). Zgadzam się, że na te rzeczy można mieć też inny pogląd, jak też zdaję sobie doskonale sprawę, że poglądy Pana Redaktora nie pokrywają się z moimi, ale też z wielu innymi współpracownikami "Wiadomości" Redaktorska indywidualność Pana przebijała zawsze bardzo silnie w "Wiadomościach" (mówię o stronie polityczno-ideowej), a mimo tego stały się one pismem niejako nadrzędnym, skupiającym wszystkich. W jaki sposób umiał Pan pogodzić najbardziej przeciwstawne nieraz poglądy swoich pisarzy, z wyraźną indywidualnością i konsekwentną linią pisma, nie da się zapewne wytłumaczyć jednym zdaniem. Sądzę, iż należy to do dziedziny talentów, graniczących nieomal z genialnością. Osobiście uosabiał Pan dla mnie jedyną i ostatnią w Polsce ostoję najszlachetniejszego liberalizmu Jeżeli zatem nawet Pan odmawia umieszczenia mego listu (listu, nie artykułu!), to znaczy, że nie tylko nie wolno namawiać do walki z bolszewikami, ale nawet dyskutować na ten temat! Jak na moje poglądy jest to fakt ponury. Ponieważ w tej specjalnie dziedzinie nie jestem zdolny do jakiegokolwiek kompromisu, więc zastrzegam lojalnie, że chciałbym do tej rzeczy powrócić w przyszłości, bo w tej chwili praca zarobkowa, w połączeniu z wykańczaniem powieści, nie daje mi chwili wolnej.

Przesyłam Panu właśnie jej urywek, a raczej adaptację tego urywku. Nie wiem, czy to Pana będzie interesować, zwłaszcza ze względu na objętość Dotyczy jednego z najbardziej egzotycznych i dotychczas nieznanych zdarzeń z okresu okupacji sow[ieckiej]. Wszystko to jest autentyczne, do nazwisk, nazw miejscowości, dat itd. włącznie. Ja tam byłem, na tym cudzie. W wypadku, gdyby coś z tego mogło zainteresować Pana Redaktora i projektował Pan jakieś skróty lub zmiany, byłbym wdzięczny o porozumienie się ze mną jeszcze przed oddaniem do druku. W razie odrzucenia -- o zwrot rękopisu, lub zatelefonowanie, a przyjadę go zabrać. [Sprawa dotyczy z pewnością końcowego fragmentu powieści Droga donikąd, którego Grydzewski nie opublikował.]

Zechce Pan przyjąć wyrazy głębokiego szacunku

J. Mackiewicz

8.9.1951 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,
Nigdy bym nie pozwolił sobie zwracać się do Pana w podobnej sprawie, gdybym nie musiał wyznać szczerze, że ze wszystkich polskich recenzji z mojej angielskiej książki o Katyniu, jak to zresztą nietrudno się domyśleć, naprawdę szczerze zależało mi jedynie na "Wiadomościach". Tymczasem zauważyłem, że zapowiedź tej recenzji znikła ze szpalt. Czy zaszło coś dla mnie niepomyślnego?

Pewne gorzkie refleksje wzbudziła we mnie notatka w "Czasopismach obcych" o recenzji z książki Czapskiego. O mojej książce ukazało się dotychczas (bo ciągle nowe napływają) przeszło 60 recenzji w Szwajcarii, Anglii, Ameryce, Niemczech, Austrii, w sześciu językach (w tym tylko w pięciu gazetach polskich). Przy tem, wyznam, większość recenzji zajmuje się nie tyle walorami książki, ile samą sprawą. Nie tyle więc ja się muszę z tego cieszyć, ile ci z nas, którzy tych spraw pilnują i, jak wiadomo, szafują na nią dużo publicznych pieniędzy, ale tylko wtedy, gdy przy okazji pieką prywatną pieczeń. -- Ponieważ organy apaiserskie całego świata usiłują moją książkę przemilczeć, a piszą o niej, jak dotychczas prawie wyłącznie pisma antysowieckie, więc na 60 recenzji pochlebnych, ukazało się dotychczas tylko dwie niepochlebne: w "Dzienniku Polskim" w Krakowie i ... "Orle Białym" w Londynie! Jest to mały, ale charakterystyczny przykład polityki personalnej, która dla pewnych kół stanowi suprema lex.

Przeszło 30 recenzji ukazało się dotychczas w pismach angielskich. Aż cztery z nich, w tym organ Edena "Yorkshire Post", zestawiają moje nazwisko z Winst[onem] Churchillem, co mnie napawa zabawną dumą, ale żart na stronę, rozszerzając i korygując w ten sposób pamiętniki Churchilla, przecież dolewają kropelkę do prawdy, od której głoszenia w ogóle po to jest emigracja polska. Darmo by jednak szukać o tym choć najmniejszej wzmianki w różnych "dziennikach", "życiach", "gazetach, w której aż roi się od Stypułkowskich , Czapskich, Andersach, Borach czy innych silnych mira siewo.

Przy okazji załączam odpis, oczywiście czysto reklamowy, ulotki spreparowanej na prośbę Orbisu jeszcze trzy tygodnie temu, a jednocześnie odsłonię Panu poufnie stronę księgarsko-handlową: Bito 6.500. Na dzień 1 września rozsprzedano 5.000. O pozostałe 1.500 ubiega się British Book Centre in New York City. Jeżeli transakcja dojdzie do skutku, nakład zostanie wyczerpany. Nakładzik, jak Pan widzi mały, ale sukces, jak na niecałe trzy miesiące, kompletny! Tymczasem wydawca na wspomnienie drugiego nakładu drapie się w głowę i mówi coś o braku papieru, a niejaki pan Stahl, który ukradł mi i nie zapłacił w ten sposób polskiego wydania, z ramienia gen. Andersa, czy jak inni chcą bez tego ramienia, staje ze swej strony na głowie, by przeszkodzić zarówno drugiemu wydaniu, jak amerykańskiemu.

Byłbym naprawdę niepocieszony, gdyby Pan Redaktor, ten mój spontaniczny wylew żółci, poczytał za objaw jakowyś moich i w stosunku do Pana pretensji. Przeciwnie, mam do Niego tylko szczerą wdzięczność za dotychczasowy przychylny do mnie stosunek. Chodzi mi tylko o honor dla mojej książki, aby była omówiona w "Wiadomościach", bo jak Pan widzi, materialna strona reklamy, prawie że już nie jest aktualną. O żadne inne recenzje w żadnym z polskich pism się nie ubiegałem i nie ubiegam. [Recenzję z The Katyń Wood Murders napisał Wacław A. Zbyszewski, a "Wiadomości" opublikowały ją w nr. 289 z 1951 r.]

Zechce Pan, Redaktorze, przyjąć wyrazy głębokiego szacunku i uznania
Józef Mackiewicz

5.11.1951 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,
Bardzo dziękuję za uprzejmy list Pana w sprawie mojej ostatniej opowieści. Niestety, żadna z propozycji Pana Redaktora nie wydaje mi się możliwa. Opowiadanie jest zbyt statyczne i pozbawione akcji, aby je można dzielić. Poza tem nie uważam go za dość doskonałe, aby wypełniać mogło aż dwa numery. Natomiast, ze względu na jego charakter, skrócenie o jedną trzecią, przydać by mogło opowiadaniu jakowąś lakoniczną ostrość, co nie leżało w moich zamiarach.

Niejako w "zastępstwie" przesyłam Panu co innego. [Klucz do "Parku Kultury i Wypoczynku", "Wiadomości" nr 296, 1951 r.] Uważam tę rzecz za rewelacyjną, ale może się mylę, gdyż każdemu specjaliście [z] jakiejś dziedziny, każdy szczegół wydaje się bardzo ważny, gdy dokonywuje nowego odkrycia. Naprawdę jestem przekonany, że sprawa Winnicy rzuca zupełnie inne światło na sprawę Katynia. Katyń był tylko zwyczajnym dalszym ciągiem metody, niczem więcej. Zebranie tych materiałów kosztowało mnie dobre dwa tygodnie czasu. Gdyby się artykuł wydał Panu Redaktorowi za długi, albo przewidywał Pan konieczność skrótów dla jego dobra, zgadzam się z góry. Niestety z wyjątkiem pierwszej półtorej stronicy. Pisuję tak rzadko do "Wiadomości" i tak oszczędnie narzucam się ze swoimi poglądami, a nie mam zupełnie możności wypowiedzieć się gdzie indziej.

Zechce Pan Redaktor przyjąć wyrazy szczerego szacunku i serdeczne pozdrowienia

Józef Mackiewicz

15.1.1952 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,
Pozwalam sobie przesłać Panu opowiadanie o piekle [Przygoda małego diabełka, "Wiadomości" nr 308, 1952 r.], ale być może nie znam się na tej rzeczy.

Przy okazji chciałbym zapewnić, iż będę bardzo wdzięczny za przekazanie mi honorarium za uprzednie opowiadanie.

Jednocześnie bardzo dziękuję za Wierzyńskiego. Naturalnie, napisałem do niego zaraz i otrzymałem serdeczną odpowiedź. Wydaje mi się, iż szczerze chce mi pomóc na terenie Ameryki. Wczoraj otrzymałem od niego drugi list z adresem agencji, którą poleca. Jednocześnie zetknął mnie z W. Bestermanem, przekazując mi jego list i opinię. Niestety, Besterman ocenia rzecz bardzo pesymistycznie i pisze do Wierzyńskiego: "Wiadomo mi, że Komitet Katyński Kongresu lwią część swych dociekań i wniosków oprze na książce Mackiewicza. Raport tego Komitetu będzie miał na pewno wielki rozgłos, ale Mackiewiczowi ani centa z tego nie przybędzie".

Jak Pan widzi, strasznie trudno zarobić na antysowieckości, choć mój brat wciąż przestrzega przed obcymi agenturami, które tylko czyhają, aby gdzieś sypnąć dolarami.

Proszę przyjąć wyrazy głębokiego szacunku i poważania

Józef Mackiewicz

4.6.1955 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,
Wczoraj wysłałem Panu książkę Karowa o partyzantce sowieckiej. Będę wdzięczny za rychły jej zwrot.

Mam do Pana wielką prośbę. Wyszła nareszcie moja powieść DROGA DONlKĄD. Domyśla się Pan zapewne, jak mi zależy na omówieniu w "Wiadomościach". Nie mam oczywiście ani prawa, ani nawet zamiaru wpływania na wybór recenzenta. O jedno tylko chciałbym pana prosić, że jeżeli zdecyduje się Pan łaskawie udzielić tej książce trochę miejsca, to żeby to zrobił ktoś, możliwie, z pierwszego garnituru zespołu... Przede wszystkiem chciał to już robić Wacio Zbyszewski, któremu książka bardzo się podoba. Nie wypadało mi odpowiedzieć, że go o to wcale nie proszę, ale ponieważ w "Dzienniku" ma pisać Karol, więc uważam, że dwóch Zbyszewskich, w i tak już ciasnym świecie emigracyjnym, to może za dużo ... Jeżeli chodzi o moje prywatne zdanie, to właściwie najwięcej zależałoby mi na Bregmanie. Jakkolwiek nie zna on ani tamtych stron, ani nie jest specjalistą od literatury, to jednak jego zdanie należy zawsze do najwyższej klasy ["Wiadomości" (nr 488, 1955 r.) zamieściły recenzję Drogi donikąd pióra Michała K. Pawlikowskiego].

Pisał do mnie przedostatni redaktor "Wozrożdienija" paryskiego, Jakonowski: ""Wiadomości' to jest naprawdę doskonała gazeta! Uważam, że stoi na wyższym poziomie niż wszystkie czasopisma przedwojennej Polski".

Zechce Pan przyjąć wyrazy szacunku i poważania
Józef Mackiewicz

Dn. 26 lipca 1955

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,
Dn. 1 czerwca upłynęło dziesięć lat od, moim zdaniem, jednej z najstraszliwszych zbrodni ubiegłej wojny, wydania w ręce bolszewików przez władze angielskie wszystkich konnych i pieszych pułków kozackich, dońskich, kubańskich, terskich, stawropolskich oraz Kałmuków wraz z przeszło 30 tysiącami ich rodzin. Rzecz odbyła się w Dolinie rzeki Drawy; jeżeli zaś chodzi o XV korpus kozacki operujący przeciwko bandom Tity, to wydanie nastąpiło w Judenburgu w Austrii. Rocznica ta dziwnym trafem zbiega się z nowym "kochajmy się" w Genewie... -- Straszliwe szczegóły i sceny tego wydania, zwłaszcza jeżeli chodzi o kobiety i dzieci, i wszystkie towarzyszące temu fakty historyczne, dziś, po dziesięciu latach są już dokładnie zbadane, zgromadzone, sprawdzone i skonfrontowane. Jest to materiał wstrząsający. Ponieważ ponadto osobiście znam te strony i przedzierałem się właśnie doliną Drawy do Włoch (o kilka miesięcy wcześniej od tych wypadków), które mnie pasjonują, zamierzam je wyzyskać do większej pracy, a może nawet do powieści, jeszcze nie wiem.

Niezależnie jednak od tego, na podstawie już zgromadzonego przeze mnie materiału mógłbym napisać obszerny reportaż. Pewien szkopuł może tu stanowić okrutna rola, jaką odegrali Anglicy. A też do jakiego stopnia można by ujawniać numery pułków angielskich i nazwiska oficerów? -- Nie wiem, czy taka rzecz w ogóle i w zasadzie mogłaby Pana interesować? Sprawa przedstawia się, w jej obiektywnej ocenie, mniej więcej tak: o ile w okrucieństwie ustępuje może hitlerowskim i sowieckim, o tyle w perfidii na pewno je przewyższa.

W wypadku, gdyby taka rzecz Pana interesowała, musiałbym się zastrzec, że mnie ona interesuje wyłącznie od strony opisowo-literackiej, a nie krótkiego artykułu. Musiałbym więc mieć na to co najmniej pełną stronę. [Grydzewski się zgodził i Zbrodnię w dolinie rzeki Drawy zamieścił, "Wiadomości" nr 499, 1955 r.]

W oczekiwaniu łaskawej odpowiedzi Pana Redaktora
łączę wyrazy głębokiego szacunku i poważania

Józef Mackiewicz

1 sierpnia 1955 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,
Dopiero dziś wróciłem z Walchensee, gdzie siedziałem tydzień i zastałem Pana uprzejmy list w sprawie Somossierry i San Domingo. Ponieważ prosił Pan o depeszowanie, a minęło już sporo dni, więc sądzę, że depesza nie będzie miała już znaczenia i odpisuję.

Naturalnie, jeżeli Panu zależy naprawdę na skreśleniu czegoś zgodziłbym się natychmiast, po prostu przez zwykłą życzliwość i głęboki szacunek dla Pana. Z drugiej strony jednak nie bardzo rozumiem, dlaczego stotalizowanie myśli i słowa mamy doprowadzać do tego stopnia, żeby pisarz nie miał prawa mieć innych poglądów nawet na wypadki historyczne? -- W tej chwili nie mam pod ręką źródeł, o których pamiętam, że całą tę szarżę w wąwozie stawiały pod duży znak zapytania. Karol Zbyszewski stwierdził, że żadnego wąwozu nie ma. Wyjaśnienie Kukiela, którego również nie mam pod ręką, ale pamiętam, że wydało mi się nie tylko niejasne, ale mętne. Przy tem miałem wrażenie wówczas, czytając go, że cytowane przezeń źródła odbijają przeważnie wersję polską i stanowią pochodne ze źródeł polskich. Po ostatniej wojnie, którą przebyłem w kraju pod okupacją i widziałem wszystko własnymi oczyma, a teraz mogę przed własnym sumieniem i Bogiem stwierdzić, że 85% wydrukowanych relacji stanowi jakieś hypnotyczne, masowe łgarstwo, z którym walczyć jest

fizycznym niepodobieństwem, gdyż 1.000 świadków przysięgnie w każdej chwili, że było tak, jak-- nie było... -- nie wierzę w żadne źródła polskie!

Co do San Domingo, to myślałem, że Pan o tym wie. Wyprawa była rozgłoszona jako nie przedstawiająca żadnego niebezpieczeństwa, natomiast na której można się obłowić raz na całe życie! Prawo wzięcia w niej udziału było rozdawane nieomal jak koncesja dla tych, którzy na poprzednich kampaniach nic nie zrobili [powinno być chyba: zarobili]. Natłok był tak wielki, że z protekcji zrobiono prawdziwy handel. Doszło do tego, że procent oficerów przewyższał w niektórych formacjach procent szeregowych ... Naturalnie protoplaści naszych kasztaniarzy [handlarzy złotą walutą] z II korpusu znaleźli jakieś chody, żeby się na tę wyprawę wścibić, i żeby się solidnie obłowić. Dopiero, gdy cała rzecz zakończyła się klęską, przekręcono wszystko do góry nogami i przez sto pięćdziesiąt lat prawie uczymy swoje dzieci, że "Polaków rzucają zawsze na stracone pozycje!" Jest to oczywiście najbezczelniejszy bluff, jaki kiedykolwiek ktoś wymyślił.

Bieda jest oczywiście nie w tym, że my "przelewamy krew za kogoś", tylko że nie chcemy przelewać jej nawet za własną ojczyznę i dlatego bili nas wszyscy po kolei i rozbierali Polskę od dwustu lat, jak kto chce. Podczas ostatniej wojny na prosowieckich kolaborantów, czyli AK, spadał taki deszcz dolarów i złota, że każdy zabity przez nich Niemiec ważył na pewno mniej i to o wiele. A teraz krzyczymy, że "nas sprzedali" bolszewikom!

Łączę wyrazy głębokiego szacunku i poważania

Józef Mackiewicz

16 marca 1956 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,
Przesyłam korespondencję o Kozakach znad Drawy [Po latach na miejscu zbrodni nad Drawą, "Wiadomości" nr 526, 1956 r.], skąd przed chwilą wróciłem. Być może nada się ze względu na zainteresowanie, jakie wzbudził poprzedni artykuł na ten sam temat. Zechce mi jednak Pan wybaczyć szczerość, że z bardzo wieloma poprawkami w poprzednim artykule się nie zgadzam. Mówię o stronie stylistyczno-literackiej. Różne drobne szczególiki uwypuklają oddanie prawdy. Przykładowo: skreślone przez Pana nazwy hotelu "Złota Rybka" uważam za wielki błąd czysto literacki. Czy ataman Domanow zaprosił na ostatnią kolację kogoś, kto miał zawisnąć w Moskwie tylko "do hotelu" ... czy też do hotelu "pod złotą rybką" -- to jest moim zdaniem duża różnica w oddaniu prawdy życia na naszym globie. Umyślnie wybieram przykład tak nikły pozornie. Ja piszę artykuły do różnych amerykańskich pisemek wciągu godziny. Do "Wiadomości" piszę czasem tydzień albo dłużej. Wciąż nie mogę się pozbyć maniery opracowania każdego zdania i wydobycia efektów literackich, jakie ja osobiście uważam za słuszne. Poczucie, że zostanie przerobione, odbiera chęć pisania albo też wpływa na lekceważący stosunek do własnej twórczości. A ostatecznie honorarium nie pokrywa tego rodzaju pracy. Niektóre poprawki Pana, w niektórych artykułach, są lepsze niż w moim oryginale, ale nawet i w takim wypadku wolę pozostać sobą.

Przy okazji załączam fotografie do ewentualnego wykorzystania, o zwrot których proszę uprzejmie.
Zechce Pan przyjąć wyrazy głębokiego szacunku i poważania

Józef Mackiewicz

Monachium, 25 marzec 1957 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,
Jest mi bardzo przykro, ale, niestety, nie zgadzam się na żadne zmiany. Cyfry swoje oparłem na pracy Margret Boveri -- Der Verrat im XX Jahrhundert -- która cytuje obszerną literaturę francuską, amerykańską, angielską itd. Jest to dzieło raczej filozoficzne, a cyfrowe dane przytaczane są na marginesie jako przyczynki. Głęboki antyhitleryzm autorki i jej wielki obiektywizm w innych dziedzinach nie pozwala mi przypuszczać, żeby mogła operować fałszywymi cyframi. Podaje: we Francji -- pół miliona aresztowanych, z tego 160 tysięcy procesów; padło ofiarą czystek podczas Liberation -- 100 tysięcy, a więc więcej niż na polu bitwy. -- W Belgii -- 600 tys. dochodzeń policyjnych i procesów, w Holandii 130 tysięcy.

Każdy wie, że we Francji "czystki" po roku 1945 przybrały charakter masowego szaleństwa, z kolei więc wydają mi się Pana cyfry nieprawdopodobnie niskie. W Belgii było nie lepiej, ale gorzej. Cała afera z królem i przepołowienie narodu w późniejszych latach są tego najlepszym dowodem. Stopień zacietrzewienia ilustruje wypadek znany sprzed roku: Facet z Fupen, przyłączonym w roku 1940 formalnie do Niemiec, walczył wyłącznie na froncie wschodnim przeciw bolszewikom. W roku 1945 po likwidacji "kotła" kurlandzkiego ucieka do partyzantki litewskiej. Aresztowany przez NKWD ucieka powtórnie. W rok później po rozbiciu oddziału litewskiego, aresztowany w Wilnie, skazany zostaje na 15 lat łagru. Po 10 latach wraca z Kołymy zdaje się, a żandarmeria belgijska czeka na granicy z kajdanami ... Było o tym głośno w prasie.

Czy lepiej było jeździć do Moskwy i kłaniać się Stalinowi, czy do Berlina kłaniać się Hitlerowi, to moim zdaniem rzecz co najmniej sporna. De Gaulle wybrał jedno, Laval drugie. W każdym razie upieram się, że mam prawo

postawić tu znak równania i jedną, i drugą stronę traktować jako przeciwników politycznych. -- Gomułka był zwyczajnym łapsem i agentem sowieckim, wymienionym przez Sowiety z więzienia polskiego w roku 1936 -- a dzisiaj, ze względów "politycznych", nawet cała emigracja leży przed nim plackiem. -- W moim artykule nie chodzi mi o to, kto ma rację, tylko o stwierdzenie faktu, że masowe "czystki" nie są wyłącznością Wschodu. Dlatego nie mogę podzielać Pana zdania, że podobne zestawienie jest "paradoksalne". Raczej uważam go [sic!] za obiektywnie słuszne.

Co do ścisłości cyfr -- nigdy nie wiadomo po tej wojnie. "Wiadomości" niejednokrotnie cytowały cyfry strat w Polsce, które obiektywnie są fantastyczne. To też wszystkie są mniej lub więcej względne. Mógłbym co najwyżej sprawdzić źródła M. Boveri albo do niej napisać. Zajmie to jednak dużo czasu. W każdym razie nie zgadzam się na zmiany, ale też z drugiej strony ani narzucać, ani upierać się nie chcę i doprawdy nie będę miał ani cienia żalu do Pana Redaktora, jeżeli uzna mój artykuł [Tak zwany Wschód europejski, "Wiadomości" nr 581, 1957 r.] w tej formie za nie nadający się do druku. Pozostaję zawsze z szacunkiem do głębokich przekonań innych.

Zechce Pan przyjąć wyrazy szacunku i poważania

Józef Mackiewicz

25 lipca 1957 r.

Szanowny Panie,
Dziś otrzymałem list Pana z dn. 23 bm., który mnie bardzo zdziwił zarówno swoim tonem, jak treścią. Już pierwszych zdań nie rozumiem: ... "natomiast Francuz powinien pisać Varsovie etc." Przecież ja właśnie napisałem, że Francuz powinien tak pisać. A wygląda tak, jakby Pan mnie imputował, że chcę narzucić Francuzom pisownię niemiecką ... Pisze Pan dalej: "myli się Pan całkowicie, że ja poprawiam komukolwiek styl". Nie tylko się nie mylę, ale stwierdzam, że nie tylko poprawia Pan styl, ale czasem go zupełnie zniekształca. I nie tylko styl, ale przez odpowiednio stosowane skróty, zniekształca Pan często moją myśl przewodnią, akcenty i siłę argumentacji w poglądach, z którymi się Pan nie zgadza. Jeżeli ja piszę np.: "panowie z AK", a Pan mnie przerabia na: "żołnierze z AK" (jak to miało miejsce), to oczywiście nie chodzi tu o żaden błąd językowy, tylko odwrócenie akcentu, a tym samym intencji autora. Podobnych przykładów mógłbym przytoczyć setkę, co najmniej, ale czasu nie mam. Choć może kiedyś to zrobię.

Nie jest Pan nauczycielem języka polskiego, tylko nauczycielem języka, który narzuca Pan "Wiadomościom", drogą samowolnego dekretu, korzystając z monopolu, jakim te "Wiadomości" się cieszą. Na globie ziemskim po wojnie istniały dotychczas tylko dwa pisma polskie o takim poziomie i na tę nazwę zasługujące: "Wiadomości" i "Kultura". Odkąd "Kultura" stała się pismem jednostronnie politycznym, o wyraźnym kierunku popierającym polskich komunistów w ich "własnej drodze do socjalizmu", pozostały tylko "Wiadomości". Wydaje mi się, że niezupełnie zdaje Pan sobie sprawę z ogromu odpowiedzialności, jaki spadł na Pana, aby ratować resztki polskiego liberalizmu. Pod tym względem "Kultura", mimo całego skrętu politycznego, jest o wiele bardziej liberalna. Nieporównanie bardziej liberalna od "Wiadomości", jakkolwiek powinno być odwrotnie. -- Pisze Pan: "Nie narzucam nikomu tematu" ... No wie Pan, w stosunku do wolnych pisarzy, a nie stałych współpracowników, takie rzeczy zapoczątkował Lenin, a kontynuował dr. Goebbels. Mnie się zdaje, że na razie wystarczy, iż tematy w "Wiadomościach" są niesłychanie ograniczone. Jak na jedno pismo spośród setek innych, na pewno nie. Ale jak na jedyne pismo polskie udostępnione dziś wolnym pisarzom jest stotalizowane. Nie będę wyliczał wszystkich tabu. Pan sam zna je najlepiej. Wystarczy stosunek do kraju. W stosunku do tego, co się w Polsce dzieje, nie powinno być dziś ani jednego Polaka, a na łamach "Wiadomości" ani jednego pisarza polskiego, któremu można by zabronić wypowiedzieć absolutnie wszystko cokolwiek chce i cokolwiek o tym myśli. To za poważna rzecz, ażeby ją poddawać cenzurze Mieczysława Grydzewskiego albo Jego osobistym poglądom. To jest własność wszystkich. Tymczasem w "Wiadomościach" wypowiada się na ten temat tylko kilka uprzywilejowanych osób, a sądząc z pewnej monotonii tych wypowiedzi, są one uzgodnione z redakcją. O tym właśnie chciałem mówić, mówiąc o braku liberalizmu. Naturalnie, jeżeli pan uważa "Wiadomości" za swój organ prywatny, mówić w ogóle nie ma o czym.

Pisząc o honorariach pisze Pan z wyraźnym rozdrażnieniem, na które ja w stosunku do Pana sobie dotychczas nigdy nie pozwalałem. I zapytuje: "w stosunku do czego nie są wysokie?" -- W stosunku, proszę Pana, do pracy. Tylko w stosunku do włożonej pracy. Są zupełnie i śmiesznie niskie! Nigdy nie zarzucałem Panu, że może Pan płacić więcej. Wiem, że Pan nie może. Ale nie zmienia to sytuacji, że to, co Pan może płacić, jest śmiesznie mało. Zwłaszcza, jeżeli się weźmie pod uwagę autora, jak mnie, nie mającego dostępu do żadnych dolarodawczych instytucji, obsiadłych przez b. sowieckich kolaborantów. Mnie, piszącego prawie za darmo artykuł, aby go później zobaczyć zniekształconym na łamach "Wiadomości", i z tego opłacającego paczki do Polski.

Oczywiście więcej nigdy artykułów do "Wiadomości" pisać nie będę. Nie będę się wdawał w kwalifikację, ale nie uważam, żeby Pan pisał lepiej ode mnie. Siedzieć zaś i poprawiać rzekomo mój artykuł, napisany przez Pana, zawierający często takie pierwotne błędy, jak np. "który" nie wiadomo do jakiej osoby się odnoszący itp. uważam za równie przygnębiające jak śmieszne. Wolno Panu polegać na wyczuciu językowym swego

sekretarza, ale ja na jego wyczuciu polegać nie będę. Sam umiem pisać. A jeżeli nie będę mógł drukować, wolę pisać "pod siebie" niż pod Pańskiego sekretarza.

Łączę wyrazy szacunku

Józef Mackiewicz

28 kwietnia, 1964 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,
Dziękuję serdecznie za list. Niestety , absolutnie nie mogę zgodzić się z argumentacją Pana. Wybory odbyły się na pytanie: "Kogo wybralibyśmy do akademii?" Ale nie: "kogo wybralibyśmy do jury?" To jedno. Po drugie, jeżeli "Wiadomości" "zawsze zażarcie zwalczały pojęcie akademii", to dlaczego nadały temu gremium zarówno wewnętrzny, jak zewnętrzny statut wzorowany właśnie na - "akademii"... Z dożywotnim miejscem etc.? Po trzecie, ja wcale nie twierdzę, że to jest Akademia ani nie mam pretensji do miana "akademika", bo to śmieszne. Twierdzę natomiast, że jest to "Akademia" w cudzysłowie i tak też napisałem. I twierdzę, że dla wielu względów, m.in. kulturalno-politycznych, należałoby powołać, czy przystąpić do nowego głosowania, dla stworzenia Akademii bez cudzysłowów. "Jury" jest tylko "funkcją" -- napisałem -- tego gremium, wybranego, jak słusznie Pan pisze, na podstawie rodzaju Ga1lupa. Cofnięcie i podkreślanie późniejsze, że to tylko "jury", może słusznie wywołać wrażenie pewnego reweransu w stosunku do "literatury polskiej w Kraju" (przez duże K naturalnie), która jest w istocie planowa, inspirowana, kierowana tak samo, jak od roku 1918 literatura sowiecka. Ludzie, którzy patrzą na te rzeczy i znają je na wylot od pół prawie wieku, a teraz nagle udają, że tego nie widzą, popadają -- moim zdaniem -- w zakłamanie. W istocie, zwalczając rzekomo koegzystencję, jesteśmy tej koegzystencji (na swoim odcinku) pierwszymi rzecznikami i "wzorcem" dla wszystkich poputczików wolnego świata.

Jeżeli chodzi o moją podejrzliwość, że się lojalność w stosunku do "Kraju" posuwa za daleko, to nie przybiera ona rozmiarów "manii", jak Pan pisze, ale raczej szczerego przygnębienia. Wystąpienie "Wiadomości" w sprawie petycji 34 [list 34 czołowych pisarzy i profesorów krajowych z "wyważonym i umiarkowanym" (Andrzej Albert) protestem przeciwko polityce kulturalnej władz, przekazany 14 marca 1964 r. Cyrankiewiczowi przez Antoniego Słonimskiego i ogłoszony w "Wiadomościach" nr 943 z 1964 r.] zakrawa na przejście na pozycje już titoizmu. Są to bowiem wewnętrzne postulaty grupy ludzi, podtrzymujących notorycznie ustrój komunistyczny w kraju. Wielu z nich, jak taki Kisielewski na przykład, spełnia rolę dywersantów, emisariuszów, agentów w wolnym świecie i w emigracji etc.etc. Biadolenie, że tym ludziom nie daje się pisać w komunistycznej prasie czy pracować w komunistycznym radio, którego przeznaczenie jest zatruwanie wolnego świata, nie inne niż z Moskwy, Leningradu etc. -- jest dla mnie nie do przyjęcia. Czy Pan .wie, co to jest PAX? Jest to agentura stworzona według recepty "Żywej Cerkwi" i dla spełniania analogicznej roboty dywersyjnej. W jaki więc sposób można rozczulać się nad losem i oburzać, że kogoś z tej agentury wyrzucili i nie dają mu nadal w niej pracować? ...W taki sposób możemy dojść do tego, że będziemy się oburzać, że kogoś wyrzucili z Bezpieki...

Tenże Kisielewski napisał kiedyś w "Tygodniku Powszechnym" nader słusznie: Nie można jednocześnie -- chcieć czegoś obalać i poprawiać. -- Jest to więc przejście ze stanowiska "obalania" komunizmu na stanowisko "poprawiania" komunizmu. To, że całą emigrację ogarnął owczy pęd, nie dowodzi, że ten pęd jest słuszny.

Mnie się zdaje, że Pańskie wspaniałe "Wiadomości Literackie" słynęły właśnie z przeciwstawiania się owczym pędom, a nie w ich przodowaniu.

Zasiadłem nawet do napisania spokojnego, rzeczowego artykułu votum separatum w sprawie "34". Ale dałem spokój. Wychodząc nawet z założenia, że nie mam stuprocentowej racji, czy nawet żadnej racji, niepodobna zaprzeczyć, że w wolnym świecie rzecz taka podlegać może wolnej dyskusji. A kto mnie taką wolną dyskusję wydrukuje? Pan nie, "Kultura" nie, "Dziennik" nie, żadne pismo emigracyjne. Na czyje ręce ja mam składać petycję o przywrócenie wolności słowa? Skoro za takie zaczyna się na emigracji uważać to, które udzielić może towarzysz Cyrankiewicz.

To wszystko jest bardzo przygnębiające.

Przechodząc z tej gorzkiej polemiki do rzeczy bardziej przyjemnych, bardzo się cieszę z uzyskania owych 40 gwinei. Przykro mi tylko, że muszę narazić Pana na kłopot i, jeżeli to możliwe, prosić o przekazanie do Monachium, gdyż na miejscu w Londynie, nie mam dla nich przeznaczenia.

Zechce Pan przyjąć wyrazy głębokiego szacunku i poważania

Józef Mackiewicz

P.S. Dziś właśnie sprzedałem Sprawę Pułkownika Miasojedowa na Amerykę. Wydaje ta sama firma co Road To Nowhere.

15.XI.1965 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,
Zarówno Sakowski, jak autor chcieliby, żebym napisał coś o Z wysokości siodła [recenzję Mackiewicza z tej książki Lwa Sapiehy "Wiadomości" zamieściły w nr.1034 z 1966 r.]. Pisał mi jednak Sapieha, że w "Wiadomościach" ma napisać o tym Hemar. Pióro, naturalnie, bezkonkurencyjne. Więc, czy reflektowałby Pan w tej konfiguracji na jakieś moje a propos, raczej uwagi na marginesie etc.? Bo mam duże wątpliwości. To jest jedno.

Drugie, to rzecz taka: ja w tej chwili znalazłem się w zupełnie wyjątkowej złej sytuacji, chyba najgorszej od czasów emigracji, ze względu na jakiś -- jak w złym śnie -- fatalny zbieg okoliczności. Gdyby Sakowski nie podesłał mi był reszty honorarium, to już bym umierał z głodu. Słowem w takiej sytuacji, nie przez wrodzoną chciwość, ale po prostu -- nie mogę sobie pozwolić kilka dni pisać (a piszę teraz b. wolno, ja nie Wacio Zbyszewski!) za darmo. -- Naturalnie jesteśmy Panu niezmiernie wdzięczni za przysyłanie "Wiadomości", bez których szczerze mówiąc, nie wyobrażam sobie egzystencji. W ten sposób, my z żoną, pozostaniemy wiecznymi dłużnikami. To jasne. Ale z drugiej strony, czy nie dałoby się tak przewekslować, że skoro dostąpiłem największego zaszczytu zasiadania wśród "Jurorów" "Wiadomości", to może z tego tytułu należałby się mi numer "Wiadomości" gratis? Natomiast za rzeczy ewentualnie przesłane, otrzymywałbym choć drobne honorarium?

Ja to piszę nie -- z przekonania. Tylko -- z własnej sytuacji.

Serdeczne pozdrowienia od nas obojga załączam

Józef Mackiewicz

Józef Mackiewicz (pierwodruk: "Kultura", Paryż, 1958, nr 9/128)

23. GDYBYM BYŁ CHANEM...

Motto:
– Trudno wymagać od redaktora, by zamieszczał artykuły mające charakter zasadniczy, a nie idący po linii reprezentowanej przez pismo.
– To jasne. Ale gdy drugiego takiego pisma nie ma?...

Przeczytałem ostatnio pierwszy tom dzieła prof. Gottholda Rhode "Die Ostgrenze Polens" z największym zainteresowaniem. Głównie dlatego, że prof. Rhode pisze [w oryginale: pisząc] o tym, co się działo pomiędzy Wisłoką, Wisłą, Niemnem a Ugrą, Oką i Donem, począwszy od Mieszka I do Unii Radomskiej 1401 roku – a nie jest Polakiem, Rosjaninem, Ukraińcem, Litwinem ani Białorusinem, tylko tak zwaną osobą "trzecią" (choć w tym wypadku ściślej: szóstą). Przypuszczam, że gdyby dzieło dotyczyło spraw polsko-niemieckich, przystąpiłbym do jego czytania od razu z pewnym sceptycyzmem, ponieważ prof. Rhode jest Niemcem.

Tego rodzaju uprzedzenie do historyków zabierających głos o dziejach "własnych" narodów wyrobić sobie musi właściwe każdy czytelnik. Wydaje się bowiem, że nikt jeszcze nie napisał obiektywnej historii "własnego" narodu. Przynajmniej ja takiej dotychczas nie czytałem. Istnieją naturalnie pewne gradacje subiektywności, a w liberalnym wieku XIX obowiązywały granice uczciwości, czy po prostu przyzwoitości ogólnoludzkiej, które na przykład w szowinizmie nacjonalistycznym i dialektyce komunistycznej wieku XX, w znacznym stopniu obowiązywać przestały. Ale stronniczość była zawsze. Stronniczość, która męczy – a czasem wręcz nudzi – czytelnika zainteresowanego nie wykładem uzgodnionym ze współczesną racją stanu, ale prawdziwym przebiegiem wypadków.

Historycy polscy nie stanowią wyjątku z tej reguły stronniczości, a zdarza się, że są nawet klasycznym jej eksponentem. Czyta się często wnikliwe analizy, konstatuje głęboką wiedzę, szczerą erudycję gdy chodzi o krytykę własnego narodu w sprawach wewnętrznych lub słuszny zewnętrzny interes Polski. Nigdy natomiast nie czytałem, aby interesy sąsiadów w odniesieniu do Polski uznane zostały kiedykolwiek za słuszne. Na przykład Niemiec albo Rosji. Chętnie wierzę, iż odpowiada to prawdzie w większości wypadków historycznych. Z drugiej jednak strony nasuwa się pytanie: czy człowiek o zdrowych zmysłach może uwierzyć, że z jakichś trzech narodów: A, B, C, których granice przytykały do siebie w przeciągu tysiąca lat, w każdym sporze w przeciągu tych 1000 lat - rację mógł mieć zawsze tylko jeden naród "A", zaś narody "B" i "C" nigdy? Czy raczej w tak dziwny zbieg okoliczności dziejowych uwierzyć jest trudno? Wydaje się, że trudno. Po prostu dlatego, że narody składają się z ludzi, zaś ani ich skład organiczny, ani warunki życia na naszej planecie nie są tego rodzaju, aby mogły pewnej grupie ludzkiej gwarantować w przeciągu tysiąca lat wyłącznie pobudki słuszne, a innym grupom wyłącznie pobudki niesłuszne. Naturalnie w przedstawieniu rzeczy ubiegłych dużo zależy od poziomu uczonego-historyka; przyznać jednak musimy, iż w spopularyzowanej praktyce, historiografia polska

da się sprowadzić do następującej formuły: Żółkiewski w Moskwie – to bohater; Suworow w Warszawie – to zbrodniarz.

Człowiek nie może nie być tendencyjny. Historyk jest człowiekiem. Tendencyjny pozostanie zawsze, nawet przy omawianiu historii narodów "trzecich". Jednakże w tym wypadku, gdy mimowoli czy świadomie, zechce faworyzować jedną stronę na niekorzyść drugiej, nigdy nie osiągnie tego stopnia emocjonalnego zaangażowania. W dziele prof. Rhode nie dostrzegłem faworyzowania którejś ze stron działających na niekorzyść innej. Być może dlatego, że nie będąc fachowcem, nie dość dokładnie jestem oznajmiony z poszczególnymi tezami historiografów narodowych. Nie podejmuję się zresztą pisania recenzji z tej książki, pozostawiając to specjalistom historykom. To co mnie w niej zainteresowało, to przede wszystkim obfitość faktów, które – tak jak w życiu – pozwalają na wyciąganie własnych wniosków i pobudzają do własnych koncepcji, niezależnie od koncepcji przewodniej, reprezentowanej przez autora.

xxx

Prof. Rhode, zgodnie z tradycją łacińskiej historiozofii, zakłada istnienie linii podziału, rozgraniczającej tak zwane wartości dziejowe Zachodniej Europy od Wschodniej Europy. Wprawdzie zastrzega, że linia ta stanowi raczej pas szerokiego stopniowania, wszakże umiejscawia historyczny "antemurale christianitatis" nie tam, gdzie się kończy chrześcijaństwo, a tam gdzie się kończyły religijne wpływy Rzymu.

Osobiście uważam ten podział za sztuczny. Przed rokiem wystąpiłem w londyńskich "Wiadomościach" z obszernym artykułem (przedrukowanym w międzyczasie przez pięć czasopism emigracji rosyjskiej), w którym usiłowałem dowieść, że owa tradycja łacińska powstała wyłącznie na skutek wiekowej propagandy interesów Rzymu. Trwał (i trwa jeszcze) spór Kościoła Zachodniego ze Wschodnim. Jednym z głównych przedmiotów tego sporu jest problem: Czy Duch św. pochodzi tylko od Boga Ojca, czy też Boga i Syna? Nie posiadając żadnych kwalifikacji do zabierania głosu w tym sporze, utrzymuję, iż ten wewnętrzno-kościelny aspekt sporu stał się genezą późniejszego rozdwojenia Europy na Wschód–Zachód, bez zaistnienia innej, organicznej ku temu przyczyny. W ciągu wieków trwała nadal jedność kulturalna, której ośrodkiem był zresztą początkowo nie Zachód, a właśnie Wschód – Bizantyński. Podobnie jak w zaraniu dziejów Polski, jeżeli chodzi o porównania nam bliższe, Kijów górował kulturalnie nad Krakowem. Sytuacja uległa następnie zmianie pod wpływem rozrostu cywilizacji materialnej Zachodu i jego bogactw gospodarczych. Rozwój cywilizacyjny postępował z kolei z zachodu na wschód, nie tworząc wszakże granicy a raczej łagodne przejście naturalne. Ten naturalny stan współżycia nie odpowiadał interesom poróżnionych Kościołów. Zwłaszcza zaś Kościół Zachodni starał się utworzyć sztuczną granicę, poza którą usuwał świat "schizmy" wschodniej.

Nie będę powtarzał tu mego artykułu. Wywołał on replikę ze strony tak autorytatywnej jak prof. Oskar Halecki. Nasuwa ona szereg myśli i pobudza do refleksji, nie tylko przez konfrontację ze wspomnianym dziełem prof. Rhode...

xxx

W czasach gdy dwór panujący traktował jeszcze państwo jak prywatną włość, decydował też o kulturalno-duchowej sferze kraju. Była ta sfera taką, w jakiej obracał się dwór. O czym z kolei świadczyć mogą związki małżeńskie. Jeżeli chodzi o Polskę, to Dom Piastów w przeciągu od 1010 do 1310 roku zawarł 21 związków małżeńskich z domami książąt niemieckich, a 25 z Rurykowiczami. I odwrotnie: Rurykowicze z żadnym z domów nie zawarli tyle związków co z Piastami. Gdy się przegląda genealogie tamtych rodów, od małżeństwa córki Bolesława Chrobrego ze Światopełkiem Włodzimierzowiczem Kijowskim począwszy, trudno oprzeć się wrażeniu, że Piastowie, łącznie z linią Mazowiecką, oraz książęta Halicko-Włodzimierscy, Kijowscy, Czernihowscy, Turowscy a nawet Nowogrodzcy – to jedna wielka wspólna rodzina! Historyk węgierski, M. de Ferdinandy, rozciągając wspólnotę Polski i Rusi również na Węgry mówi nawet o consanguinitatis affecto - jedności i solidarności uczuciowej.

Naturalnie rodziny nie tylko się kochały, ale i prowadziły ze sobą wojny, lub wyłupywały sobie nawzajem oczy. Identycznie na Wschodzie jak i na Zachodzie. Pod tym względem nie było różnicy jakościowej. Trudno więc mówić o rodzinie idealnej. Ale nie można też mówić o żadnej, dzielącej je granicy ideologicznej. Rurykowicze wspierali jednego Piasta przeciwko drugiemu, i odwrotnie: Piast wspierał Rurykowicza w walce przeciwko innemu Piastowi, albo innemu Rurykowiczowi, zależnie od interesu własnego lub stopnia pokrewieństwa. Rzecz charakterystyczna, iż w tym względzie nie zaszły żadne zmiany pod wpływem najazdu tatarskiego. Na zmianę tych "rodzinnych" stosunków wpłynęła decydująco dopiero kuria rzymska.

Książęta i królowie polscy żenili się albo z Niemkami, albo z prawosławnymi. Nie wyobrażam sobie aby czynili to z ciężkim sercem na myśl w jak kłopotliwą sytuację wprowadzą historiografów rodzimych XX wieku..., którym, w myśl postulatów narodowych, wypadnie dowodzić, że: po pierwsze Niemcy były zawsze "wrogiem odwiecznym", po drugie Polska spełniała zawsze posłannictwo dziejowego "przedmurza" na wschodzie. W rzeczywistości sytuacja ówczesna przypominała bardziej zajazdy sąsiedzkie niźli geopolitykę, a już "posłannictwa dziejowego" nie przypominała wcale. Do tych rozgrywek wciągano, i to z obydwóch stron,

zarówno chrześcijański Zakon, jak pogańskich Litwinów, Jadźwingów i wreszcie Tatarów. Ideowo były one raczej słabo podmurowane...

Inaczej na tę rzecz patrzyła kuria rzymska. Ze swej strony prowadziła ona wielką rozgrywkę ze "schizmą" wschodnią i rzecz naturalna, iż w tej właśnie rozgrywce chciała podporządkować wszystko inne, a już co najmniej na wschodzie Europy. Rzecz też naturalna, że tę koniunkturę, jakby się dziś powiedziało: polityczną, a w istocie religijno-cezarystyczną, usiłowały wykorzystać dla siebie i poszczególne strony różnych powaśnionych rodzin. Rzym bowiem, jakkolwiek chętniej ograniczał swą pomoc do błogosławieństw i odpustów, udzielał też pomocy materialnej. Oto na przykład Gerward, biskup wrocławski, chwali wystąpienie Łokietka w roku 1308 "contra Scismaticos", a i sam król zaklina się przed Rzymem, że mu właśnie o zwalczanie tych złych "schizmatyków" chodzi... Podczas gdy w rzeczywistości siostra jego, Eufemia, wyszła za mąż za Jerzego I, księcia Halicko-Włodzimierskiego, a po jego śmierci chodzi o zbrojne wywalczenie, od rodzinnej konkurencji, spadku po szwagrze.

Ta wspólnota rodzinno-polityczna, zachodnio-wschodnia, katolicko-prawosławna, stoi w wyraźnej sprzeczności z intencjami Rzymu. Już papież Grzegorz IX w liście do prowincjała dominikanów, w roku 1233, zabrania małżeństw z prawosławnymi, a w liście do biskupów polskich, w roku 1253, przeciwstawia wschodnie "tenebris infidelitatis" zachodniemu "lumen catholice fidei". Gdy po napadzie pogańskich Litwinów i zabiciu księcia mazowieckiego Ziemowita I w 1262 r. papież Urban IV zwraca się o interwencję do króla Ottokara II, wymieniając zagrażających nieprzyjaciół – "Rutheni Scismatici" trafiają dlaczegoś na pierwsze miejsce tej listy, przed poganami litewskimi, jakkolwiek o tych właśnie chodziło. W piśmie tym, datowanym 4 czerwca 1264 roku po raz pierwszy konkretnie występuje zaliczenie chrześcijańskiego Kościoła Wschodniego, wraz ze wszystkimi niewiernymi i poganami, do wspólnych wrogów – "Kościoła Chrześcijańskiego..." Od tej daty "schizma" wyliczana jest na pierwszym miejscu wrogów Kościoła. Tak w liście do króla Łokietka w roku 1325, papież Jan XXII udziela odpustu dla walki: "contra scismaticos, Tataros, paganos aliasque permixtas naciones infidelium". Powtarza to papież Urban V listem z dnia 8 lipca 1363 etc., etc.

Naturalnie replika Kościoła Wschodniego była nie mniej ostra. Datowane z XIII wieku "Reguły Kościelne" mówią: "Mieszkańcy Rusi winni wszystkich Rzymian, którzy nieprawidłowo ochrzczeni, nawrócić na wiarę prawdziwą; im, zarówno jak Tatarom i innym świeżo nawróconym, sakrament Eucharystii nie winien być udzielany". Świadomie piszę: replika, gdyż w tym sporze dwóch Kościołów stronę ofensywną niewątpliwie reprezentował Rzym. Był nią z ducha. Bizancjum, z małymi wyjątkami, nie znało nigdy takiego rozkwitu misji, jak Kościół rzymski. Z ducha będąc bardziej kontemplacyjne, było jednocześnie bardziej defensywne.

Tak to się zaczynał ów wielki rozłam Europy, któremu i wówczas, i dziś usiłuje się przydać znamiona konieczności dziejowej, zrodzonej z rzekomej psycho-organicznej obcości, o podłożu niemal rasowym.

xxx

Wówczas i dziś. Wówczas Kościół, religia, odgrywały w polityce tę rolę, którą po sekularyzacji idei teologicznych przejął nacjonalizm. Ambicje religijne przeistoczyły się w ambicje nacjonalistyczne; wojny religijne, nienawiści religijne - przeistoczyły się w wojny i nienawiści nacjonalistyczne. I wówczas ludzie swoje prywatne interesy usiłowali wymanewrować spod nacisku religijnego, i dziś, prywatni ludzie radzi by czasem swoje sprawy wylawirować spod nacisku kolektywu narodowego, ale udaje im się to równie rzadko. Dzisiejsza dyscyplina narodowa (któżby to zmierzył!) – nie ustępuje chyba ówczesnej dyscyplinie kościelnej. I nie tylko w płomiennych przejawach stosów i krematoriów. Jest czasem po prostu automatyczna.

Wróćmy do analogii historycznych. Prof. Stanisław Kościałkowski, omawiając w "Kulturze" wydaną w Warszawie "makietę" Historii Polski słusznie kładzie duży nacisk na błąd w pomieszaniu: "Ruś–Rosja". Autorzy "makiety" te pojęcia mylą, nazywając "Rosją" i to co było przed wiekiem XVIII; podczas gdy cesarstwo rosyjskie – Rosja, ustanowione zostało dopiero przez Piotra Wielkiego. Prof. Kościałkowski uważa to za niewybaczalny dla historyków anachronizm. Naturalnie, że ma rację. Tylko że sam... popełnia jeszcze bardziej jaskrawy anachronizm, nazywając w tym samym artykule, "Rosją" – Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich... Wątpię by naprawdę i szczerze w to wierzył, że Rosja Piotra I bardziej się różniła od Rusi moskiewskiej, niż dzisiejszy komunistyczny twór państwowy od Rosji prawosławnej!... Skądże więc ten niefortunny błąd, w trakcie poprawiania cudzych błędów? Wydaje mi się, iż przyczyny jego szukać należy – pomijając głęboki szacunek jaki odczuwam do swego byłego profesora – w mimowolnym konformizmie narodowym.

Ongiś Wschodem europejskim zawładnęła potęga najazdu mongolskiego, zagrażającego całej Europie. To zagrożenie dostrzegano. Jednakże, jak to widzimy chociażby z listu papieża Jana XXII, w następującej kolejności: "scismaticos, Tataros, paganos..." Wrogiem nr 1 pozostała "schizma" i pod przykrywką ogólnochrześcijańskiej mobilizacji prowadzona była rozgrywka jednego Kościoła przeciwko drugiemu.

Dziś Wschodem europejskim zawładnęła potęga najazdu komunistycznego, zagrażającego nie tylko Europie, ale kulturze całego świata. To zagrożenie jest dostrzegane. Jednakże, jak się powszechnie przyjęło, w następującej kolejności: "Rosja, komunizm, totalizm etc." wrogiem nr I pozostała "Rosja", i pod sloganem zagrożenia kultury zachodniej, prowadzi się rozgrywkę jednego nacjonalizmu przeciwko drugiemu.

Wówczas Rzym był przede wszystkim antyschizmatyczny, a dopiero na drugim miejscu antymongolski. Dziś nacjonalizm europejski jest przede wszystkim antyrosyjski, a na drugim miejscu antykomunistyczny. (Z małą poprawką: jeżeli nim w ogóle jest.)

Bardzo trudno jest dziś mówić na ten temat z zacietrzewieniem nacjonalistycznym. Sądzę, że niemniej trudno było ongiś rozmawiać na analogiczny temat z zacietrzewieniem religijnym.

xxx

Szczytowym zwycięstwem Kościoła Zachodniego, rzymskiego, na terenie wschodniej Europy, był niewątpliwie tak zwany chrzest Litwy. We wspomnianym wyżej artykule pozwoliłem sobie na następującą uwagę:
"Pod datą roku 1386 występuje w historii Polski chrzest Litwy. W istocie jednak Wielkie Księstwo Litewskie wykazywało w tym czasie znikomą ilość pogan, a olbrzymia większość mieszkańców dawno już przyjęła chrześcijańską religię prawosławną. Najstarsze świątynie w Wilnie i Grodnie należą właśnie do tego obrządku. Mianem więc chrztu ochrzczono właściwie tylko intronizację Kościoła katolickiego na Litwie".

Na to prof. Oskar Halecki w ten sposób zaatakował moje poglądy:
"... alternatywa, przed którą wówczas stali Litwini, nie była bynajmniej: Rzym lub Bizancjum, lecz związek z Zachodem lub z Moskwą. Wiemy dziś, że gdyby Jagiełło nie poślubił Jadwigi, stając się królem polskim, byłby się ożenił z córką Dymitra Dońskiego i stał się satelitą Moskwy. Korzyść dla Kościoła katolickiego była w tym wypadku, jak w tylu innych, korzyścią dla całego Zachodu... Była też korzyścią, jeżeli nie po prostu ratunkiem dla Litwinów, którym groziło wchłonięcie przez większość rusko-prawosławną Wielkiego Księstwa, gdyby całe to państwo znalazło się w orbicie Moskwy".

Przyznam, że przecieram oczy!... Jakże to Litwini i Jagiełło mogli wówczas widzieć rzeczy oczami dzisiejszego, polskiego historiografa?! Dlaczego Jagiełło, syn Julianny księżniczki Twerskiej i Olgierda, pierwszego wielkiego "zbieracza ziem ruskich", którego dewizą było: "Omnis Russia ad Lithuanos debet simpliciter pertinere", miał się – jak pisze prof. Halecki – "ratować przed wchłonię ciem rusko-prawosławnym Wielkiego Księstwa", albo obawiać "zostania satelitą Moskwy"? Przecież było właśnie wręcz odwrotnie! To Moskwie zagrażało pozostanie satelitą Litwy!

Ojciec Jagiełły, Olgierd, wystąpił z ideą oswobodzenia całej Rusi spod panowania tatarskiego. Od roku 1355 po 1363 zajął: Biełyj, Rżew, Smoleńsk, Mścisław, Briańsk, Toropiec, Kijów. Ożeniony z Julianną, uzyskał przemożne wpływy na Twer. Z Dymitrem Dońskim zetknął się nie nad Wilią i Niemnem, lecz nad Oką, Kaługą i górną Wołgą. W latach 1368, oraz 1370-1371 podszedł pod Moskwę. W zależność od Litwy podpada: Wiaźma, Nowosil, Kozielsk, Możajsk i Kołomna; granice Litwy odległe są o 100 km od Moskwy i jej to, Moskwie, grozi "satelicka zależność" od Litwy. Olgierd otacza Moskwę żelaznym pierścieniem, gotując się do usunięcia tej ostatniej przeszkody na drodze opanowania przez Wilno całej, późniejszej Rosji. Potęga Litwy była tak wielka, że jak to słusznie zaznacza prof. Rhode, mogła jednocześnie w przeciągu 33 lat panowania Olgierda nie tylko odeprzeć 96 najazdów krzyżackich, ale jednocześnie dokonać 42 najazdów odwetowych na ziemie Zakonu. W Nowgorodzie siedzą Giedyminowicze. Wielkie Łuki stanowią litewskie kondominium. Dopiero nad Oką stykają się konkurencyjne interesy obydwóch "zbieraczy ziem ruskich". Gdyż Litwa nie była pojęciem przeciwstawnym Rusi Moskiewskiej. Była konkurentem Rusi Moskiewskiej. O żadnym więc "ratowaniu się" przed ruso-prawosławiem, wspomnianym przez prof. Haleckiego, nie mogło być żadnej mowy.

Wprawdzie po śmierci Olgierda, ekspansja Litwy ulega na razie zahamowaniu, głównie na skutek powikłań wewnętrznych pomiędzy Jagiełłą i stryjem Kiejstutem. Na ten właśnie okres przypada jedna z epokowych bitew świata. Mianowicie 8 września 1380 roku Dymitr gromi Tatarów na Kulikowym Polu i wyprzedza w ten sposób marzenia zmarłego Olgierda. Mimo jednak tego zwycięstwa jest wciąż za słaby nie tylko by zagrażać Litwie, ale nawet aby utrzymać, chwilowo zagarnięte: Briańsk i Starodub, skąd go Jagiełło wypędza. W chwili więc Unii Krewskiej wciąż nie ma mowy o zagrożeniu Litwy przez Moskwę. Jagiełło panuje bezapelacyjnie nad Witebskiem, Mścisławem, Briańskiem, Nowgorodem-Siewierskim, Czernihowem i Kijowem. Jest to kraj dawno ochrzczony, a istnieją poważne poszlaki, że i sam Jagiełło jest również od dawna prawosławnym chrześcijaninem.

To jednak co następuje podczas – nazwijmy to w skrócie – duumwiratu Jagiełło-Witold, przekracza o wiele granice Olgierdowego mocarstwa. Wydaje się, że Witold jest już blisko od urzeczywistnienia marzeń stryja: zebrania wszystkich ziem ruskich pod panowaniem Wilna. Jego mocarstwo, terytorialnie jedno z największych w Europie, stanowi niezaprzeczalny fenomen dziejowy. Teoretycznie podlegając swemu stryjecznemu bratu, królowi polskiemu Jagielle, Witold sięga prawie od Nowgorodu do Morza Czarnego, od Oki do ujścia Niemna, od Dniestru do źródeł rzeki Moskwy. Jest to okres największego rozkwitu Wielkiego Księstwa Litewskiego i największego zarazem zagrożenia Wielkiego Księstwa Moskiewskiego przez Wilno. O jakiej więc tu "orbicie Moskwy" może być mowa, o której mówi prof. Halecki.

Jest wciąż wręcz odwrotnie. Witold jest już o krok od ostatecznego ukoronowania swoich planów, a jak wiemy, i swoich skroni... Do tego potrzebne mu jest jednak decydujące rozbicie potęgi tatarskiej. Bitwa na Kulikowym

Polu ją nadłamała, ale nie zniszczyła. Orda hamuje stabilizację stosunków tej części Europy wschodniej. Ten ostatni krok do zjednoczenia całej Rusi, czyni Witold dnia 12 sierpnia 1399 roku nad rzeką Worskłą...

Chan Tochtamysz, sojusznik Witolda i wróg Temira, uroczystym jarłykiem oddaje Witoldowi wszystkie ziemie ruskie, które kiedykolwiek znajdowały się pod panowaniem tatarskim... Ale bitwa nad Worsklą kończy się straszną klęską Witolda.

W tej bitwie, stanowiącej zakręt historii, walczyły po stronie Witolda zarówno kontyngenty polskie jak krzyżackie. Oficjalnie przydawano kampanii charakter wyprawy przeciwko niewiernym. W rzeczywistości jednak dwór krakowski odnosił się do niej z dużą nieufnością. W Polsce była niepopularna. Królowa Jadwiga miała senne widzenia ostrzegające... Powstrzymano większy udział rycerstwa polskiego. Analogiczne nastroje panowały na dworze moskiewskim. Zięć, Wasyl Dymitrowicz, żonaty z córką Witolda, Zofią, nie dał żadnych posiłków na wyprawę, a trzeba przyznać, iż ze względów raczej zrozumiałych... Zwycięstwo Witolda prowadziło bowiem pośrednio do uzależnienia Moskwy od Wilna. Ale zwycięstwo Witolda mogło mieć również inne skutki... Mianowicie ostateczną emancypację w stosunku do Jagiełły, ba, może zerwanie więzów politycznych, może nawet wyparcie z Litwy wpływów katolickich, do czego by łatwo dojść mogło, gdyby Wilno stało się ostatecznym ośrodkiem wszystkich prawosławnych ziem ruskich... Dociekania tego rodzaju wprowadzają nas w dziedzinę spekulacji. Zdaje się jednak pozostawać faktem, że w tym wypadku, trochę paradoksalnym zbiegiem okoliczności, interesy Krakowa i Moskwy niejako się pokrywały.

Gdyby przestawić wyniki dwóch bitew, to znaczy gdyby Dymitr nie zwyciężył uprzednio na Kulikowym Polu, a Witold nie przegrał nad Worskłą, dzieje wschodniej Europy potoczyłyby się inaczej. Tak jednak, jak potoczyły się naprawdę, wzmocniły rozpoczętą w Krewie latynizację Wielkiego Księstwa Litewskiego, a w końcu jego polonizację. "Zbieranie ziem ruskich" wokół Wilna pozbawione zostało wszelkiego moralno-ideowego podłoża. Olgierdowe sny o potędze przekreślone zostały na zawsze. Palma pierwszeństwa w świecie ruskim na zawsze oddana Moskwie. Centrum polityczne "schizmy" odsunięte dalej na wschód. Ostatecznym zwycięzcą okazali się nie Tatarzy, a Rzym.

Czy leżało to w interesie Polski? Historiografia polska twierdzi, że tak. Osobiście nie podejmuję się dyskusji na ten temat. Chcę pisać o rzeczach, a nie o interesie Polski. Na chwilę chciałbym zapomnieć o interesie Polski, gdyż rzeczy nie można rozpatrywać wyłącznie z jednego punktu widzenia.

Nie chciałbym również, aby moje uwagi potraktowane zostały jedynie jako polemika z prof. Haleckim. Całej prawdy nie zna nikt z nas; ani ja – laik, ani prof. Halecki – erudyta. Chciałbym raczej wypowiedzieć coś wręcz przeciwnego: mianowicie, jak trudna, a czasem niemożliwa jest polemika z postulowanym kątem widzenia.

Historiografia współczesnej, nacjonalistycznej Litwy, czyni z Witolda nie tylko największego ze swoich bohaterów, ale niejako historycznego rzecznika narodowo-litewskich interesów. W istocie natomiast, to on właśnie, jak słusznie podkreślił Kolankowski, najkrwawiej pognębił litewsko-pogański separatyzm Żmudzi; a jak przypomina prof. Rhode: dla uzyskania wspomnianego kontygentu krzyżackiego, który wystąpił nad Worskłą, oddał Zakonowi Żmudź w zastaw. Historiografia białoruska wyczynia z Wielkiego Księstwa państwo narodowe o typie dzisiejszego nacjonalizmu. Niedawno wyczytałem w pracy A. Adamowicza, wydanej po angielsku przez badawczy instytut monachijski, że w XVI wieku był: "the Belorussian ... national forms of life"...

Powracam do prof. Haleckiego. W jego artykule spotykamy takie zdanie o narodzie niemieckim: "... nigdy nie zespolił się całkowicie z łacińskim Zachodem". (!) Jest to klasyczny przykład zdania, wykluczającego wszelką polemikę. Albowiem notoryczność i ilość dowodów przeciwnych (pomijając już zaczerpnięte z historii), chociażby w postaci ostałych dziś po bombardowaniu pomników kultury łacińskiej w Niemczech jest tak wielka, że sam ich indeks wypełniłby grube tomy o pojemności encyklopedycznej. Narzuca się więc pytanie: w jaki sposób człowiek tej miary co prof. Halecki, jeden ze znakomitszych uczonych polskich, może napisać podobne zdanie (w dodatku to "nigdy"!), które wydrukowane jeszcze w XIX wieku, potraktowane by zostało chyba jako błąd korektorski?

Co może łączyć klerykalizm, nacjonalizm, komunizm, pojęcia tak pozornie sprzeczne, a przy okazji socjalistyczny totalizm różnych odcieni? Moim zdaniem łączy je jedno: wywyższanie programu (interesu) Kościoła, narodu, czy partii, ponad program ogólnoludzkiej kultury. Stąd, paradoksalne pozornie, zacieranie granicy w objawach, których jesteśmy świadkami. Nieraz zbieżność tych postulatów rzuca się w oczy.

Gdy w "Kulturze" ukazał się mój artykuł pt. "Kompleks niemiecki", jeden z moich znajomych (zastrzegam: człowiek o wysokim poziomie intelektualnym) potępił go. – "Dlaczego – spytałem – czy argumenty w nim zawarte nie są słuszne?" – "Nie chodzi o słuszność – odpowiedział – ale po co? Po co bronić Niemców?" To, że może istnieć coś takiego jak obrona... Polaków przed jednostronnością własnej myśli, człowiekowi wychowanemu w dyscyplinie utylitaryzmu narodowego, nie może się pomieścić w głowie. Że można wypowiadać głośno myśl niezgodną z aktualnym postulatem tej dyscypliny. Że poszukiwanie prawdy można stawiać wyżej ponad interes narodowy.

Przed kilku laty pewien szczep turkmeński przebył fantastyczną drogę, uchodząc przed ustrojem komunistycznym w poprzek Mongolii, Tybetu do Pakistanu. Tysiące tych ludzi znajduje się obecnie w Turcji, a w Anglii wydano o tym książkę, cenną jeżeli chodzi o poznanie prawdy, ale prawie nieznaną. Ale wyszła też i inna książka, pewnego Polaka, która jest z gruntu zakłamana, jest bujdą fałszującą prawdę, ale została z miejsca przetłumaczona na wiele języków, przyczyniła się do rozgłoszenia "sprawy polskiej". Czy tego rodzaju "polski wkład" do kultury światowej można uznać za objaw pozytywny? W moim przekonaniu – nie. W przekonaniu zaś znacznej ilości rodaków nie chodzi o żadną tam kulturę, a o interes narodowy. Z dyskretnym mrugnięciem zawodowych realistów, szepną: "Niech sobie bujda. Ale świetna propaganda".

Gdy swojego czasu wystąpiłem najostrzej przeciwko "zakapturzonemu świadkowi" w katyńskich badaniach Kongresu Amerykańskiego, obruszyła się na mnie masa ludzi. Twierdziłem, że jest to kłamstwo graniczące z prowokacją sowiecką. Oni – że reklama służąca realnie sprawie, której ja szkodzę przez dezawuowanie tej szopki. Wynikałoby, że każde kłamstwo jest dobre, jeżeli ma służyć interesowi narodowemu. Ale gdzie jest granica? Podczas okupacji co dziesiąty Polak przymykał jedno oko i mówił szeptem: "Jedną rzecz co Hitler dobrze zrobił, to że przetrzebił w Polsce Żydków. Tylko... nie należy o tym głośno mówić". Gdy się czyta różne opisy Akowców można wyrobić sobie przekonanie, że było właśnie odwrotnie i że kto mógł, ratował Żydów. Teraz ja z kolei zapytam: po co to? Jeżeli w dzisiejszym układzie świata nie można się obejść bez propagandy, to nie znaczy jeszcze, że można, czy tym bardziej należy, ją mieszać z kulturą. Biura propagandy nie powinny się mieścić w płaszczyźnie tego samego piętra, co biura prawdziwej kultury.

Za dziecinnych czasów mawiało się często: "Gdybym był królem..." Dziś wybiegając myślą w dziedzinę podobnie nierealnej wyobraźni, przedstawiam sobie, że gdybym ja został zaproszony na emigracyjny "Kongres Kultury", to postawiłbym wniosek o wypełnienie obrad pierwszym i jedynym punktem porządku dziennego: "Jak po stracie suwerenności państwowej, uratować suwerenność polskiej myśli".

xxx

Z najszczerszym obrzydzeniem zabieram się zawsze do pisania o komunizmie. Nie tylko dlatego, że temat jest odpychający i przewałkowany, że niezliczoną ilość razy udowodniono negatywność tego ustroju, ile dlatego, że pomimo wszystkich argumentów znanych na pamięć, ciągle ktoś znajduje prektekst do jakowegoś z tym komunizmem kompromisu.

Prawda jest nieznana, i prawdopodobnie, w obecnym stanie rozwoju gatunku ludzkiego, nigdy poznana nie będzie. Natomiast to, co stanowi najwznioślejszą cechę tego gatunku, to przyrodzony pęd do poszukiwania prawdy. Ten pęd świadczy o "uduchowieniu" naszego gatunku, wyrażonym w jego kulturze, wszelkie zatem warunki zewnętrzne, ustroje państwowe, czy idee, wzbraniające lub tylko ograniczające prawo do poszukiwania prawdy, stają się automatycznie wrogami kultury ludzkiej. Dzieje ludzkie znały rozmaite warunki i ustroje ograniczające wolność myśli ludzkiej, ale żaden z nich nie doprowadził obskurantyzmu do tego rodzaju perfekcji, co ustrój komunistyczny. Gwarancją rozwoju kulturalnego jest formuła: cywilizacja materialna + tolerancja. A komunizm jest największym ze znanych w dziejach skupieniem nietolerancji.

Zdawałoby się przeto, że każdy kompromis z przemocą komunizmu uznany być winien za – niekulturalny, nietolerancyjny.

xxx

W charakterze początkującego dziennikarza pojechałem kiedyś do Parafianowa. O celu już zapomniałem. Pamiętam natomiast, jak zjeździwszy pylne trakty między starymi brzozami, gdzieś od Duniłowicz do Wilejki powiatowej, do Mołodeczna, opisałem po powrocie co mi się najbardziej rzuciło w oczy: Fest w kościele – jadą gremialnie wsie bliższe i dalsze, zarówno katolickie, jak prawosławne. Fest w cerkwi, i znowu kołyszą się ponad kurzem duhy z siół i wiosek, bez różnicy wyznania. Nie chodziło tam oczywiście o zbytnią bogobojność, a o wspólny jarmark, we wspólnej zgodzie. Ten ustęp mi w redakcji wykreślono: "Nie, nie, to będzie źle widziane przez kurię arcybiskupią". – Zgoda będzie źle widziana?! Powtarzam: byłem początkującym. Ojczyzna moja, między Prypecią i Dźwiną, między Niemnem i Berezyną rozciągniona, to nie Szwajcaria. Dziś wiem, że w najbardziej nawet sielankowej literaturze białoruskiej, czy litewskiej, byłoby źle widziane przedstawienie współżycia różnych ludzi kraju bez wykazania walki narodowościowej. Identycznie, jak niedopuszczalne byłoby w literaturze komunistycznej, bez wykazania walki klasowej. Jak źle widziane byłoby w literaturze polskiej przedstawienie zgodnego współżycia Polaków i Niemców, na przykład w Poznańskiem. A przecież takie indywidualne wypadki mogły się zdarzyć i nad Wilią, i nad Wartą. Nie chodzi jednak o indywidualność, obowiązuje "typowość".

Formułki też są typowe: Wszystko pod kątem interesu narodu! Wszystko pod kątem interesu partii! Wszystko jest dobre, co służy narodowi! Wszystko jest dobre, co służy partii!

Czy nie ze zbieżności funkcji zaczął narastać ów kompromis pomiędzy sloganami? Czasem się zdaje, że ktoś – gdzieś, jakby hasło rzucił: Siewcy niezgody, łączcie się! – Religijnej, narodowej, czy klasowej.

xxx

Stary podział na lewicę–prawicę jest naturalnie anachronizmem. Pokutuje co prawda jeszcze "filosemityzm" jako sprawdzian autentycznej lewicy, ale są to pozostałości godne epoki Dreyfusa. Do innych legitymacji na lewicowość poczęto zaliczać mniej agresywny stosunek do Sowietów w szczególe, do komunizmu w ogóle. Ale to jest właśnie szyld dezorientujący, jeżeli chodzi o istotę towaru, który ma reprezentować.

Pierwotny antagonizm, ześrodkowany na linii internacjonalizm–nacjonalizm, ulega znacznej konfuzji. Komunizm, w wielu wypadkach, znalazł sobie w nacjonalizmie nie tylko taktycznego pionka na azjatycko-afrykańskim terenie, ale często wiernego poputczika na europejskim. Zbliżenie zaczęło się od, że się tak wyrażę, wzajemnych koncesji. Z jednej strony Żdanow wypowiedział wojnę (obowiązującą do dziś) wszelkiemu "kosmopolityzmowi", czyli staremu wrogowi każdego parafialnego nacjonalizmu. Z drugiej, nacjonaliści uznali możliwość, a w wielu wypadkach konieczność kompromisu, pod sloganem zachowania "organicznych", czy "biologicznych" wartości narodowych. Tradycyjna "ugodowość" pewnych odłamów prawicy sprzyjała temu procesowi zbliżenia. Jednocześnie doszło do niejakiego zatarcia granic z "lewicą" i wreszcie do konglomeratu w takich postaciach jak "narodowy komunizm" czy jego wstydliwsza nazwa "narodowy socjalizm", potrącająca, przez samo brzmienie, ni to o słynną wypowiedź Lenina w dyskusji z Różą Luxemburg i Piatakowym w 1916 roku o "własnej drodze do socjalizmu", ni to o niemiecką NSDAP, ni to o polski ONR.

Dziś sytuacja jest taka, że jeżeli zechcemy wszystkich, którzy okazują większy kompromis w stosunku do komunizmu, uznawać za "lewicę", musielibyśmy nabrać paradoksalnego na pozór przekonania, że istnieje współczesny odłam "lewicy", który jest bardziej nacjonalistyczny niż kiedykolwiek nim była najczarniejsza prawica. Przyznam, że osobiście, gdy czytam Mieroszewskiego niewyczerpanie udzielającego kredytu Gomułce, wydaje mi się on większym nacjonalistą od nielubianych przez niego ONR-owców. Nacjonalistą nieomal "za wszelką cenę". Bo stopień tego "realnego interesu narodowego" mierzy się właściwie ceną, jaką się za ten "realizm" płaci. ONR-owcy chcieli go opłacać biciem Żydów; różne stopnie i gradacje nacjonalizmów – różnymi postulatami ucisku, wynaradawiania, nietolerancji, restrykcjami programowymi, mniej lub więcej sprzecznymi z programem ogólnoludzkiego humanizmu. Płacono ceną kompromisu z różnymi rzeczami. Ale ceną kompromisu z komunizmem, największym wrogiem ludzkiego humanizmu – takiej ceny nie płacił dotychczas nikt. Płaci – po raz pierwszy "lewica" narodowa.

Łatwo jest te słowa uznać za paradoks i przeciwstawić im tak zwany realizm polityczny. Ale po pierwsze "realizm polityczny" nie jest żadnym pojęciem konkretnym, a tylko sloganem, którego każdy używa na swój sposób, gdyż nie było jeszcze polityka, który by zadeklarował, że prowadzi politykę – "nierealną". Po drugie, żeby uzasadnić "realność" narodowego komunizmu, trzeba w każdym razie dowieść najpierw, że komunizm nie jest złem samym w sobie. Gdyż w przeciwnym wypadku formuła bądźmy komunistami, ale polskimi... stanie się równoznaczna "bądźmy złem, ale polskim". Czyli przeistoczy się w formułę absolutnie negatywną, jak na przykład "Zgadzamy się na zarazę, ale pod warunkiem, że będziemy ją sami produkować"... Czesław Miłosz genialnie zdefiniował kiedyś tak zwanych reżymowych-katolików, upodobniając ich do "Żydów pracujących dla Hitlera". Reżymowy katolicyzm zrodził się z kompromisu religia–komunizm. Czy "lewica narodowa", usiłująca budować na kompromisie: naród–komunizm, nie przypomina również "Żydów pracujących dla Hitlera"?

Istnieje niezliczona ilość przykładów, gdy nacjonaliści ze wschodniej Europy czczą jako bohaterów narodowych notorycznych komunistów tylko dlatego, że są "swoi". Oto jeden z takich przykładów:

Niedawno powiadano mi w Berlinie – pochodzi to od pewnych dziennikarzy warszawskich – o wybujałym nacjonalizmie gruzińskim. Podobno ci dziennikarze nie mogli sobie dać rady z językiem rosyjskim – którego używali – tak znienawidzonym w Gruzji, że im nikt na pytania nie chciał odpowiadać, zanim nie dowiedziano się, że to nie Rosjanie, a Polacy. Informacja się potwierdziła. W czterdziestolecie rewolucji październikowej, jak o tym przeczytałem w gazetach zachodnich, zdarto w Gruzji portret znienawidzonego Rosjanina, Chruszczowa, i wywieszono na tym miejscu portret Stalina... wprawdzie jedna z największych kanalii jaką świat wydał, ale za to – "swój", Gruzin!

W lipcu ubiegłego roku, na konferencji Instytutu Badań Historii i Kultury SSSR w Monachium, powstał jeden z przedstawicieli "podsowieckich" nacjonalizmów i oświadczył: Nie było żadnego bolszewizmu, nie ma żadnego komunizmu. To co było i co jest, to tylko ta sama, stara Rosja. Punkt. – Z tym, czego nie było i nie ma, oczywiście nie ma też po co walczyć. To chyba logiczne. Składajmy broń i przestańmy opierać się komunizmowi. Jeżeli takie postawienie sprawy nie jest, z punktu widzenia realnej polityki moskiewskiego CK, poputniczestwom, to co nim jest?

Przez zamianę jednego tylko słowa: "komunizm" na "Rosja", załatwia się wszystko. To rozstrzyga problemy, wytycza linie postępowania, nawiązuje do historycznych doświadczeń, uoptymistycznia przyszłość, anuluje paradoks formuły: "bądźmy złem, ale polskim", wyprowadza sytuację ze ślepej uliczki na tory "polityki realnej". I wreszcie zjednuje poparcie znacznej części świata, który również, za wszelką cenę pragnie uniknąć dylematu: wojna–ślepa uliczka. – Tezą tak pojętej, realnej polityki jest etapowe, drogą kompromisów politycznych, usamodzielnienie się spod "bagnetów Rosji". Wprawdzie ta zamiana dwóch słów nie wyjaśnia, skąd we Francji, albo we Włoszech, bierze się aż 30% "Rosjan" głosujących na listy komunistyczne, wprawdzie Tito w sposób

dosyć przekonywujący obalił i obala w dalszym ciągu legendę, że komunizm może się utrzymać wyłącznie na bagnetach rosyjskich – titoistyczny komunizm uznany zostaje za wzór "realnej polityki".

Ta "realna polityka", mimo sloganów, w które się upiększa, obraca się często w anachronicznych pojęciach czystego nacjonalizmu, podmalowanego, równie anachroniczną, łacińską propagandą. Dlatego po drugiej stronie dostrzega tylko "wschodnią schizmę nacjonalizmu rosyjskiego, wykutą w szkole tatarskiego jarzma; spuściznę Iwana Groźnego według mongolskich wzorów Dżyngis-Chana". Słowem – Grattez le Russe et vous trovez le Tatare – jak nawiano w Paryżu, jeszcze w okresie wojny krymskiej. To znaczy w okresie, gdy arcybiskup Paryża błogosławił tej wojnie w liście pasterskim, nazywając ją sprawiedliwą wojną,"przeciwko herezji Focjusza".

Zdarzają się jednak zabawne koincydencje: Tatar krymski, podwójny doktor, reprezentant prometejskiej, antyrosyjskiej tradycji, a potomek dżyngischanowskiej arystokracji – powiada mi, krzywiąc usta z obrzydzeniem: "Przecież całe to sowieckie rabstwo wywodzi się z ducha Iwana Groźnego..."

I zgadnij tu teraz, czy dlatego tak mówi, że podziela zdanie nacjonalistów polskich, iż Iwan Groźny był z ducha Tatarem, czy dlatego, że był jednym z pogromców tatarskiego iga?

xxx

Imię Dżyngis-Chana nasuwa mi kawałek analogii historycznej z dziedziny nazwanej dzisiaj - koegzystencją.

W latach 1221-1223 hordy mongolskie po raz pierwszy przekroczyły granice wschodniej Europy. Król węgierski Bela IV wystąpił z szeroko zakrojonym planem wysłania do plemion ugro-fińskich nad Kamą, ojców dominikanów. Plan znalazł gorące poparcie Rzymu, gdyż przewidywał podporządkowanie nie tylko dalekich pogan, ale otwierał perspektywy rozciągnięcia wpływów rzymskich i na Ruś prawosławną, a przez to likwidację "schizmy" na tym terenie. Niestety, Batu-Chan wcześniej wyciął w pień plemiona nad Kamą i w roku 1241 runął na zachód. Dnia 9 kwietnia Orda rozgramia rycerstwo polsko-niemieckie pod Legnicą i zawraca na Węgry. Opór węgierski zostaje złamany, kraj podbity, król z najbliższym otoczeniem ucieka tak samo, jak w roku 1956 uciekali powstańcy węgierscy na emigrację. Z emigracji, Bela IV wysyła do władców zachodnich, a przede wszystkim do papieża Innocentego IV rozpaczliwe pisma z błaganiem o pomoc, tudzież przedstawia dalsze plany wspólnej akcji całego Zachodu.

Ale już teraz nie interesuje nikogo, ani on, ani jego plany. Innocenty IV ma już swoje, bardziej realne plany, w które nie wchodzi pobity, bezsilny emigrant, a raczej nowa potęga na wschodzie. W ten sposób podjęte zostają pierwsze próby koegzystencji pomiędzy "Zachodem" i "Wschodem", które, zwłaszcza ze względu na casus węgierski, do złudzenia przypominają dzisiejsze. Na soborze lyońskim w roku 1245 opracowane zostaje pismo do "Króla i narodu tatarskiego", z którym wysłany zostaje do Karakorum w Azji, franciszkanin Piano del Carpini. Wprawdzie wielki potomek Dżyngis-Chana, cesarz Gujuk, w piśmie odwrotnym przybiera tytuł brzmiący w tłumaczeniu łacińskim" "Dei fortitudo, omnium hominum imperator"... co w pewnym stopniu utrudnia porozumienie na "najwyższym szczeblu", ale już w roku 1254 wysłany zostaje nowy franciszkanin, Wilhelm Rubruquis, z nowymi listami, do nowego cesarza Mongolii.

Chodzi w nich, naturalnie, nie o los Węgier, zagrożenie Polski, niedolę Rusi, a wciąż o sprawy "wyższego szczebla", więc w pierwszym rzędzie interes Kościoła Zachodniego i (co jeszcze bardziej podkreśla podobieństwo) - sprawy Bliskiego Wschodu... Czyli sprawy związane wonczas z powodzeniem Krucjaty, i prowadzonej pod tą firmą ostatecznej eliminacji Bizancjum jako ośrodka "schizmy".

Mimo poważnych rozbieżności światopoglądowych, zabiegi o koegzystencję ponawiane są wielokrotnie, a stosunki utrzymane w płaszczyźnie kurtuazyjnej dyplomacji. Tak więc, jeszcze w roku 1267 Abaga-Chan wysyła poselstwo do papieża Klemensa IV, gratulując mu zwycięstwa nad Manfreden Hohenstaufem Sycylijskim...

xxx

Urwijmy jednak listę podobieństw, którą można by długo uzupełniać. Pozwólmy sobie z kolei podkreślić odwrotną stronę medalu, nie podobieństwo, a pewne kontrasty, przeciwieństwa do stanu dzisiejszego.

Gdy dziś używamy pod adresem bolszewickiego dyktatora takich oskarżycielskich epitetów jak "czerwony car", albo powiedzeń w rodzaju "nawet za carskich czasów tego nie było...", kładąc nacisk na słowo "nawet", świadomie i tendencyjnie fałszujemy historię, gdyż w tej chwili żyją jeszcze miliony ludzi na świecie, którzy mogą poświadczyć, że "za carskich czasów" nie tylko nie było gorzej, ani nawet tak samo, lecz nieskończenie lepiej niż pod komunistami. Natomiast porównywanie Stalina, jak to się czasem robiło, do Dżyngis-Chana, świadczy raczej o wielkiej ignorancji.

Dżyngis-Chan ogłosił w roku 1218 zbiór praw, Wielką Jazę. Jeżeli lubimy się chwalić, że tolerancja polska wyprzedziła w swej wielkoduszności inne kraje zachodnioeuropejskie, to, nawiasem mówiąc, nie stanowi to dodatkowego świadectwa o duchu zachodnioeuropejskim, którym również lubimy się szczycić. Bo tolerancja

Dżyngis-Chana i jego następców wyprzedziła nie tylko czasy z okresu św. inkwizycji, ustanowionej przez Grzegorza IX w zachodniej Europie, ale nawet czasy z okresu Congregatio Sancti Offici renesansu rzymskiego... Sam Dżyngis-Chan nie tylko tolerował inne przekonania i wyznania, ale osobiście lubował się nawet w wysłuchiwaniu sprzecznych poglądów i wolnych dyskusji. Specjalnie sprowadzał do swego pałacu różnych uczonych, kapłanów, mnichów, eremitów, przyznając nie tylko w duchu, ale też jawnie, iż nie potrafi rozstrzygnąć, która ze stron ma rację, a która jej nie ma.

Ta wspaniała wątpliwość, ten zakaz wszelkiego policyjnego gwałtu nad myślą ludzką, wydany przez człowieka, który mieni się potomkiem "wilka i łani", zesłanych z nieba, ażeby na ziemi zapanował imperator wszystkich ludzi – wydaje się, w zestawieniu ze Stalinem, największym kontrastem, jaki pomiędzy jednym i drugim postępowaniem człowieka zachodzić może!

Dżyngis-Chan i jego potomkowie, byli plagą państw i narodów ówczesnych. Szli ogniem i mieczem podbijając, niszcząc, mordując i grabiąc, Ale któż nie niszczył, nie mordował, nie rabował na drodze swego podboju? Aż do ostatnich czasów, aż do połowy XX wieku, w którym żyjemy? Kto tylko mógł. Pod tym względem Stalin, zrodzony w kaukaskiej Gruzji, nie był lepszy od Hitlera, zrodzonego wśród narodu Dichter und Denker. A czy sądzimy, że Dżyngis-Chan w ciągu całego swego żywota zniszczył choć setną część tej ilości pomników zachodnioeuropejskiej cywilizacji i kultury, co zniszczyło anglo-amerykańskie bombardowanie w przeciągu dwóch lat?

Dżyngis-Chan nie był owieczką w potrzebach wojennych. Nie rozporządzał też większą cywilizacją materialną, choć się jej nabrał od Chińczyków. Zaryzykowałbym jednak twierdzenie, że miał duży zasób kultury duchowej. Za jego i jego następców panowania nestorianie, którzy w wiekach od VII do XI stanowili najszerzej terytorialnie rozpowszechnioną religię chrześcijańską, osiągnęli szczytowy punkt rozwoju w Azji. Kibiłaj-Chan musiał w roku 1289 stworzyć dla nich rodzaj ministerstwa, które administrowało potężną siecią ich placówek. Od XIII wieku począwszy obok Kościoła Wschodniego zaczynają funkcjonować pierwsze ośrodki Kościoła Zachodniego, na równi z wieloma sektami i religią muzułmańską. Perscy i arabscy historycy XIV wieku wskazują na wierzenia, iż Wielka Jaza pochodzić miała od Boga, który nakazał tolerancję. Obok meczetów wznosiły się przeto bogate kościoły chrześcijańskie; w roku 1277 zanotowano w jednej Samarkandzie aż siedem klasztorów nestoriańskich.

Tradycja tolerancji była tak silnie zakorzeniona, że utrzymała się przez czas dłuższy nawet po przejściu Złotej-Hordy na muzułmanizm. Tak więc na przykład kapłani wszystkich wyznań, mnisi wszystkich wyznań, obok uczonych oraz lekarzy zwolnieni byli od wszelkich podatków i służb państwowych.

Ówczesny mongolizm był więc nie tezą, ale raczej antytezą dzisiejszego komunizmu. I gdyby ówczesny świat zachodni istotnie hołdował ideałom tego rodzaju demokratyzmu i tolerancji, których mieni się być dzisiaj przedstawicielem, wypadłoby przyznać, że ówczesne próby koegzystencji z mocarstwem Dżyngis-Chana, byłyby bardziej uzasadnione i na miejscu, niż próby takiej koegzystencji z dzisiejszym komunizmem.

xxx

Wyprowadzanie "rosyjskiego bolszewizmu" z mongolskiej tradycji jest równie błędne, co wywodzenie komunizmu z azjatyckich .pierwiastków. "Bolszewizm rosyjski" zrodził się z komunizmu, a komunizm wyszedł z zachodniej Europy. Narodził się nie na zielonych stepach, nie wśród szerokich horyzontów pól i lasów bez granic, lecz właśnie w zaułkach zadymionej cegły fabrycznych dzielnic europejskich.

"Dżyngis-chanizm", "rosyjskość", "stalinizm" komunizmu to slogany powstałe z jednego i tego samego źródła, którym jest – ludzki optymizm.

"Dżyngis-chanizm" ma pocieszać swą azjatycką mentalnością, która rzekomo nie da się przeszczepić mentalności zachodniej; "rosyjskość" ma pocieszać, że nic nam rzekomo więcej nie grozi, niż groziło od starej Rosji; "stalinizm", że komunizm w gruncie rzeczy nie jest rzekomo taki straszny, to tylko zły Stalin wypaczył naukę dobrego Lenina.

Optymizm jest rzeczą dobrą, zarówno w życiu jednostki, jak narodów. Ale nie wtedy, gdy gruntownie przesłania nam rzeczywistość.

xxx

Pozwolę sobie ponownie wybiec fantazją w sferę dziecinnej wyobraźni. Już nie: "gdybym był królem...", czy nawet: "gdybym był delegatem na nieudany emigracyjny Kongres Kultury..." Ale zgoła: gdybym był wielkim Chanem, Dei fortitudo omnium hominum imperator...

... Po wypaleniu ognim i mieczem przemocy kamunistycznej w całym świecie, ulegalizowałbym nazajutrz partię komunistyczną, zezwolił na otwarcie ich biur i gazet, obok wszystkich innych partii i gazet na świecie. Bo dopokąd nie jest nam dane poznać całej prawdy, w każdej z nich będzie jeszcze wiele nieprawdy, i odwrotnie –

w każdej, najgorszej nawet nieprawdzie odnaleźć można ziarnko prawdy... I wypuściłbym na Europę patrole mongolskich opryczników, aby nahajami z byczej skóry strzegły wolności słowa i nie dopuszczały przemocy jednego z tych słów nad drugim.

Bo nie to wydaje mi się najważniejsze w życiu, jakie kto ma przekonania, a to jedynie – by każdy je mógł swobodnie wypowiadać.
Józef Mackiewicz (pierwodruk: "Wiadomości", Londyn, 1955, nr 1(457))

24. LIST DO SZOŁOCHOWA

Szanowny Panie.

W nr. 95 "Litieraturnoj Gaziety" zamieszczono artykuł o nowym wydaniu Cichego Donu, poddanym przez Pana "istotnej" przeróbce. Jak widać, chodzi tu o przystosowanie powieści do bieżących wymagań socrealizmu, w jego powszedniej, urzędowej postaci. Szkoda.

Osobiście uważam Cichy Don, na tle bezgranicznie szarej jednostajności literatury sowieckiej ostatnich lat, za jedyny utwór, który stanowi wkład do kultury ogólnoludzkiej. W ten sposób przeróbkę jego na sposób i według smaku obowiązującego dziś socrealizmu, uważać można również za cios zadany tej kulturze. Oczywiście, w pewnym znaczeniu, jednocześnie, i za cios wymierzony w ustrój sowiecki, jako zjawisko kompromitujące go w oczach świata zachodniego.

Ta okoliczność mogłaby mnie, jako zaprzysiężonego wroga tego ustroju, nawet cieszyć, ale tak nie jest. Moim zdaniem, przestępstwem było niszczyć hitleryzm łącznie z przepięknymi miastami niemieckimi, które poddano burzącemu bombardowaniu. Nazizm należało zniszczyć, a miasta zastawić. Tak samo w tym wypadku: życzę z całego serca wszystkiego złego wszystkiemu co stanowi istotę bolszewizmu, ale zniszczenie książki Pana szczerze mnie zasmuca. Komunistów nienawidzi się u nas z różnych względów i w ogóle w różny sposób. Ja zaś osobiście (pozwoli mi Pan uciec się do odrobiny patosu) w imię walki o wolne słowo i o autentyczne piękno w oddawaniu prawdy.

Nie wiem, czy to Pana zdziwi, ale będąc pisarzem polskim z pretensjami do tzw. u was "reakcyjnego" naturalizmu, aż dwa razy w swoim życiu, na pytanie zadane w ankiecie: "Jaką książkę ostatnich dziesięcioleci uważa Pan za najlepszą?" - udzieliłem odpowiedzi: "Cichy Don Szołochowa". Nie będę ukrywał, że ku pewnemu zgorszeniu niektórych z moich rodaków. Tak, racja, że wszędzie można spotkać ludzi, którzy czy to partyjną, czy to patriotyczną, ale w każdym razie jakąś linię wywyższają ponad "kosmopolityczny" stosunek do sztuki. Ale, widzi Pan, różnica polega na tym, że u nas różnorodność poglądów ochraniana jest przez prawo, w takim samym stopniu jak u was prześladowana jest na mocy prawa. I oto wskutek wyżej wymienionej, dosyć jednak istotnej różnicy, zachodzącej między właściwościami tych ustrojów politycznych, w których my z Panem żyjemy, miałem pełne prawo wychwalać Pana jako artystę dużego formatu.

Większość krytyków zarzuca książce Pana tendencyjność. Nie ma o czym mówić: jest ona tendencyjna. Powiem wprost: epos Pana jest na tyle "czerwony", na ile u mnie, gdybym posiadał Pana talent, wyszedłby "biały". Ale pomijając już okoliczność, że tendencyjność w literaturze sowieckiej jest nakazana, że jak się wyraził Żdanow na pierwszym kongresie literatury w Moskwie w r. 1934, "tendencyjność stanowi nawet dumę literatury sowieckiej", powstaje pytanie, czy bywają w ogóle utwory o charakterze literackim pozbawione tendencyjności. Bodaj czy takie istnieją na świecie. Autor, niechby się nawet zdobył na największy wysiłek celem "obiektywnego" przedstawienia wypadków i osób biorących w nich udział, nigdy nie potrafi przełamać wewnętrznego subiektywnego współczucia – negacji, tj. tego co stanowi właściwość każdej śmiertelnej jednostki. Bezpośrednim tego skutkiem bywa owo skrzywienie, zarówno historycznej jak artystycznej prawdy, które obserwujemy w dziełach największych nawet pisarzy. Nawet w tym wypadku, gdy autor, przedstawiając z rozmysłem ujemnego bohatera, obdarzy go wszystkimi cechami żywego człowieka, mimo woli usposobi doń czytelnika życzliwie, już chociażby wskutek ogólnoludzkiego prawidła (niestety nie mającego zastosowania w sowieckim na świat poglądzie), że "tout comprendre, c'est tout pardonner". Ale czy można pomawiać za to autora o tendencyjność?

Autentyczność wyrazu artystycznego uwarunkowana jest nie jego beztendencyjnością, a czymś innym, bardziej złożonym. Być może, istnieje coś takiego w samej naturze talentu, co zmusza autora do przestrzegania uczciwości wobec otaczających go przedmiotów, do zachowania pewnej dozy bezstronnej sumienności, chociażby tylko w stosunku do powierzchownych cech rzeczywistości, a nawet w tym wypadku, gdy istocie tej rzeczywistości zamierza on nadać własne, subiektywne odchylenie. Wystarczy by osoby działające w powieści zachowały rzetelne, ludzkie oblicze, a czytelnik sam już potrafi się załatwić z rozplanowaniem osobistych uczuć i sympatii. I poprzez sieć autorskiego ujęcia towarzyszyć będzie wybranym bohaterom nawet ku ich nieuniknionej zgubie. Oto gdzie jest prawda! Zawieszona nad bezdenną przepaścią najbardziej różnorodnego pojmowania rzeczywistości, w ostatecznym rezultacie rozstrzygana nie przez nas, ludzi w pętach namiętności, nie przez autora, nie przez czytelnika, ale gdzieś we wszechświecie, być może w sensie wiecznego obrotu

wszystkich rzeczy. – Pana Cichy Don, na przekór całej jego tendencyjności, potrafił w rezultacie zachować jednakże tę prawdę jedyną, prawdę wiecznej wątpliwości i wiecznych sporów.

A teraz proszę mi pozwolić przytoczyć kolegę Pana, Aleksandra Fadiejewa, jako uogólniający przykład, do czego doprowadza literaturę sowiecką nacisk tzw. socrealizmu. Fadiejew napisał kiedyś bardzo dobrą książkę pt. Pogrom. Znajdujemy w niej na przykład taki ustęp: "To musi być prawdopodobnie zwierzę – pomyślał Lewinson; zatrzymując na nim wzrok i mimo woli przypisując temu pięknemu oficerowi te wszystkie okropne cechy, które zazwyczaj przypisuje się wrogowi".

Tak, to było prawdziwe. Lecz oto, w krótkim czasie, następuje zaprawdę pogrom twórczości literackiej w Sowietach, i Fadiejew pisze już swoją Młodą gwardię. Naturalnie można wydrukować na kawałku papieru: "Bij Żydów, ratuj Rosję", albo: "Bij faszystów, ratuj Związek Sowiecki!" i sens jakiś będzie, niezależnie od ujemnego czy dodatniego znaczenia tych słów. Ale będzie wyłącznie na płaszczyźnie plakatu ulicznego. Jeżeli natomiast istotę jego przeniesiemy na płaszczyznę utworu literackiego, otrzymamy nie tylko kicz, ale kicz pozbawiony wszelkiego sensu. Nie wywoła bowiem on w nas żadnych wrażeń, ani ujemnych ani dodatnich, gdyż poprzez słowne wykrzykniki nie podobna dostrzec istoty rzeczy. Ani jeden z czytelników nie będzie w stanie podstawić myślowo swojej osoby pod którąkolwiek z osób działających. A nie będzie w stanie tego uczynić dlatego, że działanie człowieka żywego jest wynikiem jego reakcji na działanie innych ludzi. Z chwilą jednak, gdy żywi ludzie, jak w Młodej gwardii, zastąpieni zostali z jednej strony przez wzory bez wartości, a z drugiej przez karykaturalnych diabłów z jarmarcznych strzelnic, autentyczne bodźce postępowania ludzkiego sprowadzają się do zera. Obraz zaś ogólny nie tylko zatraca oblicze prawdy, ale pozbawiony zostaje wszelkiej wartości artystycznej. Sądzę, że w głębi swego sumienia zgodzi się Pan ze mną, że powyższe da się powiedzieć o całej dzisiejszej literaturze sowieckiej. W mniejszym lub większym stopniu, ale tak jest.

Na tym tle bezbarwnym, Cichy Don był zjawiskiem na pewno wykraczającym z reguły. Oceniam go nie tylko z punktu widzenia krytyki zawodowej, ale przede wszystkim z punktu widzenia zwykłego czytelnika. Proszę wziąć pod uwagę, że hołd składany przez inaczej myślącego uważa się zazwyczaj za coś więcej niż zwykłą pochwałę. Czytając powieść Pana cieszyłem się – było to z mojej strony naturalne – z okazji każdego zarąbanego przez białych bolszewika i jednocześnie smuciłem się, gdy bolszewik zabijał białego; cieszyłem się gdy zwyciężali Kozacy, a smuciłem gdy zwyciężała armia czerwona. Ale te moje osobiste odczuwania radości czy smutku nie byłyby możliwe, gdyby zamiast żywych ludzi miały się w książce Pana potykać tekturowe kukiełki. A jak świetnie nakreślił Pan, niewątpliwie najbardziej trudne, sylwetki swoich bohaterów "pozytywnych", w rodzaju Podtiełkowa lub Bunczuka!

I oto teraz własnymi rękami niszczy Pan swoją książkę, tzn. ściślej mówiąc, to wszystko co w niej było najlepszego. Przypominam sobie, jak swojego czasu zachwycałem się portretem Bunczuka. Zdawało mi się czytając, że ja go gdzieś widziałem na mijających się ulicach wschodniej Europy, już oto ponad trzydzieści lat wtrąconej w nieszczęście przez rewolucję październikową. Gdzieś, w zakurzonym po wojennemu małym miasteczku, być może kroczącego w przestrzelonym, sołdackim szynelu, tego samego, o którym Pan powiedział, że "nie było w nim nic szczególnego, nic co by się rzucało w oczy, żaden jego rys nie odznaczał się wyrazistością, wszystko było zwyczajne, szare, powszednie..."

I ten zarys, doskonały w swej prostocie, Pan skreśla, by pozostawić tylko następne zdanie: "Twardo wygięte szczęki oraz oczy łamiące spotkane wejrzenie wyróżniały go z tłumu innych osób".

Jestem głęboko przekonany, że Pan sam uświadamia sobie, na pewno lepiej niż ja, że i "szczęki" i "oczy łamiące napotkane wejrzenie" nabierają swej artystycznej wyrazistości właśnie w zestawieniu z poprzednią uwagą. Pozbawiona zaś tego "szarego" i "powszedniego" sylwetka Bunczuka staje się dopiero... "socrealistycznie" i szara, i powszednia, tzn. wypada nienaturalnie, abstrakcyjnie i nudno, jak oleodruk przedstawiający bolszewickiego bohatera.

Szkoda też tych wszystkich drobnych wad właściwych osobie Podtiełkowa. Jeżeli "przerobić" jego charakterystykę według socrealistycznej recepty oraz wykreślić dramatyczny epizod zarąbania bezbronnego Czerniekowa, słabości do dziwki Zinki, fałszywe komentowanie linii partyjnej itd. – cóż, po takim "poprawieniu" przez Pana "błędów" pozostaje uczynić z samym Podtiełkowym? Chyba tylko powiesić, ale i to wypadnie nieciekawie. Przecież przyzna Pan, te inne wrażenie wywołuje obraz, gdy wieszają żywego człowieka, a zupełnie odmienne, gdy się podciąga do góry korpulentny pęcherz bzdurnych, bolszewickich cnót! Niechże pan pawie, po co psuć utwór literacki?!

"Istotne" zmiany, dokonane w nowym wydaniu Cichego Donu, sprowadzają się, głównie do usunięcia z niego "elementów naturalizmu", pozbawienia go szczegółów "naturalistycznego prawdopodobieństwa" , a nawet tych ustępów w opisie zjawisk przyrody, które towarzysz Jakimienko z "Litieraturnoj Gaziety" uważa omal za kontrrewolucyjne. W ten sposób pozbawia się książkę wszystkiego co w istocie stanowiło jej urok.

Nie będę się spierał na temat, co to jest "naturalizm". Osobiście nie wierzę w żadne "izmy", kierunki czy "szkoły" artystyczne, rzekomo związane w jakiś sposób z poszczególnymi epokami. Według mnie jest to zawracanie głowy. Każda "szkoła" powstaje przypadkowo, wskutek tego, że plejada współcześników zaczyna

naśladować którykolwiek z wybitniejszych, idywidualnych talentów. Czyni się to często dopóty, dopóki w pewnym mieście, w pewnej wsi, nie urodzi się nowy, indywidualny talent, który zacznie pisać inaczej. Naturalnie, że w różnych poszczególnych epokach ludzie pisali w różny sposób. Z drugiej strony jednak można by przytoczyć chociażby taki przykład jak Turgieniewa, który się urodził prawie 140 lat temu, a w swoich, powiedzmy, Zapiskach myśliwego, pomijając już ich nieprześcignioną wartość artystyczną, ale również w ich formie zewnętrznej, osiągnął taki stopień doskonałości technicznej, że i dziś mogą być one traktowane jako najbardziej nieskazitelny wzór utworów podobnego rodzaju. Sposób Turgieniewa nie zestarzał się, mimo że pisał on w epoce pańszczyzny, a obecnie mamy epokę samolotów szybszych od dźwięku, epokę robotników amerykańskich jeżdżących własnymi samochodami. Wynika z tego, że epoka nie ma nic wspólnego ze sposobem pisania. I znowu odwrotnie: w Rosji nastała w tej chwili epoka nie tylko pańszczyzny chłopskiej, ale pańszczyzny ogólnej, a nowego Turgieniewa nie ma i, jak my to dobrze z Panem wiemy, nie może być takiego, który by wystąpił przeciwko niewolniczemu ustrojowi. Rzecz cała nie zależy więc od kwalifikacji i nazw poszczególnych artystycznych kierunków, ale wyłącznie od uzdolnienia poszczególnych pisarzy, ich wewnętrznej szczerości, a jednocześnie od rzetelnego i autentycznego ujmowania przez nich rzeczywistości. Rosyjską literaturę przedrewolucyjną uznano za jedną z najlepszych na świecie, czytana jest we wszystkich częściach ziemi po dziś dzień, podczas gdy socrealistycznego kiczu nikt czytać nie chce. Moim zdaniem przyczyna tego jest następująca: bohaterem literatury rosyjskiej był żywy człowiek, bohaterem zaś literatury sowieckiej jest partia. Różnica olbrzymia: z jednej strony – autentyzm, z drugiej – fałsz. A czytać go nikt nie chce, nie dlatego, że ludzkość jako taka jest przeciwna partii bolszewickiej, ale dlatego, że ta partia jest bezgranicznie nudna, głównie właśnie z powodu swej nienaturalności.

Poprzerabiał Pan według wskazówek partyjnych nawet kształt i koloryt obłoków, nawet barwy ziemi, tam wszędzie, gdzie zwrócono Panu uwagę, że z punktu widzenia socrealistycznego... "pejzaż pozbawiony jest estetycznej wartości i że nie może wskutek tego z należytą siłą wpływać na zrozumienie istoty zdarzeń..."

W maju 1943 stałem nad długimi rzędami trupów oficerów polskich, zabitych na rozkaz Stalina przez funkcjonariuszy mińskiego NKGB w r. 1940. Wyrywano je z kleistej masy ogromnych mogił w lesie katyńskim koło Smoleńska, układano jeden obok drugiego i przytwierdzano do każdego metalowe blaszki z numerkami. 4500 ludzi o przestrzelonych czaszkach. Cały obóz kozielski ni to jeńców, ni to internowanych, trudno ustalić, gdyż nie było prawdziwej wojny między Polską a Związkiem Sowieckim w r. 1939. Na skraju lasu ćwierkały po wiosennemu sikorki. Było chłodno, i rzadko tylko wyglądało słońce spoza chmur poganianych wiatrem. Skąpy promień prześlizgnął się szybko po złotym zębie sterczącym z dolnej szczęki jednego z trupów w rozciągniętym szeregu. I wszyscy kto żył cieszyli się, że jest zimno i że wieje wiatr, gdyż z dna wznosił się duszący, słodkawy smród na podobieństwo trującego gazu. – Taaak, pejzaż istotnie "pozbawiony był estetycznej wartości"... To słusznie. Ale absolutnie nie mogę się zgodzić, żeby wskutek tego "nie mógł z należytą siłą wpłynąć na zrozumienie istoty zdarzeń"... Wręcz przeciwnie, istota zdarzeń zrozumiana była przez nas z należytą wyrazistością. Chociaż leżało tam z przestrzelonymi głowami zaledwie 4500 ludzi, a gdzie się podziała reszta z obozów w Ostaszkowie i Starobielsku, nie wiadomo; po rozstrzelaniu zaś Berii i Mierkułowa, bodajże nigdy już wiadome nie będzie. I oto wielu spośród moich rodaków skłonnych jest uważać, że nie ma nic bardziej strasznego od tego przestępstwa katyńskiego; drudzy odpowiadają – że jednak oświęcimskie piece; trzeci – że lagry w oddalonych miejscowościach Rosji i Syberii.

Nie zgadzam się z nimi. Chociaż osobiście byłem w Katyniu i widziałem na własne oczy to, czego oni nie widzieli. Lecz również byłem kiedyś "obywatelem sowieckim" i obecnie, na wolności, korzystając z możliwości udostępnionej pojedynczemu człowiekowi przeciwstawiania się panującemu poglądowi, upieram się, że ani egzekucje masowe, ani obozy koncentracyjne nie stanowią rzeczy najstraszniejszej. Nie, również nie pokajania podsądnych na procesach sowieckich. Bóg z nimi, z więźniami. Moim zdaniem największym okropieństwem jest to dno duchowe, na które spada czasami tzw. wolny, sowiecki człowiek! Człowiek z krwi i kości. Któremu na razie nikt nie podtyka lufy "naganu". Który nawet, bywa, że posiada własną maszynę, letnisko i rachunek w gosbanku! A duszę? A którego dusza drży w poczekalni partyjnej. Do czego to, do jakiego zmalenia, do jakiego moralnego zdarcia doprowadzić można człowieka w garniturku granatowym w paski, sporządzonym w moskiewskim krawieckim artelu!

Bywały w historii ludzkości karty czarne. Nie są nowe też takie czerwone od krwi. Bywały również mglisto-szare policyjnego regimentu, gdy rządowi cenzorzy brudzili swoim ołówkiem najwybitniejsze utwory geniuszu ludzkiego. Ale coś takiego – co się dzisiaj dzieje w Sowietach... żeby sam twórca, z rozmysłem, własnymi rękami niszczył, psuł rzecz najbardziej cenną jaką posiada rodzaj ludzki, tzn. twórczość kulturalną, a jednocześnie najbardziej drogą dla każdego autora, jego własne dziecię – tego jeszcze nie bywało. Nie żeby w przystępie goryczy lub rozpaczy darł na strzępy, palił. Nie, z pełną świadomością, rzeczowo, wiersz za wierszem, skażał rozmyślnie, służalczo – na sam tylko znak dany przez osoby nadzorcze. Ba, z jaką jeszcze gotowością. – Powiadają, że Abraham na rozkaz Pana Boga zabierał się już do zarżnięcia rodzonego syna i powstrzymany został w ostatniej chwili. Ale nawet gdyby owa ponura próba nie była odwołana, bodaj czy można sobie wyobrazić, aby sędziwy patriarcha, mimo całego okazanego posłuszeństwa, zarzynając swoje dziecię, czynił to z pedanterią, z przypochlebnym uśmieszkiem, a w dodatku przygadując: "Tak to będzie dobrze! Dzięki za mądrą wskazówkę! Jakże jestem szczęśliwy i wdzięczny za otrzymane instrukcje! I jakże to sprawiedliwie pomyślane, że dano mi wyplenić własnymi rękami własne tworzywo!"

Hm, taaak... To okropne.

Zechce Pan jeszcze raz przyjąć szczere zapewnienia, że bardzo mi jest żal Pana doskonałej książki.

Józef Mackiewicz (pierwodruk: "Wiadomości", Londyn, 1968, nr 43 (1178); pisownię i interpunkcję nieco zmodernizowałem – K. K.)

25. POŚWIĘCONE ALEKSANDROWI SOŁŻENICYNOWI

Michał K. Pawlikowski ("Wiadomości" nr 1172) poświęca swe "Okno na Rosję" całkowicie osobie Aleksandra Sołżenicyna. (W danym wypadku raczej "Okno na Sowiety" – poprawka moja). Nazywając Sołżenicyna "gwiazdą pierwszej wielkości i mocy na szarym widnokręgu literatury sowieckiej", wysoko ocenia jego rozreklamowaną opowieść pt. Jeden dzień Iwana Denisowicza; przy czym robi uwagę:
"...Wśród krytyków jedynym chyba wyjątkiem był pewien as polskiej literatury emigracyjnej, który orzekł, że powieść Sołżenicyna jest znacznie słabsza od innych dzieł 'obozowych' Wyrażam nadzieję, że ten sąd ujemny był skutkiem lektury Sołżenicyna w bardzo lichym przekładzie, w oryginale bowiem Jeden dzień odznacza się nie tylko prawdą artystyczną, ale i dużymi walorami literackimi". Chciałbym wtrącić, że "as literatury emigracyjnej" nie jest tu "jedyny", gdyż ja mam poglądy podobne, a więc jest nas co najmniej dwóch. Czytałem przy tym Jeden dzień w oryginale rosyjskim.

Chodzi tu, jak wiadomo, o pierwszą ogłoszoną w Sowietach rzecz na temat łagrów. Sołżenicyn napisał tę opowieść niewątpliwie na zamówienie partyjne, w pełni "antystalinowskiej" kampanii rozpętanej przez Nikitę Chruszczowa, tej partii pierwszego sekretarza i dyktatora. Nie do pomyślenia byłoby w warunkach sowieckiej rzeczywistości, aby autor zaryzykował coś podobnego napisać na własną rękę, a tym bardziej, aby mógł się znaleźć redaktor-wydawca, który by to na własną rękę ogłosił. Powieść nie jest zła, wykazuje przebłyski szczerego talentu, ale – jak to nie mogło być inaczej z dziełem na komunistyczne zamówienie – zawiera przede wszystkim wielką nieprawdę. I o tę nieprawdę głównie chodzi.

Albowiem autor nie tylko ukrywa, ale świadomie przeinacza to co najważniejsze. Powieść jego ma sugerować, że łagry sowieckie, w tej formie i treści, powstały nie z istoty i ducha sowieckiego systemu, komunistycznej dyktatury, lecz z przerostów "stalinowskiej" dyktatury. Już sam fakt ogłoszenia tych rewelacji łagiernych w Sowietach posłużył wielkiemu kłamstwu; "Patrzcie, jak my piętnujemy nieprawdę! A skoro piętnujemy, to najlepszy dowód, że jest ona wyłączną, osobistą winą Stalina!". – W ten sposób Sołżenicyn stał się nie tylko wybrańcem konformistycznej fortuny nowej linii w Sowietach, ale jednocześnie wybrańcem politycznego new-looku wolnego świata, który właśnie wydał instrukcje swoim researchom, aby zaprzestały się interesować łagrami "po-stalinowskiej" ery... Od wieluż to lat nie słyszy się i nie czyta już o nich słowa? Chociaż są, są, jak były.

Na tej podwójnej koniunkturze Sołżenicyn wyjechał. Wysłany natychmiast za granicę jako pierwszej klasy komiwojażer prosowietyzmu, być może dostałby Nobla, gdyby nie przepędzono tymczasem jego protektora w Moskwie. Że zaś jednocześnie naśladowców wzięto tam za mordę, Sołżenicyn istotnie pozostał samotną "gwiazdą", choć przesuniętą z oficjalnego firmamentu sowieckiego w odleglejszy kąt. Zdążył jednak napęcznieć sławą i niemałym tupetem. Zaczął się stawiać. W systemie sowieckim na to miejsca nie ma. I oto jeszcze jeden powód do ubolewań na Zachodzie nad krzywdą wyrządzoną dobremu bolszewikowi przez złych "stalinowców". (Już teraz się mówi: "neostalinowcy".) Taki, moim zdaniem, pokrótce, był przebieg całego zdarzenia.

Bodaj pierwszą relacją o sowieckich łagrach, którą czytałem, była opowieść poety białoruskiego, Franciszka Olechnowicza, W szponach GPU. O strasznych, leninowskich Sołówkach. Książka wydana w wielu krajach, z Południową Ameryką włącznie. Mój Boże, kto by dzisiaj o tym śmiał wspomnieć! Wszak pierwsze potopienie oficerów w przedziurawionych barżach na Morzu Białym, to też było w pełni "leninowskich czasów". – (A propos: dowiedziałem się niedawno z przypadkowo usłyszanej pogadanki radiowej "Free Europe" kto wymordował oficerów w Katyniu... Bo czytelnik sądzić może, że bolszewicy? – nie. Sowiety? – nie. "Rosja"? – nie. Komuniści? – nie. Więc może Żydzi, jak to sugerowała ubocznie propaganda hitlerowska? Nie. Niemcy, jak to utrzymuje propaganda sowiecka? – nie. Więc któż taki? – A oto: "stalinowcy". A ja, ekspert od sprawy Katynia, nic o tym nie wiedziałem!)

Później, poprzez Sołoniewicza Rossija w koncłagierie czytało się, nie skłamię, liczne dziesiątki jeżeli nie setki opowieści o łagrach sowieckich, etapach, więzieniach i znowu łagrach, autorów chyba wszystkich narodowości europejskich: Rosjan, Polaków, Francuzów, Niemców, Włochów, Węgrów, aż do obszernej powojennej polskiej literatury emigracyjnej na ten temat. Aż do ostatnich książek, które czytałem. Żyda, Margolina Putieszestwije w stranu ZeKa; Białorusina, X. Józefa Hermanowicza wstrząsające w wyrazie prawdy Kitaj-Sibir-Moskwa: Uspaminy; świetną książkę pół-Francuza, pół-Rosjanina, Maximiliena de Santerre'a, w przekładzie niemieckim: Ihr Name ist Legion (1962).

Być może najważniejsze tytuły zapomniało się w ich tłumie. Były lepsze, były gorsze, kiepskie i doskonałe, ale raczej wszystkie prawdziwe. Żadna z tamtych książek, przed- i powojennych, choć niektóre były głośne, nie zrobiła takiej kariery w świecie jak Sołżenicyna Odin dien' Iwana Denisowicza.

Sam Pawlikowski w poprzednim "Oknie", w doskonałej i trafnej analizie, zjechał obnoszoną ostatnio książkę Michaiła Bułhakowa Mastier i Margarita. Po czym wyjaśnił krótko źródła jej powodzenia: "No, ale Mistrza i Małgorzatę napisano w Sowietach, itd. Słowem, powodzenie zapewnione na Zachodzie". – Naturalnie że tylko z tego powodu. Jest to książka w moim przekonaniu nudna, piła, którą z trudem zaledwie potrafiłem doczytać. Na znacznie, oczywiście, wyższym poziomie od, powiedzmy, takiego kiczu, jak Dudincewa Nie samym chlebem, ale przypomnijmy wielkie halo! – jakie powitało na Zachodzie Dudincewa, jako zapowiedź zadeklarowanej "odwilży".

Lewica intelektualna, ci dzisiaj nadworni trubadurzy polityki silnych tego świata, narzucają modę współczesną. To nic nowego. Moda zawsze szła od dworu do gawiedzi. Snobizm polityczny wytwarza snobizm literacki. A gusta mody nastawione są na pocieszające wieści z bloku komunistycznego.

Doktor Żywago Pasternaka jest niewątpliwie wielką powieścią. Ale całkowicie podzielam zdanie Józefa Wittlina, który kiedyś na zebraniu emigracyjnego PEN-Clubu powiedział, że gdyby napisana była przez emigranta, być może doczekałaby tysiąca egzemplarzy. Napisana przez obywatela sowieckiego, stała się światowym bestsellerem. W Monachium co tylko zdjęto z ekranu film Doktor Żywago. Dotychczasowym rekordem była Irma la Douce, 52 tygodnie! Doktor Żywago – 98 tygodni! Bez mała więc dwa lata, jednym ciągiem na ekranie najdroższego zresztą kina. W mieście o zaledwie ponad milion mieszkańców. I to w epoce lotów na księżyc. Film jest dobry. Ale są setki lepszych.

Powiedzieć by można: Nabokow uzyskał rozgłos światowy, choć będąc Rosjaninem nie jest obywatelem sowieckim. Ale pomijając już pornografię Lolity, która sama w sobie stanowi wartość gatunkową (pornografia, nie Lolita), autor nie jest emigrantem politycznym. Odcina się, i z reguły unika pisania do rosyjskiej prasy emigracyjnej. A nu-ka, mówiąc z rosyjska, poproboj on zaangażować się po stronie emigracji, a jeszcze, niech Bóg broni, w antykomunizmie! Zobaczylibyśmy jakby to dalej poszło z tą karierą światową...

Dlatego słusznie Sławomir Mrożek pisząc z Rzymu do BBC w Londynie odcina się i zastrzega już w pierwszych słowach, że: "nie jest emigrantem". Dlatego to wielu na wychodźstwie lawiruje, nie dopowiada, lub "daje do zroziumienia, że..."; pisze "na alibi", uzyskując protekcję często z jednej i drugiej strony. Osiąga przez to wielkie prawo choć boczkiem przysiąść na tej samej kanapie z pisarzami bloku komunistyczgo. Bo bez tego nie da rady. Jest się przecie nie "Polakiem", lecz "exile-Polakiem", drugiej kategorii. Prawdziwi Polacy są tam, po stronie komunistycznej. A czy my sami, gdy mówimy z lekkim skrzywieniem warg o emigrantach rosyjskich, nie dodajemy: "biali Rosjanie", dając do zrozumienia, że prawdziwi Rosjanie są tam, po stronie komunistycznej? Narzuca się gorzkawe przysłowie, w trochę tylko zmienionej formie: "jak ty komu, tak inni tobie..."

Osobiście, choć z najskromniejszego podwórka, ocieram się wszakże co nieco o ten rynek kapitalny. Tak więc sądzę, że w Niemczech np., gdybym "pisał z Warszawy", to z masy wydawców niemieckich co najmniej pół tuzina najlepszych stałoby dla mnie otworem. A że jest inaczej... Szkoda gadać! – Mój nowy wydawca, choć ultra-katolicki, wydając ostatnio po niemiecku Sprawę pułkownika Miasojedowa, załączył wykaz poprzednich moich książek przełożonych na niemiecki. Pominął jednak jedną: tę o zbrodni katyńskiej. Nawet nie pytając go o przyczynę wiem, że to nie byłaby żadna reklama dla autora, lecz antyreklama...

Prawda że "rynek intelektualny" w Niemczech Zachodnich bardziej niż inne opanowany jest przez "progresistów" budujących mosty, koegzystencjalistów, pół- i ćwierćkomunistów. Ale wiemy wszyscy mniej więcej, jak jest z tym gdzie indziej.

W r. 1966 (z późniejszych lat nie ma jeszcze cyfr dokładnych) ukazało się w Stanach Zjednoczonych 58 517 tytułów; w W. Brytanii 28 000; we Francji 23 800; w Niemczech Federalnych 22 720. Już same cyfry wskazują, jak trudno jest pojedynczej książce wyróżnić się na powierzchni tego morza. Ustalanie wartości przejął "establishment" półurzędowego trustu intelektualnego. We wrześniu otwarte zostały we Frankfurcie nad Menem międzynarodowe targi księgarskie. Przybyło 2 954 wystawców-wydawców z 57 państw. Wystawiono ponad 180 000 tytułów. W tym ścisku obwołuje się też doroczną nagrodę. Nie za najlepszą książkę, najpiękniejszą, nie za najrozumniejszą, nie za najprawdziwszą książkę, lecz za książkę zasługującą na: "Nagrodę Pokoju"... Takie, zgodnie z panującą modą. obowiązują dziś maniery na rynku literackim. Na międzynarodowym rynku.

"Stalinizm" służy do wybielenia komunizmu. A książka Sołżenicyna posłużyła za przyczynek do tego optymizmu. Jest dobrze napisana. Ale jej powodzenie nie ma nic wspólnego z oceną literacką. Nawet gdyby była lepsza od setek innych, traktujących o łagrach sowieckich. Ale nie jest lepsza, a jest mniej prawdziwa od tamtych.

Józef Mackiewicz (pierwodruk: "Wiadomości", Londyn, 1972, nr 23 (1366); pisownię i interpunkcję nieco zmodernizowałem – K. K.)

26. NIEROZWIĄZANA ZAGADKA ALEKSANDRA SOŁŻENICYNA

Rejestruję fakt: różne można mieć zdanie o Sołżenicynie i jego twórczości. Natomiast musimy się chyba wszyscy zgodzić, że sama istota jego zjawiska w granicach Związku Sowieckiego jest zagadką. Niewątpliwie mniej dla ludzi Zachodu, zwłaszcza z młodszego pokolenia, którym psychiczny mechanizm komunistycznego ustroju nie jest znany bezpośrednio, a jego specyficzna odrębność w znacznym stopniu stępiana przez polityczne Wunschtraumy. Dla ludzi jednak wyrosłych z. bezpośredniego kontaktu z praktyką ustroju sowieckiego – nie może nie być zagadką.

W dniach od 14 do 25 lutego 1956 obradował w Moskwie XX Zjazd Partii, na którym Nikita Chruszczow – po obaleniu Malenkowa i zamordowaniu Berii, Mierkułowa i Abakumowa – wystąpił przeciwko "kultowi jednostki", tzn. wygłosił swą słynną "antystalinowską" mowę. Był to w tamtym czasie szczytowy punkt (jeszcze przed encykliką papieską Pacem in terris) nadziei na moralne wyrównanie pomiędzy "chrześcijańskim Zachodem" i "komunistycznym Wschodem". Zdawało się, spełniają się te pragnienia "ewolucji" bolszewizmu, które Lloyd George dostrzegał już od r. 1918..., a które spełniały się następnie w leninowskim NEP-ie; które pokładano w stalinowskim "bonapartyzmie", a później widziano nieomylnie w przywróceniu epoletów i rang oficerskich, zniesieniu Kominternu i "odrodzeniu" Cerkwi przez Stalina w drugiej wojnie... By wreszcie oto urzeczywistnić się w zniesieniu "stalinizmu" przez Chruszczowa! Wprawdzie to "nieodwracalne" (jak zawsze) Alleluja nie trwało zbyt długo – (i nie przybrało takich rozmiarów, jak np. kult Gomułki podczas "polskiego października", i "polskiej drogi do..." komunizmu) – wystarczająco jednak by zjednać Zachód dla nowej "realnej polityki", znanej pod nazwą: pokojowej koegzystencji.

Takie było tło, gdy Aleksander Isajewicz Sołżenicyn wystąpił ze swym słynnym utworem pt. Odin Dien' Iwana Denisowicza, na temat łagrów... "stalinowskich", w czasopiśmie "Nowyj Mir" (nr XI, listopad, 1962) Redaktorem tego miesięcznika był stary komunista Twardowski.

27. ALEKSANDER TWARDOWSKI

Niedawno zmarły poeta i pisarz Twardowski, w ostatnim dziesięcioleciu sławiony przez prasę zachodnią i radia amerykańskie jako "liberał", symbolizujący ewolucję intelektualną w Sowietach, urodził się w r. 1910 w gubernii smoleńskiej. Pochodził z rodziny chłopskiej. W początkach lat trzydziestych, gdy pięciolatka stalinowskiej kolektywizacji zniszczyła około 6 milionów gospodarstw "kułackich" i, według niektórych obliczeń (niewątpliwie przesadzonych), kosztowała życie ok. 20 milionów chłopów – syn chłopski, Twardowski, robi zawrotną karierę jako znakomity w literaturze sowieckiej chwalca Stalina i jego "kołchoźniczej rewolucji z góry". Zasłynął poematem Droga do socjalizmu w r. 1931. Zwłaszcza jednak poemat Twardowskiego Kraj mrówki zostaje wyróżniony i nagrodzony wielką "Stalinowską Nagrodą Literacką". Na równi z Zoranym ugorem Szołochowa i z poematem Pawlik Morozow Szczipaczowa, sławiącym syna chłopskiego, który złożył donos na rodzonego ojca-kułaka.

Członek partii, w następnych latach kilkakrotny jeszcze laureat nagród stalinowskich, Twardowski osiąga najwyższą rangę w literaturze sowieckiej. Dnia 21 grudnia 1949 w "Bolszom" teatrze w Moskwie, na uroczystym posiedzeniu z okazji siedemdziesięciolecia urodzin Stalina, odczytana zostaje oda Twardowskiego ku czci dyktatora:
[...]
Wielki Wodzu, ukochany nasz Ojcze,
Nie, nie słowa zwrócone są do Was,
Lecz miłość prostych, ludzkich serc,
Której nie dorówna nic na świecie...
[...]
Przyjacielowi i Wodzowi oddana,
Przez którego staliśmy się
najszczęśliwsi na świecie.
[...]
Synowski pokłon Wam wdzięczności
Wielkie synowskie podziękowanie...
[etc., etc., etc.]
Całość przelicytowała, jak twierdzili eksperci, wszystko co mogło zrodzić się z lokajskiego upodlenia duszy ludzkiej. Nie dziw więc, że właśnie odę Twardowskiego na tę uroczystość wybrano.

Tym większa była "ewolucja", jaka dokonała się w Twardowskim po XX Zjeździe Partii. Nikt lepiej nie potrafiłby jej ocenić niż sam Nikita Chruszczow, który w okresie "kultu jednostki" nie tylko piał hymny na cześć Stalina, ale – jak sam przyznał – tańcował dla niego "hopaka". Najwybitniejszym osiągnięciem tej "ewolucji" było właśnie opublikowanie przez Twardowskiego pierwszego dzieła Sołżenicyna demaskującego koncentracyjne łagry "stalinowskie".

Wydaje się nie ulegać wątpliwości, że jedna z dwóch wersji musi być prawdziwa: albo Chruszczow sam zamówił u Twardowskiego wyszukanie utalentowanego pisarza, który by taką rzecz napisał, albo Twardowski wpadł przypadkowo na takiego pisarza (wg pewnej wersji, znał Sołżenicyna dawniej i wiedział, że wypuszczony z łagru) i pobiegł do Chruszczowa z inicjatywą, którą ten natychmiast akceptował.

28. SŁAWA "POMOCNIKA PARTII"

Jeden dzień Iwana Denisowicza, napisany ze szczerym talentem, wysunął się od razu na sztandarowe miejsce w nowej, antystalinowskiej, generalnej linii partii, obok poezji Jewtuszenki o mauzoleum Stalina. Partyjna dyrektywa w planie "na danym etapie rozwojowym" była wyraźna. W "Nowym Mirze" Twardowski zaopatrzył utwór odpowiednią przedmową: "Materiał stanowiący podłoże powieści Sołżenicyna jest niezwykły w sowieckiej literaturze... Ale ta surowa ocena rzeczy w powieści jest jeszcze jednym przykładem tego, że nie ma takich odcinków i zjawisk rzeczywistości, które by w naszym czasie wykluczane były ze sfery sowieckiego artysty!... Gorycz i ból tchnące z tej powieści, nie mają nic wspólnego z uczuciem beznadziejnego przygnębienia... Przeciwnie, umacnia wysokie uczucie męstwa..." itd., słowem: partia, po obaleniu kultu jednostki, kroczy w wolności ku lepszemu jutru pod przewodem nowego generalnego sekretarza!

Urzędowe "Izwestia" nazwały Sołżenicyna: "autentycznym pomocnikiem partii w świętym i koniecznym jej dziele...". Organ oficjalny partii, "Kommunist", nazwał tę powieść: "aktywnym potwierdzeniem tego Nowego, co wniosły w nasze życie XX i XXII Zjazdy KPZS, a w tej liczbie zdecydowane zdemaskowanie kultu jednostki". Sam Sołżenicyn powie już później, na posiedzeniu Sekretariatu Związku Pisarzy w Moskwie 22 września 1967: "Zostałem zwolniony z łagru zawdzięczając XX Zjazdowi... W tamtych czasach, gdy wszystkie gazety sowieckie trąbiły pochwały dla Jednego dnia Iwana Denisowicza"... A o rok wcześniej, na posiedzeniu Biura Sekcji Prozy Związku Pisarzy, 17 listopada 1966, oświadczy J. Karjakin: "Przytłaczająca większość pozytywnych ocen Jednego dnia... padła z ust kierowników największych kompartii, najwybitniejszych marksistów współczesności. Przez opublikowanie tej powieści zdobyliśmy ogromną ilość sojuszników, gdyż ludzie uwierzyli, że wróciły czasy autentycznej idei..." – Jeden z komunistów francuskich, który jeszcze w r. 1950 występował w Paryżu z oświadczeniem, że w Sowietach nie ma i nigdy nie było koncentracyjnych łagrów, teraz napisał entuzjastyczną przedmowę do francuskiego wydania Jednego dnia...

29. ISTOTNE PRZYCZYNY POWODZENIA NA ZACHODZIE

Rzecz wymaga wyłożenia kart. Jeden dzień ... napisany jest z dużym talentem literackim. Treść jego jednak – jak słusznie zauważył Roman Gul, redaktor kwartalnika "Nowyj Żurnał" w Nowym Jorku (w księdze 71, z marca 1963) – nie stanowi nic nowego. Zdecydowanie nie demaskuje niczego, co by na Zachodzie nie było już znane od dawna. Gul wymienia książki: J. Margolina Putieszestwije w stranu zeka, J. Sołoniewicza Rossija w konclagierie, G. Andriejewa Trudnyje dorogi,. Iwana Razumnika Tiurmy i ssyłki. Książki o sowieckich konclagrach napisane przez Bezsonowa, Nikonowa-Smorodina, Czernawina. Bojkowa. Rozanowa, Szyriajewa, Pietrusia. W językach obcych wymienia Gul: Józefa Czapskiego, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, W. Pietrowa, Buber-Neumanna, J. Bergera i innych. O łagrach sowieckich mówiła słynna swojego czasu w całym świecie książka Wiktora Krawczenki Wybrałem wolność. Słowem, zwraca uwagę Gul, "o masowych morderstwach i łagrach sowieckich, o niewolniczej pracy, dawno już wiadomo na Zachodzie, i pod tym względem powieść Sołżenicyna jest raczej wyjątkowo spóźniona".

Dla jakich więc przyczyn tak szczególną uwagą obdarzona została w wolnym świecie, tłumaczona, wychwalana? Byłoby paradoksem, gdybyśmy chcieli założyć, że tzw. wolny świat, na wskroś przepojony hasłem "pokojowej koegzystencji" i myślą uniknięcia wojny za wszelką cenę – miałby się raptem ucieszyć z odsłonięcia wstrząsającej prawdy o systemie największego podeptania godności ludzkiej, który chyba tylko przy pomocy wojennej krucjaty może być obalony...

Oczywiście że takiego paradoksu założyć nie można. Świat zachodni (opinie, rządy etc.) ucieszył się nie z prawdy, jaką Jeden dzień... Sołżenicyna zawiera, lecz odwrotnie: z nieprawdy, jaką ten utwór sugeruje. Że mianowicie: 1) System konclagrów sowieckich nie jest wytworem ustroju komunistyczno-sowieckiego, lecz wyłącznie epoki "stalinowskiej". 2) Że w Sowietach nastąpiła zmiana, która potępia poprzedni system, czego najlepszym dowodem jest opublikowanie Jednego dnia.... Bo przecież nie mógłby zostać opublikowany w Sowietach, gdyby miało tam pozostać po staremu... itd. – Słowem nie treść ani literacka forma powieści Sołżenicyna, lecz fakt opublikowania w Sowietach rozstrzygnął o niezwykłym jej powodzeniu w całym świecie. Jak to się zdarza, gdy coś pokrywa się nagle z powszechnym pragnieniem.

30. NAŚWIETLANIA INFANTYLNE

Dodać wypada, że w ocenie zdarzeń sowieckich od dawna skazani jesteśmy na przewagę interpretacji i naświetleń korespondentów zachodnich, w większości nie znających kraju ani języka. Często młodych ignorantów, z przedmiotem, istotą i historią, zarówno Rosji jak Bolszewii, obeznanych zaledwie powierzchownie. Stąd skłonnych do przykładania "normalnej" miary zachodniej do zjawisk zachodzących w Sowietach. Przez powtarzalność, mimo woli ulegamy jednak presji tego monopolu informacyjnego.

Tymczasem naświetlenia takie, jak np. "Twardowski miał odwagę, zamieścić..." lub "Sołżenicyn, który pierwszy odważył się napisać prawdę..." itp., stwarzają obraz dezinformacji. Wynikałoby bowiem, że wystarczy mieć trochę odwagi, a można w Sowietach powiedzieć całą prawdę, i na dodatek zaskarbić największe pochwały najwyższych sekretarzy partii i najwyższych organów prasowych partii!... Kto zna system sowiecki, wie że to nieprawda. Że w ten sposób ani napisana, a już na pewno opublikowana powieść Sołżenicyna być by nie mogła nigdy. Gdyż nic nie dzieje się tam za sprawą "oddolną", lecz wszystko "odgórnie". Tym bardziej rzecz tak doniosła, jak przełamanie milczenia wokół łagrów, powstałych mocą dekretu Lenina z 15 kwietnia i 17 maja 1919 o "utworzeniu obozów pracy przymusowej". Powstrzymamy się więc od polemiki z tymi naświetleniami, które chodzą po prasie zachodniej, lecz skonfrontowane z rzeczywistością brzmią wręcz – infantylnie.

Jak wspomniano, Jeden dzień... Sołżenicyna – tak czy inaczej – mógł ukazać się wyłącznie na zlecenie pierwszego sekretarza, Nikity Chruszczowa. W r. 1964 Chruszczow, również odgórnie, obalony zostaje przez wierchuszkę partyjną. Normalnym więc biegiem, jego kreatury musiały popaść w niełaskę. Sytuacja zatem w jakiej znalazł się po r. 1964 Twardowski i Sołżenicyn nie może budzić zaskoczenia. Można powiedzieć, że dotychczas wszystko jest jasne. I dopiero od tej daty zaczyna się właściwa zagadka Sołżenicyna.

31. NIEBYWAŁY WYJĄTEK

Soiżenicyn po upadku Chruszczowa nie jest więcej wydawany w Sowietach. Wkrótce usunięty też zostaje ze Związku Pisarzy. Ale – pisze w dalszym ciągu. I oto jego, zarówno krótkie opowiadania jak grube tomy, wydawane są masowo za granicą, w pozakomunistycznym świecie, osiągając nieraz rekordowe nakłady w obcych tłumaczeniach, zdobywając sławę "światową" w pełnym tego słowa znaczeniu. Aż do nagrody Nobla włącznie w r. 1970. Kolejno ukazują się powieści, Rakowyj korpus (Oddział chorych na raka), W krugie pierwom (Krąg pierwszy). O pierwszeństwo wydania jego najnowszej książki Awgust 1914 (Sierpień 1914) toczą miedzy sobą procesy wydawcy zachodni, angażując wielkie kapitały. Przy tym nie wiadomo jest do dziś z całą pewnością, w jaki sposób foliały rękopisów tych grubych książek przedostają się z Sowietów do zachodnich wydawców poprzez granicę tak w innych wypadkach szczelnie strzeżoną. Dotychczasowe wersje na ten temat są niedomówione, czasem sprzeczne, a czasem naiwne.

Nie piszę tu recenzji. Zwrócić jednak należy uwagę, iż książki Sołżenicyna, pomijając już stronę talentu pisarskiego, wykraczają daleko poza ramy wciąż obowiązującego w Sowietach socrealizmu, sięgając często do najlepszych wzorów starej rosyjskiej literatury. Nie w formie tkwi jednak sedno fenomenu na dzień dzisiejszy, lecz w treści! O ile Oddział chorych... po zastosowaniu nieznacznego retuszu mógłby ukazać się i w Sowietach, o tyle Krąg pierwszy wypadałoby już zaliczyć do utworów, które potocznie określa się jako "antysowieckie", "antykomunistyczne" tout court.

Krąg pierwszy opisując system sowieckiego łagru przeznaczonego dla wykwalifikowanych specjalistów, "szaraszka" przedstawia niejako w mikrokosmosie cały system sowieckiej rzeczywistości. To prawda, że formalnie rzecz się dzieje za "czasów stalinowskich". Pokazany jest też sam Stalin od jego ujemnej strony. W postaci jednak płaskiej malowanki, graniczącej z grafomańskim kiczem, jakby zrobionej przez innego autora. Ten wszakże wkroplony fragment "antystalinizmu" jest zbyt marginesowy, aby mógł zatrzeć wstrząsające wrażenie całości obrazu: strasznej, perfidnej, ponurej, załganej i beznadziejnej "sowieckości"...

I cóż się dzieje! Kiedyś za takie rzeczy rozstrzeliwano obywatela sowieckiego lub wsadzano do łagru na 25 lat, z przedłużeniem na 25 następnych. Dziś, jak wiadomo, za przekroczenia mniejszej z ciężaru gatunkowego wagi, pakuje się do domu wariatów; wytacza procesy i skazuje na ciężkie kary. Nawet za samo podejrzenie przemycania bardziej łagodnych rękopisów na Zachód dostaje się do 10-ciu lat. To prawda, że sprawozdania z tych procesów, i zwłaszcza słowa oskarżonych, że wiele szczegółów i jeszcze więcej szczegółików na ten temat w prasie zachodniej, wydają się wątpliwe, nieraz podane w relacjach sprzecznych. Niemniej jest faktem, że ,,wariatów" w Sowietach się tępi, i że łagry koncentracyjne, jak były zadekretowane przez Lenina, przetrwały Stalina, Malenkowa, Chruszczowa i trwają za Breżniewa. Tyle że propaganda zachodnia, przez koegzystencjonalną uprzejmość, poleciła swoim "research"om nie dostarczać o nich informacji... Tymczasem z Sołżenicynem dzieje się tak, że nie wydawany w kraju, ale podpisując swe książki za granicą pełnym imieniem i nazwiskiem, siedzi w Sowietach w niełasce... szczególnego przywileju: pisania i mówienia co mu sie żywnie podoba! – Przyznam osobiście że siedząc w wolnym świecie, i sądząc na podstawie tych informacji jakie do nas docierają z Sowietów o Sołżenicynie, doprawdy zazdroszczę mu niekiedy tej tolerancji, z jakiej może korzystać.

Od kilku lat ukazują się w prasie zachodniej różne jego oświadczenia. A m.in. "rugające" władze i system sowiecki. Również w "samizdacie" krążącym rzekomo po Sowietach. Wprawdzie wiemy o tym także li tylko ze źródeł zachodnich korespondentów, gdyż słynny dziś "samizdat" w oryginale do nas nie dociera. Ostatnio była np. wiadomość, że wydrukowano tam obronę amerykańskiej stacji radiowej "Liberty" nadającej z Monachium. Zaraz potem inna, że było to wystąpienie Sołżenicyna. przez niego podpisane. Prawie jednocześnie ukazała się miażdżąca krytyka działalności Cerkwi prawosławnej w Moskwie, w której Sołżenicyn zarzuca Patriarchatowi, że jest zaprzedany władzom, że nie broni prześladowanej wiary, lecz pozostaje ślepym narzędziem partii... Choć za podobne wypowiedzi aresztowano niedawno i surowo ukarano kapłanów prawosławnych w Sowietach... Szczególnego rozgłosu nabrały oczywiście okoliczności związane z nadaniem Sołżenicynowi literackiej nagrody Nobla.

32. DZIWNA PLĄTANINA...

Ogromna nagroda pieniężna skierowana została na życzenie laureata do banku szwajcarskiego. Natomiast dyplom i medal miał przywieźć do Moskwy (czy Riazania?) stały sekretarz szwedzkiej akademii, Gerow, i tam wręczyć laureatowi w jego prywatnym mieszkaniu. Niespodziewanie rząd sowiecki odmawia panu Gerow[owi] wizy wjazdowej.

Dzieje się to w r. 1972, czyli dwa lata po głośnym odznaczeniu Sołżenicyna. Wywołuje kolejną sensację. Odmowa wizy jest zupełnie niezrozumiała z ewentualnego stanowiska rządu sowieckiego. A raczej: paradoksalna. Jeżeli bowiem chciał uniknąć rozgłosu wokół nazwiska "Sołżenicyn", i obawiał się jego popularności w Rosji, posiada w ręku wszystkie środki, ażeby temu zapobiec. Po prostu wystarcza naciśnięcie guzika odnośnej kontroli prasowej i żadna gazeta sowiecka nie piśnie słówka ani o przyjeździe p. Gerowa, ani o Sołżenicynie, ani o wręczaniu mu czegokolwiek. Natomiast idealnie przemilczanej ceremonii staje się zadość i – "po całym krzyku"... na Zachodzie. Po dwóch dniach nie byłoby o czym mówić.

Rząd sowiecki postępuje odwrotnie. Przez odmowę wizy rozpętuje dopiero "krzyk" prasy i radia całego świata! Sołżenicyn jest znów na ustach wszystkich. Sam on wysyła depeszę do Sztokholmu... – nawiasem, trudno sobie nawet wyobrazić: idzie na pocztę, płaci i wysyła tekst zagranicę, że: "Związek Sowiecki okrywa się hańbą przez tę odmowę wizy!"? Ale zaraz ogłasza nowe oświadczenie zagranicą, że przekazanie dyplomu jest pokrzyżowane ostatecznie ,,i nieodwołalnie", wobec czego zapisuje go w testamencie synowi... Akademia Szwedzka proponuje w zamian wręczenie dyplomu i medalu w siedzibie ambasady szwedzkiej w Moskwie. Wówczas Sołżenicyn znowu depeszuje do Sztokholmu. Tym razem jednak jakby sam był – rządem sowieckim... Bo oto nazywa, ni stąd ni zowąd, tę propozycję: "obraźliwą i nierealistyczną", a rząd szwedzki oskarża, iż widocznie ma na względzie "cele polityczne, a nie artystyczne"... Doprawdy trudno się jest połapać w tej plątaninie.

Dlaczego jednak zamiast tego całego gwaru, Sołżenicyn już w r. 1970 nie pojechał zwyczajnie sam do Sztokholmu, abv otrzymać własnoręcznie i nagrodę pieniężną, i dyplom, i medal? Rząd sowiecki mu tego nie wzbraniał.

33. UKOCHANY SSSR!

Z czego właściwie Sołżenicyn żyje? Tego nikt nie wie dokładnie. W gazetach zachodnich były słuchy, że gnieździ się w garażu. Prawie jednocześnie, że sprowadza z zachodniej Europy części zapasowe do swego prywatnego samochodu. Potem, że jest nauczycielem matematyki w Riazaniu. Żyje, wykłada i pisze książki w najgorszych z wyobrażalnych warunków biedy, wystawiony na ciągi; szykany władz. Ale ponoć dawno już przestał być nauczycielem. Z czego żyje? Książek mu w Sowietach nie wydają, w czasopismach nie drukują. Honorariów gromadzących się na Zachodzie nie rusza. Więc? Tylko z pomocy przyjaciół. Pracuje, masę czyta, tworzy jedno po drugim obszerne dzieła. Z tego by wynikało, że w Sowietach jest dużo ludzi niezależnych, bogatych, samodzielnych, a nade wszystko odważnych. Którzy nie obawiając się żadnych represji wspierają go, nie przymierzając coś, jak Józefa Mackiewicza na emigracji polskiej...

Ale poza wszystkim fenomen Sołżenicyna nie ma sobie równego w półwiecznej praktyce historii sowieckiej. Oto szykanowany pisarz, nie mogący w swej sowieckiej ojczyźnie wydawać książek, .prześladowany na każdym kroku, przedstawiający upiorne oblicze tej ojczyzny w dziełach wydawanych na Zachodzie – jednocześnie kocha to sowieckie więzienie do tego stopnia, że nie zamieniłby [go] na wszystkie skarby wolności. Woli w nim cierpieć upokorzenia i nędzę, niż być milionerem w wolnym świecie. Bo w międzyczasie, pomijając już nagrodę Nobla, gromadzące się w szwajcarskich bankach honoraria jego, sięgają ponoć milionów. Nie, on woli wyrzec się tych milionów i pozycji czczonego pisarza, i samego pisania, tworzenia na wolności – byle nie wyjeżdżać za granicę Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich... I do tego stopnia boi się tej zamiany, że choć nie robiono mu przeszkód i nigdy nie powiedziano, iż mu się cofnie za to pozwolenie powrotu – odmówił wyjazdu do Szwecji tylko ze strachu przed wyimaginowanym widmem takiego cofnięcia. Jeżeli się zestawi nieprzeliczoną liczbę tych wszystkich, którzy ,,wybierali wolność" nieraz z narażeniem życia, za cenę jednej tylko, nagiej wolności od bolszewizmu, z ceną jaką płaci Sołżenicyn byle w nim pozostać – musimy się zgodzić,

iż mamy do czynienia z objawem patriotyzmu sowieckiego o nasileniu fenomenalnym. Nie ma też analogii do postawy Pasternaka. Pasternak był człowiekiem starym i można od biedy (choć z trudem) zrozumieć jego niechęć do "tułaczki", do samej procedury pakowania walizek. Sołżenicyn jest bez mała o 30 lat od niego i młodszy.

Wolno wszystkim, kto chce, podziwiać to "patriotyczne" zaparcie. Osobiście upraszam tylko o mały dla siebie margines, iżby mi wolno było dostrzegać, że – "coś jest tu nie i tak"... Konkretnie: widzieć w tym splocie raczej zagadkę.

Naturalnie, nie mnie prawować się z Sołżenicynem. Gdyby o mnie chodziło, wyrzekłbym się wszystkich jego milionów, byle nie wracać do komunistycznej ojczyzny. Wyrzekłbym i się i widoku zsowieciałego Wilna, i uregulowanej Wilii, i zelektryfikowanych kołchozów, i znacjonalizowanych lasów, i nawet szemrzących, chyba po staremu, kłosami żyta skolektywizowanych pól; a nawet, nawet tego jedynego u nas powietrza (tchnącego zapachem sosny i wrzosowisk, które ostało w marzeniach... Czy śp. Hemar nie kochał ponad wszystko Lwowa? A przecież za nic na świecie nie zamieniłby Londynu na sowiecką karykaturę rodzinnego miasta. Chcą nam w prasie zachodniej wmówić, że Sołżenicyn tak kocha "Rosję". Której nigdy nie widział, znając jedynie ten "raj" (pamiętam popularne od r. 1920 tytuły w gazetach), w który przeistoczył ją bolszewizm. Czy Bunin, sam laureat Nobla, czy inni wielcy pisarze, artyści, uczeni rosyjscy – jeżeli o wolność Rosji chodzi – nie uważali, że więcej można dla niej zdziałać na emigracji, niż gnijąc w Sowietach...Ale to już temat zahaczający o politykę. A chcemy mówić wyłącznie o "zagadce".

34. CIOTKA SZCZERBAKOWA

Nie, o gniciu nie ma mowy. Sołżenicyn ze środków, nad źródłem których prasa zachodnia się nie zastanawia, dysponuje z Moskwy, administruje, rozporządza, depeszuje, telefonuje, koresponduje intensywnie. Swemu adwokatowi w Zürichu, panu Fritz[owi] Heeb[owi], poleca interweniować u Macmillana w Londynie, aby ten nie wydawał jego "Biografii", której autorami są David Burg i George Feifer. Wkracza w spór pomiędzy wydawcami monachijskimi: Langen Müller Verlag i Luchterhand Verlag, przyznając temu ostatniemu prawa pierwszeństwa na wydanie swej książki Sierpień 1914.

Dieter Steiner, reporter hamburskiego "Sterna", podejmuje w r. 1971 poszukiwania w Sowietach. Nie pisze, dlaczego nie udało mu się zobaczyć z samym Sołżenicynem. Ale dotarł aż w pobliże Kisłowodzka, do miejscowości Gieorgijewsk, gdzie mieszka 82-letnia Irina Szczerbakow, ciotka Sołżenicyna. Samotna, zgarbiona, prawie oślepła. Izba 2 na 3 metry, podłoga z klepiska, wapnem bielone ściany. Żelazne łóżko, ikona w rogu, pies "Drużok" śpi pod łóżkiem. Olbrzymi, "ruski" piec, blaszane naczynia, stołek. Z zasiłku państwowego otrzymuje ona 10 rubli miesięcznie. Sania, tzn. Aleksander – powiada – dosyła jej jeszcze 15 rubli. W rogu stoi woreczek mąki. Steiner, co widać z jego relacji, nie bardzo się orientuje w rosyjskiej przeszłości. Trochę plącze pojęcie wzbogaconych kułaków i kupców milionerów z "wyższymi sferami" dawnego stanu szlacheckiego Rosji. Mieli pieniądze, dużo pieniędzy kiedyś, opowiada ciotka Irina. Rodzinne stosunki opisane w Sierpniu 1914, to stosunki ich rodziny. Mieli rolls-royce'a, a jakże, których w Rosji było wtedy dziewięć sztuk. Ale Sania urodził się dopiero w r. 1918. Żona, Natasza, Żydówka, porzuciła go, gdy został aresztowany. Później, w r. 1956, znowu się mu narzuciła, i zwaliła na kark razem ze swoją matką i siostrą. Ale on ostatnio znalazł sobie młodszą i z nią się żeni, a z tamtą rozwodzi. W r. 1970 mieszkał istotnie w Riazaniu. 180 km od Moskwy. – "Tego, aby znajdował się on w ciężkich warunkach materialnych – pisze Steiner – Irina Szczerbak [Szczerbakow?] potwierdzić mi nie może. Przeciwnie, żyje, mówi, jak kiedyś żyli zamożni mieszczanie. Regularnie jeżdżą z żoną do Moskwy na koncerty i do teatrów".

Sołżenicyn ma widocznie łatwy dostęp do czasopism zagranicznych, którego przeciętny obywatel nie ma. Bo zaraz po tym dowiadujemy się o jego nowym, kolejnym oświadczeniu: Wszystko łgarstwo! Żaden reporter "Sterna" z moją ciotką nie rozmawiał! Zresztą miejscowość jest zakazana i niedostępna dla cudzoziemców. Byli u niej ubiegłej jesieni pracownicy sowieckiej agencji prasowej "Nowosti", od których reporter "Sterna" coś zapożyczył. Oświadczenie jest zresztą dosyć mgliste, a zakończone zapowiedzią, że teraz zbiera materiały i opracowuje nową książkę: Październik 1916.

35. WYWIADY AMERYKAŃSKIE

"Po raz pierwszy od dziesięciu lat – głosi reklama – Sołżenicyn złożył osobiste oświadczenie", udzielając wywiadu "Washington Post" i "New York Times". "Wokół mojej rodziny – oświadcza Sołżenicyn – utworzono rodzaj zabronionej, zatrutej strefy". Z instytutu wyrzucono jego żonę z posady; wbrew prawom, gdyż była w ciąży. Ktokolwiek do niego zajdzie czy zajedzie, jest później inwigilowany. Gdy odwiedził go Heinrich Böll z zachodnich Niemiec (nawiasem dodać wypada: persona grata w Sowietach), to samochody z agentami "Bezpieczeństwa" stały po dwóch stronach ulicy. Przez 24 godziny na dobę podsłuchiwany jest jego telefon... – (Więc jednak Sołżenicyn posiada mieszkanie z prywatnym telefonem... Okoliczność, która w dziennikarzach amerykańskich nie budzi, oczywiście, zastanowienia.) Kontrolowana jest cała jego korespondencja. Wysyła się

agentów za granicę, ażeby przeszkodzić wydawaniu jego książek... Przyaresztowano i skonfiskowano wszystkie jego archiwa...

To oświadczenie Sołżenicyna wydaje się znów zagadkowe. Dlaczegoż nie skonfiskowano raczej wszystkich rękopisów, co by niewątpliwie opłaciło się taniej, niż wysyłanie następnie agentów za granicę dla przeszkodzenia w publikowaniu?... Okazuje się jednak z dalszych słów Sołżenicyna, że tajna policja sowiecka, rozporządzająca taką masą agentów, szpiclów i konfidentów, jest wobec niego bezradna. Bo nastały czasy "samizdatu", bo jego książki ukazują się w całym świecie... Tak jest, "po XX i XXII Kongresie Partii jest inaczej niż było..."

Wobec tego postanowiono go zniszczyć metodą "szeptanych oszczerstw za zamkniętymi drzwiami". Ale, powiada, "żyjemy w nowych czasach, innych czasach"... I Sołżenicyn dowiaduje się o tych oszczerstwach, z których najpopularniejszym sformułowaniem jest: "zdrajca ojczyzny"... Tak np. oskarżono go, iż rzekomo przemycił na Zachód rękopis książki Oddział chorych na raka w podwójnym dnie walizy. Ten "nonsens", jak go nazywa, ma służyć za dowód, że jest "zdrajcą ojczyzny". I że dostał Nobla jako judaszowe za to srebrniki. A przecież przez to samo, powiada, obniża się wartość tej samej nagrody dla takiego komunistycznego pisarza, jak Pablo Neruda, który dostał Nobla w r. 1971...

Najbardziej zaskakujące wydaje mi się znowu oświadczenie Sołżenicyna na zapytanie o jego pieniądzach na Zachodzie. Odpowiada bowiem, że ministerstwo handlu zagranicznego zawiadomiło go, iż wszelkie zawierane przez niego transakcje zagraniczne podlegają temu ministerstwu, a on ma otrzymywać z tego jedynie pewien procent... – Jakże to? Książki zakazane, napiętnowane jako "zdrada ojczyzny sowieckiej", będą administrowane, manipulowane za granicą przez sowieckie ministerstwo?!

36. CZY ISTNIEJE SOŁŻENICYN?

Z niezwykłą tezą, że "Solżenicyna" nie ma w ogóle na świecie, wystąpił wybitny pisarz i historyk rosyjski, Mikołaj Uljanow, w wielkim artykule w "Nowym Russkim Słowie" z 1 sierpnia 1971, w Nowym Jorku – o czym wspominał już M. K. Pawlikowski (Patrz "Okno na Rosję", nr 1348 "Wiadomości"). Uljanow twierdzi, iż rzekoma "autobiografia" Solżenicyna jest fałszywa. Oficerów podczas wojny nie zsyła się za przestępstwa do łagru, lecz do "karnych rot". Nie mógł być wiec w łagrze, o którym napisał w Jednym dniu... Nie leczył się na raka w Taszkiencie. Nie był w "szaraszce". którą opisuje w swej książce Krąg pierwszy, gdyż trafiali tam wyłącznie specjaliści o najwyższych kwalifikacjach, a on był zaledwie ukończonym studentem. – Kto widział w ogóle żywego Sołżenicyna? – zapytuje Uljanow.

Pytanie ryzykowne. Zgadzam się że fotografie niczego nie dowodzą. I że cała strategia, która uniemożliwiła konfrontację w Sztokholmie, może wzbudzać poważne wątpliwości. Ale trzeba by zapytać wspomnianego korespondenta "Washington Post". A Heinrich Böll, o odwiedzinach którego wspomina sam Sołżenicyn? A sprawozdanie z obrad Związku Pisarzy Sowieckich, w których Sołżenicyn brał osobiście udział? Wprawdzie przedostało się ono drogą bardzo okólną – to prawda – jednak, czy Uljanow uważa je również za fałszywe? Ze względu właśnie na tę "drogę" rzecz nie byłaby, w zasadzie, wykluczona. Ale to jeszcze nie dowody, że Sołżenicyn nie istnieje. Wiele z refleksji Uljanowa wydaje mi się słuszne. Podzielam w zupełności jego sceptycyzm, jeżeli chodzi o nieomal histeryczne przywiązanie Sołżenicyna do Związku Sowieckiego, którego nie chce opuścić za żadne skarby świata. Słusznie też Uljanow przypomina: Terc, Arżak. Amalrik i inni, za wydawanie za granicą książek bez sowieckiej cenzury, zostali aresztowani, skazani i uwięzieni. Podczas gdy Sołżenicyn...

Natomiast trudno się zgodzić, że książki Sołżenicyna zawierają szczegóły, które opisać by mógł tylko specjalista danej dziedziny. Stąd Uljanow wyprowadza wniosek, że ,,Sołżenicyn" to nie autor, lecz instytucja kolektywna, w której strona fachowa powieści opracowywana jest przez grono specjalistów różnych dziedzin. Są jednak błędy w książkach Solżenicyna, których "ekspert" nie powinien był popełniać. Niektóre prawie "sienkiewiczowskie". Ale Sienkiewicz dalekim był fizycznie od wojen XVII w. Podczas gdy Sołżenicyn był cztery lata oficerem na froncie!

W opowiadaniu Sołżenicyna Zdarzenie na stacji Kreczetowka nie tylko "ostatnie liście dębu" spadają w październiku, choć jak wiadomo, na dębie trwają zwiędłe przez całą zimę i opadają dopiero na wiosnę... Ale ponadto konie wojskowe w wagonach towarowych ustawiane są nie łbami, lecz zadami do środka wagonu. Natomiast każdy, włącznie do 10-letniego chłopca, który kręcił się kiedykolwiek "przy wojsku", wiedzieć będzie, że to szczery absurd. Nie mówiąc już o oficerach kawalerii, artylerii, czy konnych taborów piechoty.

W ostatniej powieści Sierpień 1914 generał niemiecki siedząc głęboko w aucie – gdy raptem wyskakuje na wzgórze przed nim konno oficer rosyjski – od razu ze swej pozycji i odległości dostrzec może na jego naramiennikach dystynkcje rangi, i z miejsca przemawia doń per: "panie pułkowniku"... Abstrahując już od reszty sceny zupełnie nieprawdopodobnej Takich niefachowych epizodów jest u Solżenicyna dużo.

Być może szczytowym przykładem naiwności jest w tej samej powieści tenże młody pułkownik Worotyncew. Przedstawiony jako główny bohater-rezoner, jedyna trzeźwa i światła głowa w chaosie klęski 2-giej armii Samsonowa. Jest wszędzie, widzi wszystko. I oto już po klęsce, Worotyncew bierze udział w naradzie w głównej kwaterze naczelnego wodza, w. ks. Mikołaja Mikołajewicza. Wykładając przyczyny pogromu armii, dostrzega je w wyczerpaniu długimi marszami i w braku zaopatrzenia – zanim jeszcze weszła do akcji. I powiada: trzeba było przed wybuchem wojny, skoro z tego miejsca zaplanowano uderzenie, zbudować szosy do punktu wyjściowego, i na samej granicy skomasować zawczasu wielkie składy zaopatrzenia i amunicji. Że to by zdradzało przed nieprzyjacielem, również "zawczasu", cały plan strategiczny i główny kierunek zamierzonego uderzenia, nie przychodzi temu strategowi do jego jasnej głowy. Osobiście, czytając, odczułem niejaką ulgę, gdy w końcu w. książę wyprosił tego młodego geniusza za drzwi. W powieści wszakże miało to oznaczać zlekceważenie przez starych pryków-generałów ożywczej inwencji młodego ducha... Nie, w trust mózgów opracowujących książki Sołżenicyna nie wierzę. Jakże jednak tłumaczy to Uljanow?

37. WSZYSTKO DLA PIENIĘDZY?

Po krotce tak: w głębinach KGB powstał pomysł stworzenia, na podobieństwo innych specjalności, "literackiej szaraszki" o zasięgu światowym. Np. pracuje już taka w dziedzinie jurydycznej: "Injurkollegium". łączące najwybitniejszych prawników, którego macki sięgają do wielu krajów świata. Działa w "obronie" sowieckich obywateli i sowieckich interesów cywilnych. głównie w sprawach spadkowych itp. Wypompowuje masę pieniędzy z Zachodu. Dlaczego by również nie pompować z literatury? Uljanow przytacza na dowód działalność tajemniczej postaci: Wiktora Louisa, który sprzedał za 700 tysięcy dolarów "Pamiętniki Chruszczowa". Dziś już nikt nie ma wątpliwości, że to fałszerstwo. Choć dobra fabrykacja. Podobnie fabrykuje się "powieści Solżenicyna". A chodzi już o grubsze pieniądze. Za Sierpień 1914 dawano np. do 2 milionów.
Ależ przecież są one antysowieckie z tendencji!
Nie są one tak dalece antysowieckie jak się wydają – odpowiada Uljanow. Zresztą inne nie miałyby powodzenia. Poza tym formalnie są tylko "antystalinowskie".

Formalnie, niewątpliwie. Nawet Krąg pierwszy. Ale w tej świetnej, z talentem napisanej powieści, ukazane jest właściwe oblicze systemu, i czytelnik sam dochodzi do wniosku, że tu nie tylko Stalin jest źródłem zła. Może dlatego nawet Krąg pierwszy cieszy się wśród koncyliacyjno-koegzystencjonalnych sfer Zachodu i "postępowej awangardy", najmniejszym powodzeniem. Poza tym teza Uljanowa, gdyby nawet teoretycznie była możliwa, upada z chwilą, gdy twierdzi, że celem głównym rzekomej afery jest wypompowywanie pieniędzy. Ten rachunek nie może się zgadzać. Cóż znaczy bowiem zysk paru milionów, wobec setek milionów, które rząd sowiecki od zawsze wydawał i wydaje na propagandę prosowiecką, prokomunistyczną w wolnym świecie. Ciągnąć więc pieniądze z propagandy antysowieckiej, by łatać nimi część propagandy prosowieckiej – wydaje się zgoła absurdem. W tym kontekście zagadki Sołżenicyna rozwiązać się nie da.

Pozostaje jedyny punkt z twierdzeń Uljanowa, o który by się można zaczepić. Pisał też już o tym Pawlikowski. Mianowicie reakcja wśród emigracji rosyjskiej.

W tym miejscu trzeba by przypomnieć, że w odróżnieniu od emigracji polskiej, rosyjska dotychczas nie uznawała doktryny: "jednej literatury". Nawet najznakomitsze dzieło, Cichy Don Szołochowa, traktowano, normalnie, jako "sowiecką" literaturę, w odróżnieniu od "rosyjskiej", przedkomunistycznej, przeniesionej następnie na emigrację. U nas, typowy produkt peerelowski, jak Popiół i diament Andrzejewskiego (oficjalnie: "pierwszy utwór obrazujący rewolucyjne przemiany w Polsce"), od początku uznany został na emigracji nieomal za perłę "literatury polskiej"; a dziś już nawet i prasa komunistyczna PRL pomału zaczyna być traktowana w jednej płaszczyźnie z emigracyjną. Natomiast w emigracji rosyjskiej niejaki wyłom zarysował się dopiero od czasu Pasternaka. Nie porównać jednak z patriotycznym entuzjazmem, który wywołały książki Sołżenicyna. Po raz pierwszy mówi się już powszechnie (pogołowno!) o odrodzeniu "rosyjskiej" literatury, która się "tam" tworzy. Słusznie zauważa Uljanow, ile wart był w sensie podkupienia opinii, już jeden głośny casus: "Bóg" z dużej litery! Jednak ten cel, sam w sobie, mimo wielkiego znaczenia, jakie mają emigracyjne kontra ustroje komunistyczne w kraju [tak w oryginale! - K.K.], nie wydaje się wystarczający dla montowania aż tak zawiłej, a zwłaszcza obosiecznej, afery.

Wspomniane już wielokrotnie oszukiwanie "liberalizmem" tych, którzy chcą być oszukani na Zachodzie, owe kokietowanie "nowymi czasami", o których zresztą sam Sołżenicyn ciągle powtarza – byłoby w tym wypadku przeprowadzane ze zbyt małą konsekwencją, jeżeli się zważy na przytłaczające przykłady tych, którzy z takich przywilejów jak Sołżenicyn nie korzystają. Więc na czym polega zagadka Sołżenicyna?

Nie wiem. Jestem zdania, że nie rozwiązał jej też Uljanow. Nie wysuwam żadnej hipotezy. Rzuca się w oczy, że "coś jest tu nie tak..." Ale dlaczego? pozostaje na razie tajemnicą. Zapewne tak długo, aż komuś będzie zależało na jej rozwiązaniu. Takich dziś właściwie nie ma.

Józef Mackiewicz (pierwodruk: "Wiadomości", Londyn, 1974, nr 13 (1462) i 14-15 (1463-1464); pisownię i interpunkcję nieco zmodernizowałem – K. K.)

38. "ARCHIPELAG" ZBRODNI I ZAGADEK

Ostatnia książka Aleksandra Sołżenicyna, Archipelag Gułag, należy dziś w całym świecie do najbardziej głośnych. Ten rekord zawdzięcza okolicznościom, w jakich się ukazała. Jednocześnie wywraca, niejako do góry nogami, niejedną z konwencjonalnych klisz myślowych.

Człowiek pisze z Moskwy. Ale jak pisze!

Znaleźliśmy się nagle w orbicie zagadek, wytworzonych nie tylko przez treść i formę, ale ponadto przez reakcje na tę książkę z tamtej i tej strony. Próby zaklajstrowania popularnym kryterium nie wystarczają w każdym razie.

KRĘPUJĄCE ZESTAWIENIA

Do takich prób zaliczyć by wypadało i utarte oburzenie opinii publicznej Zachodu na nagonkę ze strony sowieckich "środków masowego przekazu", które lżą Sołżenicyna:
"Zdrajca!... Zaprzedany wrogowi... Oblewa błotem ojczyznę sowiecką... Obraża społeczeństwo sowieckie... Zniesławia żołnierzy Czerwonej Armii... ("Prawda", Tass) – Wypacza obraz historii... Ubliża pamięci wodzów rewolucji... Obłąkany pasją nienawiści do narodu sowieckiego... Zohydza, oczernia... ("Litieraturnaja Gazeta") – Paszkwil na wszystko co sowieckie... Sieje nienawiść do naszego narodu... Sprzyja hitlerowcom... Hańbi pamięć poległych ("Sowieckaja Rossija", "Trud", "Komsomolskaja Prawda", "Krasnaja Zwiezda") etc., etc., etc. Artykuły, rezolucje, uchwały, listy do redakcji. I tylko nieliczni w Moskwie ośmielili się wystąpić w obronie Sołżenicyna, jak prof. Sacharow, pisarze Władimir Maksimow, Lidia Czukowska.

Prasa zachodnia dostrzega w tej nagonce niegodne metody zwalczania wolnego pisarstwa w Sowietach. W potępieniu tej nagonki solidaryzuje się z opinią wolnego świata, rzecz naturalna, i nasza prasa emigracyjna. Pamięć bywa krótka, lub nieszczera.

Nie chciałbym w tym miejscu posądzonym zostać o samoreklamę i wywyższanie do koleżeństwa z najbardziej głośnym w tej chwili pisarzem świata. Ale – dla zestawienia, w temacie, któremu poświęcam niniejszy artykuł – pozwolą mi czytelnicy na przytoczenie urywków z innych uchwał, rezolucji, artykułów, listów podobnej nagonki. Moje ostatnie powieści wydane na emigracji spotkały się m.in. z taką reakcją (cytuję):
"...wypacza obraz historii ... przedstawia w sposób poniżający żołnierzy polskich..." (Uchwała Instytutu J. Piłsudskiego) – "Jest paszkwilem wymierzonym przeciwko polskości... Urąga prawdzie i hańbi pamięć młodzieży. Poniża cześć kobiety..." (Uchwała Koła Harcerzy) – Patologiczna nienawiść autora do wszystkiego co polskie... Obraża rodzinę, społeczeństwo... Leje strumienie błota... ("Gazeta Niedzielna") – "Zniesławiający paszkwil"... (Rezolucja Koła AK. która zresztą potępia nie tylko książkę, ale wzywa do potępienia nawet pochlebnych o niej recenzji) – "Ubliża naszej przeszłości... Plugawi, bezcześci, znieważa... Propaguje nihilizm kulturalny... Zohydza Polskę... Jest ciężką obelgą, prowokacją i truciznę..." etc., etc. (Konkluzje Zgromadzenia Dyskusyjnego SPK, w wydaniu Gryf).

Widzimy więc, że rozpętana przeciwko mnie nagonka wyżywa się nie tylko w analogicznych połajankach, ale nawet identycznych nieraz słowach jak w Moskwie. I też tylko nieliczni na emigracji stanęli w obronie wolnego pisarstwa w wolnym świecie, jak Marian Hemar, Adam Pragier, Juliusz Sakowski ("Piętnując brak swobody słowa pod komunizmem, nie naśladujmy złych wzorów, które potępiamy...").

Nie, nie w tego rodzaju nagonkach leży więc cecha rozpoznawcza niewoli słowa pod panowaniem komunistycznym, skoro organizowana być może i w wolnym świecie, nawet wśród "walczących o wolność słowa".

Nie jest też cechą rozpoznawczą sowieckiej metody łamania "inaczej myślących" wsadzanie ich do domu wariatów. Przypomnijmy że największy poeta świata (nie znam się na poezji, ale tak mówią), Ezra Pound, wsadzony został przez Amerykanów do klatki dla zwierząt; a później do domu obłąkanych, gdzie mu zresztą pozwolono tłumaczyć Sofoklesa, Konfucjusza i poezję chińską. A największy prozaik, Knut Hamsun, w wieku lat 87, wsadzony również do szpitala wariatów w Norwegii. Wtedy jeszcze Sowiety nie znały tych zabiegów, wsadzając raczej do łagrów na lat 15 i 25. Już w obecnym roku 1974 sąd włoski w Wenecji – niewątpliwie z łagodnej sugestii Stolicy Apostolskiej – skazał b. zakonnika francuskiego, Michela Collina, który ogłosił się antypapieżem Klemensem XV, na dwa lata zamknięcia w szpitalu wariatów. Przy tym sentencja wyroku wyraźnie mówi, że za obrazę papieża Pawła VI. Collin jest uzurpatorem niepoważnym i niewątpliwie śmiesznym, ale wariatem klinicznym nie jest. (Uszedł tej kary, przebywając we Francji. Francja go jeszcze nie wydała). Wynikałoby z tego że środek szpitalowariatów dla inakomyślaszczich nie jest wymysłem sowieckim. Raczej – obok wymiany kulturalnej – wymianą penitencjarnych wzorów pomiędzy "Wschodem i Zachodem".

39. COŚ WIĘCEJ NIŻ ZAKAZ WOLNOŚCI SŁOWA

Nie, ustrój komunistyczny jest gorszy od li tylko zakazujących wolności słowa. Gdyż on nie tylko zakazuje mówić i pisać tego, co mu nie dogadza, ale ponadto nakazuje mówić i pisać, co mu dogadza. Prof. Fiodor Stiepun (też swojego czasu wydalony z Sowietów) przeprowadził w tym względzie klasyczne rozróżnienie pomiędzy rosyjską carską cenzurą, która mogła skreślać pewne publikacje, ale nie mogła wyznaczać na ich miejsce odmiennych. Była więc ona taka, jak w innych krajach na świecie gdziekolwiek cenzurę stosowano. Dopiero ustrój komunistyczny zastosował to, czego dotychczas nie było.

Znany jest w Sowietach szeptany żart: "My nie żądamy już prawa do mówienia-pisania tego, co chcemy; gdybyśmy mieli chociaż prawo milczeć o tym, co chcemy!" – Tego prawa nie ma nikt z obywateli sowieckich. Ani pisarz piszący książki, ani dziennikarz piszący artykuły, ani robotnik uchwalający rezolucje na zebraniach fabrycznych, ani kołchoźnik piętnujący dziś Sołżenicyna, o istnieniu którego dowiedział się zaledwie kilka minut przedtem; ani uczeń w szkole, ani komsomolec, ani inżynier; ani dostojnicy Cerkwi wygłaszający na rozkaz z góry bluźniercze przemówienia o rozkwicie i wolności chrześcijaństwa pod władzą sowiecką. Korespondenci zagraniczni akredytowani w Moskwie mają wprawdzie "prawo milczeć" o czym chcą, ale również nie posiadają prawa mówić o wszystkim, o czym by chcieli, bez narażenia się na wyrzucenie ze Związku Sowieckiego. Takie są tamtejsze prawa i obyczaje.

Stąd, nawiasem mówiąc, instytucja zagranicznych korespondentów w Moskwie często myliła opinię publiczną. Z jednej strony mają ci dziennikarze niby tę wyższość nad innymi, iż mogą powiedzieć: "my tu widzimy własnymi oczami", z drugiej nadawać mogą tylko blade relacje, zawierające zaledwie pół, czy ćwierć prawdy, jeżeli się chcą utrzymać na tej posadzie. Przy czym ich organ macierzysty stara się najczęściej, na równi z rządem sowieckim, abv żadna "antykomunistyczna" tendencja (w dzisiejszej terminologii: "zimnowojenna") nie przedostała się na jego poważne łamy w tzw. wolnym świecie, spragnionym Odprężenia.

ZAGADKA NR 1

Jakże wiec doszło do tego, jak mogło w ogóle do tego dojść, aby w świecie tamtych praw sowieckich, kilku obywateli tym prawom podległych, w tym głównie prof. Sacharow i pisarz Sołżenicyn, przebvwając w Moskwie, zdołali przez tak długi czas "bezprawnie", a zatem i "bezkarnie" rozgłaszać na cały świat prawdę o rzeczywistości sowieckiej? W dodatku posługując się korespondentami zagranicznymi dla rozpowszechnienia swych enuncjacji? A ci korespondenci nie doznają w tym trudności na miejscu. Poza tym ich organy na zachodzie, tak niechętne dotychczas do zamieszczania wszelkiej "antvsowietczyzny", poczęły się nagle prześcigać w drukowaniu wszystkiego, cokolwiek Sacharow, a zwłaszcza Sołżenicyn, zechcą powiedzieć. Jest to zagadka nr 1.

Ogłoszony przez Sołżenicyna Archipelag Gułag nie jest ani powieścią, ani rzeczą o tendencji "antvstalinowskiej" jak dotychczas, lecz skondensowanym oskarżeniem ustroju komunistycznego w ogóle. Autor nie zostaje za to aresztowany z miejsca, lecz dopiero po upływie długiego czasu (dłuższych ceregieli, wspomnianej nagonki etc.), co stoi z kolei w jaskrawej sprzeczności z opisanymi w Archipelagu Gułag faktami z praktyki sowieckiej. Dopiero 12 lutego pozbawiony obywatelstwa, deportowany zostaje (za zgodą rządu NRF) do Niemiec. Wzbudza to znowuż szaloną sensację w całym świecie. W zupełnym zapoznaniu rzeczywistości sowieckiej, na tle której prawdziwą sensacją nie jest fakt aresztowania i deportacji Sołżenicyna, lecz odwrotnie: fakt niearesztowania Sołżenicyna w ciągu uprzednich lat, a zwłaszcza miesięcy po ukazaniu się na zachodzie jego Archipelagu Gułag. Trudno się dziwić że w tumulcie tych niespodzianek zachodzić może nieraz gruntowne pomieszanie pojęć.

Zanim jednak przejdziemy do zastanawiania się nad tymi zagadkami, czas już chyba wyłożyć, co jest właściwie powiedziane w tym Archipelagu Gułag.

TREŚĆ

Książka bynajmniej nie jest poświecona ani wyłącznie, ani nawet w większości, łagrom "stalinowskiej" ery. Wręcz przeciwnie, era "leninowska" przedstawiona jest w niej w sposób może bardziej wstrząsający. Są tam też wspomnienia osobiste o wysokiej wartości artystycznej. Autor aresztowany został w Prusach za prywatny list do przyjaciela, takiegoż jak on oficera na froncie wygasającej już wojny. Znakomity jest opis doznań bezpośrednich. Niewygasłe jeszcze dostojeństwo oficerskiej rangi w zetknięciu z deptającym wszelką godność losem aresztowanego. W pierwszym odruchu autor woła: "Niech Niemiec niesie moje rzeczy, ja oficer!" I stary Niemiec niósł w szeregu. A jak zabrakło mu sił, to niósł, pomagał Niemcowi jeniec sowiecki, jeszcze z literami SU (Sowiet-Union) na plecach, z b. obozów niemieckich... Tych osławionych z głodu i nędzy. Bo hitlerowcy uznali żołnierzy Armii Czerwonej za "Untermenschów", a "ojczyzna" sowiecka wyrzekła się ich i za zdrajców uznała, kto wpadł do niewoli. Wiec po "wyzwoleniu" poszli znowu do łagrów. Ten akt, wtedy własnej, ludzkiej pyszałkowatości, w zestawieniu z ludzką solidarnością ledwo włóczącego nogi żołnierza, na tle ludzkiego okrucieństwa, nęka we wspomnieniu. Sołżenicyn raz jeszcze, po latach, spotyka się z tym Niemcem w jednej

celi, i znów wstydzi się za siebie. Tak jak wstydzi się wspomnienia że przeszedł kiedyś obok, okazując obojętność, on w szlifach oficerskich, gdy wołał, błagał go o ratunek katowany przez sierżanta "własowiec" wzięty do niewoli. Akt wyznanej skruchy nie jest tu upiększeniem literackim chrześcijańskich uczuć. Widać że jest szczerym u autora poznaniem Człowieka. Takim, jakiego się nie osiąga w horyzontalnej płaszczyźnie poznania narodów, lecz w prostopadłym zgłębieniu w dół, aż na samo dno ludzkiego losu.

Tylko w ten sposób można oddać prawdę, gdy się pisze o przeżyciach, przezywanych często "nieludzkimi", a będących w istocie na wskroś właśnie – ludzkimi. Sołżenicyn konfrontuje siebie z otoczeniem. Dlaczego inni się nie przeciwstawili?! Chwileczkę, a co ja bym zrobił na miejscu tych innych? Pytanie to stawia często, mówiąc o braku oporu. Sołżenicyn "nie rzuca kamieniem". Rzucanie kamieniem jest reakcją łatwą i dlatego może rozpowszechnioną. Prawdziwe rozpoznanie natury ludzkiej wymaga dużego wysiłku. Mimo pozornej jednolitości losu. W Sowietach jest on naprawdę jednolity. Panuje bezwzględna równość w komunizmie. Bajeczki o nierówności pomiędzy warstwą górną i dolną sprowadzają się w istocie do pożerania tradycyjnego "kawioru" przez dygnitarzy. W rzeczywistości nie zdąży on czasem tego kawioru jeszcze przełknąć, gdy raptem spada z wysokiej drabiny pod najplugawszą narę w celi więziennej. Sołżenicyn przytacza masę przykładów tego kolektywnego równania w dół. W nędzę, upokorzenie, śmierć. I tak się zaczęło od pierwszych dni leninowskiego bolszewizmu.

40. "INTELIGENCJA TO GÓWNO" – POWIEDZIAŁ LENIN

Sołżenicyn pisze: "Gdy teraz wymyśla się na bezprawia Kultu, to ciągle i ciągle wypomina lata 37-38, jakby ani przedtem, ani potem nie wsadzano"... W 1929/30 w tajgę i tundrę "wpakowano dobrych 15 milionów chłopów. Stalin nie zrobił (i u nas z wami) przestępstwa gorszego"... Ale dziesięć lat wcześniej, w styczniu 1918 Lenin proklamował "czystkę ziemi rosyjskiej ze szkodliwych owadów"! Sołżenicyn cytuje słowa Lenina w liście do Gorkiego z 15 września 1919. Gorkij wstawiał się wtedy za aresztowanymi członkami tzw. "wokółkadeckiej inteligencji" ("kadeci" – konstytucyjni demokraci). Lenin odpowiedział: "W rzeczywistości to nie jest mózg narodu, a gówno" – Niebawem, 16 do 26 sierpnia 1920 toczy się sprawa 28 członków tzw. Taktycznego Centrum. Króluje wtedy leninowski prokurator Krylenko, który więcej ludzi posłał na śmierć, niż stalinowski Wyszynski. Ale o Krylence dziś zapomniano. Pierwsze obozy koncentracyjne stworzone zostały przez Lenina. Sołowki tamtego czasu byty tak słynne jako symbol terroru, że ich imię przetrwało do dziś, po wszystkich stalinowsko-hitlerowskich łagrach.

W r. 1921 proces "Gławtapa"; na ławie oskarżonych inżynierowie specjaliści. Przez Lenina stworzona zasada prawna: ustrój nie może być niczemu winien – winni są wyłącznie "szkodnicy", przetrwała i trwa. Lenin był twórcą najstraszniejszego artykułu kodeksu – 58-go. Z tego artykułu, za "antysowiecką działalność", "antysowiecką propagandę" itd. skazano na śmierć i zesłano do łagrów nieskończenie więcej milionów ludzi, niż to zdążył uczynić Hitler podczas wojny. W r. 1922 "Moskiewski Proces Cerkiewny" i analogiczne na prowincji. W Piotrogrodzie oskarżyciel Smirnow żądał "szesnastu głów". Rozstrzelano tylko dziesięciu. – "Towarzyszu Karski! – pisze Lenin – według mnie należy rozszerzyć rozstrzeliwania". – Proces "eserów" od 8 czerwca do 7 sierpnia 1922. Chociaż w początkach r. 1919 eserzy (socjal-rewolucjoniści) zaprzestali walki z bolszewikami, aby "ratować rewolucję i nie pomagać Kołczakowi i Denikinowi" (akurat w czasie, gdy i Piłsudski wstrzymał swą ofensywę). W r. 1924 proces Sawinkowa ("wyskoczył" oknem).

W tym czasie ugruntowało się ostatecznie sowieckie prawodawstwo, w którym sprawdzianem winy i sprawiedliwości jest wyłącznie dobro partii. (Nie "wina osobista", lecz "zagrożenie socjalne"). "Sprawa Szachtyńska", "Sprawa Prompartii" – już wtedy oskarżeni prześcigali się w samooskarżeniach. Tryumfy Mikołaja Wasiljewicza Krylenki: "Rozstrzelać, rozstrzelać, rozstrzelać!" W r. 1931 "proces mienszewików"... Trudno wyliczać wszystkie procesy, chociażby pokazowe tylko. Miliony skazywane były przez "trójkę GPU". Aż wreszcie i sam Krylenko został skazany!

A my wciąż w prasie naszej, emigracyjnej, w kółko: "Bolszewicy przejęli carskie metody"... Kto nam to każe powtarzać tę katarynkę?

Sołżenicyn przytacza porównania: w ciągu 80 lat szczytowej działalności Inkwizycji w latach 1420 do 1498 spalano na stosie około 10 ludzi miesięcznie. W Rosji carskiej od r. 1876 do 1905 stracono ogółem 486, czyli 17 ludzi rocznie. W dobie szczytowego terroru bolszewickiego rozstrzeliwano z art. 58 przeciętnie 28 000 (dwadzieścia osiem tysięcy) ludzi miesięcznie!

Te różnice w ilości nie mogą nie świadczyć o różnicy w jakości. Niech mi wolno będzie jednak na dygresyjnie wtrącone pytanie: kto nam każe kręcić od lat tę "carsko-rosyjską katarynkę"? – odpowiedzieć wyrażeniem obawy, że rosnąca kapitulacyjna tendencja wobec komunizmu, przy nader skutecznej frazeologii nacjonalistycznej; plus "realizm" katolicki ("Tygodnik Powszechny" oświadczył że pierwszym realistą był Chrystus) daje w sumie: komunizm nie jest już taki zły, niech będzie tylko nasz – "polski". Ale nie narzucony, "moskiewski"!

Sołżenicyn wskazuje że osławiony "stalinizm" był tylko dalszym ciągiem "leninizmu". Sołżenicyn szczerze nienawidzi CZEKA, GPU, NKWD. NKGB. KGB. Nienawidzi Abakumowa szczególnie. O Berii pisze mało. O Mierkułowie, dlaczegoś, wcale. Daje oblicza Korolenki, Jagody, Jeżowa, tych wszechpotężną "włast'-imuszczich", których jeszcze potężniejsza władza unicestwiła za pociśnięciem guzika. O Dzierżyńskim pisze mało. O Stalinie z obrzydzeniem. O Chruszczowie raczej przychylnie. O Breżniewie i Kosyginie – ani słowa. Archipelag Gułag (Gławnoje Uprawlenije Łagierej) podobny jest raczej do polipa, który swoimi mackami wysysa krew, niźli do wysp archipelagu. Więzienia, zsyłki, etapy, łagry, baraki i – Metody. To wszystko znane. Na każdego w życiu, jak i w czytaniu, działa coś innego. Na mnie np. transporty, deportacje. Można szukać słów, ale wszystko mieści się w jednym: straszne. Przytoczone mnogie przykłady. Mną wstrząsnął z mnogich strasznych, nie wiem dokładnie dlaczego, ten jeden szczególnie: wagon z transportem deportowanych do łagru był tak ciasno nabity ludźmi, że człowiek w tym ścisku stojących ciał zawisł między nimi, i jechał przez kilka dni i nocy nie mogąc sięgnąć nogami podłogi. Brrrrr... Jestem pewien że Sołżenicyn tu czut' przesadził. Tak nie może wytrzymać człowiek nieskolko sutok (kilka dób). Ale wystarczy, że może zaistnieć coś podobnego, gdzie taka przesada jest możliwa, dopuszczalna w opowiadaniu...

I CIĄG DALSZY

I raptem cały świat, tzw. zachodni, czyli wolny, rozdziera szaty, że Sołżenicyn deportowany został z tego piekła na wolność w miękkim fotelu "Aerofłotu". Zamiast się cieszyć i gratulować Sołżenicynowi jego szczęśliwego losu. Powstaje wiec pytanie: czy ta protestująca dziś opinia publiczna Wolnego Zachodu czytała Archipelag Gułag? A jeżeli czytała, czy uwierzyła w to, co jest tam napisane? Jeżeli czytała i uwierzyła Solżenicynowi, dlaczego nie rozdziera raczej szat nad tamtym deportowanym, którego nogi w ścisku nie sięgały podłogi wagonu?...

Coś tu nie klapuje z tym ubolewaniem nad karą skazującą pisarza na – nostalgię... Bo w takim razie po cóż jest książka napisana? Żeby pokazać, jak kiedyś było strasznie, źle, a teraz jest dobrze? Aż do tęsknoty za tym włącznie? – Nie, nie twierdzi tego Sołżenicyn. Nie podkreślają też spikerzy Kremla. Nie wskazują również publicyści zachodni wprost. Czy znaczy, że ma to się samo przez się rozumieć? I że każdy chciałby powrócić do tamtych "ojczyźnianych" warunków? Coś tu się nie rymuje.

Kara wyrzucania z granic Sowdepii była kiedyś najwyższą, obok kary śmierci, karą przewidzianą przez odnośny artykuł kodeksu sowieckiego. I wszyscy się śmieli (komu jeszcze śmiech nie zamarł na ustach), że na taką karę chciałaby zostać skazana co najmniej połowa ludności! Połowa – nie-połowa, ale z chwilą otwarcia odrutowanych bram, zapewne wiele milionów opuściłoby terytorium Związku Sowieckiego. Chóralny płacz nad banicją Sołżenicyna (nawiasem, tak materialnie zabezpieczonego na Zachodzie) jest czymś sprzecznym z naturą rzeczy.

W chwili gdy to piszę, stoimy jeszcze wobec szeregu zagadek. Władze sowieckie ze wszystkich portów lotniczych na świecie wybrały dla wyrzucenia Sołżenicyna właśnie ten we Frankfurcie nad Menem. Niewątpliwie w złośliwej intencji demonstracyjnej. Frankfurt jest bowiem siedzibą rosyjskiego NTS, "Solidarystów", centralą politycznego ruchu b. własowców, (którym rząd niemiecki, w trosce o "odprężenie", zamknął akurat ich radiostację). Z moskiewskiego punktu widzenia – i nie tylko moskiewskiego – "zdrajców", "kolaborantów", do których w prasie sowieckiej zalicza się teraz Sołżenicyna. Ale Sołżenicyn, który jeszcze w r. 1968 w piśmie do gazet sowieckich i Związku Pisarzy publicznie protestował i piętnował drukowanie jego powieści Oddział chorych na raka, w rosyjskim, frankfurckim czasopiśmie "Grani", wydawanym przez NTS – nie jedzie z lotniska do tego ośrodka emigracji rosyjskiej, lecz do willi prezesa PEN-Klubu, którym jest Heinrich Böll, znany prokomunista, do niedawna persona grata w Moskwie. Nawiasem przypomnijmy, że określenie "wybrać wolność" pochodzi z książki Wiktora Krawczenki, wydanej na Zachodzie 30 lat temu (i dawno zapomnianej). Czy od tego czasu wolności już nie ma na Zachodzie? Czy też w międzyczasie zapanowała w Sowietach? Może kiedyś dowiemy się o tym.

Na razie czytam, czytam Archipelag Gułag; bardzo długa książka, przeszło 600 stronic. Jest jeszcze w niej kilka rzeczy o dużej wartości artystycznej, i czym dalej tym więcej wstrząsających opisów. Czytam, i nagle chce się – ziewać... Nie ma w całej książce ani jednego, dosłownie, faktu nowego, który by nie był już ogłoszony drukiem. Niektóre pamiętam jeszcze z dawnej młodości, rozsiane po emigracyjnej prasie rosyjskiej. Jest natomiast trochę niedokładności i opuszczeń.

41. HEINRICH BÖLL

Pamiętam – piętnaście lat temu – piękną wycieczkę z Karolem Zbyszewskim do Włoch. Ponieważ po powrocie miałem wykończyć spiesznie pracę, do której potrzebne były ścisłe dane o GUŁAGu sowieckim, zabrałem do wieczornej lektury na postojach hotelowych obszerne dzieło wydane w r. 1955 przez Instytut do Badania ZSSR, po rosyjsku: Koncentracyonnyje łagieri SSSR. Wieczorem zaszedł do pokoju Karol, spojrzał na moją lekturę i wykrzyknął: "Boże, co za nuda! Że też się tobie chce!" Istotnie, lektura nie pasjonująca. Dzieło, mimo przetłumaczenia na wiele języków, nie było nawet sprzedawane w księgarniach – bo kto by tam interesował się

takim tematem – a rozprowadzone jedynie po ośrodkach naukowych. Raptem dziś temat podniecający cały świat. Jak to się stało?

Że nie ważne jest, co się pisze (i mówi), a ważne jest, kto pisze (i mówi), bywało zawsze. Dziś wszelako przybrało formę w publicity szczególną. Graniczącą z paradoksem.

Pisarz niemiecki Heinrich Böll, laureat Nagrody Nobla i prezes międzynarodowego PEN, który w prasie polskiej uchodzi za typ pozytywny – bo "katolicki" – należy do najbardziej skrajnych markso-progresistów tego kierunku. W r. 1970 wystawia sztukę Aussatz (Trąd), pełna świętokradczych wypadów i diabolizowania instytucji Kościoła. Böll staje w obronie zbrodniczej, komuno-kryminalnej organizacji w Niemczech, osławionej Baader-Meinhof-Bande. Na to prezes austriackiego PEN, Lernet-Holenia ustępuje ze stanowiska na znak protestu przeciwko wybraniu takiego Bölla na prezesa międzynarodowego PENu. Böll odwiedza ciągle Moskwę, gdzie mu chętnie wydają jego książki. W październiku 1972 Böll oświadcza: "Być może jestem niedoszłym komunista, ale chciałbym żeby komunizmowi dano co najmniej tyle wieków panowania nad światem, ile miał kapitalizm". W r. 1974 Böll jest pierwszy, który udziela gościny Sołżenicynowi i staje się jego rzecznikiem. A z nim razem tacy pisarze niemieckiej ultra-lewicy jak Günther Grass, czy Hans Werner Richter z prokomunistycznego Klubu-47. Dziwne, nie?

Z kolei wyobraźmy sobie taki fantazyjny obrazek: przychodzę do Bölla, powiedzmy rok temu, i powiadam mu: "Panie Böll, pomóż mi pan do wydania pewnej książki i zrobienia na niej fortuny, przez opublikowanie tego wszystkiego o rewolucji bolszewickiej, co było już opublikowane w starych artykułach rosyjskiej prasy emigracyjnej od r. 1920, w Helsinkach, w Tallinie, w Rydze, Kownie, Wilnie, w Warszawie, Belgradzie, w Pradze, w Berlinie, Frankfurcie, w Brukseli, w Paryżu! W Stanach Zjednoczonych i Argentynie, i Australii, w Szanghaju i Charbinie. Panie Böll, ale głównie z tego wszystkiego, co się ukazało w całym świecie w niezliczonych językach, kładę nacisk na słowo: niezliczonych – co mnie zwalnia od wyliczania chociażby najbardziej ważnych, o największym talencie, prawdzie, rzeczowości, głębi, znajomości przedmiotu – dzieł naukowych, literackich, wspomnień; książek, broszur, traktatów. Jeszcze raz powtarzam: niezliczonych od pięćdziesięciu z górą lat! Wobec których Archipelag Gułag jest tylko drobinką" – Ale stop! Tego nie mógłbym powiedzieć bo – jak się rzekło – rozmowa miała się toczyć rok temu, gdy Archipelagu Sołżenicyna jeszcze nie było. Za to było to, co trwa od lat, że wszelki temat antykomunistyczny w snobistycznym środowisku literackiego high life'u uchodzi na Zachodzie za rodzaj kiczu.

Sądzę, że Heinrich Böll na taką moją propozycję rok temu odpowiedziałby propozycją udania się do Haar, tj. szpital dla wariatów (nerwowo-chorych) pod Monachium. I jego koledzy z lewicy intelektualnej i paxistów wszystkich krajów uznaliby jego odpowiedź za zgodną z Duchem Czasu, którego tylko wariaci mogą nie rozumieć.

MAXIMILIEN DE SANTERRE

Na str. 513 swego Archipelagu Gułag Sołżenicyn pisze: "A oto Francuzik ruchliwy koło kraty – czego się ciągle kręci? Czemu się dziwi? Czego do tej chwili jeszcze nie rozumie?... Maks Santerre, żołnierzyk francuski... Mówiono mu po dobremu: nie kręć się w swoiej douce France koło punktu etapowego dla repatriowanych do Sowietów Rosjan. Dali mu wypić... Ocknął się w samolocie na podłodze, ujrzał nad sobą but konwojenta... Teraz 10 lat łagrów, ale to zły żart naturalnie, wyjaśni się?... O tak, czekaj!" – I w odnośniku dodaje: "On będzie oswobodzony dopiero w r. 1957". Zgadza się, choć niezupełnie w personaliach. De Santerre przesiedział 12 lat. Oswobodzono go w r. 1958.I ja go spostrzegłem też nagle, kręcącego się, ruchliwego, małego wzrostu – było to w r. 1965 chyba – w "Cafe" nad Izarą. Przysiadł się. Rozmawialiśmy. Później zawdzięczałem mu protekcję umieszczenia jednej z moich powieści w Pfeiffer-Verlag w Monachium, gdzie on w r. 1962 wydał swoją książkę pt. Ihr Name ist Legion (Ich imię jest legion). Książka o łagrach sowieckich. Nieźle nawet poszła. Również w języku francuskim, angielskim i szwedzkim. Z rysunkami (De Santerre sam jest malarzem), fotografiami, wykresami etc. Autor, w skali światowej, pozostał nieznany. Miałem autorów tego typu nie wyliczać, powołując się na ich dosłownie niezliczoną ilość (w tym wielu doskonałych Polaków). Czynię tu wyjątek sprowokowany przez samego Sołżenicyna. Słyszałem teraz że książka Sołżenicyna wychodzi np. w Niemczech (Schütz-Verlag) w pierwszym nakładzie w ilości 800 tysięcy egzemplarzy. Jego kolegi z łagrów, de Santerre'a, osiągnęła przed laty zdaje się 8 tysięcy. Jest inna, nie powiedziałbym jednak, że jest mniej ciekawa. Ale Sołżenicyn pisał z Moskwy. De Santerre – z Monachium. Teraz, gdy Sołżenicyn de Santerre'a wymienił, powiadają mu – "Panie! Leć pan i udzielaj wywiadów! Zrobisz karierę!"

Nie co, ale kto pisze było – jak już wspomnieliśmy – zawsze decydujące w handlu rozgłosem. Dziś doszło: skąd pisze! Temu nadrzędnemu kryterium ulegają, naturalnie, wszyscy.

Czytam np. w centralnym organie emigracji polskiej w Londynie z 23 stycznia 1974. taki sensacyjny tytuł na pierwszej stronie: "Ostatnia Tajemnica II Wojny. Alianci wydali Kozaków Stalinowi". Moja książka o tym wydaniu kozaków, pt. Kontra, wyszła po polsku w r. 1957, czyli siedemnaście lat temu. W r. 1970 ukazały się w Ameryce dwa tomy monumentalnego dzieła atamana Naumienki po rosyjsku pt. Wielikoje Priedatielstwo. A na temat wydawania przez Aliantów b. obywateli sowieckich w ręce Stalina ukazało się na zachodzie publikacji drukiem w języku rosyjskim – 383; w językach angielskim, niemieckim, francuskim, holenderskim i włoskim

łącznie – 68. To wszystko nie warte było pamięci. Wystarczy natomiast, że Sołżenicyn napisze w Moskwie, w odnośniku, petitem kilkanaście wierszy o wydaniu kozaków - (nb. z błędami) – aby historyk brytyjski Nicholas lord Bethell poświecił temu cały artykuł w "Sunday Times" (przy tym też z błędami: m.in. że ze strony brytyjskiej nie użyto rzekomo podstępu przy wydawaniu, podczas gdy podstęp dawno już został ujawniony w detalach, omówiony etc.). I emigracyjne pismo przedrukowuje to jako rzeczową sensację. To jest, naturalnie, drobny tylko przykładzik powszechnie znanego zjawiska.

WIARA, NADZIEJA, MIŁOŚĆ

Aleksander Sołżenicyn to wielki talent, o którym świadczy przed innymi jego książka Krąg pierwszy. Laureat Nagrody Nobla. To wystarcza do słusznego rozgłosu. Ale dopiero fakt, że książki jego o tendencji opozycyjnej, czy zgoła "antysowieckiej" – pisane były z Moskwy, przydał na zachodzie rozgłosu ponad stan. Ta rzecz nie należy do zagadkowych. Tłumaczy się w sposób raczej prosty. Świat zachodni wierzy że kolos sowieckiego Bloku przejdzie ewolucje i stanie się tworem podobnym do państw ,,normalnych". Wyrzeknie się swego celu obalenia wolności na globie. Wierzy się w to mocno, gdyż w przeciwnym wypadku pozostawałaby tylko wyprawa wojenna dla zgniecenia nieustannego zagrożenia.

Ma nadzieję, że nastąpi to rychlej niż konieczność "konfrontacji". Nadzieja jest matką... optymistów. Łączy w sobie wszystkie wishfulthinking, wszystkie Wunschträume, jak kiedyś pod sztandarem socjalizmu łączyć się mieli proletariusze wszystkich krajów. Wyłapuje, gromadzi każdy objaw tę Nadzieję potwierdzający. Zjawienie się w Sowietach otwartej krytyki, opozycjonistów o tendencjach liberalnych, słowem czegoś w rodzaju opinii publicznej, której tam dotychczas nie było wcale, a dziś występuje chociażby w tak dwuznacznej formie, jak przezwani tu "dysydenci", stało się – rzecz zrozumiała – bodaj największym z dotychczasowych oparciem Wielkiej Nadziei. Stąd "dysydentyzm" w Sowietach przyjęto po tej stronie barykady bezkrytycznie, kurczowo, i mimo widocznych sprzeczności i paradoksów, nieomal kanonicznie. Ekskomunikuje się tych, którzy mieliby pod tym względem chociaż drobne wątpliwości.

Trudniejsze byłoby wytłumaczenie wspomnianego powyżej stanowiska Lewicy Intelektualnej na Zachodzie, która ze swej wielkiej Miłości do wszystkiego, co sowieckie, potrafi ją połączyć z przychylnością do sowieckich "dysydentów", jak w wypadku Sołżenicyna. Być może rozwiązanie zagadki leżałoby tu w dostrzeganiu "rewolucyjności" (niech Bóg uchowa, nie w "kontrrewolucyjności"!) tego ruchu, który nie obalając socjalistycznego ideału, dąży do jego poprawienia, udoskonalenia, wzmocnienia i wywyższenia, a nawet – jak to mruknął kiedyś tenże Böll – może wpłynąć i na oczyszczenie kapitalistycznych demokracji zachodnich.

W wypadku ostatniej książki Sołżenlcyna zachodzi co prawda contradictio in adiecto, gdyż autor wykazuje w niej bez ogródek, że zło nie przyszło ze Stalinem, lecz leżało u podstaw leninowskiej rewolucji bolszewickiej. Jak dają sobie z tym radę? Nie mam żadnych dowodów, ale przypuszczam że po prostu Archipelagu Gułag nie mieli czasu przestudiować. Decydującym jest dla nich fakt, że jest to w każdym razie głos "Stamtąd", z Sowietów. Dopóki, oczywiście, Sołżenicyn nie przystanie, po wypędzeniu, do emigrantów z prawa, do zewnętrznych wrogów komunizmu.

W sumie wszystkie te Wiary, Nadzieje i Miłości w ich stawce na "sowieckiego człowieka" nie są nowe. Hitler, jakkolwiek w odmiennych celach końcowych, również – w swej nadrzędnej nienawiści do wszelkiej kontrrewolucji – zezwalał wyjątkowo, ale wyłącznie stawkę na człowieka sowieckiego. Myli się Sołżenicyn pisząc w Archipelagu że emigracja rosyjska nie chciała przystępować podczas wojny do ruchu Własowa i pokrewnych. Nawet żeby chciała, nie wolno jej było. Podlegała dyskryminacji ze strony partii hitlerowskiej. Istniała nawet instrukcja zakazująca surowo wstępu kontrrewolucyjnej emigracji rosyjskiej na tereny okupowane w Rosji! Dozwolony byl (od biedy) tylko rosyjski ruch "antystalinowski".

Nie ma i nie było w tym nigdy nic oryginalnego, że piszący na emigracji spada poniżej wartości. Mówi się wprawdzie, że wykorzeniony z gruntu, sam się gubi. To nieprawda. Nieraz największe dzieła literatury narodowej powstają właśnie na emigracji. Nie twórca się deprecjonuje, tylko po prostu traci znaczenie w oczach obcego otoczenia. A w dobie politycznej "wymiany kulturalnej" bywa zawadą, czy jak w stosunkach ze światem komunistycznym, nawet przeszkodą w "odprężeniu". Przypuszczalnie, po upływie pewnego czasu, taki też los czeka Sołżenicyna na Zachodzie.

Dzisiejsze nastawienie świata wolnego do świata niewoli komunistycznej można by porównać do szukania: "całego w dziurach" ... mostu, który się pragnie przerzucać. I jeżeli w tej chwili robi się wielki krzyk oburzenia z powodu banicji pisarza, to tym samym jakby się traktowało ją za szczytowy akt terroru, w porównaniu do którego inne akty sowieckie – skoro oburzenia nie wywołują – są, znaczy, łagodniejsze...Tak się przedstawia, jak mi się zdaje, "archipelag" zagadek od strony Zachodu.

TAJEMNICA

Natomiast nierozwiązaną tajemnicą wydaje mi się niezwykły w dziejach komunistycznego państwa uprzedni kompleks tolerancji sowieckiego CK i Politbiura w stosunku do Sołżenicyna i Sacharowa. Wskazywałem już na to kiedyś w artykule Nierozwiązana zagadka Sołżenicyna ["Wiadomości", 1972, nr 1366]. W Sowietach nie

egzystują normy sprawiedliwości oparte na kryteriach przyjętych w państwach praworządnych. Słusznie pisze w paryskim "Est et Ouest" Boris Litwinow, że panująca tam w tej dziedzinie arbitralność absolutna Partii prowadzi nieraz do sytuacji najbardziej paradoksalnych i groteskowych. W ten sposób wsadza się do więzienia ludzi, którzy rozpowszechniają pisma Sołżenicyna i Sacharowa, ale nie rusza się tych, którzy je piszą i ogłaszają... Dochodziło do zupełnie niebywałych zjawisk. Sacharow godzinami wisiał przy telefonie zagranicznym wymyślając na rząd sowiecki i przestrzegając polityczne czynniki zachodnie przed ustępstwami na rzecz Sowietów. (Za co, tak z ręką na sercu, i u nas mógłby trafić do Berezy). Ale łączący go z zagranicą urzędnicy telefonów w Moskwie nie byli pociągani do odpowiedzialności za "współudział w antysowieckiej akcji", jak przenoszący rękopisy, z artykułu 58 k.k. Znaczy, za zezwoleniem władz Sołżenicyn wzywał co chwilę dziennikarzy zagranicznych, telefonował, krytykował co i jak chciał. Znaczy, swoboda najwyższej kategorii, taka, która pozwala obywatelowi wymyślać na własne państwo nawet przed obcymi?! Jak to komponował Dunajewskij za Stalina: Ja drugoj takoj strany nie znaju, gdie tak wolno dyszet czełowiek!... Tak? Pakuję walizki i jadę jutro do Moskwy, żeby móc pisać wszystko, co mi do głowy przyjdzie, a co na emigracji mi pisać przeszkadzają!... – "Oj, niech pan ją rozpakuje, tę walizkę, i nie jedzie lepiej – doradzali mi ludzie życzliwi (dobrożełatielny) – Tam się akurat powiesiła jakaś, przy której znaleziono rękopisy Sołżenicyna, w Leningradzie". Z ręką na sercu: też nie bardzo w to powieszenie wierzę. Ale istotnie, to wszystko razem wydaje się trochę za dziwne.

"Samizdat" wychodzi prawie jawnie, gdzie dotychczas na dwóch spiskowców, drugi mógł być szpiclem, ale już trzeci – powiadają – prawie na pewno. Niewątpliwie gruba przesada, dla straszenia ludzi. Ale co to wszystko znaczy? Siniawskij był bohaterem nr 1 przez długi czas. Teraz siedzi we Francji, nie odzywa się i nikt o nim się nie odzywa. Jakira i Krasina noszono na Zachodzie na rękach całej prasy, też za bohaterów. Ich zeznania publiczne okazały się cyniczne. Jaures [Żores] Miedwiediew dal do zrozumienia, że Jakir byl agentem od początku. Że niektóre "grupy dysydentów" istnieją tylko w fantazji. Roya i Jauresa Miedwiediewych też noszono na rękach, cytowano masami za granicą. Obydwaj szczerzy komuniści. Jeden z nich zasugerował że "Samizdat" fałszowany jest częściowo przez frankfurcki "Posiew" NTS, przeciwko któremu rozwinął całą kampanię, oskarżając o prowokację. Moskiewski "Trud" ogłosił że "Samizdat" robiony jest przez CIA w Rado-Swoboda w Monachium. Rosyjscy pisarze emigracyjni Uljanow, Wojciechowski i inni, podejrzewają że istnieją powiązania do KGB w Moskwie. Pisarz Władimir Maksimow, obrońca Sołżenicyna w Moskwie, ogłosił list otwarty: "Bracia Miedwiediewy! Komu służycie?!.." Dając do zrozumienia, że służą raczej KGB. Lidia Czukowska, wyrzucona ze Związku Pisarzy Sowieckich, ku największemu oburzeniu opinii zachodniej, za obronę Sacharowa i Sołżenicyna, broniła ich w ten sposób: "Sacharow, trzykrotny Bohater Socjalistycznej Pracy, dwukrotny laureat Państwowej Nagrody! Dał naszej sowieckiej ojczyźnie bombę wodorową! Sto pięćdziesiąt tysięcy rubli ze swej nagrody ofiarował państwu sowieckiemu! Czyście o tym słyszeli?... A teraz zarzucają mu, że jakoby namawia imperialistów do ingerencji w sprawy naszego kraju i braterskich socjalistycznych republik... Jakże nie oburzać się na takie straszne oszczerstwo!!". Istotnie, za co taką szczerą patriotkę sowiecką wyrzucać było ze związku sowieckich pisarzy? W dżunglę samizdacko-dysydencką nie będę się tu zagłębiał! Przyznam otwarcie że ciągle jeszcze nie mam wyrobionego zdania.

Na Zachodzie postawiono diagnozę: Sacharowa i Sołżenicyna dotychczas nie ruszano w obawie przed opinią publiczną zachodnią. Jest to w tej chwili jedyne tłumaczenie obowiązujące. Osobiście głęboko w tę diagnozę nie wierzę. Ale znów nie będę tu swej niewiary uzasadniał. Po 50 z górą latach praktyki sowieckiej, wydaje mi się jawną bzdurą.

Czymże więc tłumaczę – zapytają – dotychczasową (przed banicją) tolerancję wobec Sołżenicyna? Powtórzę: dla mnie pozostaje to ciągle jeszcze tajemniczą zagadką. Barbara Szubska, jedyna, kto wie czy nie była najbliższa jej rozwiązania w doskonałym artykule w "Wiadomościach", wtedy gdy się pojawiła powieść Sołżenicyna Krąg pierwszy. Tak jak Dostojewski, powiedzmy – gdyby go brać z punktu analizy "polityczno-społecznej" – w istocie w czarnych barwach przedstawiał Rosję, a mimo to on, a nie urzędowe prospekty propagandowe, przyczyniły się do rozsławienia jej na świat cały! Dlaczego by takiego eksperymentu nie powtórzyć z talentem Sołżenicyna, rozsławiając w ten sam sposób Związek Sowiecki? Tym bardziej bez ryzyka, gdyż książki publikowane wyłącznie za granicą, z jednoczesnym zakazem ich w granicach bloku socjalistycznego. Teoria niepewna, ale nie niemożliwa. Tym bardziej, że w poprzednich książkach i znakomitym Kregu pierwszym, daje się do zrozumienia, że chodzi o przeszłość minioną, o czasy "stalinowskie". Dla takich manipulacji zagranicznych istnieją w Moskwie specjalne organizacje, jak np. "Mieżdunarodnaja Kniga", albo APN (Agientstwo Pieczati Nowosti). I wreszcie słynny Mr. Wiktor Luis.

Ale teorii tej nie da się już dopasować do Archipelagu Gułag. Ta ostatnia książka jest celnie wymierzonym, sumarycznym uderzeniem w zęby bolszewizmu, sowietyzmu, komunizmu, socjalizmu w ogóle. Wszelki więc rodzaj manipulowanego porażania [chyba: pobłażania] (popustitielstwa) okazałby się w tej płaszczyźnie co najmniej przeciągnięciem struny. Znaczyłoby, że się "planiści" przeliczyli (prosczitalis'!) w efekcie. Możemy tylko rejestrować fakty, w nadziei, że przyszłość rozwiąże te zagadki.

Mieszanie się "w wewnętrzne sprawy" sowieckie jest trudne. Tak jak trudno byłoby mieszać się w prawa i obyczaje ludożerców, ustanowione w tym kraju przez klikę czarowników, skoro się z tą kliką zawarło umowę o wzajemnym poszanowaniu i pokojowej koegzystencji. Nie przez mieszanie się w wewnętrzne rutyny, lecz przez

usuniecie przemocą kapłanów ludożerstwa wyzwolić można by dopiero taki kraj z narzuconych mu ohydnych praw i dogmatów antyczłowieczej moralności.

Archipelag Gułag Solżenicyna jeszcze raz przypomina światu o tych "prawach i obyczajach" narzuconych Rosji i całej wschodniej Europie przez komunistów. O czym świat ma dokładne informacje od przeszło pół wieku, ale udaje, że został raptem zaskoczony rewelacjami Sclżenicyna. I do głębi wzruszony, zdobywa się na – potępienie banicji pisarza.
"Wiadomości", 1955, nr 27 (483); zmodyfikowałem nieco pisownię i interpunkcję – K.K.

Józef Mackiewicz

43. NA ZIEMI PŁONĄCEJ NIENAWIŚCIĄ

W r. 1950 powstał w Monachium rosyjski Instytut Badania Historii i Kultury ZSRS. Od tego czasu, głównie staraniem jego założyciela i obecnego dyrektora B. A. Jakowlewa, Instytut rozrósł się w wielopiętrową (dosłownie) organizację, zatrudniającą licznych pracowników naukowych, głównie spośród drugiej emigracji rosyjskiej, tzn. przeważnie ludzi znających rzeczywistość sowiecką z własnego doświadczenia. Wśród wydawnictw Instytutu znalazłem jedną z najciekawszych rzeczy, jakie udało mi się czytać o drugiej wojnie światowej. Jest to studium Karowa o ruchu partyzanckim w Rosji w latach 1941-1945 (D. Karow, Partizanskoje dwiżenije w SSSR w 1941-1945 gg., Institut po Izuczeniju Istorii i Kultury SSSR, Issliedowanija i matieriały (sierija I, nomier 11), Monachium 1954). Tym ciekawsze, że z wielu względów historia tego, co się działo na terenie Rosji okupowanej przez Niemców, należy do najbardziej drażliwych tematów w literaturze wojennej.

Muszę przy tej okazji powiedzieć, że im relacje są bardziej "suche", pozbawione literackiego zacięcia, tym lektura ich wydaje mi się bardziej pasjonująca. Bo nie fantazja i talent, nie tendencja polityczna jest rzeczą najciekawszą w życiu, ale prawda. Praca p. Karowa, choć nie pozbawiona pewnej tendencji, jest sucha. A choć nie odsłania całej prawdy, odsłania spory jej rąbek.

Zamglone pojęcie "wroga"

Tezą obecnego antysowieckiego ruchu rosyjskiego na emigracji jest, że "wróg [Hitler] pobity został przez rozbudzony narodoworosyjski patriotyzm mas". (Autor podkreśla to zarówno we wstępie, jak kilkakrotnie w tekście). Jest to teza zbliżona do głoszonej od dawna, że błędy Hitlera w Rosji zjednoczyły wszystkich przeciwko niemu. I oto – co jest rzeczą najbardziej rewelacyjną – materiał zgromadzony w książce Karowa przeczy tej, urzędowej niejako tezie.

Już z pierwszych stron książki wynurza się niespodziewane a sensacyjne pytanie: kto tu w ogóle podpada pod pojęcie "wroga", skoro nie tylko na początku wojny, ale i przy jej końcu, przytłaczająca większość ludności sympatyzowała raczej z najeźdźcą niż z tym, który z tym najeźdźcą walczył? Zapoznajemy się z następującymi cyframi. W okupowanej przez Niemców Rosji "przeciwników Niemców" było (dane ze wsi): okręg leningradzki – 14%; Ukraina – 9%; Krym – 9%; Don i Kubań – 4%; Kaukaz północny – 4% i tylko Białoruś – 20%. W miastach procent ten był nieco wyższy, nigdzie jednak nie przekraczał 50% (w Leningradzkim 46%), podczas gdy ilość "przeciwników bolszewików" wynosiła 51-87% ludności, przy nieznacznym procencie "obojętnych".

Autor przypisuje wzmożenie ruchu partyzanckiego przeciw Niemcom na okupowanych terenach Rosji nie tylko błędom polityki niemieckiej, ale (znowuż zgodnie z tezą ogólną) wzrostowi patriotyzmu rosyjskiego. Z podanej przez niego tabeli wynika, co następuje. Na północnym odcinku działało 500 oddziałów partyzanckich w sile – 20 000, na środkowym odcinku – 1800 oddziałów w sile 110 000, na południu (razem z Krymem) – 800 oddziałów w sile 55 000 ludzi. A zatem razem – 190 000 partyzantów. Tymczasem w r. 1943 na terenie jednej tylko 3. armii niemieckiej w rejonie Witebska znajdowało się od 20 000 do 25 000 uzbrojonych obywateli sowieckich (tzn. 2,5% ludności), którzy brali czynny udział w walce z czerwonymi partyzantami. Ogólna zaś liczba obywateli sowieckich na terenach okupowanych, którzy z bronią w ręku walczyli po stronie niemieckiej, nie malała, ale wzrastała. Autor przytacza następujące cyfry: lato 1942 – 500 000; lato 1943 – 800 000 do 1 000 000; jesień 1944 – 1 200 000, pomijając ROA. (Russkaja Oswoboditielnaja Armija) gen. Własowa. Nawet jeżeli weźmiemy pod uwagę nie zawsze polityczne motywy, które skłaniały ludzi do zajęcia takiego stanowiska (chociaż po drugiej stronie czynnik analogiczny – przymusowy werbunek do partyzantki – działał również) i nawet jeżeli przyjmiemy że cyfry te zostały przesadnie zaokrąglone, to jednak wliczając uzbrojoną masę ROA. wypadnie stwierdzić, że ilość obywateli sowieckich na terenach okupowanych, biorących czynnie udział w walce z Sowietami, przeważa w nieproporcjonalny sposób 190 000 walczących czynnie z Niemcami.

Wewnętrzna linia podziału wyglądała w praktyce mniej więcej tak. Rejon proletariacki okręgu rostowskiego; ogółem ludności 30 000, w tym 80% kołchoźników. Przed wkroczeniem Niemców zmobilizowana ludność wynosiła – 12%; ewakuowani członkowie partii, urzędnicy, pracownicy stacji motorowo-traktorowych,

sowchozów itd. – 2%. Pozostało pod okupacją niemiecką: stronników władzy sowieckiej – 4%, przeciwników władzy sowieckiej – 66%, obojętnych – 30%.

Inteligencja to główne oparcie ustroju sowieckiego

Do kategorii wiernych filarów ustroju sowieckiego pod okupacją niemiecką należała przede wszystkim ta część biurokracji, która bądź nie zdążyła się ewakuować, bądź też pozostała na miejscu na wyraźny rozkaz partii; w tej liczbie oczywiście spory odsetek członków partii i komsomołu. Jeżeli chodzi o masy robotnicze w miastach, zachodziło charakterystyczne zróżniczkowanie: im robotnik był bardziej wykwalifikowany (tym samym należał do uprzywilejowanych), tym gorętszym pozostawał stronnikiem władzy sowieckiej. Robotnicy średnio wykwalifikowani nastrojeni byli w większości proniemiecko. Natomiast masa robotników niewykwalifikowanych z reguły witała Niemców jako wybawicieli.

Inaczej było z inteligencją. Ta, z małymi wyjątkami, nastawiona była wrogo do okupanta niemieckiego i z reguły trzymała stronę sowiecką. W niektórych wypadkach z pewną przymieszką patriotyzmu rosyjskiego. W każdym jednak razie stanowisko inteligencji było bardziej jednolite i zdecydowane niż na przykład drobnych pracowników administracji. Rzecz charakterystyczna dla współczesnego ustroju sowieckiego, który mieni się być "dyktaturą proletariatu", a nie ma właśnie poparcia proletariatu. Potwierdza też obserwacje późniejsze – a może też stanowić klucz do rozeznania się we współczesnych okupacjach sowieckich, gdzie coraz jaśniejsze się staje, że główną podporą nowego ustroju komunistycznego nie są robotnicy i oczywiście nie chłopi, ale (z tych czy innych względów) inteligencja.

Początki krwawego chaosu

W zgromadzonym przez Karowa materiale trudno dopatrzeć się dowodów patriotycznego odruchu narodowego, który miał się stać pośrednim sojusznikiem sowieckim w walce z Niemcami. Naturalnie autor musiał dostrzec sprzeczność pomiędzy swoją tezą a zebranym przez siebie materiałem faktycznym. Dla wyjaśnienia jej ucieka się do licznych komentarzy, z których wszakże żaden nie jest w stanie obalić wymowy zestawienia cyfrowego. Pozostaje wrażenie powszechnej straszliwej wojny domowej, wojny częstokroć prowadzonej na kilka frontów, a tak zazębionej wzajemnie i powikłanej, jak te gęste krzaki i dzikie knieje, w których najczęściej się rozgrywa. Czasem po prostu nie chce się wierzyć, że to wszystko mogło się dziać w samym środku XX w. w czasach kiedy po raz pierwszy użyto broni atomowej.

Ostateczne zwycięstwo Sowietów stworzyło na świecie (a w znacznym stopniu i w opinii polskiej) przekonanie o ich niezwykłych zdolnościach przewidywania oraz przenikania ich agentów. Rzeczywistość była odwrotna. Sowiety dały się zaskoczyć wojnie w sposób graniczący z naiwnością. Ich służba wywiadowcza i NKWD najfatalniej nie zdały egzaminu. Dotyczy to również nie przewidywanych w Moskwie możliwości akcji partyzanckiej. Wprawdzie w obliczu pogromu Stalin już 3 lipca 1941 wygłosił mowę, w której wezwał całą ludność do walki z okupantem, ale centralna organizacja tej walki powstała znacznie później. Pierwsze oddziały partyzanckie zorganizowały się samodzielnie i dopiero po upływie miesięcy, a czasem lat, uzyskały kontakt z utworzonym tymczasem Centralnym Sztabem Dywersji w Moskwie. Jak to mniej więcej wyglądało praktycznie w terenie, można zobaczyć na przykładzie jednego z pierwszych oddziałów.

Dyrektor dużego przedsiębiorstwa państwowego w Witebsku Sokołow nie zdążył uciec i wraz z rodziną ukrył się w niedostępnych lasach w okolicy Suraża. Napotkał tam wielu rozbitków czerwonej armii oraz błąkających się członków partii, którzy żyli w strachu nie tylko przed Niemcami, ale i przed ludnością okoliczną. Zorganizował komitet, później sztab i oddział. Pierwszym działaniem był napad na wieś Borki. Przeprowadzono rekwizycję żywności i ubrań. Ale przede wszystkim: 1) rozstrzelano na oczach spędzonych mieszkańców wszystkich chłopów, którzy witali Niemców; 2) znęcano się, a następnie zamordowano kilku policjantów nowej władzy, oraz 9 wziętych do niewoli żołnierzy niemieckich.

Podczas gdy rodziny wymordowanych zaprzysięgły śmiertelną zemstę partyzantom, Niemcy, wkroczywszy do wsi i zastawszy w niej straszliwie zmasakrowane zwłoki swoich żołnierzy, zastosowali drakońskie represje wobec Bogu ducha winnej ludności. W rezultacie, kto bardziej ucierpiał od partyzantów, ten szedł ich tępić i wydawać w ręce Niemców, a kto bardziej ucierpiał od Niemców, ten szedł do partyzantów i z kolei wydawał tych, którzy z Niemcami trzymali. Krwawa granica poczęła przebiegać w łonie samej ludności. Ale nie była to granica stała. Dalszy rozłam dokonywał się w zależności od późniejszych wypadków i bardziej świeżych krzywd, doznanych od jednej lub drugiej strony. Z oddziałów partyzanckich uciekali ludzie skrzywdzeni osobiście lub z nienawiści do terroru partyjnego. I odwrotnie: ludzie spod Niemców, pod wpływem ich okrucieństw, przechodzili na stronę partyzantów. A obydwie strony mściły się coraz straszliwiej.

Jeżeli chodzi o brygadę Sokołowa, koniec jej był nie mniej znamienny. Zadufany w sobie, dokonał napadu na miasteczko Janowicze. Plan ataku był opracowany bardzo skrupulatnie. Ale nie był w stanie zapobiec jednemu: właśnie temu wewnętrznemu podziałowi wzajemnych porachunków. Tajemnymi kanałami wieść o

przygotowaniach dotarła do mieszkańców; ci nie tylko uprzedzili Niemców, ale sami wzięli czynny udział w obronie. Straty Sokołowa wynosiły 60 zabitych i około 100 rannych i wziętych do niewoli.

Centralny Sztab Dywersji

Zaraz po mowie Stalina z 3 lipca 1941. Moskwa próbowała ująć w swoje ręce ogólne kierownictwo akcji partyzanckiej. Cały pas zafrontowy podzielono na trzy odcinki. Północny poddano kierownictwu Żdanowa; środkowy – Ponomarienki (obecnie "poseł" w Warszawie); południowy – Chruszczowa (obecnie pierwsza figura w Moskwie). Żaden z nich nie próbował przedostać się na stronę okupowaną. Dopiero w początku września 1942 wezwano do Moskwy głównych dowódców partyzantki. W tydzień później odbyła się na Kremlu wielka narada z udziałem Bułganina, Malenkowa, Woroszyłowa i Berii. Wtedy to uchwalono powołać do życia Centralny Sztab Dywersji. Początkowo stanął na jego czele generał NKWD Osipow. Później poważną rolę w jego organizacji odegrał Abakumow (niedawno rozstrzelany w sprawie Berii). Wreszcie sam Beria. Wypadki skompromitowały władze NKWD i ukazały ich faktyczną bezsilność na terenach okupowanych, toteż Beria postanowił przywrócić autorytet rzekomo wszechmocnej organizacji, ujmując wszystkie nici we własne ręce.

Powstały szkoły dywersyjne, które w pierwszej połowie 1943 rzuciły za linię frontu około 700 ludzi. W drugiej połowie 1944 liczba tych fachowców osiągnęła już 3000.

Wojna domowa

Oficjalne dane sowieckie, przytoczone przez Ponomarienkę (Partizanskaja wojna, 1943), mówią że już w r. 1943 partyzanci zabili około 300 000 Niemców. Dane te, ogłoszone podczas wojny, jak wszystkie z tego okresu, cechuje niebotyczna przesada. W owym czasie nie było owych 190 000 partyzantów, ale nawet gdyby już byli, każdy fachowiec wie, że w praktyce nigdy 190 000 nie potrafi i zabić 300 000. W teorii jeden pocisk jest w stanie zabić kilku ludzi, w praktyce dziesiątki tysięcy pocisków zabijają jednego człowieka. Tak samo się dzieje, jeżeli chodzi o stosunek ilości żołnierzy.

Rzeczywistość miała jeszcze jedno oblicze: wojna partyzancka, rozpętana przez Centralny Sztab Dywersji, skierowana była nie tyle przeciwko Niemcom, ile przeciwko własnej ludności na tyłach niemieckich i nabrała charakteru nie tyle wojny z obcym najeźdźcą, ile wojny domowej.

Ze strzępów krwawej księgi tych dziejów zacytujemy historię oddziału Grinienki w jarosławskim rejonie majkopolskiego okręgu. Grinienko wprowadził żelazną dyscyplinę, zarówno partyjną jak wojskową. Zaczął od tego, że wszystkich spływających doń rozbitków armii czerwonej poddawał surowym badaniom i przekazywał trybunałowi partyzanckiemu. Wywołało to poważny ferment w szeregach oddziału. Część krasnoarmiejców usiłowała się odeń oderwać. Wtedy Grinienko rozstrzelał 50 ludzi pod zarzutem, że chcą przejść na stronę niemiecką. Jesienią 1942 napadł na osadę Machoszewską. Wymordował w niej wszystkich, na których ciążyło podejrzenie o niesprzyjanie władzy sowieckiej. Zaczem zwołał wiec, podczas którego wezwał mieszkańców do dobrowolnego wstąpienia do oddziału. Tych, co nie chcieli wstąpić, najpierw odłączył, a następnie kazał rozstrzelać. Po czym wycofał się do lasów Kołosowa i stamtąd czynił wypady, terroryzując ludność. W rezultacie wytworzył kompletną pustkę wokół swego oddziału. Zdobywać żywność było mu coraz trudniej wobec wrogiego nastroju mieszkańców. Oddział tajał. Zaszywał się więc, naciskany, coraz głębiej w lasy, skazany na bezczynność. Tymczasem krajowy sztab partyzancki domagał się aktywności, grożąc ze swej strony sądem. Wtedy Grinienko napadł na przemysłowe zakłady drzewne nad rzeką Zeral. Napad krwawo odparto. W odpowiedzi Grinienko zaczął się mścić na ludności. Wzajemne porachunki rozpaliły nienawiść do białości. W tym stanie rzeczy zorganizowani Kozacy przedsięwzięli wyprawę przeciwko Grinience i rozbili go doszczętnie. On sam ledwo uszedł z życiem z kilkunastoma towarzyszami.

"Niezależne kraje"

W wojnie niemiecko-sowieckiej nie było jednolitego frontu. Zastępowały go poszczególne tzw. punkty oporu. Pomiędzy tymi punktami leżały nieraz rozległe przestrzenie dzikich pól, ziemi niczyjej. Ułatwiało to nie tylko swobodę ruchu różnym partyzantkom, ale doprowadziło też do niezwykłych tworów, tzw. "krajów partyzanckich" lub "antypartyzanckich". Wspólną ich cechą były próby usamodzielnienia się: partyzantów – od władzy moskiewskiej, antypartyzantów – od władz okupacji niemieckiej.

Jeden z największych krajów partyzanckich znajdował się w rejonie olbrzymich lasów briańskich. Twórcą jego był sekretarz komitetu wykonawczego partii w dmitrowskim rejonie, niejaki Łomonosow, o przezwisku "Bezportoszny". Panował on samodzielnie na przestrzeni około 1000 km². Zaprowadził swoisty ład odbiegający

nieco od systemu sowieckiego. Niemcy nie śmieli wkraczać na jego tereny, zresztą nie mieli do tego powodu, gdyż Bezportoszny czynił wypady prawie wyłącznie przeciwko antysowieckim zgrupowaniom ludności, a Niemców nie ruszał. Zabawiał się w organizację procesów pokazowych, skazując "wrogów ludu", ale "własnych" obywateli traktował wyrozumiale, zdobywając w ten sposób popularność. Naturalnie, po ponownym wkroczeniu bolszewików, cały teren uległ gruntownej czystce.

W trójkącie między Dnieprem i Desną, na północ od Kijowa, powstał "kraj" brygady Naumienki. Był to komunista, który potrafił oszukać Niemców, zostać naczelnikiem ich policji we wsi Oszczytki, a następnie wydawszy w ręce niemieckie sąsiednich naczelników pod pretekstem że są komunistami, opanować władzę na dużym terenie. Usamodzielniwszy się zupełnie, stworzył własną armie liczącą około 7000 ludzi, ale uchylił się od łączności z Centralnym Sztabem Dywersji. Niezwykłość jego armii polegała na tym, że prawie połowa jej składała się z przymusowo zmobilizowanych kobiet kołchoźniczych. Naumienko był fantastą. Zaczął nawet marzyć o stworzeniu niepodległego państwa. W maju 1943 został doszczętnie rozbity przez oddziały kozackie pod niemieckim dowództwem płk von Jungschulza.

Między Orszą, Borysowem i Mohylowem operowała jeszcze bardziej niezwykła grupa: "Czarne Kruki". Krążyły dokoła niej legendy, że walczy jednocześnie z bolszewikami i Niemcami, z partyzantami i oddziałami karnymi. Skąd się wzięła? Nazwa powstała od nazwiska przywódcy Woronowa ("woron" po rosyjsku: kruk). Był to syn znanego chirurga z Moskwy. Przystojny, zawsze schludnie odziany, nie pił, nie palił. Przed wojną pracował naukowo. Dostawszy się podczas wojny do niewoli niemieckiej, uciekł i trafił do oddziału partyzanckiego Linkowa. W grudniu 1942, na czele grupy ludzi, opuszcza oddział i rozpoczyna działanie na własną rękę. Zrażony do wszystkich, atakuje wiosną 1943 Linkowa, wyzwalając z jego obozu przymusowo zmobilizowanych chłopów, i oddaje im zarekwirowane bydło. Następnie wsławia się napadem na oddział karny pod dowództwem niemieckim, wysadzając w powietrze kino w Orszy, gdzie właśnie odbywał się seans dla oficerów i żołnierzy tego oddziału. Ta walka na dwa fronty okazała się w praktyce zbyt ekscentryczna. Woronow zjednał sobie popularność wśród chłopów, ale nie potrafił pociągnąć żadnym konkretnym hasłem. Brzydził się demagogią w okresie, gdy była ona chlebem powszednim. Chciał być idealistą w morzu krwi. Uznany za maniaka i opuszczony w końcu przez wszystkich, zamordowany został w listopadzie 1943 przez agentów Centralnego Sztabu Dywersji.

Do innej kategorii należał "niepodległy kraj" Zujewa w bliskości Połocka. Zujew, jak wszyscy starowierzy, spotykał początkowo Niemców chlebem i solą. Wyznaczony też został przez nich na burmistrza wsi Zaskorki. Gdy w okolicy pojawili się pierwsi partyzanci, Zujew otrzymał od Niemców zezwolenie na zorganizowanie zbrojnego oddziału policji. Następnie rozszerzył go na własną rękę i odparł wszystkie ataki bolszewickiej partyzantki. Wkrótce jednak rozczarował się do Niemców i przestał respektować ich rozkazy. Niemcy skierowali przeciw niemu estoński oddział karny. Było to wiosną 1943. Zujew rozgromił karniaków. Partyzanci zaproponowali mu wtedy współdziałanie. Odmówił. Z kolei Niemcy zaprosili go do Połocka na rokowania. Zujew znowu odmówił, oświadczając że będzie im płacił należne podatki i dostarczał kontyngentów, ale pod warunkiem że zostawią jego "kraj" w spokoju. Niemcy przystali, Zujew panował samodzielnie nad kilkoma wsiami aż do powrotu bolszewików, po czym uciekł na Zachód.

Niejaki Kudria w okręgu połtawskim, starszy porucznik armii czerwonej, otrzymał z Moskwy polecenie zorganizowania oddziału partyzanckiego. Zamiast rozkaz wykonać, ukrył się w domu i chciał wojnę przesiedzieć spokojnie. Poszły jednak donosy do Niemców, i Kudria dowiedział się, że go szukają. Uciekł wtedy do lasów w pobliżu Dikanki i w okolicy ujścia Worskły do Dniepru zorganizował własny oddział, a później opanował cały "kraj". Wkrótce potem zawarł pokątną umowę z Niemcami, żeby go nie ruszali, w zamian za co nie będzie na swój teren puszczał partyzantów. Tak przetrwał do ponownego wkroczenia armii czerwonej.

Na wyróżnienie zasługuje też historia wsi Sapigi koło Głuchowa. Miejscowy sołtys nie stworzył wprawdzie całego "kraju", ale uniezależnił jedną wieś. Sapigi miała przeszło 2000 gospodarstw. Chłopi przybrali groźną postawę, tak że słabe miejscowe już od wiosny 1943 władze niemieckie bały się zapuszczać w jej okolice. Wieś odparła też wszystkie zakusy partyzantów i pozostała "niezależna" aż do przyjścia bolszewików.

Naturalnie jeszcze śmielej poczynali sobie Kozacy nad Donem i na Kubaniu.

Paradoks wojenny

Jesienią 1943 bolszewicy zdobywają Newel. Mordują 90% mieszkańców oskarżonych o współpracę z Niemcami. Wieść o tej krwawej rozprawie, której rozmiary przekroczyły najokrutniejsze z dotychczas znanych, rozchodzi się lotem błyskawicy. Dochodzi wieść, że bolszewicy bombardują z samolotów "wolną partyzancką republikę Rossono" w bliskości Idrycy. Wszędzie wyłapują ludzi z bronią i często rozstrzeliwują własnych partyzantów. Wśród ludności ziem "oswobodzonych" powstaje ferment. I oto dochodzi do szczególnego paradoksu wojennego, że ilość stronników strony zwyciężającej nie rośnie w miarę jej postępu, ale przeciwnie – maleje.

Jeszcze latem, w lasach briańskich, dowódca oddziału partyzanckiego brygady Antonienki, zgłosił się we wsi Wisznice do 312. jednostki niemieckiego kontrwywiadu przyfrontowego pod dowództwem von Rosbacha i oświadczył:
– Od czasu jak tu jestem, w ciągu sześciu miesięcy, ani razu nie dane mi było walczyć z Niemcami. Walczyłem wyłącznie z ludnością rosyjską. Jest pan pierwszy, na którym widzę oficerski mundur niemiecki.

W listopadzie 1944 do komendantury niemieckiej w łotewskim miasteczku Talzin zgłosiło się dwóch wysłanników oddziału partyzanckiego z oświadczeniem, że ich dowódca chciałby nawiązać rokowania w celu włączenia jego oddziału do armii Własowa. Zapytany co oznacza krok tak dziwny, jak przejście na stronę przeciwnika w sytuacji krytycznej (niemiecka grupa w Kurlandii była już wtedy otoczona ze wszystkich stron), Rosjanin odpowiedział:
– Obawa przed rozprawą SMERSZ-u.

SMERSZ (Śmierć szpiegom!) była jak wiadomo ostatnią kreacją NKWD. W stosowaniu represji przelicytowała wszystkie dotychczas znane metody.

Analogiczne wypadki zaczęły się mnożyć wzdłuż całego frontu.

Wnioski

Osobiście oglądałem tę wojnę pozafrontową własnymi oczami. Jednakże z perspektywy lat i po zapoznaniu się z obszernym materiałem dotychczas ogłoszonym drukiem, z pracą Karowa na czele, skłonny jestem do poprawek w swoich na tę wojnę poglądach. O okrutnych metodach niemieckich, o traktowaniu jeńców sowieckich i całej polityce hitlerowskiej, graniczącej z samobójczą prowokacją, napisano już tyle, że pozwalam sobie nie powtarzać powszechnie znanych faktów. Dotychczas skutkom tego swoistego szaleństwa przypisywałem główną przyczynę klęski Hitlera w wojnie z bolszewikami i wciąż twierdzę że zaważyły fatalnie na losach Niemiec. Ale teraz wydaje mi się, że gdyby te metody były mniej okrutne, sytuacja nie uległaby zasadniczej zmianie.

Dajmy przykład. Na Białorusi działał okrutny komisarz generalny Kube (zamordowany 22 września 1943 przez dywersantów sowieckich), ale wszystkie jego okrucieństwa bladły wobec okrucieństw działającego na Ukrainie Kocha. Zdawałoby się więc, że powinno to było wpływać na nastroje ludności. Tymczasem wbrew temu antyniemieckie nastroje ludności na wsi ukraińskiej dają się określić cyfrą 9%, podczas gdy na Białorusi aż 20%.

Dowódca 18. armii niemieckiej działającej na północy, feldmarszałek Küchler, próbował zastosować metody odwrotne niż Koch (aż do nieogłaszania niektórych rozkazów Hitlera włącznie); w rezultacie już na jesieni 1942 przeszło 47 000 b. jeńców sowieckich pełniło czynną funkcję przy ochronie tyłów jego armii. A mimo to nastroje antyniemieckie na terenach okupowanych przez Küchlera były znacznie silniejsze niźli pod rządami Kocha.

Jestem w dalszym ciągu przekonany, że Niemcy mieli zwycięstwo nad bolszewikami w kieszeni już wtedy kiedy zaczynali wojnę. Na jej odwrotnym wyniku zaważyły jednak nie tyle same ujemne skutki metod i polityki hitlerowskiej, ile brak konstruktywnej, pozytywnej polityki, która potrafiłaby zdyskontować olbrzymi dynamizm antysowieckich nastrojów i nadać im konkretną formę.

Narzuca się z kolei wniosek, że u podłoża antagonizmu ludności do władzy bolszewickiej leżał nie jakowyś skrystalizowany "patriotyzm rosyjski", ale nieskrystalizowana, prosta, ludzka nienawiść do bolszewickiego reżymu. Nie należy zapominać, że nastroje antysowieckie utrzymały się do końca, mimo wszelkich okrucieństw okupacji niemieckiej.

Trzeci wniosek wydaje się obalać przesadne utyskiwanie pesymistów na tzw. piątą kolumnę sowiecką na Zachodzie. Piąta kolumna antysowiecka na Wschodzie stanowi siłę wielokrotnie potężniejszą.

Czwarty wreszcie – że przyszła wojna Ameryki z bolszewikami, jeżeli kiedykolwiek do niej dojdzie, z góry przesądza zwycięstwo Ameryki, o ile bomba wodorowa poparta zostanie właściwą... polityką.

Czy ta polityka w każdym calu będzie odpowiadała interesom Polski, pozostawiam do rozstrzygnięcia tym, którzy interes Polski stawiają powyżej ogólnoludzkiego interesu: oczyszczenia świata od bolszewizmu.

"Dziennik Poznański", nr 11 z 6 lutego 1921 r. Tekst tego prawdopodobnie pierwszego drukowanego utworu J. M. – jego "najstarszy zachowany przejaw tworczosci publicystycznej" – jak przypuszcza p. Marek Reszuta, który go pieczołowicie przepisał z łamów podniszczonej już gazety i łaskawie nadesłał, zamieszczam bez jakichkolwiek zmian – K.K.

J. M. [Józef Mackiewicz]

44. LIST ŻOŁNIERZA-KAWALERZYSTY

Kawalerja ma inne metody walki niż piechota. Inną tradycją uświęconą setkami bohaterskich szarż, a przedewszystkiem przejęta jest zupełnie odmiennym duchem żołnierzy. Kawalerzysta kocha nietylko swego konia, mundur i szablę, on kocha to wszystko w ogólnem pojęciu, które w sobie wytworzył – on kocha piękno. Szarża – słowo tak dawno już tkwiące w terminologji wojen, dziś, często wywołuje ironiczny uśmiech na ustach. A przecież dla kawalerzysty jest i obecnie klejnotem wyobrażeń męstwa, jego chwałą, dumą, jego dzieckiem rodzonem. Gdy ułan pędzi na rozszalałym od emocji koniu, gdy gołą szablą ciska tysiące błyskawic wśród równiny zalanej potokami słońca, wsród złotego pyłu, który jak pyszny wschodni muślin otacza i konia i jedźca wśród gwiżdżących kul i granatów pękających z hukiem i nakształt gorących gejzerów roznoszących do góry potoki piasku – wygląda pięknie, nieskończenie pięknie; czuje to ułan całą duszą, każdym fibrem swego organizmu i pędzi naprzód, byle prędzej, byle silniej odczuć rozkosz tej zawrotnej jazdy – upija się szarżą jak wódką i naprzód, naprzód do ostatniego tchnienia. Niema tu strachu, niema wroga, niema nawet śmierci – jest tylko piękno. Cóż go to obchodzi, że go zabiją, jeżeli przeszyty kulą lub pod ciosem błyszczącej stali gdy wyleci mu z ręki szabla i po raz ostatni odbije klingą promienie słońca, a on sam w ostatnim skurczu życia wykręci się na siodle i runie w dół, gdy rumak okryty pianą uniesie go z sobą włócząc za strzemie – to będzie również piękne.

Inaczej ma się rzecz, gdy spieszony szwadron, na kształt długiego łańcucha rozrzuci swe ogniwa daleko na szarej ziemi, gdy ułan obłocony i zapylony leży w tyraljerze jak kret, ściskając w ręku karabin, z tem przeświadczeniem że kiedy dostanie kulą w łeb, to tylko przewróci się parę razy w przedśmiertlnych konwulsjach, wymaże w ziemi jeszcze więcej i zastygnie tak z wylazłym mózgiem i potwornie wykrzywionymi oczami. To go przygnębia z niechęcią, z nieufnością patrzy na koniec swego bagneta, którym nie bardzo umie władać i traci pewność siebie. Po odbyciu szczęśliwie całej kampanii defensywy, już w czasie pochodu pełnego triumfu wojsk naszych naprzód, gdzie tam w lasach litewskich zajechałem sam jeden do wsi położonej przy kolei, a zamieszkałej przez Litwinów. Skłonił mnie do tego kroku brak stempli przy karabinach angielskich, musiałem zaś wybić kulę, która pozostała w lufie. Poprzednio otrzymaliśmy wiadomość, że cała linja kolei żelaznej, aż do następnej stacji jest zajęta przez nasze wojska, wiadomość ta była mylna, ja jednak przypuszczałem, że mogę nie zachowywać zbytnich środków ostrożności i ulokowawszy konia w stajni, udałem się do chałupy, każąc sobie oczywiście podać "podwieczorek". Gospodarz obdarzył mnie bardzo nieufnem spojrzeniem, ale usłuchał natychmiast poszedł szukać drutu, ja zaś najspokojniej zabrałem się do spożywania darów Bożych w postaci chleba, sera i kwaśnego mleka. Wioska jak wspomniałem leżała koło kolei. Cicho jak jadowita żmija zbliżyła się właśnie pancerka litewska i wysadziła kompanję piechoty dla zrekognoskowania miejscowości. Mój gospodarz uznał oczywiście za odpowiednie zwierzyć się ze swej nieufności do mojej osoby przed tymi miłymi pasażerami; ci nieomieszkali, zważywszy liczebną przewagę, zaatakować mnie, uprzednio obsypując chatę gradem kul gdyż, jak wiadomo żołnierze Litwy kowieńskiej nie odznaczają się odwagą. Usłyszawszy strzały porwałem odruchowo za karabin. Przez okno zobaczyłem jak na dziedziniec wpadło dwóch Litwinów – za dziedzińcem był ogród, dalej rzeczka i las – w pierwszej chwili chciałem zapomocą karabinu wysłać tych dwóch na łono Abrahama i próbować szczęścia bardzo teraz odemnie odległego w ucieczcie; ale myśl pozostawienia konia, siodła, myśl, że goły jak szczur będę musiał wracać przez las do swoich obdarty ze wszystkiego, zachwiała we mnie odwagę; w tej chwili jeszcze, jak piorun spadła na mnie druga myśl, że mój karabin przecie nie funkcjonuje – zatoczyłem się jak pijany i odrzuciłem go daleko od siebie, a właśnie przez drzwi darła się cała horda wrogów – dobyłem szabli – gdyby jednak mój "złatoust" posiadał chociaż długość "zerwikaptura", próbowałbym może zakończyć żywot w tak bohaterski sposób jak Podbipięta, ale wsadzać we mnie na pięć kroków dziesięć kul nie przedstawiało znowuż tak wielkiej trudności.

Jestem więc w niewoli. – Przedewszystkim żołnierz litewski nie zasługuje na miano żołnierza. Jest to głupie, tchórzliwe, ociężałe bydło, które tylko na widok bezbronnej ofiary wpada w ekstazę rozbestwienia.

Co to jest karność o tem nie ma pojęcia. Na rozkaz oficera zwrócony do jednego z żołnierzy by oddał mi moją prywatną własność – odezwał się drugi: "nie oddawaj, nie oddawaj, nie słuchaj jego" oficer zamilkł i ustąpił. Wogóle żołnierze demonstrują wobec oficerów brawurowem nieposłuszeństwem: np. jak największą przyjemność sprawia im widocznie, potrącanie oficerów na ulicy. Oczywiście im dali od linji frontu, tem są stosunki normalniejsze. Oficerowie zwracali się do mnie z uprzedzającą grzecznością. Jeden z nich pocieszał mnie w ten sposób, że z wielką galanterją wychwalał męstwo kawalerji polskiej. Bardzo rozpowszechniony jest tam w wojsku język rosyjski: posługują się nim zwłaszcza oficerowie i tak też z nimi się porozumiałem.

Gdy dostałem się do pierwszych stałych posterunków litewskich otoczyła mnie odrazu chmara żołnierzy, a poczęści i cywilów. Widocznie takie zjawisko jak polski jeniec nie jest częste w obrębie państwa litewskiego. Niektórzy żołnierze biegli obok gdy mnie prowadzono, jak to zwykli czynić ulicznicy po miastach przyglądając się uważnie. Naturalnie wyzwiskom i połajankom nie było końca: szczególnie często dawał się słyszeć litewski wyraz "zarżnąć" lub "rozstrzelać". Żołnierze litewscy są przepełnieni straszną nienawiścią do Polaków, zwłaszcza do zamieszkałych w obrębie państwa czy okupacji litewskiej a przedewszystkiem do "panów".

Bardzo rozpowszechnione jest wśród nich zapatrywanie, że Polacy chcą przywrócić pańszczyznę, że oficerowie są to najwięksi właściciele ziemscy, że panuje u nas straszny terror itd. Bolszewików uważają za "swoich" i chwalą się ich zwycięstwami jakby własnemi jakkolwiek tych, którzy podają się za zbiegów z polskiej niewoli i włóczą się po kraju – łapią i przymusowo odsyłają na posterunki sowieckie.

Pewnego razu wprowadzono nas, oczywiście obdartych do koszuli kilkunastu Polaków i bolszewików na stacje. Tam podobało sie jakiemuś otyłemu sierżantowi ustawić nas w półkole samemu siąść pośrodku i zwymyślać od ostatnich słów. Zwymyślania dotyczyły tylko Polaków. Do bolszewików zwracał się w słodkich słowach przepraszając ich, że muszą byc trzymani równi z Polakami i zapewniając, że to długo nie potrwa. Wreszcie zmierzywszy nas jeszcze raz swym groźnym wzrokiem, zachęcał żołnierzy by zdarli wszystko co tylko pozostało na nas z ubrania i obuwia, a mogło się do czegokolwiek przydać – naturalnie nie posiadaliśmy już nic takiego: dodał przytem, że największą satysfakcję sprawiłoby mu dać obok stojącym bolszewikom karabiny i kazać im nas rozstrzeliwać. Na szczęście władza jego była ograniczona.

Zwyczaje karmienia jeńców podczas pierwszych dni transportowania nie ma tam zupełnie, a co gorsze nie posiada żołnierz litewski tego szacunku, czy chociażby przyjaźni dla żołnierza wogóle, najmniejszej wojskowej tradycji, nie spotyka sie tam zwykłego w obecnych wojnach zjawiska częstowania jeńców chlebem czy papierosami: wogóle traktowania ich jak ludzi. Jeżeli zdarzają się takie wypadki to bardzo rzadko. Pamiętam jak odpędzono nas od studni pomimo, że upadaliśmy z pragnienia. Niema też w sobie tej "karejwios" ani kszty patrjotyzmu i najwyższą nieufnością darzy swoich ministrów, oficerów, rząd i wogóle przełożonych wszelkiego rodzaju, ideałem zaś dla niego są stosunki panujące w sowdepji, chwali się jednak, że gdy wróci z wojny dostanie 30 dziesięcin ziemi, zabudowania, krowę, konia itd. Z tem wszystkiem łączy się strach przed polskim wojskiem zwłaszcza kawalerją, która jest wprost uosobieniem dla niego kary Bożej.

Parę słów o litewskiej konnicy: Reprezentują ją na Litwie, zdaje mi się tylko jeden pułk huzarów, siedzący na drobnych koniach, głownie żmudzkiej rasy, mających bardzo wytrwały kłus. Siodła, szable i karabiny są rosyjskie lub niemieckie, lanc nie widziałem. Mundury bez zarzutu. Nie ma tu jednak żołnierz-kawalerzysta litewski pojęcia co to jest nasz ułański "fason", wygląda tak samo ociężale, niezgrabnie jak żołnierz innych broni. Oficerowie są przeważnie a może i wyłącznie z byłej armiii sowieckiej.
"Wiadomości", 1955, nr 43 (490); tekst według wydania: Józef Mackiewicz, Fakty, przyroda i ludzie, z przedmową Barbary Toporskiej (Dzieła t. 12), Kontra, Londyn 1993, s. 331-348, nadesłała p. Edyta Wagner.

Józef Mackiewicz

45. ZBRODNIA W DOLINIE RZEKI DRAWY

Gdy w roku 1673 pojawił się na Siczy Zaporoskiej Matiuszka Worobiew, chłop pańszczyźniany Dymitra Wiśniowieckiego, i ogłosił się rzekomym carewiczem Symeonem, a Moskwa zażądała wydania samozwańca, Kozacy odpowiedzieli dumnie, że "od wieków wiecznych" Sicz nie wydawała ludzi. Nie znaczy to oczywiście, by narody, podobnie jak pojedynczy ludzie, postępowały zawsze według dumnych oświadczeń, które o sobie samych głoszą; raczej łamią je tak często, jak tego życie wymaga. (w rezultacie i nieszczęsny Worobiew w rok później został poćwiartowany i zakopany w Moskwie w miejscu zwanym Błoto, obok Sieńki Razina.) Natomiast świadczy to, od jakich to już "wieków wiecznych" i w jak dalekim promieniu od centrum kultury chrześcijańskiej uważano tradycję niewydawania ludzi w ręce kata za rzecz, z której należy być dumnym.

Od tego czasu wygłoszono na świecie dodatkowo tysiące pięknych oświadczeń, napisano setki tysięcy wzniosłych słów, wykonano miliony uroczystych gestów w imię kultury i ludzkości. Ale gdy pierwszego czerwca 1945 wzeszło słońce na doliną rzeki Drawy, płynącej wąskim korytem południowych Alp, oświetliło ono następujący obraz: wielotysięczna ciżba na kolanach zasłaniająca się krzyżem; po łąkach i polach rozbiegane tabuny koni i wielbłądów; kobiety z dziećmi drapiące się na skaliste zbocza, uchodzące w śmiertelnym przerażeniu przez kulami i pałkami chrześcijańskich żołnierzy, zapędzających wszystko w ręce kata... – Co to było?

A no, gdybym chciał być złośliwy, powiedziałbym ironicznie: wydawania "Azjatów" w ręce europejskiego marksizmu.

Z ocalałych, przebywających obecnie w Ameryce b. generał Wiaczesław Naumenko, od dziesięciu lat zbiera dane, listy, zeznania świadków, rozproszone publikacje itd. Zgromadził, słowem, to co się nazywa materiałem historycznym. Posegregował, skonfrontował krytycznie, sprawdził autentyczności relacji i odrzucił co wkraczało w dziedzinę legendy.

Cała sprawa nie interesuje mnie ze względów politycznych. Zacząłem ją badać raczej przez ciekawość rzeczy najgłębiej ludzkich, objętych niewłaściwym mianem "nieludzkich". Swojego czasu pisałem o Ponarach pod Wilnem, gdzie mordowano Żydów. Pisałem o Katyniu, gdzie mordowano oficerów polskich. Może zaważyła tu co nieco i ta okoliczność, że i w Ponarach, i w Katyniu byłem osobiście. Otóż byłem też w dolinie rzeki Drawy. Wprawdzie na kilka miesięcy przed opisywanymi wypadkami, ale znam teren, a teren wielkiej chwały czy wielkiej zbrodni ma w sobie zawsze coś przyciągającego. Teren! W danym wypadku spiętrzone fale rzeki, po których płynęły później trupy; łąki, po których biegały później bezpańskie konie; idealnie obojętne szczyty gór, jak zawsze pochłonięte wyłącznie mijaniem się z obłokami; cała przestrzeń dramatu od Villach poprzez Spittal, Steinfeld, Oberdrauburg i Lienz, z ich spiczastymi wieżami kościołków katolickich, które dzwoniły o zmiłowanie nad ludem prawosławnym, zanim im władze brytyjskie tego dzwonienia nie zakazały.

I jeszcze jedno: widziałem tych ludzi latem 1944, gdy przeprawiali się Pilicę. Spotkałem ich w Częstochowie: barankowe czapki w czerwonym denkiem; czarne od wiatru i kurzu, milczące, ponure twarze; chude krowy uczepione do wozów. Żadnej eskorty. To nieprawa, żeby ich kto gnał. Sami ciągnęli na zachód. Nieskończone tabory. Na tle europejskich kamienic robili istotnie wrażenie egzotyczne: "Azja" uciekająca przed bolszewikami.

Odwrót na Alpy

26 kwietnia 1945 skapitulowały wojska niemieckie we Włoszech. 27 ujęto Mussoliniego. W tym czasie na terenie republiki faszystowskiej północnych Włoch znajdowała się grupa atamana Domanowa, czy jak sama siebie nazwała: "kozacki Stan", rozłożona w rejonie miasta Tolmezzo, łącznie pod bronią przeszło siedem tysięcy ludzi. Zgrupowanych koło wojska ludzi cywilnych, więc żon, dzieci, starców i inwalidów, było 8435. Cyfry te pochodzą z końca roku 1944 i nie są zupełnie dokładne. Poza tym w ciągu zimy spływały do Włoch dalsze fale uchodźców. Przybyły też później pułki kozackie ósmy i dziesiąty, których liczebność nie jest bliżej znana. Prócz tego, w pobliżu Gemony stacjonował trzeci pułki zapasowy (około 2500 ludzi), ale ten, w odróżnieniu od sił głównych Domanowa, skapitulował wobec partyzantów włoskich, wywieziony został na południe i wydany bolszewikom w innych okolicznościach.

Odmienną też grupę stanowił XV korpus kozacki w składzie trzech dywizji, operujący na Bałkanach przeciwko wojskom Tity. W tym okresie cofał się już na Graz i tam został wydany.

Przy grupie atamana Domanowa znajdował się znany szeroko z wojny domowej gen. Krasnow, głośny pisarz emigracyjny, wódz ruchu kozackiego, wówczas starzec siedemdziesięcioszześcioletni, faktycznie nie sprawujący bezpośredniej władzy. W nocy z 27 na 28 kwietnia do kwatery Dornanowa zgłosiło się trzech oficerów z czerwonej partyzantki włoskiej, żądając złożenia broni. Domanow oświadczył, że kapitulować będzie jedynie wobec Anglików, złożenia broni odmówił, natomiast obiecał Włochom, że w ciągu trzech dni wycofa się na północ za Alpy. W ten sposób rozpoczął się pierwszy akt dramatu.

Ruszono jedyną wolną jeszcze drogą w góry, na Paluzzo. Stąd na przełęcz Plöcken-Pass na wysokości 1300 m, granicę Austrii. Na dole, gdy odchodzili, kwitły już migdały, zaczynało się włoskie lato. Teraz zamiast pinii zjawiły się po obu stronach drogi sosny, zamajaczyły białą korą brzozy, zaczęły się świerki. Zaczął się deszcz, który niebawem przeszedł w wilgotny, lepki śnieg. Zaczęły się też pierwsze oznaki rozprzężenia. Przodem maszerował sztab, warsztaty i główne tabory, za czym stanice dońskie, kubańskie, w końcu terskie. Domanow pozostał jeszcze w Tolmezzo, oczekując oddziałów ściągających z rejonu Udine.

Droga na Plöcken-Pass wije się serpentyną. Cały dzień i noc na 3 maja padał śnieg. Samochód, którym jechał gen. Krasnow wraz z żoną i adiutantem, utknął. Przyczepiono go do sztabowego autobusu i ciągnięto na linie. O 22.30 Krasnow minął przełęcz i stanął we wsi Mauthen-Kötschach.

Piątego maja podciągnął Domanow z ariergardą. Szóstego wysłał przodem delegację z białą flagą do Anglików. Delegacja wróciła z wiadomością, że brytyjski generał brygady oświadczył co następuje: nic konkretnego o dalszym losie Kozaków powiedzieć nie może; może jedynie zapewnić, iż w żadnym wypadku nie będą wydani Sowietom.

Czekolada dla dzieci i "słowo honoru" dla starszych

Po drugiej stronie, w dolinie, była wiosna. Po kamieniach pieniąc się pędziła rzeka Drawa. Konie, schodząc po szarym asfalcie austriackiej drogi, szeroko rozdymały chrapy, Wdychając soczystą zieleń nadbrzeżnych kwiatów

na tych łąkach. Smoliście pachniały na słońcu sosny i świerki. Wodospad górski wodnym kurzem rozbijał się po skałach. Zakątek przez wojnę zapomniany; dolina cichych pól i skowronków nad nimi.

W północnej części miasta Lienz, przepołowionego rzeką Drawą, stanął kwaterą sztab atamana Domanowa. Gen. Krasnow z żoną zamieszkał w osobnej willi w odległości czterech kilometrów od miasta, którą mu uprzejmie wyznaczyły władze brytyjskie. Na prawym brzegu stanęła kozacka szkoła junkierska, dalej – przyboczny dywizjon i pierwszy pułki konny. Wzdłuż lewego brzegu: żandarmeria kozacka, pułki dońskie, kubańskie i terskie. Następnie tabory i warsztaty. Przestrzeń na wschód od wsi Nikolsdorf aż do Oberdrauburg zajęły oddziały kaukaskie, tzw. Legion Kaukaski pod wodzą Sułtan-Kelecz-Gireja. Rodziny i uchodźcy cywilni znaleźli wygodne pomieszczenie w barakach b. obozu dla jeńców brytyjskich Peggetz, odległego o półtora kilometra od Linzu.

W południowej części miasta znajdował się sztab brytyjski. Kozakom pozostawiono na razie broń, a z dniem 15 maja poczęto wydawać prowiant. Zadymiły niezliczone ogniska koło szałasów i namiotów. Wzniesiono polowe cerkiewki. Była Wielkanoc. Wydawano też nowe mundury. Dowódca jednej z brygad kozackich zwrócił się do władz brytyjskich z za pytaniem, czy mają nadal prowadzić ćwiczenia wojskowe.

– Oczywiście – odpowiedziano. – Będziecie może już wkrótce potrzebni.

Nie była to żadna rewelacja, a raczej potwierdzenie ogólnego optymizmu politycznego. Znaleźli się wprawdzie pesymiści, którzy przepowiadali, że zaproponują Kozakom służbę w koloniach. Ale tacy należeli do wyjątków. Szkołę junkierską odwiedziło kilku oficerów brytyjskich. Gdy tłumaczka odpowiadała im, że niektórzy zrobili tysiące kilometrów, aby wydostać się spod jarzma bolszewickiego, oficer brytyjski westchnął:
– Niech ich Bóg wspomaga.

Szesnastego maja, nazajutrz po wydaniu obfitych porcji żywnościowych, kazano Kozakom złożyć broń, pozostawiając ją tylko oficerom i żandarmerii.

Istnieje stare jak świat doświadczenie ludzkie, że jak w życiu cywilnym nie oddaje się pieniędzy, tak w życiu wojskowym nie oddaje się broni inaczej niż pod – murowany weksel! Cóż począć jednak, gdy inni pouczają, że optymizm i wiara zdolna jest poruszyć góry.

Do siedziby prywatnego banku kozackiego, umieszczonego w jednym z budynków Lienz, przybył rano oddział żołnierzy brytyjskich i zażądał wydania kluczy od kasy. Mimo protestów, że kasa zawiera wyłącznie prywatne pieniądze Kozaków, żołnierze władowali ją na ciężarówkę i wywieźli. Tymczasem brytyjski oficer łącznikowy nakazał rozdawnictwo dzieciom pomarańcz i czekolady. Zaproponował organizację koncertów i w tym celu odszukanie odpowiedniej sali w mieście. Salę odszukano. Obiecał ją pięknie odremontować na koszt władz okupacyjnych. Obiecał zbudować kuchnie kryte, by Kozacy nie potrzebowali gotować na ogniskach. Istotnie zaczęto już zwozić cegłę. W końcu wystąpił z projektem wydawania gazety kozackiej. W tym celu do lokalu b. niemieckiego Arbeitsamtu zwołał naradę, na którą przybyło dwanaście osób z redaktorem Tarusskim na czele. Oficer wyłożył swój plan, zapewniając dostarczenie niezbędnych środków finansowych. Na razie zaś poprosił o – imienny spis wszystkich dziennikarzy. Wręczono mu go z gotowością.
– Tank you very much – odpowiedział oficer.

W kilka dni później Tarusski popełnił samobójstwo...
Ale nie wybiegajmy naprzód.

Wczesnym rankiem 27 maja podano do powszechnej wiadomości, że całe wojsko kozackie będzie otrzymywało pełne racje armii brytyjskiej.
– Hurra! – wołano po namiotach i szałasach.

W kilka godzin później, o dziesiątej rozkazano wszystkim oficerom i żandarmerii oddać broń do dwunastej w południe. Na pytanie atamana Domanowa, wyjaśniono, że chodzi tu tylko o zamianę broni na bardziej jednolitą i nowoczesną.

Nazajutrz, 28 maja , powiadomiono Domanowa, że wszyscy oficerowie i urzędnicy wojskowi mają się przygotować na godzinę pierwszą po południu do wyjazdu na specjalną konferencję z władzami brytyjskimi.

Dzień był upalny. Niebo bez chmurek. Wynikło zagadnienie, w co się ubrać na konferencję, do której większość oficerów kozackich przywiązywała wielką wagę. Konferencję z najwyższymi władzami brytyjskimi!

– Płaszcze brać? Wieczór może być chłodny.
– Ale skąd. Żadnych rzeczy, żadnych płaszczów – oficer rozstawił palce u ręki, a drugą zaginając palec po palcu zaczął wyliczać: – Moi panowie, o trzeciej rozpoczyna się konferencja w Villach, obrady potrwają godzinę, najwyżej półtorej; o piątej, najdalej o piątej trzydzieści, no powiedzmy o szóstej będziecie z powrotem.

Oficerowie zaczęli się szybko rozchodzić, ażeby zdążyć przebrać się w najlepsze mundury, wyglansować buty. W błyszczących epoletach zjawiali się na miejsce odjazdu. Ci ze starej emigracji przyczepili carskie ordery. W tej chwili... daleko gdzieś, zdawało się w górach, gruchnął strzał. Nikt wówczas nań nie zwrócił uwagi. To zastrzelił się podesauł Gołowiński, "taki dziwak", jak o nim wczoraj mówiono: jedyny, który odmówił wydania broni. Samochody już podjeżdżały.

Tam, gdzie nie działa doświadczenie, działa czasem instynkt; niektóre z żon zaczęły raptem, bez żadnej widocznej przyczyny, płakać.
– Proszę uspokoić żony – powiedział oficer do tłumaczki. – Daję słowo brytyjskiego oficera, że ich mężowie wrócą najpóźniej pomiędzy piątą a szóstą wieczorem.

Dzień był upalny. Może dlatego godziny wlokły się tak długo. Przyszła wreszcie piąta, czekano do szóstej... Minęła siódma... Na konferencję wyjechało parę tysięcy oficerów. Żaden z nich nie wraca. Straszliwe przeczucie zaczęło ogarniać pozostałe rodziny. Żołnierze także zaczęli się gromadzić i rozprawiać.

Nikt oczywiście nie mógł wiedzieć o tym, że już pięć dni temu, 23 maja 1945, pomiędzy władzami brytyjskimi i sowieckimi stanął w Wiedniu układ o wydaniu wszystkich oficerów i ich rodzin w ręce władz sowieckich.

W stanicach wzdłuż Drawy przystąpiono w końcu do przygotowywania posiłku wieczornego.

"Konferencja"

Zanim przejdę do opisu jej przebiegu, chciałbym zatrzymać się na chwilę nad niewątpliwie ciekawym zagadnieniem: w jaki sposób tysiące oficerów ze starymi generałami na czele mogło do tego stopnia naiwnie dać się uprowadzić w pułapkę? Zaszedł wszak wypadek, który powinien był wywołać niepokój. 27 maja przybył do Lienz gen. Szkuro, stary emigrant, który nigdy obywatelem sowieckim nie był. Jeden z wybitniejszych generałów wojny domowej, przy tym w okresie wspomagania "białych" przez Wielką Brytanię odznaczony wysokim orderem brytyjskim. Zgotowano mu przyjęcie entuzjastyczne.

Nazajutrz... czyli właśnie owego 28 maja, do kwatery gen. Szkuro przybyło dwóch oficerów brytyjskich, aresztowało go i wywiozło w niewiadomym kierunku.

Wypadek ten, sam przez się mogący wzbudzić poważniejsze refleksje, utonął wszakże w rozgardiaszu i komentarzach na temat konferencji. Zwołanie jej nie stało w sprzeczności, a raczej wydawało się większości logiczną konsekwencją optymistycznych oczekiwań. Każdy chciał być raczej obecny niż nieobecny. W nieunikniony konflikt z Sowietami wierzyło 90% Drugiego Korpusu polskiego we Włoszech, jak wierzyło pół Europy. Poza tym Kozacy byli skłonni wszystkie zalety pod słońcem przypisywać Brytyjczykom. Nigdy jeszcze słowo "gentleman" nie było w tak krótkim czasie tylokrotnie wypowiedziane i komentowane. Gdy zaś z ust tych "gentlemanów" padały zapewnienia poparte honorem oficerskim, rozproszyły się ostatnie wątpliwości nielicznych sceptyków.

Nieco odmienne było zachowanie się samego atamana Domanowa (powieszonego później w Moskwie). Zwoławszy na rozkaz brytyjski wszystkich oficerów, na pytanie zadane przez jednego z dowódców pułku: "Co nas czeka?", odpowiedział:
– Chyba nic dobrego. Zapewne druty.
– Co robić z oficerami, którzy zaczną uciekać w góry?
– Pan jest dowódcą pułku. Pan mnie zrozumiał.
W istocie jednak nie zrozumiał. Tym bardziej, że sam Domanow jechał, a wypowiedź jego świadczyć może, że i jego przewidywania nie posunęły się w pesymizmie dalej niż brytyjski obóz jeniecki.

O pierwszej po południu zajechały ciężarówki. Według prowizorycznych obliczeń pojechało: generałów 35, pułkowników 167, podpułkowników 283, esaułów 375, podesaułów 460, sotników 526, chorążych 756, urzędników wojskowych 124, personelu lekarskiego 15, fotografów 2, oficerów łącznikowych 5 i 2 duchownych.

Dopiero w ciężarówkach coś ich tknęło. Zaciągnięto brezenty. Koło szoferów siedli żołnierze uzbrojeni w pistolety automatyczne. Ktoś próbował zaśpiewać, ale urwał. Po przejechaniu 12 km kolumna się zatrzymała. Podjechały lekkie czołgi. Droga wiodła wzdłuż Drawy przez Greifenburg – Steinfeld –Sachsenburg – Möllbrücke do... Przerzucić się psychicznie z jednej skrajności w drugą nie jest łatwo; z poczucia bezpieczeństwa w strach, z zaufania w rozpacz. Ilu potrafiło tego dokonać nie jest dokładnie znane. Przyjmuje się hipotetyczną cyfrę pięciu oficerów, którzy zeskoczyli w biegu i uciekli w lasy.

Od Möllbrücke, wciąż korytem Drawy, droga skręca raptownie na południo-wschód i o trzynaście kilometrów dalej leży miasto Spittal. Samochody wjechały w bramę obozu otoczonego potrójnym rzędem drutów kolczastych. Gęsto rozstawione posterunki. Zaczął się wyładunek.

Oficerów podzielono od razu według rang, przydzielając każdej grupie osobny barak. Wewnątrz panował brud i nieład, na ziemi leżała stara słoma. Po godzinie dowódca angielski wezwał trzech generałów kozackich, w tej liczbie Domanowa i Tichockiego, i oświadczył im lodowato:
Proszę powiadomić wszystkich oficerów, że zgodnie z umową zawartą pomiędzy rządem Jego Królewskiej Mości i Związkiem Socjalistycznych Republik Sowieckich, przekazani zostaną do rozporządzenia sowieckich władz wojskowych. Odjazd ze Spittal nastąpi jutro o czwartej rano.
Tichockiemu zrobiło się słabo i upadł.

Paraliżująca rozpacz

Choćbyśmy się nie wiem jak starali odciąć od tzw. "psychiki wschodniej", pojmiemy wszelako łatwo, że to co najbardziej musiało zaskoczyć przeszło dwa tysiące oficerów dońskich, kubańskich, terskich... Gruzinów, Osetyńców, Karaczanów, Inguszów itd., to był niewątpliwie "styl" załatwienia całej sprawy. Styl zresztą odmienny również od procedury, która by była zastosowana w podobnych wypadkach na całym kontynencie europejskim. Gdzie indziej mogło być raczej gorzej, ale – "nie tak"... I właśnie to zaskakujące, to "nie mieszczące się w głowie" spotęgowało jeszcze paraliż psychiczny, który opanowuje zazwyczaj skazańców przed wykonaniem wyroku.

Najbardziej niezwykłym objawem bohaterstwa ubiegłej wojny było niewątpliwie powstanie getta warszawskiego. Ci, co wzruszają ramionami, twierdząc, że Żydzi "nie mieli ani innego wyjścia, ani żadnej nadziei", zdradzają głęboką nieznajomość psychiki ludzkiej. Właśnie: najtrudniej jest walczyć bez nadziei! W Katyniu tylko 4% oficerów miało skrępowane ręce.

W Spittal też nikt nie rzucił się na Brytyjczyków z gołymi rękami. Zaczęli zrywać z siebie dystynkcje oficerskie i ordery, zdzierać czerkieski, szarpać paradne mundury włożone na "konferencję". Niektórzy na podłogę baraków rzucali nawet poświęcane krzyżyki. Dziennikarz Tarusski powiesił się pierwszy. Starzy emigranci próbowali redagować petycje; dochodziło do gorszących kłótni zupełnie bezprzedmiotowych, albowiem petycji tych nie tylko nikt nie rozpatrywał, ale nawet nie przyjmował. Przez pewien czas nadzieję pokładano jeszcze w gen. Krasnowie, ze względu na jego bądź co bądź głośne nazwisko i osobistą znajomość z gen. Alexandrem. Chciano przywołać zza drutów przedstawiciela władzy okupacyjnej, żeby rozmawiał z Krasnowem. Staruszek nie mógł stać i czekać, więc wyniesiono mu przed druty krzesło. Żołnierz brytyjski kopnął krzesło i rozleciało się w drobne kawałki.

W nocy powiesił się płk Michałow, ale w ostatniej chwili odcięto go z pętlą. Nazajutrz, 9 maja, o świcie, dwaj duchowni prawosławni wyszli na plac przed barakami i rozpoczęły się uroczyste modły o zmiłowanie. Wokół nich stłoczył się tłum zarówno prawosławnych, jak muzułmanów.

O szóstej rano przybyły zapowiedziane ciężarówki. Gromadnie odmówiono dobrowolnego wsiadania. Wówczas na dany rozkaz zaczęli zbliżać się żołnierze uzbrojeni w pistolety automatyczne i grube pałki. Oficerowie kozaccy stłoczyli się, wziąwszy się pod ręce. Nic nowego pod słońcem! Żołnierze brytyjscy zaczęli bić pałkami, bić po głowach i złączonych rękach. Wyrwano pierwszego oficera z szeregu i wrzucono do samochodu. Wyskoczył. Wtedy pobito go znowu i zapędzono powtórni. Znowu wyskoczył. Wówczas uderzeniami kolb i pałek powalono go na ziemię i skopano butami, aż zastygł be ruchu w kałuży krwi. Wrzucono go jak worek na dno ciężarówki... Ludzie zaczęli wsiadać.

Niektórzy z Brytyjczyków mrużyli oczy i zaciskali zęby. Inni bili z zacietrzewieniem. Był taki, który miał łzy w oczach. Był taki, który podszedł z koszykiem i wyciągając z kieszeni paczki z papierosami, zaproponował:
– Za jednego papierosa zegarek.
Cóż po zegarku!... A wszyscy już wypalili papierosy, które wzięli ze sobą na "konferencję". Oficerowie brali po papierosie i rzucali do koszyka po zegarku.

Zastrzelił się jeszcze gen. Siłkin. W ostatniej chwili powiesił się oficer Charłamow. Brytyjczycy zwolnili jednego z duchownych, dwu urzędników wojskowych i dwunastu lekarzy. Wypuszczono także wyrostka, Kozaczka-spadochroniarza o przezwisku "Ryżenki".

Oficer brytyjski podszedł do dowódcy oddziałów kaukaskich Sułtan-Kelecz-Gireja, oświadczając, że wyznacza go szefem, odpowiedzialnym za zachowanie się oficerów kaukaskich. Sułtan-Kelecz-Girej splunął mu pod nogi.

Krasnow nie wyszedł na plac. Siedział w otwartym oknie baraku i patrzył. Żołnierze brytyjscy zauważyli go w ostatniej chwili i rzucili się, by go wyciągnąć przez okno. Kilku oficerów kozackich odepchnęło żołnierzy i wzięło atamana na ręce.

Wśród oficerów, wtłoczonych do ciężarówek, było 32% b. obywateli sowieckich i 68% starych emigrantów, którzy nigdy obywatelami sowieckimi nie byli.

Głodówka czterdziestu tysięcy

Powróćmy teraz do owej godziny ósmej wieczorem dnia poprzedniego, która takim strachem napełniała rodziny pozostałe w Lienz.

– Czy tłumaczka już przyszła? – spytał nerwowo oficer brytyjski.
– Yes, sir.
– Proszę zawołać.

Przed kancelarią stała jedna z ciężarówek, która wywoziła oficerów na konferencję. Powróciła pusta. Tłumaczka, zobaczywszy ją, zbladła i weszła do kancelarii.
– Gdzie są nasi oficerowie? – zapytała.
– Nie wrócą tutaj – odparł oficer.
– A gdzie są?
– Nie wiem.
– Pan przecież zapewniał, że będą najdalej o szóstej z powrotem. Więc pan oszukiwał?
– Droga pani, my jesteśmy tylko żołnierzami i wykonujemy rozkazy naszych przełożonych. Proszę natychmiast przygotować spis pozostałych oficerów.

W ten sposób masę kozacką pozbawiono kierownictwa. Do drugiej w nocy ludzie chodzili z miejsca na miejsce i gadali, a później poszli spać. Nazajutrz, 29 maja, o dziewiątej rano zjawił się młody oficer brytyjski i wręczając tłumaczce tekst odezwy, nakazał ją natychmiast rozpowszechnić.
"Kozacy! Wasi oficerowie okłamywali was i prowadzili fałszywą drogą! Zostali aresztowani i już nie powrócą. Teraz, uwolnieni od ich wypływu i nacisku, możecie swobodnie mówić o ich kłamstwach i nareszcie będziecie mogli wypowiadać nieskrępowanie wasze przekonania i wasze pragnienia. Wszyscy powrócicie do ojczyzny..." itd. Widać było, że tekst ułożyły władze sowieckie. Dalej następowało wezwanie do bezwzględnego poddania się rozkazom brytyjskim.

O dziesiątej rano zapowiedziano, że 31 maja o siódmej rano rozpocznie się repatriacja pułków kozackich i ich rodzin.

Było jasno, ciepło, pogodnie. Wiadomość wydała się piorunem z jasnego nieba! Powstała panika. W baraku nr 6 obozu Peggetz zwołano prowizoryczną naradę. Na wodza ad hoc organizowanej akcji biernego oporu wysunięto podchorążego Połunina. Ogłoszono powszechną głodówkę i rozklejono plakaty zredagowane po angielsku: "Wolimy głód i śmierć tu niż powrót do Związku Sowieckiego!" We wszystkich obozach i stanicach wywieszono czarne flagi. Na placach obozowych zbudowano prowizoryczne ołtarze i duchowni odprawiali przy nich dzień i noc nabożeństwa, spowiadając i udzielając komunii. Naturalnie nie obeszło się bez pisania zbiorowych petycji: do króla i królowej, do biskupa Canterbury, do Churchilla, do papieża, do króla serbskiego Piotra, do gen. Eisenhowera, do parlamentów krajów demokratycznych... Wojskowa kancelaria brytyjska petycje przyjmowała i rzucała do kosza.

– Trzymajmy się, Trzymajmy się! – podawano z ust do ust. – Trzymajmy się razem, a nic nam nie zrobią. Nie dopuszczą do ostateczności!

Po barakach, namiotach i szałasach rozdmuchiwano przy nie zapalonych z powodu głodówki ogniskach iskry nadziei. Tak minął dzień trzydziesty maja. Wieczorem zapowiedziano, że wskutek przypadającego na dzień następny katolickiego święta Bożego Ciała, repatriacja została przesunięta na dzień pierwszy czerwca.

Wieczorem trzydziestego pierwszego wyłączono dopływ wody w barakach.

1 czerwca 1945

Czytałem gdzieś, że był taki niegrzeczny chłopczyk, który, gdy go ojciec chciał sprać pasem, składał pobożnie ręce i klękał do modlitwy, bo modlitwy nawet ojciec nie ma prawa przerywać... To chyba było jeszcze w tamtym wieku, przed rokiem 1914. Pierwszego czerwca próbowało tego sposobu kilkadziesiąt tysięcy w dolinie rzeki Drawy. Ale był to już rok 1945...

Od świtu utworzyła się olbrzymia procesja, która ruszyła do kaplicy polowej w obozie Peggetz. Przodem kroczyli duchowni w ornatach. Niesiono krzyże, chorągwie, księgi, zapalone świece. Słońce zaledwie wzeszło i ledwo różowiły się śniegi na szczytach Alp. Myczały krowy kozackie, nie dojone w ogólnym zapamiętaniu. Po pastwiskach rozłaziły się nie dopatrzone konie i wielbłądy Astrachańców. Nad Drawą wisiała jeszcze mgła. Niepisanym nakazem postanowiono przybrać postawę biernego oporu.
– Tylko nie ruszać Anglików! Modlić się. Obroni Przenajświętsza Bogurodzica.

Tak zrobiono. Modły trwały bez przerwy, ale około ósmej rano zbliżyły się szerokim wachlarzem czołgi brytyjskie i stanęły w odległości stu metrów. Od strony baraków zajechały ciężarówki, do których miano ładować ludzi i odwozić na stację do oczekujących pociągów. Cały zaś obóz otoczony został tyralierą żołnierzy zbrojnych w karabiny z nasadzonymi bagnetami, pistolety automatyczne i pałki. Jeszcze przez krótki czas trwały nabożne pieśni, gdy nagle żołnierze rzucili się na tłum, rozrywając łańcuch rąk i bijąc po głowach kolbami i pałkami. Powstała panika, krzyki, deptano i zadeptywano się wzajemnie. Tłum, cofając się, zaczął napierać na parkan odgraniczający obóz od pola. Parkan runął pod naciskiem. Ale na polu też stały czołgi. Żołnierze strzelali nie w górę, lecz pod nogi. Zbitych i okrwawionych chwytano i wleczono do ciężarówek. Również w dalszych obozach rozległy się strzały. Ludzie rzucali się na oślep, uciekali w lasy, skakali do rzeki. W nieopisanym tumulcie rozbiegły się tabuny koni. Miejscowa ludność początkowo żegnała się nabożnie krzyżem świętym, gdy jednak ktoś zrobił początek, rzuciła się, by grabić opustoszałe namioty, łapać konie, zabierać bydło. Wtedy księża katoliccy kazali bić w dzwony i nawoływać ludność do zaprzestania hańbiącej grabieży. Na wieżach kościelnych pojawiły się też czarne chorągwie.

Tymczasem główna masa ludzka w Peggetz, cofając się przed zbrojnymi żołnierzami, usiłowała jeszcze wyrywać z ich rąk tych, których już schwytali. Wtedy to padł pierwszy Kozak przebity bagnetem. Tłum odpłynął i odsłonił ołtarz. Pop wyciągnął ku żołnierzom Ewangelię, ale wytrącono mu ją z rąk bagnetem. Jeden z Kubańców zasłonił się obrazem Matki Boskiej, otrzymał jednak cios w skroń i skóra wraz z włosami zwisła mu na ucho. Trzeci próbował parować cios chorągwią św. Mikołaja Cudotwórcy, uderzenie pałki wdeptało Mikołaja Cudotwórcę w błoto.

Improwizowana kaplica, ołtarz, obrazy, kielichy, wszystko zostało przewrócone i stratowane. Nagle ktoś krzyknął, inni go podtrzymali, i rozległo się zgodne a groźne: "Urrra!". Wydawało się, że Kozacy sami chcą przejść do natarcia. Żołnierze brytyjscy prędko zawrócili i zaczęli wystawiać karabiny maszynowe. Jedne z duchownych, ratując sytuację, wezwał ponownie do modlitwy...

Gdy się modlono, żołnierze, pozostawiając na placu rannych i trupy zatłuczonych i zakłutych bagnetami, zwrócili się do baraków, wywlekając ukrywających się tam ludzi i pakując do samochodów. Jeden z Kozaków stawiał czynny opór, więc powalono go na ziemię, dwóch ciągnęło za nogi, z trzecie podpychał go końcem buta w ciemię. Pewna kobieta miała na ręku okrwawione dziecko. Żołnierz opatrzył dziecko własnym bandażem, ale mimo zaklinań, oboje wpakował do ciężarówki. Spośród żołnierzy brytyjskich czekających opodal czołgów, wielu okazało współczucie. Mówią o jednym, który łamanym rosyjskim szepnął:
– Nie dawajcie się, oni nie mają prawa.

Mała dziewczynka podeszła do innego i podała mu kartkę napisaną po angielsku: "Zabijcie nas, ale nie oddawajcie bolszewikom". Żołnierz przeczytał, schował do kieszeni i nagle zapłakał. O piątej po południu do tłumu podjechał w dżipie oficer brytyjski i oświadczył przez głośnik:
– Kozacy! Jestem pod wrażeniem waszej bohaterskiej postawy, ale w myśl umowy jałtańskiej, wszyscy, którzy byli obywatelami Związku Sowieckiego do pierwszego września 1939, muszą zostać repatriowani! Kto jest w posiadaniu dokumentów stwierdzających, że w tym czasie nie przebywał na terytorium Sowietów, niech je przedstawi.

W ten sposób, począwszy od piątej, de facto zaprzestano masakry na terenie największego skupiska w obozie Peggetz. Opodal dżipu, w którym stał oficer brytyjski, leżał zabity junkier, nieco dalej ciało kobiety obejmującej martwe dziecko. (Jak ustalono później na podstawie znalezionych przy trupach dokumentów, junkier pochodził z Dniepropietrowska, kobieta urodzona była na Kubaniu, a dziecko już we Włoszech.)

Tymczasem wzdłuż Drawy szła dalej wielka obława na ludzi, którzy mieli być wydani Sowietom. Strzelano do uciekających. Przypadkowo, czy też umyślnie zastrzelono kobietę, którą wykrył pies w krzakach. Były wypadki rzucania się pod czołgi. Gdy zabierano chorych i rannych ze szpitala, jeden z nich wyskoczył z okna na bruk. Dużo ludzi utonęło w Drawie. Wszyscy pamiętają kobietę, która płynęła rzeką na wznak, z przywiązanym na piersiach niemowlęciem. Obok, brzegiem biegł żołnierz brytyjski i usiłował wyłowić ją za pomocą długiej żerdzi. Ale nie mógł dosięgnąć. Wreszcie wody zagnały ją w małą zatoczkę. Dziecko było już martwe, a kobieta zmarła po kilku godzinach w szpitalu. Była to lekarka zawodu, rodem z Kubania, nazwiskiem Woskobojnikowa. Matka jej i czternastoletnia siostra utonęły.

Święty Teodozjusz Czernihowski

Na drugi dzień rozpoczął się następny akt dramatu, tak dobrze znany wszystkim emigrantom politycznym na świecie: wydobywanie dokumentów stwierdzający, że...; walka o świadectwa i upraszanie świadków; intrygi, zabiegi, machlojki i kombinacje wszelkiego rodzaju. Ale ani lament, ani zsyłka nie ustały. Biegały kobiety z rozwianym włosem, szukając wywiezionych w zamieszaniu dzieci; biegały płaczące dzieci, szukając wywiezionych rodziców. Lamentowano nad rozgrabionym mieniem. Tymczasem dalsze transporty odjeżdżały na wschód w odrutowanych wagonach, które w wypadkach zsyłek nie przez sojuszników, ale przez wrogów, zwykliśmy nazywać "bydlęcymi" . Wielu opanowało zniechęcenie i apatia. Tak np., gdy drugiego czerwca

przystąpiono do wywożenia szkoły junkierskiej, z szeregu junkrów, którzy dotychczas stawiali największy opór, wyszedł jeden, zarzucił swój worek na plecy i machnął ręką:
– Ech, bratcy! Jadę do rodzinnego kołchozu...

I nagle wszyscy w milczeniu poszli jego śladem. Tegoż samego dnia wywożono pułki trzeci kubański i tersko-stawropolski. Kozacy uciekali w pojedynkę lub grupami. Początek wydawał się zawsze łatwy. Oto grupa sześćdziesięciu dotarła górami do włoskiej granicy i nie przekraczając jej zwróciła się na zachód, kierując na Innsbruck. Ażeby ominąć posterunki brytyjskie, szli szczytami, czasem po śniegu. Jedenastego czerwca wykrył ich samolot brytyjski i ostrzelał. Schowali się w szczelinach, ale jeden został ranny. Zabrali rannego i poszli dalej; jednak samoloty śledziły marszrutę. Gdy wypadło schodzić w przełęcz, natknęli się na zasadzkę i zostali ujęci, odstawieni do obozu i wydani bolszewikom, poza jednym, któremu udało się zbiec. Do organizacji obław w górach władze brytyjskie użyły też b. jeńców sowieckich, zwolnionych z obozów niemieckich.

Mało już kto się w dolinie modlił. Ikony i chorągwie leżały porozrzucane i połamane na ziemi. Tylko pewna Kozaczka do dziś dnia utrzymuje z uporem, że wszystko zawdzięcza św. Teodozjuszowi Czernihowskiemu. Kiedy z matką, dzieckiem na ręku i młodym bratem znalazła się w tłumie przeznaczonym do wysłania, ślubowała temu świętemu, że co piątek pościć będzie na sucho, jeżeli uda się jej wydostać z tego piekła. Jakoż zdarzył się pierwszy cud: cofający się tłum wypchnął ją wprost na most na Drawie. Zgubiła wprawdzie pantofle i biegła w skarpetkach, ale św. Teodozjusz skierował pogoń żołnierzy za większą grupą, która uciekała w lewo za mostem, podczas gdy ona z matką, dzieckiem i bratem pobiegła w prawo. W ten sposób zdołali dobiec gór i zaczęli się drapać na skały. Na pokaleczonych, bosych stopach minęli las, aż gdy się skończył, doszli do kamienistych łąk i śniegu. Trzeciego dnia natrafili na trupy: Kozak, kobieta i dziecko. Widocznie popełnili tu samobójstwo; nożem czy brzytwą, czy z ukrytego jeszcze pistoletu, nie chcieli sprawdzać. Tymczasem wyczerpały się już zabrane zawczasu do worka zapasy. Pragnienie gasili śniegiem. Co robić? Gdzie iść? Co jeść? Do kogo się zwrócić?... Jakoż pozostał tylko św. Teodozjusz Czernihowski.

– Idę – opowiada Kozaczka – i modlę się do Niego, a sama myślę: jakaż ja głupia, przecież z tych kamieni wokół chleba nie będzie. Nagle!... Za zakrętem skały drewniany domek. Przed nim stoi stary Kozak i wyłamuje okno. Zobaczył nas i kiwa ręką. Podbiegłam. Święty Teodozjusz Czernihowski!! Przez okno widać na stole leżące chleby!

Było to schronisko dla turystów. Znalazło się w nim jeszcze trochę kaszy, mąki, a także drzewo opałowe. Nazajutrz, po zjedzeniu i wyspaniu, ruszyli dalej. Ciągle krawędzią wiecznego śniegu. Gdy rozwarła się raptownie straszliwa przepaść, zdawało się, że nie ma już drogi. Ale stary Kozak długo się namyślał, obliczał, kombinował i wreszcie poprowadził. Po pięciu dniach, minąwszy trzy szczyty i cztery przełęcze, zdecydowali się zejść w dolinę. Tu w pierwszej napotkanej chacie podjęli się pracy w zamian za wyżywienie. I oto znowu zdarzył się cud.

Pewnego dnia przybył do wsi patrol brytyjski, szukając zbiegów.
– Postanowiłam – opowiada – nie dać się żywcem: wyskoczę z okna z dzieckiem i zabiję się. Ale na razie zaczęłam od modlitwy do św. Teodozjusza Czernihowskiego: "Nie dopuść do ciężkiego grzechu samobójstwa!". Wchodzi sierżant i każe pokazać papiery. Wyciągam, wręczam mu wiedząc, że z nich jasno wynika, że uciekłam z Lienz. Sierżant długo je czytał, jeszcze dłużej obracał w palcach, później popatrzył na mnie raz, drugi... Opuścił oczy i oddając papiery powiedział: "All right". I wyszedł.

Konie uratowały stu dwudziestu

Czytelnik słusznie zapytać może: to wszystko było z ludźmi, no dobrze, ale co się stało z tą masą koni? Koni nie wydano.

Konie kozackie, przeważnie nawykłe do równin, to nie muły. Nie nadawały się w większości do ucieczek górskich. Rozbiegły się w dolinie Drawy i pasły na cudzych polach i łąkach, razem z nielicznymi wielbłądami. Władze brytyjskie wyznaczyły uriadnika, kazały mu wybrać stu dwudziestu dobrych jeźdźców i zegnać wszystkie konie do jednego miejsca. Uriadnik zebrał oddział ze swoich staniczników, podzielił na dwie grupy po sześćdziesięciu ludzi i zaopatrzony w niezbędne przepustki zabrał się do roboty. Rozpoczęto od spędzania czerkieskich koni spod Oberdrauburga. W Lienz założono specjalny obóz koński i przeprowadzono rejestrację. Zdrowe konie odprawiono transportami kolejowymi. Gdy wysyłka się skończyła, oddział uriadnika skierowano do Villach w celu przytransportowania stamtąd koni kawalerii węgierskiej do bazy końskiej w Lienz. Jedyną troską Kozaków było tylko, ażeby nie trafić przypadkiem do transportu kolejowego... Poza tym żyli sobie dobrze. Gdy po kilku tygodniach nastąpiła likwidacja bazy, przybył oficer brytyjski w towarzystwie tłumacza:
– Kto z was chce wracać do ojczyzny?
Nastąpiło głuche milczenie.
– Znaczy nikt?
– Nikt! - odpowiedzieli jednym głosem.
– Dobrze. Nikogo więcej przymusowo repatriować nie będziemy.

Współistnienie z roku 1945

Powracam do zerwanego 29 maja wątku "konferencji" w Spittal. Zajechały cztery sztabowe autobusy i pięćdziesiąt osiem ciężarówek, nie licząc kilkunastu samochodów innego typu. Transport oficerów ochraniało: dwadzieścia pięć lekkich czołgów, stu pięciu motocyklistów, stu czterdziestu szoferów i pomocników uzbrojonych w pistolety automatyczne, siedemdziesięciu żołnierzy z pistoletami automatycznymi gotowymi do strzału, trzydziestu żołnierzy na czele pochodu, sześćdziesięciu ludzi na dwóch ciężarówkach zamykających pochód. Ilość ogólna uzbrojenia: trzysta dziesięć pistoletów automatycznych, sto dwadzieścia pięć karabinów maszynowych, dwadzieścia jeden lekkich armat.

Zanim ten ponury konwój osiągnął linie sowieckie, dwóch oficerów się otruło, a dziewiętnastu próbowało uciec. Z tych dziewiętnastu ucieczka udała się tylko czterem, piętnastu zastrzelono.
Dalsze dane są niepewne.
Dwunastu generałów, w tej liczbie Domanowa, Krasnowa, Sułtana-Kelecz-Gireja oraz Szkurę (odstawiony dopiero 31 maja specjalnym samochodem wraz ze swym adiutantem), wysłano do Moskwy i powieszono. Stu dwudziestu oficerów zastrzelił konwój sowiecki po drodze z Grazu do Wiednia. W Wiedniu rozstrzelano tysiąc trzydziestu. Zniknęło bez wieści wywiezionych na dalsze badania dziewięciuset osiemdziesięciu trzech. Dane te nie są ostateczne i wymagałyby sprawdzenia, gdyby takie sprawdzenie było możliwe.
Istnieją także obfite materiały dotyczące wydania trzech dywizji XV Korpusu Kozackiego w Judenburgu. Zastosowano tu metody niemal identyczne.

"Wiadomości", 1956, nr 18 (526); tekst według wydania: Józef Mackiewicz, Fakty, przyroda i ludzie, z przedmową Barbary Toporskiej (Dzieła t. 12), Kontra, Londyn 1993, s. 349-357, nadesłała p. Edyta Wagner.

Józef Mackiewicz

46. PO LATACH NA MIEJSCU ZBRODNI NAD DRAWĄ

Była dziesiąta rano i w istocie miałem wątpliwości, czy zastanę go w domu. Uliczka się kręciła pomiędzy płotami ogródków, w których stały domki, przeszła w drogę półwiejską, bez jezdni i chodników, minęła tor, jakiś kanał. Mam pamięć węchową i gdy pociągnąłem nosem, przypomniał mi się dokładnie, prawie co do miesiąca, czas sprzed jedenastu lat, gdy byłem tu po raz ostatni. To samo powietrze chwiejnej między górami wiosny, tak samo wyglądały zębate szczyty austriackich Dolomitów po tamtej stronie i słońce oświecające dolinę rzeki Drawy znak Stronachkogel i Zietenkamm po tej stronie rzeki. – Znaleźć było go trudno, ale ludzie są uprzejmi.

W otwartym oknie parterowego półdomu-półbaraku suszyła się para skarpetek i wyblakły biustonosz. Zastukałem w parapet. Ukazała się młoda Tyrolka i powiedziała, że go zna, ale niestety już wyszedł. Do pracy wyszedł. Mieszka tuż obok. O, te drzwi. Zamknięte.

– To on nie ma żony?

– Nie ma – uśmiechnęła się, ciekawie mi się przyglądając. – A pan go nie zna?

– Nie.

– Z daleka pan przyjechał?

– Chyba tak. Z Londynu – odpowiedziałem, nie wiedząc, że w tej chwili popełniam fatalny błąd.

– Ooo! Aż z tak daleka! Powiem mu, naturalnie. Będzie w obiad. O której pan przyjdzie? Na pewno będzie czekał. Aż z Londynu!.. Ha.

Podziękowałem i wyznaczyłem godzinę. Przyjechałem do Lienz, ażeby zebrać kilka dodatkowych potrzebnych mi jeszcze informacji do bardziej szczegółowego opracowania Zbrodni w dolinie rzeki Drawy. Miałem w kieszeni adres jednego z pozostałych i tam zamieszkałych Kozaków, który mógł mi tę sprawę ułatwić. Nie zastawszy go, wracałem do hotelu "Pod Złotą Rybką", gdzie w końcu lutego 1945 chowaliśmy się w piwnicy przed bombardowaniem, a w maju tegoż roku kwaterował sztab atamana Domanowa. Żona moja zwróciła mi uwagę:

– Po coś wspominał, że z Londynu? Biedny człowiek będzie jeszcze przypuszczał, że to jakiś bogaty krewniak albo Bóg wie jaki los zaświtał mu nagle...

Akurat! Trzeba było raczej poważnie wniknąć w los pewnej kategorii ludzi zamieszkałych w Europie w jedenaście lat po zakończeniu wojny. A mimo całe przebyte doświadczenie, tego momentu nie wziąłem pod uwagę. Ongi, w dwa lata po wojnie, napisałem do "Wiadomości" artykuł pt. Wielka spółka trwa (nr 80), na który się bardzo obruszono w pewnych sferach i w części prasy emigracyjnej jako na mocno zdezaktualizowany.

Teraz na Drawą, choć to nie puszcza, ale w sezonie międzynarodowy zjazd europejskich turystów, przekonałem się, że czy to zamknięty górami "swój rozum", czy też zamknięty górami widnokrąg myślowy, albo zamknięty górami odpływ wspomnień... ale sprawia, że są ludzie, którzy po dziś dzień jeszcze w tę "wielką spółkę" wierzą. A poza tym?... Powiedziałbym: w nic nie wierzą. Nikomu. Kompletnie.

Gdy wróciłem do tego półdomu-półbaraku, w tej same uliczce, w porze obiadowej, świeciło jeszcze słońce, ale z północo-zachodu, znad szczytów położonych po obu stronach Sieli, dopływu Drawy, wyłaziły brzemienne w śnieżycę chmury. Kozak mył się po pracy, a drugi siedząc na półpryczy-półleżaku, starszy i widać doświadczony, spojrzał w okno i stwierdził:

– Na razie koniec wiosny. Zima wraca. Mhm. Ot jak.

Zacząłem im wyjaśniać, kim jestem i po co przyjechałem. Mówiłem zrazu płynnie i o moim artykule londyńskim przedrukowanym w Szwecji, w Ameryce, w Argentynie i w Niemczech Zachodnich, i o zamiarach pewnych Amerykanów podjęcia śledztwa w sprawie zbrodni wydawania ludzi w ręce bolszewickich katów. Mówiłem dalej, że... I nagle odczułem długotrwałe milczenie tamtych nieomal fizycznie. Zająknąłem się raz, drugi, chciałem nadrobić miną, jakimś żartem, splątałem coś, straciłem kontenans i umilkłem.

Nastało dłuższe milczenie.

– Mhm, taaaak... – powiedział starszy, przyglądając się swoim nowym, widocznie świeżo kupionym trzewikom.

Młodszy odstawił miednicę i zaczął się wycierać. Gdy przesunął ręcznikiem koło ust, co ułatwiało mu odezwanie się niby półgębkiem, zagadnął:

– Pan z Londynu przyjechał, z Anglii, tak?

Oczywiście. Zacząłem klarować raz jeszcze co już powiedziałem uprzednio. Starszy znowu spojrzał w okno i zmrużył oczy jakby chciał lepiej przyjrzeć się nadciągającej chmurze. Znowu zapadło milczenie.

– Papierosa? – wyciągnąłem rękę. – Amerykańskiego.

– Dziękuję. Nie palę.

Nie byłem tak naiwny. Znam tych ludzi i ich świat. Ostatecznie i ja byłem "podsowieckim" człowiekiem. Spodziewałem się, że napotkam objawy nieufności. Zdawało mi się jednak, że wystarczy położyć pewien nacisk, uwidocznić w sposób mniej więcej przekonywający "zachodniość" moich intencji, aby tę nieufność rozproszyć. Może zanadto to podkreśliłem. To był mój błąd. – Młodszy powiesił ręcznik, powolnym ruchem zapinał guziczki u koszuli na szyi i siadł na zydelku.

– My, proszę pana, w żadne takie rzeczy się nie wdajemy. A zresztą i polityką się nie interesujemy.

Znowu milczeliśmy przez dłuższą chwilę. W palcach dopalał mi się papieros.

– Daj panu może tę przykrywkę na popielniczkę.

Teraz i ja długo, skrupulatnie, w milczeniu gasiłem i dociskałem niedopałek papierosa. Potem otrząsnąłem popiół z kolana i zapytałem od niechcenia:

– A znacie Kolcowa?

– Cóż, Kolcowów bywa różnych...

– A jak jemu na imię? – spytał starszy i oparłszy nogę w obcasie, przodkiem do góry, sam pochylił się, by sprawdzić palcami grubość podeszwy.

– Siergiej Pawłowicz.

– Może być – wtrącił obojętnie młodszy.

Wtedy wyjąłem list.

– Oto jego pismo. Choć to prywatne do mnie, ale możecie przeczytać.

Wziął, obrócił w palcach, rzucił okiem i oddał. Znów odezwał się starszy:

– Cóż można panu powiedzieć nowego. Rzecz wiadoma, jak było...

– Taaak...

– Mhm...

Dziwne zjawisko: chmura za oknem wisiała, ale jakby zatrzymała się w miejscu uczepiona o dalekie szczyty. Gdzieś głośno rozmawiano na podwórku o zaginionej kurze. Z szosy doleciał turkot autobusu, który zlazł z serpentyny i teraz nazbyt prędko kołował do środka Lienz.

– Taaak... Wiadomo... A my – starszy podniósł głowę i tym razem spojrzał mi prosto w twarz – żyjemy dlatego, że za nas inni położyli głowy. Żeby nie położyli i nas by nie było. Ot jak.

– Udało się jednak wam?

Co to za udanie się! – machnął ręką młodszy. – Póki za innymi gonili, ja wskoczył do Drawy i przesiedział w wodzie.

Myślałem, że powie coś więcej, ale urwał. Wtedy, po chwili, ażeby ominąć sedno tematu, zapytałem:

– No a jak komitet Michałowa "repatriacyjny", też i wam nie daje teraz spokoju?

– Et, Michałow! – odparł lekceważąco. I z nagłą determinacją: – Po mojemu to tak wychodzi, proszę pana: Anglicy chcą wywiedzieć się. Anglicy chcą wydostać kto ma jakie informacje, co kto mówi, co kto wie. Raz po to, żeby punkt po punkcie móc wyprzeć się i sprostować. A dwa, żeby komu potrzeba zamknąć gębę.

Spadło to na mnie nagle. Dopiero w następnych sekundach zrozumiałem:

– A wot, gdzie pies zaryty! To wy, znaczy się, mnie bierzecie za angielskiego agenta?

– Ja nic nie borę. Ja tylko mówię jak wychodzi.

Znam to uczucie jeszcze z czasów wojny: gdy na kogo raz padnie podejrzenie, każde słowo wydaje się potem podejrzane. Nad każdym słowem trzeba się sto razy zastanowić. Ba, nad ruchem każdym. A do tak daleko posuniętej nieufności nie byłem przygotowany.

– Nddaaa... Widzisz pan – podjął starszy – rzecz taka. Co ukrywać? Wiedzieć, naturalnie wiemy. Ale nie chcemy wiedzieć. My nic. My chcemy żyć. Bo jak tylko co, jak tylko dojdzie do bolszewików, to oni w tejże chwili pocisną Anglików co to u was tam wyrabia się takiego! Patrzajcie jakiego rodzaju tam ludzie siedzą u was, choćby i w tym Lienz tym samym! Wtedy Anglicy tylko rozkaz do Austriaków. Nie obejrzysz się jak tuk-tuk zastuka żandarm. I Człowiek przepadł.

Byłem szczerze zdumiony.

– To wy jeszcze boicie się wydania?! Teraz?!

– Jak człowiek spokojnie pracuje, polityką się nie zajmuje, to i niczego się nie boi.

– Dajcie spokój! I zresztą co wy ciągle o tej Anglii? Przecież czasy się zmieniły. Jakie ona ma teraz znaczenie. Ćwiartują ją po kawałku. Wszelkie znaczenie utraciła. Anglia wobec Ameryki to: o – pokazałem nisko nad podłogą i teraz dopiero zauważyłem jak schludnie jest wymyta.

– My nie wiemy, Pan lepiej wie. Pan z szerokiego świata. A my sobie po cichutku, w dolinie Drawy. Ot i żyje się jakoś. Zarobek jest.

– Ameryka też wydawała – wtrącił drugi w zamyśleniu.

A po chwili dodał:

– A i jaka zresztą korzyść z mówienia. Był taki jeden co dużo mówił i... powiesił się.

– Jak to, powiesił się?

Wtedy młodszy:

– W roku 1954 tu był zjazd. Dali pozwolenie, przyjechali Kozacy z różnych stron. Szli z chorągwiami. Wielki tłum. Nabożeństwo. Na cmentarzyk w Peggetz. Przemówienia. A po kilku miesiącach spotyka mnie na ulicy jeden, mówi po rosyjsku. I wprost zaczyna wypytywać to, tamto, wiele było, skąd przyjeżdżali, kto co mówił i różne rzeczy. Ja odpowiadam: "Nie byłem, nie wiem". Wtedy on do mnie: "Paszport!". Ja mówię: "Nikomu ja na ulicy spotkanemu paszportu nie pokazuję. Takiego zwyczaju nie mam". On wtedy legitymację wyjmuje, angielskiej razwiedki, jak ich tam te litery... Odpowiadam: "Nie znam się na tym, chcesz idziemy do żandarmerii austriackiej, tam wylegitymują". Poszli. On pierwszy wyjął dowód, pokazał. Fakt, okazał się angielski agent. I mnie zaczęli badać. No cóż, ja im nic nie powiedziałem, i puścili w spokoju. A to podobno po tym zjeździe Sowiety podjęły hałas. Przycisnęli Anglików, Anglicy – Austriaków. Poszły dalej badania, dochodzenia. I wszystko jakoś zaczęli tu na jednego wskazywać, który za dużo już gadał, organizował to-sio. Może by i nic nie było. Ale jak to ludzie: jeden drugiego straszy. No i powiesił się w końcu człowiek, ze strachu... Isz, śnieg poszedł – zakończył wskazując podbródkiem okno.

A więc chmura nie stała w miejscu. Spadła jednak w dolinę. Zaczęła się śnieżyca, szkwał.

– Długo trwać nie będzie – pocieszył starszy, wstał z łóżka, dorzucił drewek do żelaznego piecyka z rurą.

I zamykając drzwiczki, mruknął:

– A wreszcie może on i nie z tego się powiesił.

– Ale kartkę zostawił! Kartka dokument. Napiszą, że odbiera sobie życie, bo boi się, żeby jego nie wydali bolszewikom. Fakt.

Pomyślałem też: z tego powodu czy nie z tego, ale – fakt pozostaje faktem, że ci ludzie boją się do dziś dnia. Boją się bolszewików, boją się Anglików, Amerykanów, boją się Austriaków i boją się mnie. Ale że rozmowa się ożywiła, więc niebacznie mi się wyrwało:

– A ilu tu was jest jeszcze?

Ech, niezgrabne pytanie!

Od razu zamilkli.

– Nie wiem dokładnie – odparł po chwili młodszy. – Ja nie wiem.

– A jak się do was odnoszą władze miejscowe, lokalne?

– Cóż, Austriaki, ich mało. Oni robią to co im każą Anglicy.

A Anglicy to co im każą bolszewicy... I tak można rozmawiać w kółko.

– A czy pamiętacie z roku 1945 lub wiecie może kto to był major Davis?

– Może i był taki.

Pomilczeliśmy przez czas dłuższy.

– Jeżeli pan chce zobaczyć cmentarzyk i pomnik, to owszem możemy pokazać.

Poszliśmy. Pierwszy szkwał minął. Do Peggetz mieliśmy dwadzieścia minut drogi. Słońce znowu przygrzało, śnieg szybko topniał. W dawnych barakach mieszczą się teraz warsztaty samochodowe. Za nimi łąka: teren historycznej masakry. Teraz podmokła, ale jeszcze zamarznięta. Od północo-zachodu wciąż szły nowe chmury zwiastujące dłuższy okres niepogody. Wokół najbliższego szczytu utworzył się pierścień. Powietrze rześkie, lekkie.

– Tu – powiedział starszy, wyciągając rękę, gdyśmy przekraczali tor – stał jeden skład wagonów za drugim. Tu ludzi spędzano i wtłaczano. Wtedy. Pierwszego czerwca.

– A ilu było zabitych?

– Często przesadzają. Zabitych... Było.

– Ilu mniej więcej?

– Ja tam nie liczyłem. Nie mogę powiedzieć. – Przeszliśmy jeszcze kilka kroków. – Jak taką rzecz można powiedzieć? Powiesz i odpowiadaj później za swoje słowa. Wymienić cyfrę łatwo, ale później w razie czego udowadniaj. Jeżeli już raz miałeś odwagę powiedzieć! My nie wiemy ile.

– Ja do was nie mam pretensji za brak zaufania. Ostrożność jest zawsze konieczna. Naturalnie ludziom ufać trudno. Sam byłem przez rok tym co się nazywa "obywatelem sowieckim". Ale czy już nie zanadto tego...

– Rok! To pan mówi rok – podchwycił młodszy. – A ja byłem od urodzenia do roku 1942.

I szliśmy znowu w milczeniu, tylko zmarznięta trawa pochrzęstywała pod nogami.

Cmentarzyk maleńki. Pośrodku pomnik. Wokół krzyże kamienne. Kilkanaście jest ich, bez nazwisk. Zbiorowe mogiły. Jeden tylko wyróżniony napis głosi, że tu leży podesauł Gołowiński. Wszystko otoczone sztachetami. Czysto i ładnie utrzymane. Za wałem o kilka kroków płynie Drawa. W tej chwili płytka, kamienista, ale zawsze szybka. Rzeka górska, wiadomo, różne bywają jej stany i różne jej poziomy. Cmentarz przy płynącej rzece zawsze budzi znajome refleksje płynącego czasu. Mówi się przecie, że tyle to i tyle wody upływa w rzece... Na drugim brzegu drobna olcha i zaraz już świerki pną się urwiskiem w górę. A nad nimi prostopadle niemal skały i o tej porze zmarznięte wodospady wiszą nad przepaścią jak stalaktyty. Szczyty niezbyt wysokie: 2400, 2600, 2700 m, ale bardzo charakterystycznie pozębione. Na nie patrzeć, znowu czai się troi w myślach; płynie. Płyną obłoki, za obłokami chmury, a każda krawędź, grań, szczyt, załamanie skalne miało ten sam rysunek i za Karola V, i za Karola Wielkiego, i wtedy, gdy tu w górę zadzierali głowy Rzymianie, i jeszcze dawniej, i jeszcze dawniej.

– Mamy i cerkiewkę własną w Lienz. Pan widział?

– Widziałem.

– No to i będzie chyba wszystko... – Rozejrzał się po łąkach i zatoczył ręką krąg. – Ot tu, na tym polu, aż do tych baraków to się działo. Tam stały obozy nasze, konne. Od tej strony szła tyraliera z pałkami.

Het, w hotelach dla turystów, zaświeciły od słońca okna; daleko na północ, gdzie serpentyna szosy pnie się do Iselsbergu i pokonawszy wzniesienie przełęczy ginie na widnokręgu w kierunku Heiligenblut. Miałem tam jechać nazajutrz i powiedziałem w roztargnieniu:

– Śmieszna nazwa dla miasta: Heiligenblut...

– Pan ma rację, że śmieszna. Wychodzi po naszemu: "Krew świętych".

– U nich takie ciągle spotykają się w tej Austrii – zauważył ten, który był obywatelem sowieckim od urodzenia do roku 1942 i chował głowę w Drawie przed Anglikami.

Wracając zerwał źdźbło trawy i gryząc mówił prawie do nikogo:

– A skąd ten strach się bierze, diabli go wiedzą. Na wojnie, z bronią gorsze rzeczy człowiek przechodził. Ale z bronią. A jak na bezbronnego idą z pałkami, to taki strach, że już nie wiem...

Zapytać jeszcze o co czy dać spokój? Każdy temat wydaje się podejrzany, każde pytanie podchwytliwe. A kiedy to właściwie po raz pierwszy ktoś wymyślił uroczysty punkt deklaracji: "Wolność od strachu"? Hę? Nie pamiętają też pewnie. A nawet, żeby wiedzieli, to ręką machną za całą odpowiedź.

Ten okres zaczął się od procesu w Norymberdze, gdzie wieszano przestępców na mocy wymyślonej przez kogoś formuły: "zbrodnia przeciwko ludzkości". Od tego czasu nie było procesu Katynia. Wojna przeciwko Hitlerowi uznana została za świętą moralnie i nie wolno jej nikomu kwestionować, ale do wojny przeciw bolszewikom nie wolno głośno namawiać i nikt tego nie czyni w obawie, żeby go nie nazwano zbrodniarzem wojennym. Czy "wielka spółka" jeszcze trwa?... Jedyna rzecz, w którą wierzą Kozacy znad Donu, Kubani i Tereku. W Tauern-Express, biegnącym z Ostendy przez Hamburg-Salzburg-Villach-Graz do komunistycznego Belgradu, czytałem w "Paris-Match" o niezwykłych dzikusach w Ekwadorze, którzy niedawno zamordowali misjonarzy. Czy istnienie takich ludzi w istniejących wciąż jeszcze puszczach podzwrotnikowych nie jest wszelako mniejszą sensacją niż ludzi zamieszkałych w samym środku chrześcijańskiej Europy, których najcharakterystyczniejszym składnikiem życia jest – strach? Strach przez wyznaniem, że byli ofiarami czy choćby świadkami "zbrodni przeciw ludzkości". Oni boją się nie tylko, żeby ich ktoś oskarżał, ale boją się nawet, żeby ich ktoś brał w obronę.

PS. Do jednego tylko obozu dla uchodźców Valka w Niemczech Zachodnich... o którym rozpisano się swojego czasu tyle, że tam złe warunki itd., ale nie wspomniano ani słowem, że zgłasza się miesięcznie stu Jugosławian. Miesięcznie, tzn. więcej niż trzech ludzi dziennie. Tak jest, o tym się nie wspomina, nie mówi, nie pisze, nie rozgłasza przez radio. Bo to fakt politycznie nieaktualny... Ważny jest Tito, a nie stu ludzi uciekających miesięcznie od niego. W roku 1955 powstał nawet projekt, aby tych ludzi "oddać" z powrotem, co

na przyszłość mogłoby zahamować dalszy przypływ. Na razie zaniechano tego procederu. Postanowiono zastąpić go głuchym milczeniem.

"Lwów i Wilno", 1947, nr 37; tekst według wydania: Józef Mackiewicz, Fakty, przyroda i ludzie, z przedmową Barbary Toporskiej (Dzieła t. 12), Kontra, Londyn 1993, s. 138-144, nadesłała p. Edyta Wagner.

Józef Mackiewicz

47. JESZCZE JEDNO SŁOWO HONORU

W chwili, gdy świat się ekscytuje już już mającym nastąpić konfliktem anglosasko-sowieckim, druga wojna światowa, która po Jałcie i Poczdamie przybrała tak niefortunny obrót dla tych, którzy "wybrali wolność", nie wygasła jeszcze zupełnie w jej uprzednim układzie sił. Panowie, którzy w Teheranie oświadczyli światu, że "są wrogami terroru i nietolerancji", trzymają ze sobą nadal. Stare banały w prasie powtarzają się nadal. Metody stanowiące coś pośredniego między Majdankiem–Buchenwaldem–Oświęcimiem a Kołymą–Kazachstanem–Katyniem, trwają nadal.

Być może, historia ujawni kiedyś te bezbrzeżne tragedie, które się rozegrały z czetnikami gen. Michajłowicza, Kroatami, Albańczykami i sowieckimi niewozwraszczeńcami w okupacyjnych strefach amerykańskiej i angielskiej. Swojego czasu zabroniono o nich pisać. Ale wypadki, które w maju br. miały miejsce Rimini, Pizie i Bolonii nie przeszły już bez echa. Nie mogły przejść, chociażby dlatego, że zabito tam zbyt sporą ilość żołnierzy angielskich... Sprawa poruszona została w parlamencie brytyjskim, ogłoszona w formie protestu podpisanego przez duchowieństwo katolickie i protestanckie w Stanach, enuncjacji Żydowskiej Organizacji Pomocy Imigrantom, wreszcie przez uchwałę amerykańskich związków zawodowych. Wiele uwagi poświęca jej prasa arabska Bliskiego Wschodu. Sprawa stała się głośna, tylko – dziwnym zbiegiem okoliczności – nie przedostała się na szpalty ani jednego czasopisma polskiego. Ani w kraju oczywiście, ani na emigracji. My ciągle jesteśmy plus catholique... Jakbyśmy tę wojnę rzeczywiście wygrali, należeli do możnych zwycięzców i z antypatią się odwracali od biednych ludzi, którzy dalej prowadzą walkę na śmierć i życie o – własną wolność. Tymczasem przebieg krwawych wypadków sprzed trzech miesięcy we Włoszech jakże fatalnie odświeża naszą pamięć!

Niektórzy z poległych

Niektórych z nich znałem. Było to w środku 1945 roku, w bezrzęsy upał, niemal wściekłe południe, na roku Corso Umberto i via Della Croce w Rzymie, gdy trzech Czerkiesów pożerało przy straganie już trochę przejrzałe kawony, a sok ściekał im po brodzie, złachmanionej kurtce, po butach i parował na bruku. Byli obdarci, spragnieni, spaleni, ale dobrej jeszcze myśli. Jeszcze wszyscy wierzyli wówczas w demokrację. – "Budiet wojna – mówili. – Inacze niewozmożno, niemożliwe przecież pogodzić się demokratycznej Anglii ze Stalinem!" – Uhum – odpowiedziałem tylko. – Oni szukali jakiejś alianckiej kwatery wojskowej.

– Niech pan tylko będzie z nimi ostrożny – powiedział jeden z oficerów, który też jeden z pierwszych pojechał później do "marszałka" Żymierskiego. Ale wtedy był jeszcze wielki "Poland" na ramieniu.

– Z nimi? Ostrożny?... – Przez grzeczność nie powiedziałem tylko, że "mogę być mniej ostrożny niż z panem", bo przeszłość ich mnie nic nie obchodzi, natomiast za przyszłość polityczną ludzi, którzy spalili wszystkie mosty za Stalinem, więcej można ręczyć, niż za tych, którzy się już zaczynają oglądać za kładką. – W rezultacie wzruszyłem ramionami.

Tymczasem Włochy zaczęły się roić od naiwniaków spływających z Niemiec. Głównie Kaukazczycy, Tatarzy, Turkmeni i spora ilość Rosjan niewozwraszczeńców. Reguła była taka, że znaczna część tych wykolejonych dziś obieżyświatów szła do "dwójki" angielskiej, amerykańskiej lub francuskiej, ofiarowując swe antysowieckie usługi, a te – wydawały ich w ręce władz bolszewickich. Później rzecz się ta co nieco zmieniła. Każdy z tych "wywiadów" rozpoczął wielką politykę na własne ręce, prawą wydając, lewą przytrzymując, różnie o tym mówiono, przeważnie w równie wielkiej tajemnicy, którą znał każdy przechodzień na pamięć. Jednocześnie główną masę ludzi, piętnowanych sowieckim "grażdanstwem", poczęto komasować w obozach, razem z ich żonami i dziećmi, z czego na ogół byli zadowoleni, gdyż ufności w "demokrację" nie mogły w nich przełamać nawet najoczywistsze fakty, tak jak nie przełamały w Polsce podczas wojny najbardziej jaskrawe wypadki polityczne. Dostali ubrania, jeść i dach nad głową. A nad dachem, nad obozem, nad Włochami i całym światem było uroczyste przyrzeczenie wolności przekonań i swobód osobistych.

Coraz częściej zaczął ich jednak odwiedzać szef misji sowieckiej, generał major Golikow.

Słowo honoru gentlemanów

Główne obozy znajdowały się w Bagnoli i w Pizie. Rozpoczęły działać różne komisje, badania itd. Przeważająca ilość muzułmanów wykręcała się jakoś, to obywatelstwem tureckim, to perskim, to afgańskim. Generał Golikow sprowadził sobie do pomocy zdolnego Armeńczyka, który władał kilkoma dialektami i tak na przykład rozpoznać mógł w lot, kto jest z Azerbejdżanu, a kto z Antiochii tureckiej, już po kilku słowach... Nagle, na jesieni roku 1946 rozeszła się trwożna wieść, że wszystkich gdzieś wywożą! Naturalnie zawodowi optymiści zaczęli znów powtarzać, że przecież to niemożliwe, że Anglicy wiedzą, że to na pewną śmierć, więc że nigdy, że przecież przyrzekli...

A rzecz się miała jak następuje: dnia 14 sierpnia 1946 obóz w Bagnoli został zlikwidowany, ludziom zaś powiedziano, że się robi to dla ich własnego dobra i bezpieczeństwa... wszystkich komasowano w obozie w Rimini nad morzem Adriatyckim, w miejscowości położonej na północ od Ancony, zresztą ładnej jak cała Italia. Znajdowała się w nim nieduża ilość własowców, większa b. jeńców sowieckich w Niemczech, którzy po "wyzwoleniu", mimo iż nie występowali zbrojnie przeciwko bolszewikom, nie chcieli wracać do domu. Poza tym byli tam ludzie swojego czasu deportowani do Niemiec na roboty, albo tacy, którzy znaleźli się w Zachodniej Europie, uchodząc przed zwycięską armią czerwoną z własnego terenu. Mieli dość. Woleli iść do Niemiec, niż żyć znowu w Bolszewii. Przestępstwo? Kto to powiedział? Gdzie? – Mnie się osobiście wydaje, że ludzie ci mieli rację. – Było między nimi dużo kobiet, dzieci, starców, młodzieży, inwalidów. Było kilku artystów, literatów, profesorów, inteligentów w ogóle, robotników, chłopów.

W kilka dni później zjawił się major angielski, komendant obozu, Hills, który dał słowo honoru, iż nikt nie zostanie wbrew swej woli deportowany do Sowietów. Uwierzono, oczywiście, bardzo chętnie. Ucieszony zaufaniem jakie wzbudzał, major Hills wtajemniczył zainteresowanych, iż zachodzi możliwość udostępnienia im emigracji do Argentyny.

Po upływie pewnego czasu szef Hillsa, nie proszony zresztą o to wcale, pułkownik Martin, potwierdził słowa majora. Liczba indywidualnych ucieczek zmniejszyła się prawo do zera. W kwietniu roku 1947 przedstawiciel misji brytyjskiej złożył oficjalne oświadczenie w Watykanie, że nikt nie będzie wydany bolszewikom siłą. A w maju... tak jest, dnia 7 maja 1947 roku zawiadomiono internowanych, że pojadą na roboty do Szkocji. Pierwszy transport odejść ma niezwłocznie jutro już, przewidzianych jest 197 osób według odczytanej listy.

... Kto czytał opowieść majora Józefa Czapskiego pt. Wspomnienia Starobielskie i inne sprawozdania z obozów Kozielska i Ostaszkowa, ten w radości, jaka opanowała "wybranych", w zazdrości pozostających za drutami, doszuka się łatwo dużej analogii. Jak też w dalszym ciągu:

Identyczne metody

Wybranych odseparowano. Nazajutrz odbyła się bardzo ścisła rewizja. Odebrano przede wszystkim ubrania angielskie, które wydano im kiedyś i wpakowano ich w stare mundury niemieckie. Odebrano dalej wszelkie przedmioty ostre, noże, żyletki; wszystko metalowe: puszki konserw, kubki. Wśród ludności włoskiej rozpuszczona została pogłoska, że odbędzie się transport ważnych "przestępców faszystowskich". Zarządzono stan wyjątkowy. Mieszkańcy miasteczka siedzieli w domu z zapartym tchem. W Rimini skoncentrowano silne oddziały wojska brytyjskiego, a także karabinierów republikańskich.

Rano o świcie dnia 8 maja 1947 roku: dwa bataliony karabinierów wkroczyły na ulice wiodące do dworca. Dworzec obstawiony został oddziałem MP z bronią maszynową. Gotową do strzału. Do samochodu ciężarowego wpakowywano tylko po piętnastu ludzi, w towarzystwie żandarmów. Niezależnie od tego przodem jechał dżip z ciężkim karabinem maszynowym, z tyłu zaś drugi taki sam dżip z takim samym karabinem maszynowym. Bokami motocykliści z bronią maszynową. Kawalkada ta, przypominająca zresztą zeznania tych co widzieli podobną na drodze Gniazdowo – Katyń, tym się różniła od tamtej, że jechała szpalerem wspomnianych już karabinierów. – Teraz już nie było mowy o żadnej Szkocji. Delikwentów szturchano i popychano, jak zwyczajnych "wrogów ludu" popycha się i szturcha w Sowietach. Na dworcu czekały bydlęce wagony opasane drutem kolczastym, do złudzenia przypominające te, którymi dostawiano Żydów do Majdanka. Dlatego też złudzenia prysły.

Piętnaście osób wysadzono i samochód zawrócił po nową partię.

Rozpoczęła się pierwsza walka

Pierwszym był niejaki Aleksander Krystalewski. On to dał sygnał. Podniósł raptem duży kamień, cisnął nim w głowę najbliższego żandarma i próbował się przerwać. W tej chwili dwudziestotrzyletni Paweł Rodin wyrwał drugiemu żandarmowi pistolet automatyczny, nacisnął cyngiel, nie wystrzelił, więc porwawszy za lufę jął sobie

kolbą torować drogę waląc po hełmach i ramionach. Podskoczył mu na pomoc Iwanow Anatol. Ten błyskawicznym ruchem wyrwał również broń maszynową z ręki brytyjskiego żołnierza i otworzył ogień w Anglików, raniąc kilku. Ale żandarmi już się opanowali i wszyscy trzej zginęli na miejscu.

Jednakże szamotanie się i walka trwała dalej z pozostałymi na peronie. Tymczasem auto powróciło, przywożąc nowy transport. Major Hills był na tyle człowiekiem, iż zezwolił, aby drugiej partii towarzyszyły na dworzec rodziny deportowanych. Ci, zoczywszy co się dzieje, rzucili się na pomoc walczącym. Ojciec i syn, Włodzimierz i Mikołaj Bykodorowowie, usiłują się przebić. Zostali zastrzeleni. Widząc to, dr Kurzakja, muzułmanin, popełnił samobójstwo. Tymczasem kobiety i dzieci podniosły niesamowity lament. Staruszka, matka Iwana Pałatko, podpełzła na kolanach do dowódcy eskorty, błagając, żeby jej wolno było podzielić los syna. Lata, lata całe go nie widziała. Uciekła z Sowietów, szukała go w Niemczech, odnalazła w Italii dopiero. "Christos tibia nagra..." – została kopnięta butem. Wreszcie udało się jakoś odseparować wrzeszczące kobiety. Major Hills chwalił się, że uratował życie tym kobietom, odsyłając je z powrotem do – Rimini.

Około południa sprzątnięto trupy, rannych i pobitych wpakowano do wagonów, zamknięto i pociąg ruszył w kierunku Bolonii.

Ale teraz się dopiero zaczęło na dobre.

Regularna bitwa w Bolonii

Transport z Rimini zatrzymał się w Bolonii, w oczekiwaniu na inny, wiozący podobnych straceńców z obozu w Pizie. Jechał w nim niejaki Paweł Piotrowicz Iwanow, b. oficer armii sowieckiej, który znienawidził sobie bolszewizm, a niezwykle upodobał hasła zachodnich demokracji. Wierzył w nie jak w Biblię. Był to człowiek poza tym prawy, zdolny, energiczny i odważny. Słynął z tych cech w obozie, wybrany tam na wewnętrznego komendanta, cieszył się niezwykłą popularnością. Kilkakrotnie była mowa o ucieczce. Iwanow stale się opierał. – Anglicy – twierdził – dali mi słowo honoru, że nie wydadzą bolszewikom, ja im wierzę. Pod jego wypływem karność zupełna panowała w Pizie i do żadnych wypadków nie doszło na dworcu. Do ostatniej chwili Iwanow nie wierzył, że może się stać coś podobnego... Do chwili, gdy w Bolonii zastał transport z Rimini. Wtedy zrozumiał.

Z Pizy wieziono tylko stu ludzi. Kazał im tedy być w pogotowiu, gdy zaczną wydawać żywność! wtedy!

Wagony otwarto. Przeszło dwustu pięćdziesięciu bezbronnych mężczyzn rzuciło się na brytyjską eskortę. Iwanow dowodził jak w regularnej bitwie. Pierwszy wyrwał karabin maszynowy z rąk żandarma i dał hasło do boju. Ci, którym udało się również rozbroić eskortę, zalegli na szynach otwierając ogień osłonowy. Reszta miała uciekać. Powstało jednak kłębowisko ludzi walczących głównie wręcz. Ze swej strony Anglicy otworzyli morderczy ogień. Według jednej wersji miało zginąć czterdziestu oficerów i żołnierzy brytyjskich, oraz stu deportowanych. Według innych, liczba zabitych i rannych sięga po stronie brytyjskiej dwudziestu, po stronie deportowanych sześćdziesięciu. Prawdopodobnie jest ona bardziej zbliżona do prawdy, co w niczym nie umniejsza sensu krwawej tragedii.

Lżejsze rany i potłuczenia odnieśli prawie wszyscy deportowani. Zrzucono ich z powrotem do wagonów powieziono do – Austrii. Z Austrii pojadą do Sowietów, gdzie ich powieszą.

W obozie w Rimini pozostali internowani wywiesili czarny sztandar. Zjawił się znowu pułkownik Martin i znowu dał słowo honoru, że nic podobnego się więcej już nie powtórzy.

Jeżeliby można było raz wreszcie zawierzyć temu słowu, to ostatnią chronologicznie bitwą drugiej wojny światowej na Zachodzie byłaby ta w Bolonii z dnia 8 maja 1947. Czy aby ostatnim aktem "kolaboracji" z największym tej wojny kolaborantem?
"Wiadomości", 1966, nr 48 (1078)

Józef Mackiewicz

48. OD RZEZI NA FOLWARKU DO – STALINIZMU

Z okazji mojej powieści Lewa wolna oraz historycznego przyczynku do niej gen. Kazimierza Rumszy ("Wiadomości", nr 1057), pisze mi teraz ówczesny dowódca 1-go pułku szwoleżerów, generał brygady Jerzy Grobicki z Kanady. Dla pouczenia czytelników młodszej generacji pozwolę sobie przypomnieć, że gen. Grobicki, wtedy major sztabu generalnego, jest ten sam, który w bitwie warszawskiej r. 1920 dokonał brawurowego ataku pod Płońskiem, ratując zagrożone tyły 5-ej armii gen. Sikorskiego (zob. m.in. Nad Wisłą i Wkrą Władysława Sikorskiego). Na marginesie zaś osobistym dodam, że gen. Grobicki był poprzednio zastępcą

dowódcy innego pułku kawalerii, tego mianowicie, w którym ja służyłem, i mimo zachowanej przeze mnie anonimowości "pułku" w powieści, rozpoznaje dokładnie niektóre fragmenty.

List gen. Grobickiego zawiera m.in. relację z pewnego zdarzenia, którego był świadkiem naocznym. Prosiłem go aby zezwolił na opublikowanie tej relacji, gdyż podobnie jak poprzedni przyczynek gen. Rumszy, posiada wartość historyczną.

Masakra w folwarku

W sierpniu 1920 – pisze do mnie gen. Grobicki – *dowodziłem 1-m pułkiem szwoleżerów podczas bitwy pod Warszawą. Nie pamiętam już 23 czy też 24 sierpnia, w godzinach porannych starliśmy się z uchodzącą kawalerią Gaja, na południe od Mławy, koło kolonii Aleksandryn. Po krótkiej wymianie strzałów poszliśmy w pościg za cofającymi się bolszewikami, ale wkrótce przegrodziła nam drogę rzeka uciekających sowieckich taborów, i pościg nasz chwilowo został z tego powodu wstrzymany na przeciąg jakiejś pół godziny. Kawaleria Gaja była po północnej stronie taborów, my zaś po południowej. Jednakże z naszej strony, która była położona trochę wyżej, widzieliśmy wszystko co się dzieje u nieprzyjaciela. Pod ogniem naszej armatki górskiej kręciła się masa jeźdźców to w prawo to w lewo, aż w końcu ruszyła w kolumnie plutonów rozwiniętych, na wschód. W tym kierunku biegł również tor kolejowy Mława-Modlin, a dalej teren wznosił się, i o kilometr za. torem, na wzgórzu, leżał jakiś folwark otoczony drzewami W pewnej chwili z tego folwarku padły strzały, i część konnej kolumny bolszewickiej rozwinęła się w jego kierunku, ruszając do szarży.*

Z naszego punktu obserwacyjnego widać było jak mimo strzałów z folwarku został on otoczony, i strzelanina wkrótce ustała. Zaś masa kawalerii bolszewickiej znikła nam z oczu za wzgórzem, uchodząc na wschód. W tym właśnie czasie zdołaliśmy otworzyć sobie drogę przez zmasowane tabory sowieckie i ruszyliśmy dalej w pogoń za bolszewikami.

Wkrótce przechodziliśmy koło folwarku. Oczom przedstawił się wstrząsający widok. Pole przed folwarkiem usłane było trupami końskimi, leżało ich co najmniej z pięćdziesiąt. Był to widoczny rezultat strat bolszewickich podczas szarży na folwark od tej strony. Ale w pierwszej chwili nie było widać ani jednego trupa ludzkiego. Dopiero w następnej chwili natknęliśmy się na pierwsze, okrutnie porąbane trupy polskich piechurów, których placówka z ręcznym karabinem maszynowym była wysunięta do stert, tuż przed samym folwarkiem. Sam folwark otoczony był świerkowym żywopłotem, stanowiącym idealna obronę przed konnym atakiem. Ale gdy objechaliśmy go z boku i przez bramę wjazdową wjechaliśmy do środka, zobaczyliśmy rzecz straszną: całe podwórze usiane było porąbanymi w najdzikszy sposób trupami żołnierzy polskich. Naliczyliśmy ich ponad setkę. Niektórzy dawali słabe oznaki życia, ale o uratowaniu ich nie mogło być mowy.

Zadaliśmy sobie pytanie: jak mogło się stać, żeby piechota w biały dzień, na tak świetnej pozycji obronnej, mogła zostać do tego stopnia doszczętnie zniszczona przez konną szarżę. Odnieśliśmy wrażenie, iż w pewnej chwili musiała z jakiegoś powodu powstać panika, i bolszewicy przez otwarte bramy wpadli do środka folwarku i zajechali piechotę, leżącą wzdłuż żywopłotu, z tyłu. Nie był to batalion, lecz silna kompania. Wśród pomordowanych znaleźliśmy trzech oficerów, w tym jednego kapitana. Z całej obsady folwarcznej nie wyszedł z życiem ani jeden człowiek!

Nie pamiętam dziś nazwy tego folwarku, jak również nie mogę ustalić jaki był to oddział. Sądzę, że musiał należeć do dywizji ochotniczej płk. Koca, a może do 18-ej dywizji piechoty, które działały wówczas w tym rejonie. Jako naoczny świadek przedstawiłem przebieg faktyczny zajścia. Nie stało się to w nocy, ani też piechota nie mogła być od początku zaskoczona działaniem kawalerii bolszewickiej. Co się rozegrało wewnątrz tego folwarku, nie dowiemy się oczywiście nigdy. Możemy tylko przypuszczać. Natomiast jak do tego doszło, byłem naocznym świadkiem.

Tyle gen. Grobicki.

Sądzę, że ma rację, iż przyczyną strasznej katastrofy musiała być z nagła wybuchła panika w oddziale piechoty. Z opisu, i zresztą z załączonego przez gen. Grobickiego planu, wynika że zajechani raptownie od tyłu, musieli się raczej poddać, niż zginąć w walce. Gdyż byłyby ślady tej walki. Na wojnie jak na wojnie: panika chadza pod rękę z bohaterstwem; z historycznej perspektywy żadnej armii na świecie tego rodzaju fragmenty psychicznego niżu ujmy me przynoszą. Należą do rzeczy ludzkich, jak samo życie i strach przed śmiercią. Tylko w wylakierowanych jednostronnie przedstawieniach wojny, w których nasza literatura tak często celuje, stwierdzenie rzeczy po prostu prawdziwych wydaje się dziwolągiem i powoduje protesty.

W wypadku więc opisanym przez gen. Grobickiego mamy niewątpliwie do czynienia z faktem wymordowania jeńców.

Nasuwa się pytanie, czy przytoczona masakra w folwarku jest "poprawką" poprzednich opisów, przyczynkiem tylko do znanej rzezi jeńców polskich w tamtym rejonie, wymienionej w dziele gen. Sikorskiego,

Mallnowskiego, w mojej powieści i innych źródłach, czy też chodzi tu o nową zbrodnię bolszewicką dotychczas nie opisaną? Już gen. Rumsza przypomniał, że w tamtym rejonie nie było jednej masakry, ale więcej, bo w Chorzelach wymordowano ponadto rannych żołnierzy polskich wywleczonych ze szpitala. Nie wdając się w szczegółową analizę, która zajęłaby zbyt dużo miejsca, powiem tylko, że na podstawie przytoczonych szczegółów i zestawienia ich z dotychczas dostępnym materiałem, nabieram przekonania że gen. Grobicki opisuje tu nowy, nigdy przedtem nie opisany fakt historyczny.

Natomiast dla rozważań które mi się ubocznie nasunęły, nie ma to większego znaczenia. Dla rozważań mianowicie nad pytaniem, dlaczego prawda o tamtych dziejach jest dziś wyjątkowo niepopularna? I to wcale nie z powodu przedawnienia, ani dlatego by tamte dzieje nabrały już posmaku wspominkarstwa staruszków. To raczej jawny pretekst. Bo z drugiej strony dużą popularnością cieszą się dziś te same tematy w "romantycznej" literaturze rewolucyjnej, aż do obdzielania jej nagrodą Nobla włącznie.

"Antystalinizm"

Wojna polsko-bolszewicka 1919-1920, i w ogóle wszystkie wojny i walki z bolszewikami tamtego okresu, odznaczały się wyjątkową brutalnością. Przyznajmy szczerze, z obu stron. Ale też pozwólmy sobie przypomnieć, że okrucieństwa strony bolszewickiej, nieraz wyszukane w ich sadyzmie, były nieprześcignione. Nie prześcignęły ich też późniejsze lata i późniejsze wojny. Nie prześcignął ich ani Hitler, ani Stalin.

Dziś jeszcze pamięta się i oburza na słynny "Kommissarsbefehl" Hitlera z r. 1941, rozkaz rozstrzeliwania wziętych do niewoli sowieckich komisarzy politycznych. (Jak wiemy z najnowszych źródeł, w 90% nie wykonany przez dowódców Wehrmachtu). W r. 1920 mordowanie wziętych do niewoli liniowych oficerów polskich było regułą. Tenże sowiecki komkor Gaj, w swej książce Na Warszawu, utyskuje rzeczowo, że "utarł się zwyczaj nie doprowadzania wziętych do niewoli oficerów polskich, lecz zarąbywania ich na miejscu". Nawet mu do głowy nie przyjdzie, aby w wydanej w okresie leninowskiego Nepu książce, utyskiwać na to ze względów moralnych, czy chociażby wojskowo-prawno-obyczajowych. Po prostu narzeka na ten "utarty zwyczaj" tylko dlatego, że sztab jego pozbawiony był przez to "języka". Powiedzieć by, że za takie postępowanie powinien być postawiony przed rodzajem jakiegoś "Międzynarodowego Trybunału w Norymberdze", wywołałoby pusty śmiech.

Dlatego właśnie pytanie, czy przytoczony opis gen. Grobickiego dotyczy nowej, trzeciej rzezi w tym rejonie, czy tylko jednej z dwóch już znanych, nie wpływa na zmianę całości obrazu. Takich i podobnych rzezi dokonali bolszewicy w tamtych latach nie trzy, nie cztery, lecz setki i tysiące. Mordowano oficerów, mordowano i jeńców-szeregowych; mordowano księży, szlachtę, biskupów, "burżujów" wszelkiego rodzaju, chłopów-kułaków i nie-kułaków, inteligencje; mordowano "kontrę" wszystkich stanów ze stanem robotniczym włącznie.

Pod sztandarem Lenina.

Raptem, ten okres rozpasanej rzezi przechodzi dziś do historii literatury światowej pod nazwą "Romantyczny okres rewolucji". I tak każą nam nazywać te "przedstalinowskie" czasy. I tak też nazywają je współcześni konformiści wszystkich stanów. Ze Stanami Zjednoczonymi na czele.

W książce Zwycięstwo prowokacji pozwoliłem sobie jako klasyczny przykład przytoczyć Izaaka Babela. Cytowałem słodkawe zachwyty nad tym utalentowanym zresztą pisarzem sowieckim tamtego okresu, m.in. Zofii Starowieyskiej-Morstinowej w katolickim "Tygodniku Powszechnym". Chociaż Babel z punktu widzenia katolickiego był bluźniercą, a z życiorysu agent "Czeka" i politruk 1-ej konnej armii Budionnego, która bardziej jeszcze wsławiła się w zarąbywaniu jeńców polskich niż 3-i konny korpus Gaja. Później Babel wpadł w niełaskę Stalina i na temat tej "ofiary stalinizmu" roztkliwiano się w ostatnich latach chyba więcej, niż on sam napisał utworów literackich. Wszystkie prawie kraje wydały teraz tłumaczenia jego książek, co jest zrozumiałe ze względu na talent autora. Ale nie chodzi o jego książki, lecz o przedmowy do tych książek. Każda podkreśla, że Babel należał do "romantycznego okresu rewolucji"... Jego szef, Feliks Dzierżyński, przewodniczący "Czrezwyczajnoj Komissiji po Borbie s Kontrriewolucyjej", winien jest śmierci milionów ludzi. Z zestawienia prawd historycznych można by wysnuć, że służba w "Reichssicherheitshauptamt SS" należała również do "okresu romantycznego". W żadnym wypadku. To co czynił Hitler, to zbrodnie nazistowskie. To co czynił Lenin, to romantyzm bolszewicki. Ale w tej chwili chodzi mi nie o zestawienie Lenina z Hitlerem, lecz o zestawienie Lenina ze Stalinem.

* * *

Rzecz wygląda dosyć szczególnie. Można by nawet powiedzieć, "zabawnie"... gdyby słowo to nie raziło w tym kontekście.

Lenin był przede wszystkim naszym wrogiem. "Naszym", rozumiem w tej chwili nie tylko Polski. Wrogiem całego świata nie-komunistycznego; wszystkich wolnych narodów i wolnych społeczeństw; wrogiem wszystkich wolnych ludzi, którzy nie chcieli iść w jarzmo bolszewickiej doktryny. I z jego to najwyższego rozkazu niszczono tych

ludzi: wtrącano do więzień, założono dla nich pierwsze na świecie obozy koncentracyjne, strzelano, zarąbywano. Tymczasem doczekaliśmy – nieoczekiwanego skrętu historii. Przypomnienie tej prawdy, którą wielu z nas pamięta z przeżyć osobistych, uznane zostaje za intelektualny kicz a polityczny nietakt. I to nie tylko wśród spekulantów Zachodu, ale również wśród wielu rodaków na służbie tej spekulacji. Gdyż dziś tylko poleninowski Stalin ma być postacią ciemną; sam zaś Lenin – postacią światłą. Jak do tej instrukcji doszło, powiem za chwilę. Na razie, zwróćmy uwagę, jest to postawienie rzeczy na głowie, paradoksalne. Albowiem, że użyję tu obrazowego skrótu: Lenin mordował "nas", t.zn. nie-komunistów; Stalin zaś mordował "ich", t.zn. niewygodnych sobie komunistów i starą gwardię leninowską, czyli właśnie naszych wrogów.

W czwartym dziesięcioleciu, gdy to czynił, mogło nas wprawiać w zdumienie, interesować, lub nawet napawać nadzieją, pobudzać do spekulacji na temat analogii z "18 Brumaire", co też wielu czyniło, skrycie lub jawnie ciesząc się na te nadzieje.

Wprawdzie Stalin zarówno wcześniej (zniszczenie chłopów), jak i później dopuścił się masy zbrodni również w stosunku do "nas", ale o tym mówi się mniej, albo wcale. Natomiast poczytuje mu się za główną winę gnębienie "dobrych i postępowych bolszewików". I każe nam szczególnie te ofiary "stalinizmu"' opłakiwać. I w myśl instrukcji, opłakujemy. Jeżeli chodzi o naszą emigrację, to nastąpiło po pierwsze uroczyste odżegnanie się, że nie jest "biała". Później, że nie jest w każdym razie "kontrrewolucyjna", jako że Polska nigdy taka nie była od czasów Piłsudskiego, a zawsze tylko "antyrosyjska". Później, że już nie jest "antykomunistyczna", gdyż z tym piętnem nie przyjmuje się w dobrym towarzystwie. Przyszło ograniczenie do "antystalinizmu". A w ostatnich czasach, stawiając nam za wzór rozsądnych komunistów, takich jak Dżilas, Mihajlov i t.d., a z polskich Kuronia i Modzelewskiego, zaczyna się już proponować przejście na skromniejszy etap – "antybiurokratyzmu"...

Niewątpliwie, poważna ewolucja dokonała się w nas samych od tamtych czasów, gdy jeńcy polscy rąbani byli przez bolszewików Lenina. Od czasów, gdy w Moskwie panowała "Proletkultura" i założono "Bezbożnika"; gdy zakazani byli jeszcze i Puszkin, i Lermontow, i Gogol, i inni, nie mówiąc już o Dostojewskim, a w charakterze oficjalnego barda rozpierał się na Kremlu Demian ("Łakiejewicz") Biednyj; gdy po prawdziwej kulturze deptano butami jak po odłamkach szkła.

Leninowskie czasy.

Powiedzieć by dziś, że ze współczesnych wydarzeń, najbardziej podobne były do obecnej w Chinach "rewolucji kulturalnej" – ciarki przechodzą na myśl, do jakiej kategorii wstecznictwa i ciemnogrodu zostałoby się zepchniętym za takie porównanie. Nie tylko przez obcych, ale i własnych intelektuałów. Tak głęboko rozrzewnionych "polskim październikiem", i nawrotem Gomułki od "stalinizmu" do "czystego leninizmu". Już to trzeba przyznać, że nasi "nonkonformiści" spod znaku zerwania z zapleśniałym antykomunizmem, chadzają przeważnie na czworakach wobec potęg rządzących światem, a wyprostowują się dopiero dumnie wobec bezsilnej garstki tzw. "niezłomnych", którym "przedawniony reumatyzm" nie pozwala się schylać, i całować narzuconej rzeczywistości w d...
* * *

"Stalinizm" należy do rodzaju klasycznej dezinformacji. Stanowi bowiem fragment dowolnie wykrojony z całości, i przez to utrudniający rozpoznanie tej całości. W schematycznym ujęciu historia tego terminu przedstawia się pokrótce tak: pierwszy wymyślił go stary bolszewik, Lew Bronsztejn-Trocki, gdy się pokłócił ze Stalinem i został przez niego wydalony z granic Związku Sowieckiego. Termin ten zrazu się nie przyjął, a wyszedł z obiegu zupełnie, gdy podczas drugiej wojny światowej stał się dla propagandy mocarstw zachodnich wcieleniem "ewolucji komunizmu" w najlepszym stylu, tzn. w kierunku "demokratyzacji", "liberalizacji", "tolerancji" i tendencji nacjonalistycznych. A wiec tych wartości, jakie się dziś mobilizuje, i na które się stawia, doszukując rzekomej "ewolucji", akurat w walce ze "stalinizmem". Ale 20 lat temu Stalin sam miał uosabiać "ewolucję". Mimo jawnej deportacji milionów ludzi i całych narodów, mimo zbrodni katyńskiej i t.d. Ten postępowo-"ewolucyjny" charakter Stalina dostrzegła wówczas i oceniła zaraz cała lewica intelektualna i wszyscy prokomuniści świata. W Polsce, nawiasem, nie było pod tym względem rozsądniej niż gdzie indziej. Już to samo ujawnia arogancką sztuczność terminu "stalinizm" dziś, gdyż większość ludzi pamięta przecie jeszcze czasy wojny dobrze.

"Stalinizm" zrobił karierę dopiero po wojnie. Po pierwsze, mocarstwa zachodnie pokłóciły się ze Stalinem. Po drugie, wyszukały masę rozczarowanych, pokrzywdzonych i obrażonych na Stalina komunistów i prokomunistów, od których termin ten przyjęty został przez światową lewicę intelektualną. Ale, zdawało się, Stalin umrze i zemrze z nim razem "antystalinizm". Wręcz odwrotnie: rozkwit "antystalinizmu" przypada akurat na okres po jego śmierci. Mocarstwa zachodnie trafnie oceniły, że będzie to hasło walki z czymś, co nie egzystuje naprawdę, i nie zagraża wojną, aby odwrócić uwagę i uniknąć walki (której uniknąć pragną za wszelką cenę!), z czymś, co egzystuje i zagraża całemu światu.

Pragnieniem mocarstw zachodnich jest pokojowa koegzystencja, współistnienie. Redaktor Grydzewski spolszczył je w termin: "współśmierdzenie", raczej zbyt optymistycznie, albowiem wywołać może skutki gorsze

od smrodu. Mimo najlepszych starań, Zachód nie potrafi jednak wyłączyć bez reszty konfrontacji z rzeczywistością komunistyczną, ani usunąć z pamięci tego nieprzyjemnego posmaku jaki pozostawił już pół wieku bez mała panujący bolszewizm. I oto znalazła się recepta.

W Litwie jeszcze "burżuazyjnej", gdy w latach 1939-1940 wpadła pod satelicką zależność od Sowietów, nie wolno było naturalnie więzić wywrotowców komunistycznych. Poradzono sobie, aresztując wyłącznie – "trockistowców"... Nie było to więc działanie wrogie względem hegemona, lecz z nim zgodne, choć niezbyt szczere. Mocarstwa zachodnie nie wpadły wprawdzie w zależność satelicką od Sowietów (jakkolwiek Francji de Gaulle'a niedużo do tego brak), ale za to szczerze pragną współistnienia, które wyłącza działanie antykomunistyczne. Stąd, trochę podobnie, choć z innych okoliczności, jak wówczas na Litwie na "antytrockizm", przestawiono się na – "antystalinizm". Czyli, jak już wspomniałem, wszystkie zło całości bolszewizmu, zepchnięto na jeden jego fragment stalinowski. Przy tym trzeba mieć szczęście: jak z nieba na ziemię stoczył się Chruszczow, ze swym antystalinowskim wystąpieniem i kursem!

W ten sposób ku wzajemnemu zadowoleniu, i Sowietów, i mocarstw zachodnich, i lewicy intelektualnej, "antystalinizm" stal się dodatkową rękojmią pokojowej koegzystencji. Sloganem nie sporu, lecz ugody. Co zresztą musi wynikać z natury zgodnego poglądu, że za zbrodnie praktyki komunistycznej ponosi odpowiedzialność nie ustrój, lecz – wyłącznie Stalin.

"Antystalinizm" nie jest więc skierowany przeciwko ustrojowi komunistycznemu, tylko jego mankamentom. Nie przeciwko doktrynie, lecz przerostom i nadużyciom doktryny. Konsekwentny, obowiązujący dziś "antystalinizm" nie jest formą zastępczą antykomunizmu Przeciwnie: nie zastępuje, lecz wyłącza antykomunizm.

Poza wszystkim jednak "antystalinizm" wyłącza wszelki "antyleninizm". Gdyż istota zła "stalinizmu", już z chronologicznego przedstawienia, ma tkwić nie w ciągłości, lecz w zerwaniu ciągłości tego, co było przed nim. Prowadzi to do logicznego wywodu, że nie dzieło Lenina, bolszewizm, powinno być potępione, lecz odwrotnie wypaczenie tego pięknego dzieła przez brzydkiego Stalina.

Tak by się po krotce przedstawiała historia i kariera tego terminu.

Stanowić może jednocześnie odpowiedź na postawione pytanie, dlaczego w intelektualnej atmosferze i koniunkturze oficjalnego na Zachodzie "antystalinizmu", autentyczna, okrutna prawda historyczna o czasach leninowskich, traktowana jest niby włażenie w zabłoconych butach na parkiety salonowego prokomunizmu. To znaczy, ze szczerym niesmakiem. Z chęcią pozbycia się gościa i przemilczenia jego nietaktu.

P.S. – Wstrząsającą relację płk. Stefana Majewskiego o rzezi jeńców polskich dokonanej przez bolszewików pod Mławą ("Wiadomości" nr 1074) przeczytałem dopiero po napisaniu swego artykułu. Relacja płk. Majewskiego utwierdza mnie tym bardziej w wyrażonym uprzednio przeświadczeniu, że przytoczony przeze mnie opis gen. Grobickiego o masakrze w folwarku nie mógł dotyczyć tej "głównej" rzezi, o której wspominają źródła historyczne, a stanowi zupełnie nowy, przedtem nigdzie nie opisany fragment tamtej wojny.
"Wiadomości", 1972, nr 42 (1385); zmieniłem nieco pisownię i interpunkcję – K. K.

Józef Mackiewicz

49. KSIĄŻKA O NIEPOKOJĄCYCH ANALOGIACH: "PAMIĘTNIKI" WĘDZIAGOLSKIEGO

Pamiętniki Karola Wędziagolskiego, wydane przez Polską Fundacje Kulturalną w Londynie [1972, s. 442 i 6nl], należałoby umieścić na półce klasycznego tzw. "wkładu" do historycznej literatury światowej. Mają one wartość nieprzemijającą, daleko poza kręgiem spraw polskich. Jeżeli chodzi o piśmiennictwo polskie, Pamiętniki Wędziagolskiego stanowią szczególny wyjątek. Mamy moc dzieł o rewolucji w Rosji. Autorami tych książek są jednak przeważnie obserwatorzy lub "ofiary" rewolucji. Po raz pierwszy bodaj występuje nie widz, lecz aktor tamtych dziejów. I na tym: "od wewnętrznej strony" polega różnica i największa wartość tej książki zarazem. Naturalnie, istnieje dużo książek napisanych przez bolszewików różnych narodowości, w tej liczbie z tuzin przez działających wówczas polskich bolszewików. Ale te nie należą do literatur narodowych, lecz – bez względu na język – do wspólnoty literatury komunistycznej, zarówno tamtych jak dzisiejszych czasów. To zupełnie co innego.

W prasie polskiej pojawiło się już wiele recenzji o Pamiętnikach Wędziagolskiego. Wszyscy chwalą. Niektórzy wyrażają zachwyty. Książka Wędziagolskiego stała się emigracyjnym "bestsellerem". Bardzo słusznie. Doskonały jest wartki tok opowiadania, świetne ujęcie literackie, język, piękne opisy. Już dlatego książka jest warta pochłonięcia. A cóż dopiero jej autentyzm historyczny.

Autor, Karol Wędziagolski, jest jak mało kto postacią kolorową na tle – chciałoby się rzec: kolorowych czasów. Gdyby nie był to kolor krwi, czerni i gruzów walącej się epoki. Tratowanej kopytami konnicy, kołami taczanek,

zdeptanej butami wojny domowej. Zaplutej łuskami "siemieczek" obok łusek wystrzelonych taśm karabinów maszynowych. Słońce świeciło przez kurz i dymy. Księżyc padał na przemykających w strachu uciekinierów. Nastawała nowa epoka kolektywnego terroru. W tym galimatiasie frontów, mordów i wywrzaskiwanych haseł, Wędziagolski jest rewolucjonistą z przekonań i – kontrrewolucjonistą z nabytego doświadczenia. Był... Ba, kim on nie był! Przede wszystkim towarzyszem i przyjacielem socjal-rewolucjonisty Borysa Sawinkowa, którego to Winston Churchill. w swej wydanej w r. 1937 książce: Great Contemporaries , zalicza do wielkich postaci dziejowych świata. Wędziagolski znał Kierenskiego, księcia Lwowa i Lwa Trockiego; Milukowa, Korniłowa, Wrangla, Denikina i wielu innych z frontu kontrrewolucji: staje się później zaufanym Piłsudskiego, jada obiady w Paryżu z Dmowskim... – Doszła mnie sceptyczna uwaga: "Oj, czy nie wyolbrzymia on kapeczkę swojej roli, czy nie przesadza ździebko swego znaczenia..." – Nawet, nawet. Nawet jeżeli podkoloryzował gdzieniegdzie błyskotliwość własnej osoby, nawet wtedy nie ujmuje to, ale dodaje uroku Pamiętnikom . W żadnym jednak razie nie odbiera książce tego, co jest w niej najcenniejsze z obserwacji faktów, co czyni z niej dzieło o wyjątkowym znaczeniu, a do czego pozwolę sobie powrócić później. Na razie zacznijmy od początku.

50. WARSZAWA 1914

Pisze Wędziagolski: "Wielu się spodziewało, że wojna ta zwiastuje lepsze jutro. Tylko nieliczni przeczuwali już wtedy, że rozpoczął się nowy i krwawy rozdział historii, jako wstęp do epoki, którą wkrótce kilku szaleńców proklamuje jako epokę szczęśliwości..."

Warszawa leżała wonczas na zapleczu "nowego rozdziału historii". Że zamykał on jednocześnie epokę poprzednią, która nie miała już powrócić, zgłaszam się do Wędziagolskiego na jednego ze świadków koronnych. Mimo mego wieku, wtedy wstępno-gimnazjalnego, tak odległego od osobistych doznań autora Pamiętników , rąbek tamtej epoki pozostał mi dobrze w pamięci: Byliśmy wtedy przypadkowo w Ciechocinku. Sezon w pełni. (Kowalewski co tylko pobił Jachimowicza w polskich mistrzostwach tenisowych). Panie pod parasolkami słonecznymi zdziwiły się, że raptem przestała grać w parku orkiestra wojskowa. Nazajutrz przemaszerował oddział pruskiej piechoty w błyszczących kaskach. – Jak to mogą nie kursować pociągi do Warszawy?! Wojna? Ależ nie dotyczy to chyba kuracjuszy! Wszystko otwarte. Teatr, kinematograf, kawiarnie, sklepy. Patrol dragonów niemieckich rozdawał po ulicach uzdrowiska odezwy do Polaków, wyciągając je z cholew żółtych butów: "Polacy! ..." dalej szedł tekst pisany stylem i ortografią poznańskiego wachmistrza. Wreszcie zabrakło czegoś w sklepach. Dopiero pomysłowy przedsiębiorca (zarobił na tym pewnie masę) zorganizował transport do Warszawy "auto-karami". Jechało się – rzecz, najbardziej naturalna – bez żadnych przepustek i pozwoleń, bez kontroli dokumentów, "przez fronty" (w Nieszawie stał jeszcze gorodowoj) do Kutna. Stamtąd koleją.

Co za przeżycia dla mnie! Matka, pamiętam, była oburzona że nocny pociąg z Kutna wyszedł z godzinnym : opóźnieniem bo – powiadano – gdzieś latał Zeppelin... ("Ale co to nas może obchodzić!" – Oberkonduktor wzruszał na to pokornie ramionami). Pociąg ruszył. Ostatnie: adieu! Belle époque!...

Wróćmy do Wędziagolskiego. Pisze on: "Ówczesna Warszawa zrobiła na mnie wrażenie miasta nazbyt już przejętego militarnymi sprawami rosyjskiego zaborcy, jakby zgodnie z wielkoksiążęcą odezwą do Polaków te sprawy stawały się wspólne". Znów mogę mu służyć za świadka: pamiętam te tłumy warszawskie wiwatujące, machające z okien, chodników i tramwajów do maszerujących kolumn rosyjskich. Kwiaty... Znów ku dużemu rozdrażnieniu mojej matki, która była "orientacji austriackiej" (Wujaszek Adaś z Krakowa akurat mianowany został c.k. Feldmarschalleutenant, czyli generał-lejtnantem, w Wiedniu). Dziś się o tym mało pisze, lub wcale. Wtedy, pod deklamację pięknego wiersza Edwarda Słońskiego: "Szły tędy pułki kozackie..."

Wędziagolski na temat słynnej odezwy w. ks. Mikołaja Mikołajewicza pisze: "...mogłaby być historyczną, gdyby nie była po cygańsku chytrą, bo podpisana nie przez monarchę, lecz przez naczelnego wodza, którego obietnice monarcha już nazajutrz może uznać za nieobowiązujące". – Jest to opinia, która – po krótkiej euforii – przyjęta została później jednolicie przez społeczeństwo polskie (i bodaj przez historyków) aż do naszych dni. Pozwolę tu sobie na dygresję: nie będąc ekspertem w tej materii, mam wrażenie, że ta opinia nie jest ścisła, jeżeli chodzi o stronę formalno-prawną. Czy bowiem z ustawowo-formalnej strony, car mógł się w ogóle zwrócić per: "Polacy"? Zdaje się że nie. Z wysokości tronu istnieli tylko "poddani imperatora Wszechrosji" (tzn. wszyscy, od ostatniego żebraka po wielkich książąt) i nie podlegali podziałowi na narodowości. Jedynie na stany i wyznania. Cesarz mógł się zwrócić z "najwyższą" odezwą do: prawosławnych, katolików, ewangelików itd. Mógł do: szlachty, mieszczan, chłopów itd. Ale nie mógł do: Rosjan, Polaków, Litwinów itd. Bo by to obalało istniejącą formę ustrojową. Podobnie królowie angielscy zwracają się w formie: My people! a nie inaczej. Tak samo jak wojsko, poczta itd. są w Anglii z formy "królewskie", choć z istoty państwowe. W dawnej Rosji nikt nie kwestionował istnienia narodu rosyjskiego (i jeszcze jak! Np. w okresach intensywnej rusyfikacji), polskiego i innych wchodzących w skład imperium. Z faktu tego władny był wyciągać praktyczne wnioski każdy, aż do wielkiego księcia włącznie, zarówno z treści jak formy. Z wyjątkiem samego samodzierżcy... dla którego formalnie istnieli jedynie poddani różnych wyznań i różnych stanów. Tak też i uprzednie "najwyższe" ukazy

ograniczające prawa Polaków, jak np. dostęp do akademii sztabu generalnego, nie mówiły o "Polakach", lecz o "katolikach" (Można je było w ten sam sposób obejść. Gen. Anders np. był protestantem) itd., itd. Odezwa w. ks. Mikołaja Mikołajewicza do "Polaków" w r. 1914 była aktem politycznym. I oczywiście, jak każdy akt polityczny, mogła być dotrzymana lub sto razy nie dotrzymana, z mnogich względów politycznych. Ale wzgląd, kto położył podpis pod aktem, sam cesarz, czy jego stryj i wódz naczelny, odgrywałby niewątpliwie rolę najmniejszą, lub żadną zgoła. Tzn. równie małą, jaką odgrywa podpis we wszystkich aktach, paktach i przyrzeczeniach od początku świata.

Naturalnie, dla tych samych względów politycznych, samodzierżca wszechrosyjski mógłby, gdyby chciał (mu poradzono), dokonać wyłomu w formalnym statusie tronu. No, ale był właśnie rok jeszcze 1914.

51. NUDA WOJNY, NUDA KLĘSKI

Wędziagolski, który był wtedy na froncie, znakomicie opisuje swe przeżycia. Wizyty w dworach polskich ,,w Królestwie", typy ludzi, lasy-pola, swoje przez nie marszruty konne; przelotne zapatrzenia... – Nastąpiła klęska militarna armii rosyjskiej. Odwrót. I oto na tej pozornie barwnej taśmie:

"Długimi drogami, niekończącymi się bezdrożami, dniem i nocą. Konie tuliły uszy i przysiadały na zadach. Ludzie nieprzytomni ze zmęczenia, brnęli zmąconymi szeregami..Jak przemajaczone w gorączce mijały noce na wozach lub w ohydnych chałupach, dni wlokły się i obracały jak wozowe koła w roztopach. Ludzie dziczeli. Cały widnokrąg życia zaciągnął się mściwą nudą... Później stawał bezruch nad frontem na całe tygodnie i ustalała się rutyna przyziemnego życia z dnia na dzień, w której już na spokojnie rdzewiała i próchniała od wewnątrz wrażliwość dla wzniosłych pojęć. W okopach wybierano wszy i z nudów oddawano strzały w kierunku przeciwnika".

Niesłusznie – że jakoby "realistycznie" jest pisać łatwo. Najtrudniej przedstawić jest zawsze nagą prawdę, lub do niej podobną. Talent literacki Wędziagolskiego pozwala mu utrwalić na kliszy również tło, którego się zazwyczaj unika w malunkach wojny, mianowicie jej – nudę. Tzn. te długie tygodnie wypełniające czas pomiędzy krótkimi spięciami epizodów.

Zabójstwo Rasputina było niewątpliwie "wielką przygodą". Ale to tam, w Petersburgu. Na pozycjach, w Karpatach: "...śnieg, utrudniając komunikację z okopami, potęgował świadomość bezsilnych skazańców, odciętych od świata i życia. Znów nuda stawała się powszechną zmorą, znów marniała nadzieja, że coś się przecie zmieni i odmieni martwą kolejność ednostajnych dni... Po kilku dniach poruszenia zabójstwem Rasputina w naszym głuchym zakątku między górami, a zapewne wszędzie indziej na froncie, znów się rozpoczął okres zautomatyzowanej nudy..."

52. OTWARCIE DROGI BOLSZEWIKOM

Wędziagolski pisze: "Od społeczeństwa, od inteligencji w dół, przenikała inspiracja rewolucyjna. Żołnierz wprawdzie nie potrzebował jej dla odczucia gorzkiego zawodu, gdy zamiast obiecywanych zwycięstw przyszły klęski. Nieudolność dowództwa traktował jako osobistą krzywdę"... – Nad tym stwierdzeniem autora o "nieudolności dowództwa" mam się ochotę zastanowić. Bo wojnę najczęściej jeden wygrywa, drugi przegrywa. Czy każda przegrana musi być dowodem "nieudolności" strony przegrywającej? Czy : nie bywa też czasem dowodem "udolności" strony wygrywającej? Nie jest dowiedzione, że Niemcy na froncie wschodnim w pierwszej wojnie światowej nie zawdzięczali wygranej swoim walorom militarnym.

Tymczasem przebieg kampanii, niefortunny dla Rosji, zaostrzał wewnętrzną polaryzację. 80% inteligencji rosyjskiej: "stanowili liberałowie i zwolennicy socjalizmu". I – jak pisze dziś Wędziagolski: "Nadszedł wreszcie ten dzień wymarzony i przeklęty, zapowiedziany tylokrotnie przez poetów, proroków i filozofów, dzień o podwójnym obliczu, dzień pozornie sprawiedliwy i błogosławiony jako świt ku powszechnemu szczęściu, gdy w rzeczywistości był zmierzchem przed straszliwą nocą, unicestwieniem wszelkich nadziei".

Wędziagolski staje się prezesem Rewolucyjnego Komitetu 8-ej Armii. Wkrótce potem zbliża się do Sawinkowa, który jest zrazu wojennym komisarzem Tymczasowego Rządu, a niezadługo ministrem wojny. Wielkie imię Sawinkowa, rewolucjonisty-terrorysty z ubiegłej epoki, otwiera mu zrazu drogę kariery rewolucyjnej. Ale skutki ,,pogłębiania rewolucji" otwierają mu jednocześnie oczy na rzeczywistość, leżącą poza obrębem doktryny. Sądzę, że w ten sam sposób jak Wędziagolskiemu. Może stąd ich zbliżenie? Wędziagolski staje się odtąd wiernym towarzyszem dążeń i przygód Sawinkowa.

Zaczęło się od wydania przez "Tymczasowy Rząd" "prikazu nr 1", tzn. o powołaniu wojskowych komitetów rewolucyjnych. To za Kierenskiego. Ten rozkaz nr 1 stał się usprawiedliwieniem anarchii, rozkładu armii i wszelkich zbrodni pod jego egidą popełnionych. "Zrodził go – pisze Wędziagolski – strach rewolucyjnych cywilów, by żołnierzom nie przyszło do głowy poprzeć swoimi karabinami taką czy inną kontrrewolucję. W miarę bowiem jak niezłomna wiara, że wystarczy obalić carat a wszystko będzie dobrze, zaczynała chwiać się w obliczu anarchii, wzrastał w obozie republikańskim strach przed kontrrewolucją, ekscytowany do form maniactwa, który oślepiał i znieczulał na niebezpieczeństwo bolszewizmu". – Nie było już odwrotu: "Głos ludu, glos Boga" podniesiony do dogmatu, doprowadził do podeptania i Boga i ludu.

W tym miejscu zaczyna się to, co Wędziagolski ma najważniejszego do powiedzenia ze swych przeżyć, obserwacji i konstatacji. W przeniesieniu na czasy dzisiejsze, można by to traktować jako ostrzeżenie przed dużymi i małymi, ale zastraszającymi analogiami do "kiereńszczyzny". Minie więcej niż pól wieku, niewielu już ludzi na świecie wie, kim był Kierenskij. Ale zapoczątkowany w r. 1917 model zdaje się rozszerzać i obejmować świat cały. Można się sceptycznie, nawet drwiąco odnieść do podobnego uogólnienia. Zjawisko jest normalne: ci. którzy odpadli, umarli, zostają wraz z ich działaniem w tyle jak kamienie drogowe, a ci, którzy kroczą naprzód, nie potrafią sobie uświadomić że tamci byli kiedyś współżyjącymi, współdziałającymi, że mogą być współtwórcami tego, co jest dziś. Wędziagolski odsłania nam istotę "kiereńszczyzny". Nie tę z historycznej anegdoty, ale tę z ducha i zasady, która otwarła drogę bolszewizmowi .Test to zasada: WRÓG LICZY SIĘ TYLKO Z PRAWA...

Akurat jednocześnie z ukazaniem się książki Wędziagolskiego, pisze w Ameryce stary socjalista, rodem z Wilna. Dawid Szub: "Oni widzieli niebezpieczeństwo tylko z prawa... Gdy w lipcu 1917 Lenin podjął pierwszą próbę przewrotu bolszewickiego, delegacja mienszewików, na czele z F. J. Danem pospieszyła do Kierenskiego, aby za Boga nie wysyłał tylko kozaków dla stłumienia Leninowskiego zamachu!..."

Sawinkow będąc już ministrem wojny w rządzie Kierenskiego, wypromował gen. Korniłowa na naczelnego wodza. W tym czasie Wędziagolski, będąc komisarzem przy 8-ej armii, wchodzi automatycznie w skład petersburskiego Sowdepu, i popiera poczynania Sawinkowa. Korniłow podejmuje marsz na Petersburg, w celu uratowania Rosji przed bolszewizmem: "Nie rewolucję trzeba 'pogłębiać', ojczyznę trzeba ratować! Rząd Kierenskiego miał okazję rozprawić się ostatecznie z partią Lenina. Ale... pisze Wędziagolski:

"...wierzono, że najświętszego ołtarza rewolucji należy bronić wspólnie przed kontrrewolucją... Wojenny komisarz Kwatery Głównej przy Kierenskim, Włodzimierz Stankiewicz, kowieński szlachcic z dziada pradziada, i socjal-rewolucjonista z wyboru, oko i ucho Kierenskiego. zastrzegł się przeciw środkom prewencyjnym przeciwko bolszewikom, jako kolidującym z pojmowaniem wolności, i niebezpieczeństwem ze strony kontrrewolucji..." – Dalej pisze Wędziagolski: "Dołączył się do tego sabotaż kolejarzy. Pociągi z wojskiem Korniłowa były co kilka kilometrów zatrzymywane... Kierenski zaś rzucił na stół gry swoją kartę: Obrona demokratycznych zdobyczy rewolucji! Wszyscy do walki z szalonym generałem, który zdradził rewolucję!... Stłumienie Korniłow-skiego powstania, które było podjęte w imię dobra republiki, a zostało naświetlone, zgodnie tak przez rząd jak bolszewików, jako zbrodnia i zdrada, stało się usankcjonowaniem anarchii. W ten sposób każda próba ukrócenia rozbestwionych mas została napiętnowana mianem kontrrewolucyjnej zdrady". – I oto w obliczu tych wypadków "na danym etapie", Wędziagolski, który był kiedyś "prawie" SDKPiL, wyznaje teraz: "Strach przed kontrrewolucją oślepiał i zaślepiał nawet skądinąd inteligentnych i rozsądnych ludzi... Cóż pozostawało więc? Z obowiązku świadka ówczesnych wydarzeń odważam się twierdzić, że być może tylko przywrócenie monarchii z jednoczesną reformą rolną mogłoby skutecznie przeciwdziałać bolszewizmowi".

Istotnie, przyznajmy, duża to odwaga ze strony autora takie stwierdzenie, nie tylko na "ówczesnym etapie", ale może jeszcze większa na – dzisiejszym...

Wędziagolski pisze dalej: "W wyborach do Konstytuanty bolszewicy mieli zaledwie 13%..., gdy Sawinkow, w sierpniu 1917, zażądał od Kierenskiego aresztowania wszystkich członków centralnego komitetu bolszewickiej partii – Kierenski z niezwykłą u niego stanowczością powiedział: nie! Nastąpiła dymisja Sawinkowa... Inteligencja szła za masami, jak skazaniec przykuty do swej taczki. Bardziej w trosce o uszanowanie ideałów wroga, a przede wszystkim w obawie o jego bezpieczeństwo. Byle nie splamić sobie rąk 'krwią ludu' ...Demokracja stawała się dyktatorem mody. Najwyżsi wodzowie armii spieszyli zgłosić swoją solidarność z rewolucją. W najekskluzywniejszych salonach było towarzyską nieprzyzwoitością wątpić w demokrację". – "Przytoczę – pisze Wędziagolski – autentyczny wypadek: Sekcja Delegatów Robotniczych Szkłowskiej Rzeźni zażądała od ministra, aby wyraził ostre potępienie Jego Królewskiej angielskiej Mości za skazanie tubylca w Singapurze na karę chłosty za złodziejstwo. I minister musiał się wdawać w rokowania z tą delegacją robotniczą... Rząd Kierenskiego trzymał się kurczowo fikcji, że partia bolszewicka reprezentuje tylko 'przeciwników politycznych'. Wrogowie to monarchiści i kontrrewolucjoniści ... Borys Sawinkow za próbę ratowania republiki został napiętnowany przez własną socjalistyczną partię i przez wszystkie bratnie, z bolszewicką – rzecz jasna – na czele, jako reakcjonista i wróg ludu... Książę Ceretelli, jeden z przywódców socjaldemokracji, był nawet autorem sloganu, że kto walczy z bolszewikami – walczy o restytucję monarchii. I tym sposobem doszło do tego, że z bolszewikami nie walczył nikt... Komitety rewolucyjne wszystkich formacji nawołują przy tym rząd do 'pokojowego załatwienia konfliktu z partią bolszewicką'". (Dziś powiedzielibvśmy: do "pokojowego dialogu", przyp. mój). Wędziagolski opisuje, że gdy do Moskwy przybył wysłannik dońskiego

atamana Kaledina, kpt. Sokołów, proponując natychmiastową zbrojną pomoc przeciw bolszewikom, i zameldował się i w prawicowym Komitecie Działaczy Społecznych, będącym ekspozyturą i moskiewskiej burżuazji, milionerów i fabrykantów – Komitet ten uchylił się od przyjęcia tej pomocy, jako pochodzącej ze źródła "wybitnie reakcyjnego".

Tak to wtedy wyglądało, przyznajmy, trochę podobnie do teraz. Wędziagolski: "Ostatnia odsłona tragedii rozpoczęła się w dniu 25 października (starego stylu) 1917. Stała się wstępem do długoletniego dramatu świata, który trwa do dziś i nikt nie wie, kiedy się skończy i czym się skończy".

53. "KIEREŃSZCZYZNY" DALSZY CIĄG?

Wędziagolski wyraźnie swoją refleksję kieruje nie do Rosji, nie do Polski, lecz do całego świata. Gdy to się czyta dziś, w r. 1972, tak zdawałoby się odległym od tamtych wypadków, trudno doprawdy oprzeć się wrażeniu, że nastroje panujące w tzw. wolnym świecie wykazują wiele, czy zbyt wiele, analogii z "kiereńszczyzną", powiedzmy to w cudzysłowie.

Aleksandr Błok w swym słynnym poemacie Dwienadcat', pisał w r. 1918 (w dosłownym tłumaczeniu):

Stoi burżuj jak pies głodny,
Stoi milczący, jak pytanie,
A stary świat, jak pies bezpański
Stoi za nim, podwinąwszy ogon (podżawszyj chwost).

Ten świat "z podwiniętym ogonem" wobec komunizmu, to przepowiednia dosyć celna. – Pisał poeta Osip Mandelsztam dziesięć lat później w Leningradzie: "Klasyczna poezja to – poezja rewolucji". Pisała już w naszej epoce, sztokholmskich "Kongresów Pokoju", Anna Achmatowa cykl o "Słowie Pokoju", wychwalając Stalina i zwracając się Do oszczerców : "Nam nie straszne zagraniczne łgarstwa. My własną prawdą jesteśmy silni... Spętane narody śnią o gwiazdach na basztach Kremla..." (Zmuszona, biedaczka, zmuszona). – To są poeci rosyjscy budzący dziś szczególne roztkliwienie wśród intelektualnego establishmentu.

Gdy to piszę, czytam właśnie w organie emigracji polskiej w Londynie (2 września 1972) rzeczowe uzasadnienie wschodniej polityki Piłsudskiego:

,,...uważał Naczelnik Państwa zwycięstwo bolszewików nad białymi generałami za mniejsze zło, poza tym zaś był głęboko przekonany, że w tej walce bolszewikom, a nie ich przeciwnikom, przypadnie zwycięstwo".

Uzasadnienie poparte jest wnikliwą analizą tego stanowiska z punktu interesu polskiego. Lloyd George stawkę na bolszewików uzasadniał z punktu interesów angielskich. Stresemann w Rapallo – z punktu interesów niemieckich. Benesz – z punktu widzenia czeskiego. Wszystkie punkty podmurowane były realizmem politycznym i względami interesu państwowego. – Melchior Wańkowicz pisał wtedy swą Opierzoną rewolucję . Poprzez "Front Populaire" we Francji, wojnę domową w Hiszpanii, gdy to, kto mógł tylko stawał po stronie "czerwonych", doszliśmy do Churchilla i Roosevelta.

Tymczasem jednak pojawił się jeszcze konkurent do socjalistycznej chwały, Adolf Hitler, ze swym nacjonał-bolszewizmem. Paweł Starzeński w swej książce (Trzy lata z Beckiem) przypomina słowa min. Becka: "Te dwa systemy, te dwie nowoczesne religie są tak do siebie zbliżone, że się nawzajem wykluczają". Słusznie. Dlatego może musiało dojść miedzy nimi do spięcia. Ale "zbliżoność" ich polegała nade wszystko na wspólnej, zapiekłej nienawiści do "prawicy", do wszelkiej kontrrewolucji. Ten fakt został zafałszowany po wojnie, ponieważ hitleryzm uznano po wojnie za zło absolutne, więc, w nastrojach, które nazywam "neo-kiereńszczyzną". nie mógł być ujawniony jako "socjalizm". Zrobiono z niego "prawicę" i "reakcję". Natomiast autentyczną kontrrewolucję oficerów, którzy chcieli zgładzić Hitlera, przefarbowano na rzeczników "demokracji", niemal socjalizmu. Bo w myśl obowiązującego dogmatu, żaden socjalizm nie może być "zły", jak żadna kontrrewolucja "dobra".

[Wychodzące w Düsseldorfie, w ramach prokomunistycznej propagandy w języku niemieckim, pismo "Begegnung mit Polen" (Heft 12, 1965), omawiając moją książkę Zwycięstwo prowokacji sugeruje mi sympatie prohitlerowskie na następującej podstawie: "Autor twierdzi, że nacjonal-socjalizm, opierał się na systemie i terrorze typu socjalistycznego... Zamach zaś 20 lipca 1944 r. miał klasyczne rysy kontrrewolucji z prawa... Tą obelgą rzuconą w twarz niemieckiemu ruchowi oporu, Mackiewicz dyskwalifikuje sam siebie. Że jego książka mogła się ukazać w Niemczech, to jest w istocie – "zwycięstwem prowokacji"...]

Operowanie przykładami jest czasem rzeczą obosieczną. Może też podważać przedstawienie oczywistego stanu, które jakoby wymaga dopiero przytoczenia przekonywających dowodów. Ale dowodów tu żadnych nie potrzeba. Wszyscy wiemy, do czego doszło dzisiaj. Obowiązuje doktryna, że bolszewizm jest ,,w każdym razie postępem" ...w porównaniu do tego, co było przed nim. Tak, jak obowiązywała za czasów Kierenskiego.

Wielojęzyczne radia amerykańskie nadają w tym sensie do słuchaczy w bloku komunistycznym. Słowo: "kontrrewolucja" jest dziś formą obelżywej połajanki, jak było rugatielnym słowem w okresie Kierenskiego. Wszystkie ośrodki masowego przekazu na Zachodzie wyrażają akurat głębokie oburzenie na proces w Pradze za to, że dobrych komunistów czeskich z "praskiej wiosny" przezywa się oszczerczo "kontrrewolucją"! Gdyby dziś papieżowi w Rzymie "zarzucić", że jest antykomunistą, Kuria Rzymska zaprzeczyłaby tej "insynuacji" w słowach godnych, ale nie pozbawionych, sądzę, wewnętrznej irytacji. Komunizmu nie wolno zwalczać, z komunizmem należy prowadzić – Dialog...

Karol Wędziagolski odsłania w swoich Pamiętnikach dość szczegółowo i obrazowo, jak i kiedy to wszystko się zaczęło.

54. W JEDNYM BYŁO ODWROTNIE

A jednak w jednym, ważnym punkcie było inaczej, ja bym powiedział: "lepiej", moi wrogowie powiedzieliby: "gorzej". Mianowicie na tzw. dziś "odcinku młodzieżowym". Wtedy nie tylko wychowankowie szkół kadeckich i wojskowych stali się oparciem kontrrewolucji, ale w przeciwieństwie do dzisiaj, studenci uniwersytetów, i nawet gimnazjaliści. Wędziagolski pisze, po przedostaniu się do "białego" Rostowa: "...ulicami maszeruje oddział zbyt młodo i zbyt inteligentnie wyglądających żołnierzy. Ich twardy krok, wzorowa doskonałość szeregów, idealna przepisowość ekwipunku i czyste, ciemne błyski na stali bagnetów na chwilę rozradują serca. Na chwilę, bo są wśród nich prawie dzieci. Kadeci od czwartej klasy w górę, gimnaziści, studenci i junkrowie młodszych kursów, wszyscy przemienieni w żołnierzy ochotników". – Zresztą rzecz jest powszechnie znana z historii. Nawet w słynnym filmie z Pasternaka "Doktor Żywago", produkcji zachodniej, nie omieszkano nam teraz pokazać, jak odrażająca fizjonomia zramolałego generała, ukryta w krzakach, szczuje uczniaków, dzieci prawie, do walki z bolszewikami...

O roli, jaką dziś odgrywa tzw. Młodzież, zwłaszcza uniwersytecka, a teraz już i gimnazjalna, w całym świecie, nie trzeba chyba mówić. Jest ona dziś oparciem prokomunistycznej rewolucji. W Niemczech Zachodnich – mówię tylko o młodzieży – istnieją w r. 1972 następujące komunistyczne ugrupowania: KJVD, KPD/ML, KPD RA, DKP, SDAJ, ABG, GEW, GAST, SHB, ZV – są to wszystko skróty zarejestrowanych rewolucyjnych ugrupowań młodzieżowych; nie licząc przeróżnych secesji, maoistów, anarchistów i zwyczajnych gangsterów. Młodzież ta urządza burdy, demonstracje "wietnamskie" i "pokojowe", bije żelaznymi drągami – jak to się odbyło podczas Olimpiady – policję, która oczywiście nie ośmieli się nawet zagrozić użyciem broni (Boże! Co by to był za skandal! Co za krzyk na świat cały!). Długowłosa, z brodami a la Fidel Castro, zasłuchana w "pop-music" (dziś już przecie i w Kościele) Bundeswehra. przejęta jest tymi samymi tendencjami na równi z resztą młodzieży. Nie wolno jej nosić pasów, bagnetów, długich butów itd., niczego, co by drażniło militaryzmem. Ale i tego mało: z lokali wyprasza się wojskowych w mundurach, chuligani wyciągają ich z tramwajów, tłuką, kopią. O tym się nie pisze w prasie zachodniej. Ale gdyby taka demonstracja, z biciem policji drągami w Monachium, podczas Olimpiady, jak wyczynili komuniści, zorganizowana była nie przez nich, lecz – "z prawa"... Ba. można sobie łatwo wyobrazić jakby zalała pierwsze strony wszystkich gazet świata.

Zatrzymałem się tu dłużej na przykładzie niemieckim, nie dlatego że NRF, położona wzdłuż granic komunistycznych, stanowi pierwszą linie obrony NATO. Ale dlatego że jeśli moja definicja ,,neo-kiereńszczyzny" w odniesieniu do postawy politycznej świata zachodniego może się komuś wydać zbyt uproszczona, zwulgaryzowana i naciągnięta, o tyle w odniesieniu do Niemiec zachodnich, po objęciu władzy przez socjalistów Brandta, wydaje mi się po prostu kopią tej starej kiereńszczyzny, którą opisuję Wędziagolski. Tuż przy murze i zasiekach komunistycznych, skąd bezustannie strzela się do ludzi Ale: "wróg jest tylko z prawa".

55. W CHAOSIE WOJNY DOMOWEJ

Niezmiernie ciekawe są przeżycia i obserwacje Wędziagolskiego, tym razem po stronie "białej", której nie szczędzi on ostrej krytyki. Później przedostanie się jego do Kijowa pod rządami hetmana Skoropadzkiego i niemiecką okupacją. Nie ze wszystkim mógłbym się zgodzić, zwłaszcza że w ocenie Skoropadzkiego autor popada trochę w contradictio in adiecto . Raz dostrzega w nim czynnik wrogi, który sam zwalcza, w innym miejscu mówi, iż był to czynnik ratujący przed chaosem. Wędziagolski jest człowiekiem kilku funkcji jednocześnie. Łącznikiem z kontrrewolucją rosyjską, zaufanym polskiego POW, rzecznikiem Sawinkowa i jego koncepcji. Ma kontakty z Ukraińcami i nawet z ... bolszewikami. W Kijowie też styka się po raz pierwszy z szeregiem wybitnych nazwisk Polski Piłsudskiego, i późniejszymi dygnitarzami naszego dwudziestolecia.

Jego obserwacje są cenne historycznie, a nieraz precyzyjnie trafne. Jeszcze raz dostrzega narodziny pewnej, jakże charakterystycznej dla późniejszej epoki cechy:

"Już się zaczyna szerzyć zaraza, czy mania wszelkiego rodzaju 'centrów', 'sztabów', wywiadów i kontrwywiadów, jako objaw moralnej degeneracji... Panienki, panie z porządnych mieszczańskich domów,

zaczynają śnić o służbie w 'razwiedkach', więc podaż jest ogromna, lecz i popyt nie mały. Z oddalenia czasu wydaje mi się, że syntezą porewolucyjnego okresu jest WYWIAD-KONTRWYWIAD... Urobiłem sobie przekonanie, że wielokrotnie zbrodnie rewolucji i kontrrewolucji rodziły się z teorii i praktyki fachu szpiegowskiego, tego najpodlejszego z fachów..."

Istotnie, to było coś nowego, co w minionej epoce nie wychodziło (a w każdym razie nie wchodziło do salonów) w tym stopniu nasilenia z ram ściśle fachowej służby.

56. TWARDY JEST LOS EMIGRANTA ANTYBOLSZEWICKIEGO...

Jeszcze jedna analogia obchodząca dziś nas, emigrantów, którzy tak często narzekamy na niesprawiedliwość, na "niepomność" ze strony państw osiedlenia, niewdzięczność i krzywdę losu. Zresztą przypomnienie dość nieprzyjemne w swej wymowie.

Wędziagolski jest prawie apologetą Pilsudskiego, a w każdym razie gorącym jego zwolennikiem. Przytoczone więc fakty nie pochodzą z niechętnego nastawienia. A było tak: w początkach r. 1919 Wędziagolski jest już w Warszawie. Tu nawiązuje lub odnawia liczne kontakty. Wymienia m.in.: Wieniawa-Długoszowski, Miedziński. Sosnkowski, Matuszewski, Günther, Strug, Michał Sokolnicki, Leon Wasilewski, Schaetzel. O własnej koncepcji politycznej pisze: "Uważałem, że należy nawiązać łączność z rosyjskim obozem republikańskim, korzystając z pomyślnej koniunktury dla rozwiązania odwiecznego sporu polsko-rosyjskiego, z korzyścią dla obu stron. Nie miałem powodów wątpić w szczerość intencji moich rosyjskich przyjaciół ze Związku Odrodzenia Rosji" (Sawinkow, Czajkowski, Plechanow, Rodiczew, Fiłosofow i in.). – Marszałek Piłsudski – mimo całej niechęci do Rosji – przychyla się do tej koncepcji, obdarza Wędziagolskiego zaufaniem i poleca mu zmontowanie tego projektu.

W tym czasie Wędziagolski ogłasza w prasie warszawskiej szereg artykułów zdecydowanie antybolszewickich. Przy tym czyni błąd, do którego sam się teraz przyznaje: "... dawałem wyraz przekonaniu, że bolszewicki przewrót nie ma żadnych szans trwałej egzystencji i stabilizacji. Oczywiście był to mój błąd, by nie powiedzieć bardziej dosadnie. Mylili się wszakże w owym czasie wszyscy, i znacznie mądrzejsi ode mnie, i ci, którym nie wolno się było mylić...". Charakterystyczne dla ówczesnej aury politycznej w Polsce, że Wędziagolski obracając się osobiście głównie w sferach "piłsudczyków" i związanej z nimi PPS, artykuły swoje ogłasza w gazetach "endeckich" ("Gazeta Warszawska", "Kurier Warszawski"). Bo, jak pisze: "Robotnik" w owym czasie nie mógł w tak demonstracyjny sposób przeciwstawiać się programowi i taktyce rządu Komisarzy Ludowych w Moskwie na ich własnym terenie... Byłoby to ryzykowaniem konfliktu z nastrojami i opiniami proletariatu, który w rozterce ducha żywił nadzieje, że wbrew temu co piszą wrogowie bolszewików, tam właśnie zaświtała zorza wyzwolenia."

Wędziagolski z polecenia Piłsudskiego urzeczywistnił plan owego porozumienia z antybolszewickim Związkiem Odrodzenia Rosji, skupiającym środowisko niechętne monarchicznej, "generalskiej" kontrrewolucji. Sawinkow zostaje przyjęty przez Piłsudskiego; ustalono zasady politycznej działalności organizacji rosyjskich w Polsce. Powstaje Komitet Rosyjski, na którego czele staje Sawinkow. Wchodzą do niego m.in. znani pisarze, jak Dymitr Mereżkowski, wielki wielbiciel Piłsudskiego, Zinaida Gippius, Fiłosofow. – Przychodzi r. 1920. Utworzona zostaje organizacja wojskowa (gen. Peremykin, Głazienap, hr. Pahlen). Włączono do niej oddziały Bułak-Bałachowicza, esauła Jakowlewa. Czas był tragiczny. Rosyjskie formacje po stronie Polski osiągają 80 000.

Następuje bitwa warszawska. Bolszewicy są rozbici. Zwycięska armia polska idzie naprzód. Raptem, 12 października Piłsudski zawiera rozejm z bolszewikami. Wojska Komitetu Rosyjskiego, które zapędziły się za daleko znalazły się "najzupełniej osamotnione – pisze Wędziagolski. – Rząd polski bowiem, najskrupulatniej i uczciwie przestrzegając warunków zawartego z bolszewikami rozejmu, przerwał natychmiast wszelką pomoc wojskowym oddziałom Komitetu poza granicami kraju, a w granicach swego terytorium był zmuszony do natychmiastowego rozbrajania i internowania każdej jednostki". – I dalej: "Kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy Komitetu internowano w obozach... Nagle, gdy w Warszawie zainstalował się bolszewicki poseł Karachan, wiceminister spraw zagranicznych, Jan Dąbski, na jego żądanie wymógł na rządzie polskim wydalenie z granic państwa w ciągu 24 godzin wszystkich członków Rady Rosyjskiego Komitetu Politycznego".

W ciągu 24 godzin... Tu następuje zgrzyt. Odczuwam go osobiście nieprzyjemnie. Wędziagolski jest – jak wspomniałem – wielbicielem osoby Pilsudskiego. To nie upoważnia go wszakże – w pisaniu prawdy dziś historycznej – do wprowadzania w błąd czytelnika przez ukrywanie tej prawdy za fasadą formalnego wybiegu. Każdy, kto zna tamte czasy – a Wędziagolski zna je lepiej od innych – wie doskonale że pozycja Piłsudskiego była tego rodzaju, iż żaden "wiceminister Dąbski" nie mógł powziąć takiej decyzji w takiej sprawie. Tym bardziej "wymóc na rządzie polskim". Jest to definicja więcej niż naiwna, bo śmieszna, w zestawieniu z władzą sprawowaną wtedy de facto przez Piłsudskiego. Zresztą uczciwość nie pozwala Wędziagolskiemu na trzymanie się dalej tej wersji. Jest wtedy do głębi wstrząśnięty i porywa się do publicznego: "...potępienia tego rodzaju policyjnej likwidacji wczorajszych sojuszników i przyjaciół na żądanie wczorajszych wrogów (nb. pobitych! – przy. mój). Brutalne wyrzucanie moich przyjaciół Rosjan za pomocą policji, spadło na mnie jak grom". – Biegnie

więc do Piłsudskiego: "Zostałem przyjęty przez Naczelnika Państwa, który w serdecznych słowach okazał współczucie dla mego wzburzenia" – i zakończył słowami: "Trzeba się nauczyć zapominać o przykrych obrotach w sprawach publicznych. W budowaniu tych spraw trzeba mieć twarde serce"...

Można by tu powiedzieć, iż twarde ostrzeżenie padło u progu nowej epoki pod adresem antykomunistycznych emigrantów. Można powiedzieć wprawdzie, że to nie analogia jeszcze do wydania bolszewikom Kozaków w Linzu, w r. 1945, i innych, przez Anglików i Amerykanów. Bo Polska nikogo wtedy nie wydała na śmierć. Ale z drugiej strony. Komitet Sawinkowa i jego towarzysze nie walczyli przeciwko naszym sojusznikom (jak Kozacy przeciwko sojusznikom brytyjskim), ale byli – naszymi sojusznikami...

Książka Wędziagolskiego, raz jeszcze to powtarzam., jest nie tylko świetnie napisana, ciekawa, interesująca. Jest to zarazem książka o ważnych na dzień dzisiejszy analogiach.